

SLUGI BOZE



A D A M F O R M A N



SŁUGI BOŻE

A D A M F O R M A N

Redakcja: Paweł Goźliński **Konsultacje:** Robert Schlaffke, Jacek Harłukowicz **Korekta:** Danuta Sabała **Projekt okładki:** adaptacja wg plakatu filmowego projektu Krzysztofa Aratyka **Zdjęcie na okładce:** Michał Mutor/Agencja Gazeta **Opracowanie graficzne i skład:** ProDesGraf



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWE: **Dyrektor wydawniczy:** Małgorzata Skowrońska **Redaktor naczelny:** Paweł Goźliński **Koordinacja projektu:** Katarzyna Kubicka

© copyright by Mariusz Gawryś, Piotr Głuchowski, Paweł Goźliński, Maciej Strzembosz, 2016

© copyright by Agora SA 2016

© copyright by Prasa i Film sp. z o.o., 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone Warszawa 2016

ISBN: 978-83-268-1884-4 (epub), 978-83-268-1885-1 (mobi)



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki



Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Spis treści

Część pierwsza: DO KORYNTIAN

Rozdział 1. Berlin

Rozdział 2. Wrocław

Rozdział 3. Niedziela 18 września

Rozdział 4. Poniedziałek 19 września

Rozdział 5. Wtorek 20 września

Rozdział 6. Środa 21 września, przedpołudnie

Rozdział 7. Środa 21 września, popołudnie

Rozdział 8. Czwartek 22 września

Rozdział 9. Wieczór i noc z czwartku na piątek

Rozdział 10. Piątek 23 września

Rozdział 11. Sobota 24 września i noc z soboty na niedzielę

Rozdział 12. Niedziela 25 września, poranek

Rozdział 13. Poniedziałek 26 września, przedpołudnie

Rozdział 14. Poniedziałek 26 września, popołudnie i wieczór

Rozdział 15. Wtorek 27 września

Rozdział 16. Wtorek 27 września, późny wieczór

Część druga: CZY DIABEŁ ŚPIEWA?

Rozdział 17. Noc z wtorku na środę

Rozdział 18. Środa 28 września

Rozdział 19. Środa wieczór

Rozdział 20. Noc ze środy na czwartek

Rozdział 21. Czwartek 29 września, przedświt i przedpołudnie

Rozdział 22. Czwartek 29 września, popołudnie i wieczór

Rozdział 23. Piątek 30 września, przed świtaniem

Rozdział 24. Piątek 30 września, poranek i przedpołudnie

Część trzecia: BEZ ODDECHU

Rozdział 25. Piątek 30 września, popołudnie

Rozdział 26. Piątek 30 września, wczesny wieczór

Rozdział 27. Noc z piątku na sobotę

Rozdział 28. Dalszy ciąg nocy

Rozdział 29. Sobota 1 października, poranek i przedpołudnie

Rozdział 30. Sobota 1 października, popołudnie

CZĘŚĆ
P|ERWSZA

DO KORYNTIAN

W ciemności nie widzi prawie nic. Coś słyszy, ale nawet jej własne słowa wracają do niej wyciszone i nieostre. Jakby przepuszczone przez warstwę wełny. Chciałaby wbić się paznokciami w tę niewidzialną, miękką ścianę, rozerwać. Ale nie może się ruszyć. Pasy wciskają się w jej szczupłe ręce i łydki. Twarz zasłaniają wielkie czarne gogle. Do odsłoniętych piersi przyklejone ma elektrody. Metalowe leże, stare i zardzewiałe, jest obite filcem – mieszaniną wełny, zwierzęcej sierści i trocin.

– *Nein!* – krzyczy, kiedy przez jej szczupłe ciało przenika prąd. Zaciska pięści. Wbija paznokcie w poduszki dłoni.

Wcześniej prosiła o litość po niemiecku, po polsku, po angielsku, francusku, włosku. Chciała kupić wolność za swoje ciało albo wszystkie pieniądze ojca. Teraz, po dwunastu, może dwudziestu godzinach bez snu i wody, po niekończących się seriach obrazów, które niewidzialny ktoś wciskał jej seriami pod powieki, po nieudanej próbie połknięcia języka zostało jej tylko to jedno słowo: – *Nein!*

Edith Kronenberg, piękna, wykształcona i skazana na sukces obywatelka świata, ściśnięta skórzanymi rzemieniami za kostki, nadgarstki i szyję, po raz nie wiadomo który zmierza – w wirtualnym świecie – do niskich czarnych drzwi bez klamki zatopionych w grubym murze z cegieł.

Rozdział 1.

Berlin

„Za późno” – kołacze się w głowie *Polizeioberkommissar* Any Wittesch, kiedy wysiada z fioletowego kabrioletu Porsche i stukając podszewkami rozsznurowanych martensów, przecina parking Bundeskriminalamt przy Elsenstraße. Idzie tak, jakby chciała się zderzyć z nadciągającą od strony gmachu grupą rosnących mężczyzn w czarnych kamizelkach taktycznych. Ale zderzenia nie będzie. Twardziele rozstępują się przed panią analityk – trochę z szacunku, a trochę zaskoczeni jej stanowczością. Dowodzący pododdziałem Norbert Axelbrodt – trzydziestosześcioletni, przeszło stukilowy dryblas z Kilonii – taksuje wzrokiem niewysoką blondynkę o prostych włosach, wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i małych ustach bez śladu szminki. Pozdrawia ją, potrząsając hecklerem. W drugiej ręce trzyma kask z zamocowaną kamerą.

Ana nie odpowiada na pozdrowienie. Jest wściekła. Przyspiesza kroku, przeskakuje po dwa stopnie schodów i znika w budynku. W tym czasie grupa mężczyzn pakuje się do zaparkowanych na krańcu placu czterech furgonetek bez żadnych oznaczeń. Ich kierowcy odpalają silniki. Berlińskie *Sondereinsatzkommando* rusza do akcji.

„Za późno, żeby ich zatrzymać”.

A może jeszcze nie.

Policjantka biegnie korytarzem pomalowanym na odcień uspokajającej zieleni. Identyfikator, bramka, śluza, wymiana spojrzeń ze strażnikami, karta dociśnięta do czytnika, pisk odbezpieczonego zamka.

– *Es wird nicht funktionieren!* – krzyczy, ale nikt nie odwraca się w jej stronę.

Wnętrze centrum operacyjnego rozświetlają monitory i łysa głowa Jonasa Grubera. *Polizeihauptkommissar*, wyprostowany jak żołnierz, stoi między rzędami funkcjonariuszy przyklejonych palcami do klawiatur komputerów. Szary garnitur, krawat z dyskretną szpilką. Nie będzie się musiał przebierać, gdy pojedzie odbierać gratulacje w Bundesminister des Innern.

– *Es wird nicht funktionieren* – powtarza Ana, zatrzymując się obok szefa. Celuje podbródkiem pomiędzy dwa główne monitory. Na lewym widać prostokątne dachy

ustawionych w czworobok magazynów i zaparkowane na wewnętrznym placu dwa samochody.

– Powiększ – nakazuje Gruber. Operator drona wykonuje polecenie. Samochody na monitorze rosną coraz bardziej. To czarne toyoty land cruiser. Jest jeszcze trzech ochroniarzy z psami, którzy niespiesznie krążą między magazynami. Od kiedy trzy godziny temu na teren nieczynnej fabryki farb wjechały auta, nie zmienili swoich trajektorii.

– *Es wird nicht funktionieren.*

– *Es erfolgt* – Gruber pociera starannie wygolony podbródek. – Już się udało.

Nie patrzy na Anę. Gapi się w prawy ekran. Drugi dron, który sunie czterdzieści metrów nad autostradą, filmuje kolumnę furgonetek. Ruch w sobotni poranek jest minimalny. W ciągu pięciu minut wozy Sondereinsatzkommando miną Britz Neukölln i Rudow.

– Kiedy będą na miejscu? – pyta Gruber.

– Kontakt za dwanaście minut – rzuca skulony nad monitorem policjant.

– Każ im zawracać! – warczy Ana.

– Oszalałaś? – Gruber próbuje ją usadzić.

– Musimy przełożyć akcję. Oni nas tylko badają...

– Przestań! Wcześniej mówiłaś coś innego.

Nie wie, co ma odpowiedzieć.

Może po prostu: „Zmieniłam zdanie”.

Albo: „To ty mnie nauczyłeś, że wątpliwości są naszym obowiązkiem służbowym”.

Powinna też dodać: „Przecież sam wiesz, jak to jest z nowymi gadżetami”.

Gadżet, o którym myśli, zaledwie miesiąc temu trafił do niej dzięki hojności Sojuszu Pięciorga Oczu, podsłuchowego kartelu stworzonego przez największe agencje wywiadowcze Zachodu. Z głównej kwatery amerykańskiej NSA w Fort Meade nowy software został dostarczony do placówki Bundesnachrichtendienst w Wiesbaden-Erbenheim. Amerykanie byli pełni podziwu dla tempa, w jakim nadkomisarz Wittesch opanowała system, który likwidował lukę w systemie globalnej inwigilacji. Jego zadaniem było przechwytywanie transmisji internetowych i rozmów telefonicznych prowadzonych z samolotów. Na przykład kursujących między lotniskami w Belgradzie, Budapeszcie, Berlinie i Grazu. Jankeskim instruktorom wydawało się, że to tylko testy. Ale Ana już pracowała. Trzy miasta wybrała nieprzypadkowo. Od chwili wykrycia niewielki, bałkański kanał przerzutu migrantów, zwany w niepisanej nomenklaturze Bundespolizei

„trzynastym korytarzem”, wydawał się jej inny niż pozostałe. W pierwszej chwili trudno było orzec dlaczego. Kanały – jak górskie strumienie po ulewie – wzbierały, krzyżowały się, znikały, odradzały w zmodyfikowanych formach. Od wiosny 2015 roku już mało kto za tym nadążał, a jeszcze mniej ludzi orientowało się, co jest naprawdę grane. Bo niby wszystko jasne: źli ludzie korzystali z chaosu na granicach Unii, żeby przeszmyglować broń, śmiertcionośne chemikalia, narkotyki i kobiety. Ale po odcyfrowaniu wiadomości głosowej, którą pasażer lotu Belgrad – Graz ściągnął z sieci razem z trailerem indyjskiego filmu „Serce ze złota” – Ana sądziła, że się przesłyszała. Sądziła, że to z powodu kiepskiej jakości nagrania – wtórnie wygenerowanego z ciągów zer i jedynek. Albo że nadawca informacji, sądząc po akcencie berlińczyk o bośniackich korzeniach, ma kłopoty z niemieckimi liczebnikami. Faktycznie: są długie, szczególnie jeśli chce się opisać bardzo duże sumy pieniędzy. Albo wielkość transportu heroiny. Ale czy Bośniak mógł się pomylić aż o dwa zera? Mało prawdopodobne. Poza tym zarysy planu, który wyłonił się ze strzępów przechwyconych informacji, wydawały się całkiem logiczne. Bo dlaczego nie wykorzystywać kolejnej fali nieszczęśników szturmujących kolczaste płoty i próbujących wdrzeć się do Europy, aby przerzucić siedem ton gówna w trzy miesiące. Siedem tysięcy kilogramów. Siedem milionów gramów. Po przesypaniu – trzydzieści milionów działek. Albo i więcej – zależy, jak i z czym się zmiesza.

Ktoś postanowił zapewnić ćpanie całej Belgii, Holandii i Skandynawii na kilka lat.

Pasażer lotu Belgrad – Graz, turecki fan bollywoodzkiego kina, miał na imię Adnan. Z Grazu poleciał zwykłym rejsem do Monachium, potem do Berlina. Dwadzieścia cztery godziny po wylądowaniu tam wszyscy, którzy się z nim zetknęli w ciągu ostatnich tygodni, byli już na podsłuchu. Dwanaście dni później Adnan doprowadził niemiecką policję do dawnego magazynu farb na granicy Waßmannsdorf, blisko lotniska Schönefeld. Trzeba było tylko czekać na pierwszy transport.

* * *

– *Es hat geklappt*, wszystko idzie zgodnie z planem. Nie denerwuj się.

Anie wystarczył zapach wody West Indian, żeby się zorientować, kto zjawił się za jej plecami. Ale jego obecność wcale jej nie uspokaja.

Kommissaranwärter Georg Romm tak jak Axelbrodt ma prawie dwa metry wzrostu. Tylko że w odróżnieniu od dowódcy grupy uderzeniowej nie jest atletą. Może dlatego wydaje się przystojniejszy? Właściwie jest bardzo przystojny. Ale to – do cholery! – nie

znaczy, że wolno mu przy Jonasie trącać kolanami jej tyłek.

Wkłada kciuk do ust i przygryza krótko obcięty paznokieć.

– To się nie uda – powtarza coraz bardziej zirytowana.

Całą noc nie mogła zasnąć. Wszystko przez to, że przygotowania do akcji szły zbyt gładko. Odbiorcy składali zamówienia, jakby kupowali stalowe pręty – a nie heroinę. Umawiali się otwartym tekstem, wymieniali adresy, konkretne godziny.

Kilka minut po czwartej Ana poszła do łazienki i patrząc bez zainteresowania w swoje podkrążone oczy, zadzwoniła do Jonasa. Ale szef przerwał jej w połowie trzeciego zdania. Kazał wracać do łóżka. Dwa razy powtórzył, że wykonała świetną robotę. Że teraz czas na występ chłopców z Sonderneinsatz. A potem będzie przecież jeszcze masa do zrobienia, także dla Any. Właściwie ciekawa praca dopiero się zacznie. Kiedy uchwycą oba końce przemytniczego łańcucha.

– Ty już zrobiłaś swoje...

Czy jej się zdawało, czy rzeczywiście słyszy w słowach Georga protekcyjny ton? Chyba postanowił od rana sobie u niej nagrabić.

– Jestem pewna, że oni tylko testują nową trasę – Ana odkleja się od Georga. Okrąża Grubera i staje pod ekranami twarzą do szefa. – To nie jest prawdziwy transport. To symulacja.

– Towar jest w autach – Gruber pokazuje jej, żeby przestała zasłaniać monitor. – Od dziewięciu godzin nagrywamy każdego gołębia, który sra w tej okolicy. Towar tu był, tu jest, a za godzinę będzie u nas w piwnicy. Za to ty powinnaś odpocząć. Spałaś w ogóle?

– Jadą! – Georg trąca Anę. Chyba naprawdę chce wywołać między nimi wojnę domową.

– Dwa pojazdy, granatowy ford pikap i czarny mercedes – pochylony nad klawiaturą operator drona jeszcze bardziej przybliży obraz. Wyostrza się na ochroniarzach, którzy właśnie otwierają bramę. Ford parkuje między kałużami. Z szoferki wyskakuje dwóch mężczyzn. Z mercedesa kolejnych trzech. Zaczynają przerzucać między samochodami ciężkie kartonowe pudła.

– Informuj drogówkę – Jonas znów gładzi żuchwę.

– Kogoś mi tutaj brakuje – Ana unosi dłoń. – Chyba nie zapłacą za transport ochronie?

– Nie mamy pewności, czy to ochroniarze.

– A kto może łązić dookoła posesji przez dziewięć pieprzonych godzin w deszczową noc? – ręka Any wskazuje faceta, który dźwiga paczki, omijając kałużę. Operator zrobił już

tak bliski najazd, że widać zakola na czole kierowcy pikapa. – Kto to, do cholery, jest? Pablo Escobar? Czy jakiś burak na wynajem? Gdzie jest nasz Adnan? Dlaczego tu nikogo ważnego nie ma?! To jest podpucha, falsche Spur.

– Nie ma Adnana, ale towar jest – Jonas zwraca się do Georga. – Każ siódemce przyspieszyć.

Kolumna przejeżdża właśnie przez most nad kanałem Teltow. Gdy polecenie dociera, kierowcy dodają gazu i furgonetki szybko nikną w tunelu. Ci w Waßmannsdorf – przeciwnie – załadowują granatowego pikapa tak powoli i bez nerwów, jakby przerzucali kartony z makaronem. Dopiero po dziesięciu minutach naciągają brezent na pakę. Załadowany mercedes rusza pierwszy, ford za nim. Dron nad samochodami. Ochrona zamyka bramę.

– Nie było przekazania pieniędzy.

– Siódemka, trzymamy się planu.

Axelbrodt i jego ludzie już wynurzyli się z tunelu przed Schönefeld. Od forda i mercedesa dzieli ich półtora kilometra. Kontakt nastąpi na drodze numer dziewięćdziesiąt sześć. Odcinek między zwirownią a magazynami Dachsera – z jednej strony bariera, rów i pole, z drugiej nasyp i tory. Pusto, żadnego ruchu. Chłopcy z Verkehrspolizei zrobili swoje.

Niecała minuta do kontaktu.

Obrazy z obu dronów zaczynają się nakładać. Dwadzieścia sekund. Dziesięć. Pięć. Pierwsza furgonetka mija się z mercedesem, druga już zwalnia, trzecia hamuje, czwarty policyjny wóz staje w poprzek drogi. Kierowca mercedesa reaguje błyskawicznie: dodaje gazu – z góry widać czarny obłok spalin – i taranuje przydrożną bandę. Gdyby miał większy impet, może udałoby mu się pokonać także i rów. Ale go nie miał.

Pikap nie może zawrócić. Odbija w lewo. Wali między drugi i trzeci furgon komanda. W sali operacyjnej nie słychać zgrzytu rwanej blachy – ale snop iskier trudno przeoczyć. Specjalsi Axelbrodta już się wysypali z samochodów, na lewym ekranie zamiast widoku z kamery drona widać teraz skaczący obraz z hełmu dowódcy. Pojawia się i dźwięk. Krzyki, śniadoliccy mężczyźni na kolanach, kajdanki w ruchu. Przekleństwa. Kamera na forda. Brezent z paki na bok, długi nóż w paczce heroiny, obraz znika, potem przez chwilę widać tylko zachmurzone niebo. Trzaski na łączach.

Głosy wśród trzasków:

– Sprawdź drugą.

– *Schwindel! Meine Fresse!*

– Nie rzucaj tego!

– Sprawdź!

Nadal bardzo zły obraz. Axelbrodt musiał zdjąć hełm. Niebo i ziemia na monitorze wirują.

– *Fake!* To samo gówno.

Cały ekran zajmuje teraz twarz Norberta Axelbrodta. Zbliża usta do kamery. Obiektyw zachodzi parą.

– Przejęliśmy bez strat jakieś czterysta kilogramów ziemi do kwiatów.

* * *

Ramię z nożem zatacza w półmroku ciasny łuk. Cios jest niesygnalizowany i perfidny – w szyję. Ana robi półobrót, schodzi z linii ataku. Jednocześnie schyla się i podbija nadgarstkiem łokieć napastnika. Kopie go w piszczel. Mężczyzna chwieje się, ale utrzymuje na nogach. Jednak zanim udaje mu się powtórzyć cios, Ana skacze na niego. Powala na ziemię. W parterze przygniata kolanem przedramię. Chwyta dłoń napastnika. Wykręca do wewnątrz i odgina w swoją stronę. Jeszcze mocniej. Wydaje się jej, że słyszy trzeszczące stawy.

– Zwariowałaś! – krzyczy mężczyzna. Ana odpuszcza.

– Przepraszam.

Krótkie buczenie, a potem rozbłysk halogenów nad ringiem. Policjantka mruży oczy.

– Rozumiem, że chciałaś odreagować, ale to nie powód, żeby ze sparingpartnera zrobić kalekę. – Jonas Gruber nadal ma na sobie koszulę ze sztywnym kołnierzykiem, ale krawata i marynarki się pozbył. Rękawy podwinął. Zamiast odbierać pochwały w ministerstwie, wisiał ostatnią godzinę na telefonie. Zamiennie kajał się i przeklinał.

– Ostrzegałam cię, że będzie wtopa.

– To już nie ma znaczenia.

– Gdybyś mi pozwolił wyjść z za biurka... – Ana bez skrępowania ściąga bawełnianą koszulkę. Zostaje w ciasnych spodniach od dresu i sportowym biustonoszu. Ramiona okrywa ręcznikiem. Ściąga gumkę frotkę. Kosmyk jasnych włosów przykleja jej się do spoconego policzka.

– Niczego by to nie zmieniło.

– Mam dosyć bycia białkowym interfejsem! Zasłużyłam na to, by samodzielnie...

– Pogadamy o tym innym razem. Dziś raczej wszyscy zasłużyliśmy na urlop – znaczące spojrzenie, którym Gruber częstuje sparingpartnera Any, sprawia, że młody policjant natychmiast znika w szatni. Zatrząskuje za sobą drzwi.

– Nasz Adnan urwał się grupie i zniknął z eteru – ciągnie Gruber. – Dokładnie wtedy, gdy wjechaliśmy...

– Więc miałam rację. Gdybyś zaczekał, dopadlibyśmy następny transport. Prawdziwy.

– Teraz to nie ma znaczenia. *Oberrat* szuka już kozła ofiarnego i gwarantuję ci, że go znajdzie.

Ana próbuje złapać spojrzenie Grubera, ale on unika jej wzroku.

– Jesteś pierwsza na linii strzału. Nie sądzę, żebym był w stanie cię ochronić.

– Czy to znaczy... – Ana podchodzi do Grubera i w końcu ich spojrzenia krzyżują się.

– Nadal chcesz jechać do Wrocławia?

Ana milczy.

– Chcesz czy nie?

– Chcę.

– *Also...* Więc załatwione. Zadzwoń mi półprywatnie do sufragana Berlina. On powiadomi kogo trzeba, żeby cię dobrze przyjęli. Wyjedziesz pojutrze, znikniesz z radaru do czasu, aż *Oberrat* i dyrektor o tobie zapomną. A my spróbujemy naprawić, co się da. Nie patrz tak, poradzimy sobie bez ciebie. Tylko...

– ...tylko co?

– Potraktuj, proszę, sprawę zawodowo. Jasne? Twoja przeszłość to zamknięta sprawa. Nie grzebie się kijem w zaschniętym szambie, bo znów będzie śmierdziało.

– Chcesz mnie obrazić, Jonas?

– Chcę ci tylko powiedzieć tyle, że najgorsze, co mogłabyś teraz zrobić, to wracać... Sama zresztą wiesz, ile nas kosztowało, żeby nikt już nie pytał o tamte sprawy. Więc po prostu postaraj się tego nie spieprzyć.

* * *

Przez uchylone okno z widokiem na U-Bahn Hallesches Tor wpada zapach przypalonej pizzy. Ana nawet go nie wyczuwa. Zbyt jest zajęta opróżnianiem szafy i ładowaniem zawartości do dwóch rozłożonych na łóżku waliz.

Zgarnia z półki stertę T-shirtów i układa obok upchniętych byle jak džinsów. Podnosi wzrok na wiszącą nad łóżkiem starą fotografię w nowej antyramie. Sielanka w wyblakłych

kolorach ORWO: uśmiechnięty mężczyzna w marynarce z kłapami wielkości żagli, młoda kobieta w sukience z Kaufhalle przy Alexanderplatz, między nimi czteroletnia na oko dziewczynka oparta o plastikowe drzwi wartburga zaparkowanego tuż przed wejściem do bloku z wielkiej płyty.

Zdejmuje zdjęcie ze ściany. Waży je w dłoniach, jakby chciała sprawdzić ciężar swojego dzieciństwa. Nie pamięta, kiedy zostało zrobione. Te lepsze wspomnienia z dwupokojowego mieszkania na trzecim piętrze znikły krótko po tym, gdy zniknęli jej rodzice. Teraz pamięta głównie ciężką ciszę przy stole, nerwowe rozmowy za gipsową ścianką, trzaskające drzwi i płacz matki.

Wciska fotografię między T-shirty. Zamyka klapę walizy i ciągnie za suwak. Za mocno. Zawleczka zostaje jej w palcach.

– *Scheiße!*

Wzbogaciłaby wiązaną przekleństw, ale nie pozwala jej gwałtowne stukanie do drzwi. Trzy razy szybko, dwa razy wolno. Georg. Wrócił dwa dni po ostatniej kłótni. Nie ma klucza do jej mieszkania. Żaden z partnerów Any go nie miał.

– Wchodź – ona otwiera drzwi i cofa się bez uśmiechu w głąb przedpokoju.

Chociaż wrześnie popołudnie jest słoneczne – za oknem, na Mehringplatz, młodzi ludzie chodzą jeszcze w krótkich gatkach i kłapkach – jej chłopak ma na sobie džinsy i do połowy zapiętą kurtkę przeciwdeszczową. W ręku kask.

– Co jest grane? – pyta. – Wyjeżdżasz gdzieś?

– Widzisz przecież – ona już jest w pokoju. – Pakuję się.

– Ale dokąd?

– Nie pytaj. Decyzja Jonasa. Nagła sprawa. Wyjeżdżam zaraz.

– Dokąd?

Milczenie. Ana zasuwa zamek mniejszej walizki. Georg podchodzi bardzo blisko, lecz jej nie dotyka.

– Czemu się wściekasz? Przecież tamto, ta wtopa... to nie moja wina. Twoja też nie. A zresztą... *Scheiß drauf!* To jest tylko praca, a my... – dłoń Georga kroi powietrze. – Muszą być jakieś granice.

– Jakie granice? – Ana robi dwa kroki w tył, zamyka okno i zgarnia z parapetu torbę listonoszkę, pęk kluczy i token na łańcuszku, który wiesza na szyi. – Jeśli chcesz zamykać za sobą drzwi o szesnastej i nie myśleć o pracy, zatrudnij się na poczcie!

Georg próbuje zamknąć jej usta pocałunkiem, ale Ana pcha go na walizki. On od razu odzyskuje równowagę, robi groźną minę, klepie dłonią we własną skroń, choć ma wielką ochotę klepnąć Anę.

– Odbiło ci? Jeśli masz mnie dość, nie musisz uciekać. Wystarczy powiedzieć.

Ona przygląda mu się, jakby nie do końca zrozumiała sens jego słów.

– Głupek – uśmiecha się w końcu. Staje na palcach i całuje chłopaka w ucho. – Pomożesz mi z bagażami czy będziesz tak sterczał do mojego powrotu?

Jonas nie rusza się z miejsca.

– Dobra. Poradzę sobie.

– Przecież tak wolisz. Sama.

Rozdział 2.

Wrocław

Intensywnie purpurowa szminka powoli wysuwa się z oprawki. Męska dłoń ostrożnie maluje małe usta.

Dziewczynka ma rude włosy i piegi, które równomiernie obsiadły jej twarz. Ma osiem, może dziewięć lat i przerażenie w oczach. Drżą jej powieki i bose stopy. Pomalowane na cynober paznokcie u stóp jeszcze schną. Siedzi sztywno na taborecie pośrodku pokoju z resztkami oliwkowej lamperii obłazącymi ze ścian. Kiedyś była tu szwalnia. Ale po maszynach zostały tylko połamane stoliki.

Na jednym z nich przysiadł szczupły blondyn o ostrym nosie i głęboko osadzonych stalowych oczach. Pochyliła się nad dziewczynką. Trudno ocenić, ile ma lat. Jest upudrowany, usta pociągnął błyszczącym, ogolił dziś rano pachy i genitalia. Teraz ma na sobie tylko szary szlafrok, klapki i czarne gumowe rękawiczki.

– Wiła wianki... – nuci pod nosem.

Jeszcze jedno pociągnięcie szminki. Prawie gotowe. Trzeba tylko zetrzeć nadmiar czerwieni, która wylała się na lewy policzek. Mężczyzna łagodnie uśmiecha się do dziecka.

– Wiła wianki i wrzucała je do wody... – śpiewa i wrywa z saszetki wilgotną chusteczkę.

Przez chwilę wydaje mu się, że słyszy za drzwiami jakiś dźwięk. Milknie na chwilę.

Nie, tylko mu się wydawało.

Albo nie wydawało.

* * *

Za metalowymi, pokrytymi złuszczoną farbą drzwiami, na ciemnej klatce schodowej, czai się sześciu mężczyzn. Pięciu – w jednakowo czarnych polowych mundurach, w hełmach i okularach balistycznych – to chłopcy na schwał. Grube szyje, osłonięte rękawicami wielkie dłonie, w których trzymają glauberyty, a jeden – taran do wyważania drzwi.

Szósty mężczyzna jest niższy, wręcz drobny. Wciąż młodzieńcza, choć pobrużdżona

twarz. Szatyn z początkami siwizny na skroniach. Nie ma na sobie munduru, tylko czarną kurtkę z kołnierzem, pod nią ciemną bluzę, džinsy i sznurowane trekkingowe buty. Jego ruchy są czujne, gdy cała grupa posuwa się ostrożnie wzdłuż obdrapanych ścian. Pierwszy, który dociera do metalowych drzwi, klęka na jedno kolano. Wsuwa w szparę nad progiem wizjer na sztywnym kablu. Ten w džinsach pochyla się nad ekranem. Ruch światłowodu, zielonkawy obraz powoli się przesuwa. Dotknięcie monitora – zbliżenie. Za progiem i szerokim korytarzem, za czymś, co może być wypełnionym lalkami koszem na zakupy, za niską stalową komodą – stoi zgarbiony blondyn w szlafroku i podłączoną do gniazdka lokówką układa rude włosy dziewczynki. Równie dobrze może być to prostownica. Ale oglądający mają to w dupie – wystarczy, że urządzenie jest gorące, pod napięciem i skurwiel trzyma je przy twarzy dziecka.

– Wiła wianki i wrzucała je do falującej wody... wiła wianki i wrzucała je... i przyszedł do niej rycerzyk młody... rycerzyk młody – nucenie przechodzi w cichy śpiew. Blondyn właśnie wchodzi w fazę plateau. Ostatnie przygotowania są dla niego piękniejsze od samego aktu. Szczególnie kiedy warunki pozwalają na to, aby wszystko przeciągać w nieskończoność. Tak jak teraz. Jeszcze jeden kosmyk miedzianych włosów. W oczach ośmiolatki – łzy. Dotyka ich językiem. Są gorzkie i trochę kwaśne. Ta kwaśna nuta to strach. Strach zmienia wszystko: smak skóry, woń potu, nawet konsystencję płynów ciała. Wywołuje galopadę serca, duszność, ból jak po niespodziewanym ciosie w mostek, zawroty głowy, dreszcze i mdłości. Skleja organy zimną galaretą. Niewysoki mężczyzna w kurtce, który ogląda scenę na ekranie wizjera, wie to z autopsji.

* * *

Drzwi są zbyt mocne nawet dla tarana. Trzeba założyć ładunki. Kiedy pirotechnik kończy, reszta facetów upchniętych na klatce odsuwa się od drzwi.

Trzy, dwa, jeden!

Równoczesne eksplozje rozrywają stalową futrynę. Stalowe skrzydło wpada do środka, krzesząc iskry na betonowej posadzce.

– Gleba, kurwa! Gleba!

Antyterrorysty rozpełzają się w kłębach dymu poprzecinanego przez błyski latarek.

Koniec podniecających planów, koniec pieśni o wiankach, rycerzyk młody łapie dziecko wpół.

Obchodzą go z trzech stron, celują w jego stronę, krzyczą. Osaczony przyciska

dziewczynkę do siebie. Przykłada lokówkę do wilgotnej szyi. Robi dwa kroki w tył – opiera plecy o odarty z tynku filar.

– Postaw dziecko na ziemi! – drżąca czerwona plamka z kolimatorowego celownika kładzie się na ustach blondyna. On podciąga w górę dziewczynkę i chowa twarz za jej głową. Przez moment światło błyska na czole dziecka – i gaśnie.

– Odsuń się! Postaw dziecko na ziemi!

– Postaw dziecko na ziemi!

– Na ziemi!

Policjanci wrzeszczą jeden przez drugiego. Dziewczynka piszczy. Blondyn coś szeptem jej do ucha. Zbliża lokówkę do policzka. Jeszcze bliżej...

Strzał pada z końca zaczadzonej sali, zza pleców ludzi w hełmach, z kłębow poderwanego w ciemności kurzu.

Komisarz Waldemar Warski wynurza się z cienia. Głowa pochylona, nieco przekrzywiona w prawo, ramiona wyciągnięte, zgięte łokcie. Wciąż trzyma glocka na wysokości oczu. Od postrzelonego blondyna, który mimo czarnej dziury tuż nad lewą brwią wciąż stoi na obu nogach, dzieli go już tylko nadłamaný stół. Policjanci łapią dziewczynkę.

Lokówka upada na podłogę.

Warski podchodzi do nieboszczyka tak blisko, że widzi grudki pudru, który tamten położył sobie na twarz. Chwilę trzyma lufę na jego czole, tuż obok rany wlotowej, z której dopiero teraz zaczyna sączyć się brunatna krew. Ma ochotę zrobić drugą dziurę. Ale jeden z funkcjonariuszy w czerni kładzie mu rękę na ramieniu.

– Nie trzeba, panie komisarzu.

Gdy oficer odwraca głowę, wielki natychmiast cofa swoje ramię. W szarych oczach Warskiego dostrzega coś, czego nie chce widzieć.

Martwy blondyn osuwa się na posadzkę i przewraca na bok.

* * *

Pół godziny później komisarz wsiada sam do granatowego saaba, który już ledwo pamięta lata swej świetności. Wciąż drżą mu dłonie. Nie potrafi też zapanować nad rozdygotaną powieką. Ze schowka w podłokietniku wyciąga srebrny termos. Wciska guzik na wklęsłym wieczku. Pije łąpczywie. Przerywa mu dopiero stukanie w szybę.

Warski krztusi się. Płyn pryska na spodnie. Ma ochotę posłać intruzowi wiązanke. Ale na widok niezdrowo opuchniętej twarzy za oknem tę ochotę traci. Temu facetowi akt zgonu

wystawią jeszcze przed pięćdziesiątką. A szkoda. Bo Jacek Hryniewicz to w gruncie rzeczy porządny chłop.

Jest dziennikarzem tutejszej „Wyborczej” i prezentuje się równie niewyjściowo jak dwudziestoletni fiat siena, którym przyjechał. Sztruksowa marynarka w kolorze zleżącego ziemniaka, sprana arafatka na szyi, popielata cera. Woń czterdziestu wypalonych od rana fajek wdziera się do samochodu, gdy tylko Warski uchyla okno.

– Widzę, że ma pan wolną chwilę – redaktor chrypi jak świętej pamięci Jan Himilbach.

– A pan co tu robi?

– Podziwiam spektakularne zakończenie śledztwa w sprawie łowcy dzieci.

– Kto ci nadał, że to tutaj? – gliniarz chowa termos, zamyka schowek, palcami lewej ręki zaczyna bębnić po kierownicy.

– Paaanie komisarzu. Przecież pan mi nawet nie powinien takich pytań zadawać. Ochrona źródła rzecz święta.

– Tajemnica służbowa rzecz święta.

– Ale ja o nic pana nie zamierzam pytać. Już wszystko wiem. Dziura w czole, tradycja... Ja z tym problemu nie mam, jak dla mnie – chuj zwyrolowi na grób. Info już pchnąłem do sieci. Przychodzę w innej sprawie.

– Najpierw śpiewaj, kto ci daje cynki? Ktoś od nas czy...

– Chcę pisać o panu, a nie o łowcy.

– O mnie? A po co?

– Woli pan czytać o sobie „kowboj”, „pogromca” i te inne bzdury czy coś poważniejszego? Pański przypadek to temat na duże story.

– Moje życie to nie jest żaden temat, Jacek.

* * *

Na pierwszym piętrze rozpartego na rogu Podwala i Muzealnej ciężkiego gmachu komendy wojewódzkiej policji – w pokojach od sto piętnaście do sto dwadzieścia jeden – od rana panuje atmosfera jak po wygranym meczu Śląska Wrocław. Koledzy Waldemara Warskiego – na co dzień mrukliwa zgraja gburów i cyników ze skłonnością do nadużywania wszystkiego, co się da – tym razem mogliby zagrać w reklamie banku albo sieci komórek z abonamentem lub bez. Szerokie uśmiechy na ustach, eksplozje entuzjazmu, przybijanie piątek. Brakuje tylko kieliszków z szampanem. Ale wypitka jeszcze się zdarzy: wszyscy zainteresowani już wiedzą, co Warski odstawił w starej szwalni. Wiedzą też, o

której i gdzie godziną hałasu zostanie zbezczeszczona pamięć skurwysyna, którego posłał do piekła. Tylko inspektor Andrzej Konarski, ich szef, nie zna ani adresu, ani godziny. Domyśla się, że pójdą na ubaw bez niego – co go wkurwia i zmusza do zdjęcia munduru oraz poluzowania krawata.

– To się robi jakaś pieprzona seria, kapujesz? – syczy, gdy Warski zamyka drzwi jego gabinetu. Wszystko jest tu powycierane, brzydkie i nie od kompletu. Z wyjątkiem pięknego widoku na fosę i dachy Starego Miasta. – Ciebie to może bawi?

– Tam było dziecko. Jego życie było bezpośrednio zagrożone... – komisarz prostuje kolejne palce – ...artykuł siedemnasty.

– Ty mnie nie będziesz uczył regulaminu, Waldek! I nie mnie będziesz się tłumaczył – „Konar” sapie, kiedy unosi siedzenie z obrotowego fotela. Przez wpółotwarte okno słychać jadącą na sygnale karetkę pogotowia. – To nie będzie jakaś rutynowa dyscyplinarka, tylko postępowanie wyjaśniające. On nie był uzbrojony.

– Miał...

– Lokówkę? Jaja sobie robisz? Ubiłeś go, zanim prokurator zrobił z niego podejrzanego, więc nie licz, że wszystko samo przyschnie...

Wygląda żałośnie ten stary pierdziel, który się boi, że podwładny ze skłonnością do strzelania podpłuje mu krzesło. Dlatego Warski unika spojrzenia szefa, gdy zaczyna gestykulować.

Szkoda go. Był naprawdę niezłym gliną, zanim przyspawali mu fotel do dupy. Pięćdziesiątka stuknęła mu dawno, swoje wypił, o czym zaświadcza każdy skrawek jego skóry. Pod oczami już nawet nie worki, ale kowalskie miechy. Dawno minęły czasy, kiedy obracał na służbowej kanapie stażystki, młode funkcjonariuszki i pewną panią prokurator. Było, minęło... wszystko oprócz kanapy.

– Jeśli zaczną wyciągać twoją historię, powiążą tę dziewczynkę ze... Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

Warski robi gwałtownie w tył zwrot. Rusza w stronę drzwi.

– Ja nie skończyłem z tobą! Wracaj!

Obite wołową skórą drzwi na szczęście nie trzaskają zbyt głośno. Jeszcze tego brakowało, żeby na całym piętrze dawnego prezydium Kriminalpolizei miasta Breslau słyszeli, w jaki sposób podwładny żegna się z pierwszym zastępcą komendanta dolnośląskiej policji.

– Twoja kula zniszczyła mu układ limbiczny. Nawet gdyby przeżył, nigdy by się już nie zakochał.

– Myślisz, że mógł kochać ośmiolatkę?

– Jestem patologiem, a nie filozofem, ale chyba musielibyśmy zdefiniować na nowo słowo „miłość”. Tylko że ty miałbyś z tym kłopot – w migdałowych jasnych oczach Magdaleny Batorzyńskiej jest coś, co każe Warskiemu zrobić pół kroku w tył. I odwrócić spojrzenie od platynowych loków, jasnej karnacji, długiej szyi. Jego wzrok ląduje na sino-bladej twarzy zaszytego przed godziną trupa.

– Jeżeli połączenie pociągu seksualnego z uczuciami bliskimi opiekuńczości nazwiemy miłością... – pani patolog podchodzi do cofającego się Warskiego tak blisko, że znów może poczuć zapach kardamonu i limonki. Bright Crystal. Jej ulubione perfumy. Jeszcze całkiem niedawno różowy flakon z korkiem jak przerośnięty diament stał na półce w jego łazience.

– ...To może i ją kochał.

– Słowne gierki. On by zabił zaraz po wszystkim. Wcześniej już tak robił. Przynajmniej dwa razy.

Lekarka obserwuje policjanta. Widzi zmarszczki, niestarannie zgolony zarost na zapadniętych policzkach i cofniętej brodzie, czuje przywleczoną z komendy woń papierosowego dymu.

– Ja go nie usprawiedliwiam, tylko próbuję zrozumieć, co się dzieje w mózgu psychopaty. Tobie też by nie zaszkodziło.

– I cóż odkryłaś?

Magdalena Batorzyńska nauczyła się ignorować ironiczne uwagi Warskiego, podobnie jak jego wielogodzinne seanse milczenia, nagłe eksplozje złości i gwałtowne przebudzenia w środku nocy. Tylko że to wciąż było za mało. Musiałaby się jeszcze nauczyć życia z człowiekiem, od którego co jakiś czas oddzielała ją pancerna szyba. Szyba zapadająca nagle, pozornie bez przyczyny.

– Myślę, że on chciał się z tą małą fizycznie zjednoczyć.

– Jasne.

– Chyba nie rozumiesz. Seks z małoletnimi to jedynie sposób, żeby samemu stać się znowu dzieckiem. Dlatego się wydepilował i umalował. Zrobił sobie nawet lewatywę. Chciał być czysty. Niewinny. Jak jego ofiara. Z jego punktu widzenia zabójstwo to tylko

niechciana, lecz nieunikniona konsekwencja.

– Czego?

– Jego sytuacji, że tak powiem, prawnej. I oczywiście że nie da się cofnąć tego, co zrobił. Podobnie jak twojej kuli. I wypowiedzianych słów.

Patolożka niemal ociera się o policjanta, lecz w jej bladoniebieskich oczach nie ma żadnych „uczuć bliskich opiekuńczości”. Przeciwnie: zapalają się zimne ognie, które Warski słusznie odbiera jako sygnały alarmowe.

– Kiedyś mózgi zwyrodnialców preparowano do badań... – zmiana tematu i jednocześnie okrażenie stołu z nieboszczykiem wydaje się teraz komisarzowi jedynym rozsądnym posunięciem. Nie będzie flirtu, nie będzie powtórki.

– Nadal się to niekiedy robi... – Magdalena zmienia ton na profesjonalny, co może oznaczać gotowość do rozejmu. Albo przyczajenie się przed atakiem. – Powstają wciąż nowe teorie. Dwaj panowie z Los Angeles doszli do wniosku, że mózg psychopaty działa podobnie jak mózg epileptyka. Z kolei pewien neurobiolog z Uniwersytetu Kalifornijskiego utrzymuje, że przyczyną dewiacji jest hormon wydzielany przez ciało migdałowate...

– A o tym skurwielu co mi możesz powiedzieć? – policjant przygląda się dziurze w wypukłym czole leżącego.

– Na razie nic ciekawego. Dopiero wyjęłam podroby. Wstępny raport będzie gotowy za tydzień, najwcześniej. Mam mnóstwo innych zajęć.

Zabolało. Jednak.

– Gratuluję – Warski przeciska słowa przez zęby. – Zawsze byłeś bardzo, że tak powiem, aktywna. Ale nie ma sprawy, mnie też się nie spieszy. Też mam co robić.

Odwraca się i wychodzi bez pożegnania. Doktor Batorzyńska uśmiecha się do zamykanych drzwi. Potem nakłada rękawiczki i okulary. Przechodzi do przeszklonego dygestorium, gdzie w niklowanych kuwetach spoczywają trzewia pedofila.

* * *

– Nooo, Warski, wreszcie! – na widok wchodzącego do sali komisarza inspektor Konarski wali otwartą dłonią w przykryty popielatym suknem blat. Za mocno. Jego własna czapka podskakuje na stole, jakby miała czkawkę, a jedna z plastikowych butelek z mineralną bez gazu przewraca się i stacza na podłogę. Nikt się po nią nie schyla. Troje pozostałych członków komisji dyscyplinarnej siedzi sztywno w plastikowych krzesłach.

– Pan się spóźnił, komisarzu, czekamy na pana od siedmiu minut.

Barbara Jachranicka zwana Bachą jest młodsza od Warskiego, ale dosłużyła się już podinspektora i naczelnika wewnętrzniaków. Ma szczerzą twarz z wymalowaną na niej służbową obojętnością, ufarbowane na burgund włosy spięte w koński ogon i piersi spoza skali, które rozpychają się pod mundurem. – Spotkaliśmy się tutaj, aby ocenić...

– Aby porozmawiać... – „Konar” ma ochotę na szybki finał, więc rozkłada dłonie dobrotliwym gestem proboszcza, który ma do powiedzenia już tylko tyle, że ofiara spełniona.

– ...aby ocenić zasadność kroków, które zostały podjęte podczas nieudanej próby zatrzymania podejrzanego... – podinspektorka nie pozwala sobie przerwać.

– Wolałbym, żebyśmy mówili o udanej akcji odbicia małoletniej... – próbuje prostować Konarski. Bez skutku.

Warski odkaśtuje.

– Może przynieść panu sopluchę? – Jachranicka wyciąga pod stołem masywne kończyny.

Komisarz prycha.

– Może najpierw wyjaśni nam pan, dlaczego nie zaczekaliście na negocjatora?

– Nie było czasu.

– Dlaczego nie użyto innych środków?

– Nie było czasu.

– To jednoznacznie wynika z raportu. Chyba nie zaprzeczamy? – trzeba „Konarowi” przyznać, że przynajmniej się stara. Ale żoźza, choć młodsza stopniem, ignoruje zastępcę komendanta – nawet mu nie odpowiada. Rozsznurowuje teczkę o pozaginanych rogach. Grubą i już słynną w jej dziale teczkę Warskiego.

– Rozumiem, że strzelał pan, aby zabić. Tak jak przed miesiącem... – podinspektorka ślini palec i kartkuje zawartość teczki – ...i przed sześcioma miesiącami – stuka palcem w stronę z raportem.

Warski pociera czoło rozłożonymi palcami.

– Nie dostrzegł pan innych możliwości zakończenia akcji?

– A pani jakież dostrzega? Bo ja w tamtym momencie widziałem i nadal widzę jedno rozwiązanie – przesłuchiwany próbuje przejąć inicjatywę. Konarski już otwiera usta, żeby przerwać, ale spojrzenie komisarza natychmiast zatrząskuje mu szczękę.

„Nie potrzebuję twojego łaskawego wsparcia” – komunikuje Warski bez słowa.

„Nie bądź taki kozak. Chyba że chcesz, żeby cię Bacha zjadła” – odpowiada Konarski, również bez użycia słów.

– A gównu byś sobie beze mnie poradził – dziesięć minut później obaj stoją naprzeciw siebie w gabinecie z widokiem na fosę i czerwone dachy. – Jachranicka wciąż chce cię upierdolić po całości. A w tym budynku są tylko dwie osoby, które mogą ją powstrzymać. „Stary” i ja. Nikt więcej.

– Tylko że ona ma ciebie głęboko w dupie.

– Nie pierdol. I zapamiętaj sobie, że czasy kozakowania minęły. Mundur to nie panterka. Teraz jesteś funkcjonariuszem państwa prawa. Czyli jesteś zwyczajnym łapsem... i to już niemłodym. Spróbuj w końcu zapamiętać... – palec wskazujący Konarskiego wędruje w górę – ...że w mojej komendzie nie ma miejsca dla kozaków. Zadaniem moich ludzi jest, po pierwsze, glansowanie wizerunków swoich szefów, a po drugie i trzecie, to samo.

– Wszyscy dostali, co chcieli.

– Ale nie tak, jak chcieli. Miałeś być grzeczny, nie spóźniać się, nie chrząkać i nie parskać jak koń. Szczególnie przy Jachranickiej. Się umówiliśmy – nie?! Teraz ładnie posprzątasz ten bardak, odwalisz biurową robotę i skierujesz akta do archiwum. A potem zgłosisz się do psychologa, tak jak ci kazali.

– Nie mam zamiaru.

– Mam w dupie twoje zamiary. Swoją drogą źle ci to nie robi. Już dawno powinieneś skorzystać. Możesz odmaszerować lub spierdalać, jak wolisz.

* * *

W mieszkaniu przy Świdnickiej – pełnym nierozpakowanych kartonów i niedopasowanych do siebie starych mebli – pali się tylko jedna, stojąca lampa. Słyszczyć przejeżdżający tramwaj i szuranie krzeseł piętro wyżej. Sąsiedzi z trzeciego mają gości. Pół godziny temu na klatce schodowej Warski minął rozbawione towarzystwo. Panie wspinały się po stopniach z kwiatami w folii i sałatkami w plastikowych miskach. Panowie nieśli flaszki w reklamówkach z dyskontu. Komisarz niósł tylko swój termos.

Teraz przegląda winyle, jedyny uporządkowany wycinek swojego życia. Od A jak Allman Brothers do Z jak Zappa. Jazz, blues, rock and roll... Pół tysiąca płyt. Przeszło trzydzieści lat myszkowania po muzycznych sklepach i antykwariatach. Zaczął jeszcze w podstawówce – od reedycji klasyki rocka z Jugotonu.

Wybiera płytę, którą kupił jako ostatnią. Album brytyjskiego bluesowego bandu

Miraculous Mule ukazał się w 2013 roku. Na okładce pięciu facetów w ekstazie kładzie dłonie na głowie klęczącej blondynki.

Policjant ostrożnie przeciera lśniąca powierzchnię płyty kawałkiem weluru. Kładzie na talerzu zabytkowego soundmastera. Spuszcza igłę, podtrzymując głowicę opuszkami kciuka. Wraca na wytartą wersalkę, rozpiną szarą koszulę i próbuje słuchać, pociągając z termosu.

– *...I've never, I've never been satisfied...* – skanduje wokalista. W wersji Warskiego tekst brzmiałby raczej *I've been once. It seems to me that it was long time ago, even if it was like yesterday. But I failed, I failed, I failed.*

Nie wie, dlaczego wybrał tę płytę. A właściwie wie, tylko nie chce się przed sobą przyznać, że odpowiada mu ten stan nieustannego dygotu, w który go wprawia „Deep Fried”. Wbrew radom wykrzykiwanym przez Konarskiego i wyszeptywanym przez kobiety wcale nie chce się uspokoić. Nie chce, żeby w jego głowie zgasł pożar. Chce być wściekły. Chce pamiętać, co mu się stało.

Zgrzytliwy głos wokalisty i rytmiczne werble mieszają się z hałasami imprezy nad sufitem. Warski zaciska źrenice, próbując wytłumić ich drżenie. Bez skutku. To nieomylna oznaka, że zbliża się eksplozja. Mógłby zacząć odliczać. Osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa... Wdech-wydech-wdech.

Dzwonek do drzwi.

Zrywa się z kanapy. Po drodze do przedpokoju chwyta ze stołu glocka. Wejście otwiera szarpnięciem. Przystawia lufę do niskiego czoła młodego faceta za progiem.

Jasna cholera.

Pizza.

Zamówił ją jeszcze w drodze z pracy i zapomniał. Szynka, salami, bekon, ser. Bez sosów.

– Przepraszam najmocniej – skonfundowany chowa pistolet za pasek. Cofa się do przedpokoju. Wraca po chwili i nerwowo odlicza banknoty z czarnego portfela, który Magda Batorzyńska podarowała mu na urodziny rok temu.

– Jestem policjantem... tu były ostatnio... włamania... – próbuje tłumaczyć blademu jak śmierć kurierowi. – Reszty nie trzeba.

Chłopak się waha: przyjąć pięćdziesiąt złotych czy spieprzać? Wybiera pierwsze rozwiązanie. Warski ma ochotę poklepać go na odchodnym po plecach.

– Jeszcze raz przepraszam.

Zamyka drzwi, wraca do pokoju, kładzie pudełko z pizzą na nierozpakowanym kartonie z książkami. Już nie jest głodny. Wyciąga z kąta sportową torbę, zapina koszulę, narzuca kurtkę. Głocka wtyka za pasek na plecach. Schodzi na parter. W połowie schodów zatrzymuje się. Zawraca pod drzwi. Sprawdza, czy je zamknął.

Zamknął.

Wyprowadza saaba z placu Kościuszki. Jedzie Świdnicką przez plac Teatralny, Dominikański i Powstańców Warszawy. Dalej most Grunwaldzki. Dwadzieścia minut później parkuje pod krytą pływalnią przy Stadionie Olimpijskim.

Z termosem w ręce wchodzi na szerokie stopnie wiodące do wyłożonego klinkierem wejścia. Rozgląda się. Pusto. Ostrożnie otwiera drzwi.

Rozdział 3.

Niedziela 18 września

Edith Kronenberg, półnaga, w ciemności, już nie drapie filcowego posłania. O nic nie prosi – splekane, skrwawione wargi i spieczone gardło uniemożliwiają wypowiedzenie choćby jednego słowa. Od kilkudziesięciu minut nikt nie razi jej prądem. To dlatego, że szeroko otwarte oczy pod czarnymi goglami – diabelską przeróbką ostatniej zabawki firmy Sony, która pozwala graczom wędrować po wirtualnych światach, odczytując kierunek z ruchów ich źrenic – bez oporu kierują się do celu. Wcześniej, kiedy próbowała zejść z wyznaczonej ścieżki, uciekając wzrokiem w bok albo w górę, przesywał ją prąd. Teraz już posłusznie idzie wirtualnymi schodami w górę. Stopnie są najpierw kamienne, potem drewniane, jeszcze później – stalowe.

Pochyla głowę, przechodzi przez jeszcze jedne drzwi i staje pod rozgwieżdżonym niebem.

Teraz najtrudniejszy moment. Wie, że jeśli nie będzie posłuszna, czeka ją kara. Więc robi to, czego chce od niej ktoś, kto ma moc zadawania jej bólu, który nie pozwala jej sformułować nawet najprostszej myśli. Ale już się nauczyła, jak go unikać. Dlatego to zrobi. A potem jeszcze raz, bo za chwilę wszystko zacznie się od nowa. Od ceglanego muru, drewnianych drzwi i klamki.

Ale nie tym razem.

Na blade ciało Edith – pokryte gęsią skórą i zaschniętym potem – pada promień światła. Ktoś z zewnątrz otwiera włącz do komory. Ktoś inny – z kamerą w dłoni – zagląda do środka.

Dziewczyna – choć powinna usłyszeć chrobot mechanizmu, poczuć zmianę ciśnienia, ruch powietrza – nie reaguje. Nie reaguje nawet po zdjęciu gogli. Jej rozwarłe oczy patrzą już tylko do wewnątrz.

* * *

Jeszcze za Legnicą Ana bez problemu słucha wiadomości Deutsche Welle. Emigranci, skutki Brexitu, zamieszki w Paryżu... Nic o policyjnej wpadce pod Berlinem. Kiedy dojeżdża do Wrocławia, w informacje wdziera się coraz więcej zgrzytów. Jest też ich

coraz więcej w jej myślach. Głównie w formie cytatów z Grubera:

„Twoja przeszłość to zamknięta sprawa”.

„Dużo nas kosztowało, żeby nikt już nie pytał”.

„Potraktuj tę sprawę profesjonalnie”.

„Spróbuj tego nie spieprzyć”.

To może mu obiecać. Ale nic więcej. Z każdym przejechanym po zatłoczonej autostradzie kilometrem rośnie w niej niepokój. Wie, że nie ma żadnego muru między jej przeszłością i jej dziś. Zwłaszcza tutaj, gdzie wszystko się zaczęło.

Przełącza radio na odtwarzacz CD, w którym tkwi płyta Maxa Richtera z przepisаныmi przez niego na nowo „Czterema porami roku”. Kiedy przychodzi „Zima”, widzi nad autostradą pierwszy napis informujący o zjeździe do centrum Wrocławia.

Nawigacja prowadzi ją na duży plac, którego nazwy nie jest w stanie odczytać, potem niespodziewanie wjeżdża na jakiś most. Musi zawrócić. Nakazy skrętu wyrzucają ją na skraj parku. Za nim dostrzega pokraczną, pstrokatą bryłę galerii handlowej z czerwonym napisem „Dominikańska”. Po dwóch minutach znajduje wjazd na piętrowy parking. Po kolejnych sześciu udaje się jej zaparkować między umorusaną skodą i wypucowanym audi. Parking jest darmowy. Świetnie. Całkiem zapomniała, że opuściła strefę euro.

Zapisuje w komórce numer miejsca i ciągnie za sobą mniejszą walizkę na kółkach. Większa zostaje w bagażniku. Kolejne dziesięć minut kluczy po korytarzach centrum handlowego, które niczym się nie różnią od tych w Berlinie czy w Manchesterze. Może tylko więcej mają tu punktów z e-papierosami, odżywkami dla pakerów i używanymi komórkami. I zapach jest inny. Mniej perfum, więcej ciasta drożdżowego.

Z ulgą wychodzi na zewnątrz – wprost na gotycki kościół z łukami przypór.

Ale to nie jest kościół, którego szuka.

Grzechocąc kółkami walizki na nierównościach chodnika, mija klasycznie niemiecki gmach w stylu fortecznym, po nim neokoryncki portyk betonowego pawilonu oznaczonego literami BWA, dalej secesyjną perłę architektury kamienicznej przechodzącą w szare boczysko upstrzone talerzami anten. Kakofonia kształtów niemal ją boli. Najpierw przychodzi jej do głowy używane czasem przez kolegów ojca sformułowanie *polnische Wirtschaft*. Potem myśli o serwowanych jej ukradkiem opowieściach śląskiej babci i obrazie, który się z nich wyłaniał w jej głowie. Przedwojenny Wrocław, Breslau, piąte miasto Niemiec, a może i trzecie – już nie pamięta. W każdym razie kraina dostojna i

dostatnia, szczyca się świetnymi kompozytorami i laureatami Nagród Nobla, zaludniona paniami w białych bluzkach z wysokim stanem, w ciemnych sukniach i z parasolkami. Obok nich po zaciemionych ulicach spacerowali solidni ojcowie i mężowie, odpowiedzialni mieszczanie, którzy podkreślali napomadowane wąsy, słuchając Wagnera na falach Schlesische Funkstunde – śląskiego radia. Potem lata, o których babcia nie chciała jej mówić, i wreszcie Armia Czerwona, nowi Mongołowie szturmujący *Festung*. Szef tutejszej komórki NSDAP, który kazał wyburzyć kawał miasta, by zbudować w centrum lotnisko, chociaż i tak wszystko było stracone. Masy ludzkie uciekające po śniegu na Drezno. Babcia ukrywająca tatę przed okrucieństwem żołdatów...

Myśli krążą coraz bliżej ludzi z fotografii, która została w większej walizce. Ale wtedy dostrzega swój cel.

* * *

Kościół, którego szukała, wyłania się nagle zza kamienicy na rogu ulic Łaciarskiej i Wita Stwosza. Strzelista bryła w rogu sporego placu z przyciętymi kuliście drzewami i niewielką fontanną.

Obchodzi kościół od wschodu, południa i zachodu. Setki tysięcy buraczkowych, wiśniowych, brunatnych cegieł. Solidne, ręcznie lepione i wypalane siedemset lat temu, spojone wapnem, w którym rozpuszczano zwłoki. Stara szkoła, jeszcze sprzed reformacji. Sterczyny i poczerniałe witraże. Formy doskonale znane z wycieczek po zabytkach Stralsundu, Lubeki i Tangermünde. Ciężkie, lecz w odpowiednich proporcjach.

Zatrzymuje się na ulicy Szewskiej, przed zamkniętą główną bramą świątyni. Zadziera głowę. Dostrzega dwie tępo zakończone zachodnie wieże połączone mniej więcej w czterech piątą wysokości mostkiem z drewna i stali.

Mostek Czarownic. Czytała, że pojawiały się na nim dusze ladacznicy, a matki zaciągały pod wieże swoje córki, żeby los upiórów był dla nich przestrożą. Strzeżcie cnoty albo na wieki wieków będzie was szarpał wiatr i chłostał deszcz.

Opuszcza wzrok i obchodzi gmach od północy. Mija niskie boczne wejście bez klamki, ślepy portyk, rząd przypór. Znów jest przed wschodnią elewacją. Między poczerniałymi ze starości epitafiami dawno pochowanych patrycjuszki widzi furtę zaopatrzoną w żeliwną kołatkę. Stuka cztery razy.

Echo, potem cisza.

Uderza w furtę jeszcze raz. Po chwili słyszy stłumiony chrobot za drzwiami.

Skrzypnięcie zawiasów.

Zakonnica, która jej otwiera, jest niewiele od niej starsza. A może młodsza, tylko grube okulary dodają jej lat. Siostrzyczka nie patrzy Anie w oczy.

– Dzień dohhhy... – Ana bardzo się stara przenieść swoje r z gardła na czubek języka, ale jeszcze jej nie wychodzi. Nie potrafi też sobie przypomnieć, jak to będzie po polsku *Grüß Gott*.

– Bóg chwalony – rzuca bez nadziei, że zostanie zrozumiana. – *Ich heiße* Ana Wittesch, ja z Berlina przyjechałam, ksiądz phoboszcz Witecki wie o mojej przyjeździe.

Kulawo to idzie. Ale wie, że potrzebuje tylko trochę czasu i praktyki, żeby przypomnieć sobie język, którym mówiła do niej ukochana *Großmutter*. Babcia.

– Tak, ksiądz wie – zakonnica odwraca głowę, jakby nie chciała oglądać Any dłużej niż to niezbędne. Cofa się w głąb kamiennego, zgrubnie obrzuconego tynkiem przedsionka. Jest zimniej niż na ulicy, do tego wilgotno. Mijają otwarte drzwi zabałaganionego biura z portretami dwóch papieży na ścianie – pewnie kancelaria parafialna. Potem długi korytarz skręca. Za drugim załomem wchodzi do dużego, wysokiego i jeszcze zimniejszego pomieszczenia z dwumetrowym krucyfiksem pod powałą. Surowe wnętrze pachnie grzybem. Przewodniczka w popielatym habicie przechodzi na ukos, otwiera pękiem kluczy wierzeje w rogu, zapala nagą żarówkę i wiedzie Anę po zakurzonych schodach w górę. Dwadzieścia cztery stopnie.

Kiedy docierają do wyłożonego deskami półpiętra, zza drewnianej ściany dochodzi chóralny śpiew.

– *Sit laus Deo Patri, summo Christo decus...*

Poznaje chorał. Końcówka antyfony „Ave Maris Stella”, podobno autorstwa samego świętego Bernarda, doktora Kościoła i księcia mistyków. Słyszała ją przed laty w katedrze w Spirze. Na festiwal muzyki sakralnej zabrał ją Hainar, najbardziej uduchowiony z jej kochanków.

– *Spiritui Sancto, Tribus honor unus. Aaaa... meee... eeen.*

Dziwny jest ten śpiew. Bardzo wysokie głosy. Ministranci? Co to za kraj, w którym nastoletni chłopcy śpiewają Bernarda z Clairvaux, zamiast słuchać Kings of Leon.

Kolejny korytarz i kolejne drzwi. Zakonnica w milczeniu przytrzymuje ręką kutą kanciastą kłamkę. Ana wnosi walizkę do wysoko sklepionej i zimnej jak psiarnia celi. Jedynym luksusem – bo za luksus trudno uznać wąskie łóżko, wypatroszone z szuflad

biurko, nocną lampkę i lustro – jest elektryczny kaloryfer. Co za ulga – jest także, jak było w umowie, router wi-fi.

Ana robi kilka kroków w stronę wąskiego, zwieńczonego ostrołukiem okna. Za przybrudzoną szybą w ołowianej ramie dostrzega iglice wież, karmazynowe i rdzawe dachy. Dalej – na horyzoncie – siwe bloki. Za nimi już tylko chmury zaróżowione promieniami zachodu. Cały dzień zszedł jej na drogę. Odwraca się, by podziękować zakonnicy, ale jej już nie ma.

Przez chwilę zastanawia się, czy trafiłaby samodzielnie do wyjścia. Chyba tak. Uspokojona kładzie walizkę na łóżku, otwiera ją, wyciąga laptop i stawia go na biurku. Włącza. Czeka, aż uruchomi się system, szuka gniazdka, do którego mogłaby wpiąć ładowarkę. Jest tylko jedno – w klaustrofobicznym, nieotynkowanym aneksie łazienkowym, który przywodzi na myśl dno wyschniętej studni. Trzeba będzie kupić przedłużacz z rozdzielnikiem i kilka innych biurowych gadżetów.

Teraz to będzie jej dom.

* * *

– *Miserere mei, Deus: secundum magnam misericordiam tuam...*

Ukrzyżowany Chrystus ma zbyt dużą głowę, nadmiernie rozdętą pierś i za krótkie, nienaturalnie cienkie nogi o stopach bardziej dziecięcych niż męskich. Nieznany czternastowieczny artysta, który wyrzeźbił tę figurę w lipowym drewnie, nie był jednak – jak mogłoby się wydawać – nieudolny. Zakłócił proporcje celowo. Jego dzieło miało być przecież oglądane z dołu.

I tak też się dzieje.

W wilgotnej, mrocznej sali pod krucyfiksem klęczy na obu kolanach wpatrzony w Zbawiciela szczupły, wymizerowany mężczyzna w marynarce barwy sadzy i ciemnych spodniach. Nie ma więcej niż trzydzieści pięć lat, ale już zdążył wyłysieć od czoła. Cała jego postać – jak i figura Jezusa – jest dziwnie niespójna. Złożone w modlitewnym geście drobne, gładkie dłonie mogłyby należeć do nastolatka. Alabastrowa twarz – przeorana zmęczeniem albo stresem – do kogoś o pokolenie starszego. Ale głos ma młodzieńczy, dźwięczny i piękny, kiedy po cichu śpiewa „Miserere”.

Śpiewać tak cicho – na granicy szeptu – to sztuka.

– *...Tunc acceptabis sacrificium justitiae, oblationes, et holocausta: tunc imponent super altare tuum vituuu...*

Ostatnie zgłoski, przeciągnięte i wysoko brzmiące, zdają się jeszcze wisieć pod sklepieniem, gdy blady brunet urywa, wstaje i wychodzi. Pół minuty później jest już w głównej nawie świątyni. Słabo oświetlony przez żółte witraże idzie zgarbiony, z oczami wbitymi w wyszlifowany granit posadzki. Oddycha płytko przez usta. Nie po raz pierwszy ma wrażenie, że pozłacani święci z ołtarzy bocznych kaplic odprowadzają go wzrokiem do wyjścia.

* * *

Środek Wrocławia i środek ostatniej nocy weekendu. Temperatura powyżej dziesięciu stopni, lekki wiatr z zachodu rozwiewa śmieci na Oławskiej, Szewskiej i Wita Stwosza. Coraz radsze grupki młodych krążą między knajpami. Nietrzeźwi i upaleni odchodzą na przystanki autobusowe i postoje taksówek. Ci kompletnie już spłukani idą piechotą na Grabiszynek i Kleczków. Wracają na stancje, do akademików, do bloków i do rodziców. Po nich centrum opuszczają ci, którzy nalewali im piwo i wódkę, a potem opróżniali popielniczki i zlewozmywaki. Jeszcze później wsiadają do srebrno-błękitnych furgonetek ostatnie patrole policji. Robi się pusto – i tak będzie, dopóki nie wyjdą do pracy komunalni śmieciarze.

Nikt już nie śpiewa, nie krzyczy, nie śmieje się. Cicho burczą generatory prądu, niewidocznymi rurami płyną z bulgotem woda i ścieki, daleko stukają koła nocnych pociągów, w parkach szumią miliony liści na setkach drzew, w kątach podwórek szeleszczą niesprzątnięte papierzyska i folie.

Na placu przed kościołem – nikogo. Pluski z żółto podświetlonej fontanny odbijają się echem od siedemsetletniego muru, wzdłuż którego suną w ciemności dwie postacie. Półprzytomna Edith Kronenberg i niewysoki, śniady mężczyzna, który pomaga jej iść.

Nie jest łatwo utrzymać w pionie wykończone i półprzytomne ciało. Do przejścia mają zaledwie pięćdziesiąt metrów, ale co chwila robią przystanek. Najpierw pod trójdzielnym witrażem, drugi raz przed ślepym portykiem, trzeci i ostatni – przy zagłębionych w gruncie niewielkich drzwiach pozbawionych kołatki, klamki czy dzwonka. Jest tylko dziura od zamka.

Edith – bosa, w niedopiętych dżinsach i płaszczu narzuconym na gołe ramiona – bierze podany jej do ręki dziesięciocentymetrowy czarny krzyż i wkłada w otwór, tak jak to robiła w sztucznym świetle. Słyszc ciche kliknięcie. Stare dębowe skrzydło – popychane nowym i sprawnym mechanizmem – uchyla się bez dźwięku.

W progu brunet chwilę trzyma odwróconą plecami dziewczynę za oba ramiona, jakby ustawiał manekina w oknie wystawy. Gdy ją puszcza, ona wchodzi do chłodnego, wilgotnego wnętrza.

Drzwi się zamykają.

Młoda Niemka znowu jest sama w mroku.

Wchodzi na stopnie – najpierw kamienne, gęsto ubite w ciasnym tunelu porośłym czarnym, piwnicznym mchem. Później drewniane – jedne skrzypiące, inne spróchniałe, jeszcze inne niedawno wstawione.

To, co widzi teraz, niczym nie różni się od wirtualnej projekcji. Ale w połowie wieży coś odwraca jej uwagę. Pomarańczowy blask miasta wpada oknem wraz z powiewem wiatru. Tego nie było w sekwencji, której się poddała.

Głos głęboko ukryty w zwojach jej mózgu próbuje coś jej powiedzieć.

Zawrót?

Nie. Myśl o buncie budzi przerażenie.

Przyśpiesza.

Stopnie z metalowych kratownic, siatka zamiast powały – szczyt blisko. Ostatnie drzwi prowadzą na pomost. Edith otwiera je mozolnym ruchem i łyka nocne powietrze. Parzy w górę. Gwiazdy. Robi kilka drobnych kroków. Jest już pośrodku kładki.

Przechyla tułów przez wyślizganą tysiącami dłoni drewnianą poręcz i spogląda w dół. Pięć metrów pod nią światło księżyca wydobywa z szarości kraniec dachu krytego sztucznym gontem. Czerwone i zielone romby – w srebrnej poświacie poszarzałe – tworzą rozdygotaną szachownicę, która przyciąga patrzącą.

Między jej wychylonym ciałem a twardym brukiem ulicy Szewskiej – ponad pięćdziesiąt metrów pustki.

Teraz musi to zrobić.

Musi. Teraz.

Z trudem wchodzi na balustradę. Płaszcz zsuwa się z jej ramion.

Rozdział 4.

Poniedziałek 19 września

Ana budzi się przed piątą rano z poczuciem, że przyśniło się jej coś istotnego. Coś, co może mieć znaczenie na jawie. Nie może sobie jednak przypomnieć co. I to ją męczy. Minutę po przebudzeniu jest już zmęczona.

Przepływowy ogrzewacz w studziennej łazience zapewnia jedynie letni, a na koniec całkiem zimny prysznic. Trochę jej po nim lepiej. Wciąga czarny dres do biegania, spina włosy gumką. iPhone, słuchawki... Droga do wyjścia. Jak to było? Tu w prawo, za załomem muru schody na półpiętro i ściana z desek, zza której dobiegały dźwięki chorału. Dalej będą dwadzieścia cztery stopnie w dół.

Zaraz, zaraz...

Niedomknięte drzwi w drewnianej ścianie, drzwi, których wczoraj nie dostrzegła. Ukryte przejście do źródła muzyki? Otwarte przez niedopatrzenie czy ktoś ją chce czymś zainteresować?

Ciemne korytarze, gotyckie sklepienia. Nie spędziła tu jeszcze dwunastu godzin, a już wsiąka w logikę horroru. Śpiewy potępionych dusz i loty czarownic. *Verdammt!* To się jej właśnie przyśniło! Nagie ciała latające wokół ceglanych wież.

Głupoty.

Czubkiem sportowego buta trąca skrzydło sekretnych drzwi. W ciemnym otworze – przejście wąskie, niskie, tchnące wonią zgaszonych świec i kadzidła. Zapewne skrót do świątynnej nawy.

Słyszysz cichy świst.

Obraca głowę i nie potrafi powstrzymać się od drgnięcia.

Widok okolonej przerzedzonymi włosami bladej twarzy ma w sobie coś z filmu grozy. Niewiele wyższy od niej chudy brunet podkradł się cicho od strony sali z krucyfiksem. Stoi nieruchomo, blisko, przygląda się Anie z zaczepnym błyskiem w ciemnobrązowych oczach. Oddycha przez uchylone usta z lekkim pogwizdem. Wargi ma wąskie, twarz jak ze starego płótna. Brak mu tylko habitu, aby się wtopił między benedyktynów z „Imienia róży”.

– Książdz mnje... *Sie haben mich erschreckt.* Wystraszył.

– Nie jestem księdzem – brunet unosi gładką dłoń i wyrazistym gestem każe, by go przepuścić. Wchodzi do ciemnego otworu w ścianie i zamyka za sobą czarne drzwi.

Ana Wittesch schodzi na dół, dalej idzie korytarzem obok kancelarii parafii. Drzwi na zewnątrz są otwarte. Skręca w lewo, na plac z fontanną, chce się przebiec na Rynek, potem pójść do galerii, gdzie zostawiła samochód.

Za rogiem kościoła wpada na zbiegowisko.

* * *

Wokół leżącego we krwi ciała Edith Kronenberg zebrało się około trzydziestki gapiów. Dwoje mundurowych – patrol prewencji, który akurat był najbliżej – nie miało ze sobą plastikowej taśmy. Dlatego od godziny odpędzają ciekawskich zamaszystymi gestami. Starają się być zdecydowani. Zwłaszcza kolesie z komórkami w rękach, ci, którzy próbują obfotografować zwłoki, zasługują na potraktowanie z tonfy. Trzy razy prosili o wsparcie – trzy razy dyżurny mówił im o wypadku na Krupniczej i o problemach związanych z decyzją, kogo wysłać. Więc radzą sobie, jak mogą: ona nakryła siną twarz ofiary własną kamizelką odblaskową, on spisał cztery pierwsze osoby, które łączyły wokół ciała, zanim zrobiło się tłoczno.

– Pani się odsunie, powtarzam.

– A ten gdzie?! – policjantka unosi dłoń i już sięga po gwizdek.

Kierowca granatowego saaba nie reaguje na gest. Wolno, ale uparcie wtacza auto w tłum. Niezadowoleni ciekawscy ustępują miejsca, gniewnie mrużąc. Ktoś pozwala sobie nawet puknąć w boczną szybę wozu. Gdy ciemny cień kościelnej wieży kładzie się na przedniej szybie samochodu, policjantka rozpoznaje szofera. Znajomą gębę z komendy na Podwalu.

– To chyba Warski, ten kiler z wojewódzkiej. Czemu on? Powinni przysłać kogoś ze Starego Miasta albo z Rakowca.

– Bo ja wiem? – partner z patrolu też się przygląda kierowcy. – Może dlatego, że laska nie spadła z bloku na Kozanowie, tylko z kościoła.

Od strony Wita Stwosza niesie się sygnał radiowozu. Może wreszcie przywiozą parawan.

Mundurowa staje na baczność przed wysiadającym.

– Starszy posterunkowy Małgorzata...

– Dobra... – komisarz robi uspokajający gest dłonią. – Co się tu stało?

– Zawiadomienie dostaliśmy o piątej zero cztery...

Srebrna kia z wyciszonym, ale wciąż błyskającym kogutem jedzie na ukos przez plac z fontanną i ławkami. Wysiada dwóch aspirantów z kryminalnego. Waldemar Warski pospiesza ich ruchem dłoni.

– Przeszło godzina!

Nawet nie próbują się tłumaczyć.

* * *

Ana przeciska się do pierwszego rzędu i patrzy, jak policjanci rozkładają wokół ciała niebieską kurtynę, przenośne słupki i żółto-czarną taśmę, która ma odgradzić nieboszczkę od ciekawskich. Patrzy w pokrytą bruzdami, interesującą twarz gliniarza z zadartym nosem i małym podbródkiem. Drobny, szczupły, pewny siebie, zmęczony. Buty do wspinaczki, wybrzuszone na kolanach sprane džinsy, w dłoni termos, za pasem kajdanki, pod czarną kurtką kabura z dyskretnym glockiem dwudziestkąszóstką o powiększonej rękojeści. Jedna z ulubionych broni Any: celna, szybka, bezpieczna, bez odrzutu.

Ciekawe... Faceci wybierają zwykle większe i cięższe siedemnastki.

Dłuższa lufa – krótszy penis. Stary żart. Ciekawe, czy na polskich komendach też z niego rechoczą.

Właściciel glocka odwraca się od szpaleru gapiów, za chwilę zniknie za parawanem. Omiata jeszcze ich spojrzeniem. Jego wzrok na chwilę krzyżuje się ze wzrokiem niewysokiej blondynki o wydatnych kościach policzkowych i małych ustach.

* * *

Odziany w sutannę, niski, przeszło siedemdziesięcioletni mężczyzna o łysej czaszce i krzaczastych siwych brwiach podnosi owłosioną dłoń na wysokość twarzy, zwija ją w pięść, a potem prostuje palec wskazujący. Wyznacza kierunek.

Ana przeciska się przez tłum wokół zwłok. Rusza zgodnie ze wskazaniem, w stronę Rynku. Nie ma jeszcze siódmej – przejście Kurzym Targiem jest puste, dom towarowy Feniks, banki i knajpy zamknięte, ale duchowny i tak rozgląda się co chwila. Przystaje dopiero w miejscu, z którego nie widać już Szewskiej, policji i gapiów. Rozwiera ramiona i mocno przyciska do szerokiej piersi podchodzącą policjantkę. Nic przy tym nie mówi – ona także milczy, gdy kapłan prowadzi ją dalej za rękę.

– ...cieszę się, że dojechałaś cała i zdrowa... no tak – odzywa się dopiero wtedy, kiedy

Ana wysuwa mu się z objęć. – Gdyby nie zdjęcia, nie poznałbym cię wcale.

Mówi szybko, cicho, urywa, odwraca za siebie, wznawia wątek konspiracyjnym tonem, znów przerywa.

– Tak się cieszę... i martwię. Tak. Zainstalowałem internet, jak prosiłaś. Ale oczywiście najpierw dobrze odpoczniesz. Potem się dopiero zastanowimy, czy w ogóle jest sens, żeby...

Proboszcz Edmund Witecki zatrzymuje się na chwilę, jakby nie wiedział, w którą stronę mają dalej iść.

– ...żeby podjąć działania, skoro to się stało.

– Nie ma potrzeba zastanowicz się. *Ich bin bereit*. Gotowa. Wreszcie mi pozwolili.

– Ale wypadek to jest kłopot dla nas.

– Samobójczyni? – Ana czuje, że palce proboszcza się pocą.

Duchowny spogląda za siebie.

– Tak to wygląda. Straszny grzech.

– *Jedermann*... każda osoba można wejść na górę?

– Nie, nie... nie każdy. Są grupy zwiedzające, godziny otwarcia... ładna perspektywa miasta, zdjęcia robią, są występy śpiewacze na Mostku Pokutnic. Ale ona nie musiała się tam zakradać. To jest... była Edyta. Edith Kronenberg. Z tych Kronenbergów.

– Córka Jörgena?

– No tak – kapłan puszcza dłoń policjantki i chwytą ją mocno pod łokieć. Szeptem jej wprost do ucha: – Znałem ją dobrze.

– *Woher?*

– To nasza chórzystka. Bardzo utalentowana. Śpiewała w naszej parafialnej scholi gregoriańskiej. Grupa żeńska.

– *Ich verstehe nicht*.

– Wielbią Boga śpiewem.

– Chyba słyszałam je wczoraj wieczorem. Myślałam, że śpiewają chłopcy.

– Dzisiaj panie także wzbogacają liturgię *ad maiorem Dei gloriam*. Niedługo wystąpią na festiwalu w Bawarii, mamy wielkie nadzieje... Mieliśmy nadzieje – proboszcz znów się ogląda przez ramię. Kiedy wchodzi na Rynek, prowadzi Anę tak, by omijali z daleka nielicznych przechodniów.

– Nasz kantor Jan, jeszcze nim przyjechała policja, znalazł ciało. Niczego oczywiście

nie dotykaliśmy, broń nas Panie Boże. To przecież córka Kronenbergów. Tragedia... Boję się, że może bardzo pokrzyżować twą misję. Twoja sypialnia jest tak blisko schodów na wieżę. Jest tam nawet przejście... Nie chcę o tym myśleć, że kiedy ty spałaś, biedna Edith niedaleko obok... I prosto ku śmierci. A teraz będzie się tutaj kręciła policja. Będą dopytywali. Ktoś może coś zacząć podejrzewać.

– Że dwie Niemki? Jedna się zjawia, druga się zabija?

– Właśnie. Tej samej nocy.

Ksiądz Witecki zatrzymuje się i patrzy Anie w oczy. Jest niższy o pół głowy, zaczerwieniony, na czole lśni mu pot. – Myślę, że na razie powinnaś wyjechać.

– *Wracacz nach Berlin zurück?* – Ana jest bliska paniki. – Mój wyjazd teraz absolutnie niemożliwy!

– Ciiiiszej, ciszej.

– Gdyby teraz ja uczełabym, dopiero byłoby abnormal. Za wiele mnie już widziało. Miałam dziwne spotkanie z jedną mężczyzną. Na schodach w koszcziele. Nawet teraz stoimy pod monitoringu – policjantka wskazuje ruchem samych gałek ocznych i brwi rząd kamer nad elewacjami banków. – A *Verwirrung* może być sprzyjalny.

– Zamieszanie?

– Można wykorzystać kamuflażu. Widziałam oficera, który przyjechał na miejsce. Wyglądał mi na fachowego człowieka, jak to jest po polsku... Na własnym miejscu.

– Na właściwym... Boję się o ciebie.

– *Ich bin kein Kind.*

– Jesteś dzieckiem!

* * *

Waldemar Warski unosi długopisem skraj fosforyzująco zielonej kamizelki z nadrukiem „POLICJA”. Widok zmasakrowanej głowy jest koszmarny: uderzenie o bruk wgniotło potylicę, mózg pod ciśnieniem wystrzelił kilkoma ciastowatymi bryzgami, najdłuższy sinoróżowy ślad ma ponad metr. W zestalonej, włóknistej galarecie, niczym wyrwany ząb, tkwi fragment kości.

Ręka – złamana w dwóch miejscach – nienaturalnie owinęła się wokół szyi. Jakby makabry było mało, z głowy wyskoczyło oko. Leży obok ciała mętne i zakrwawione.

Karetka już precyzyjnie się, wykorzystując przestrzeń między zatrzymanymi tramwajami a rzędem chodnikowych pachółków. Ratownicy w czerwonych kombinezonach otworzyli

tylne drzwi ambulansu, czekają. Wiedzą, że nie ma kogo ratować.

Komisarz prostuje się, obserwuje podchodzącego mężczyznę. Szczupły, wysoki i wyglądający na wiecznie nadąsanego aspirant Aleksander Toczyk – zdaniem Warskiego najzdolniejszy młodzik na Podwalu i Muzealnej – ma na głowie sportową czapkę z daszkiem, a na grzbiecie niebieską kurtkę z kapturem. Próbuje zachować fason, patrząc na zmasakrowane ciało. Nie odzywa się niepytany. To także – przynajmniej zdaniem Warskiego – zaleta.

– Strasznie się wysiliła, żeby zginąć. Jak w jakiejś cholernej operze – oficer wznosi oczy ku połączonym mostkiem wieżom kościoła. – Musiała spaść stamtąd. Po upadku z trzeciego piętra by tak nie wyglądała – wskazuje kciukiem seledynową kamienicę vis-à-vis kościelnego frontu.

– I nie leżałaby tu, tylko dalej – Aleks wyciąga notes. Jest gotów do zapisywania poleceń. Warski wyjmując z kieszeni kurtki termos, pociąga długi łyk.

– Dobra, zrobimy tak: sprawdzisz, czy kościół jest zamykany na noc, kto go zamyka, ile jest wejść, ile kompletów kluczy, kto ma do nich dostęp, czy ktoś mógł sobie dorobić własne... Dalej wszyscy, którzy... – Warski szuka właściwego słowa, ale nie znajduje – ...są tu zatrudnieni na stałe. Księża, zakonnice, kościelny, organista, sprzątaczkę, ministranci, te, co kwiaty układają... wszyscy. Oczywiście monitoring z Szewskiej – kamery od Kotlarskiej do Kazimierza Wielkiego i z drugiej strony kościoła to samo.

– Może w środku też coś zainstalowali? – wtrąca Toczyk, nie przerywając notowania.

– Sprawdź. Jak lekarz poda orientacyjną godzinę zgonu, daj margines dla nagrań po godzinie w obie strony. Wołaj konowała. Niech wpierw zabierze oko.

* * *

W drodze na wieżę Warski przygląda się głównie zabezpieczeniom. Mija dwie pionowe kraty – obie otwarte, bez zamków, łańcuchów, kłódek – najwyraźniej nikt ich nie wykorzystywał od lat. Widzi też jedno boczne przejście – tchnące kadzidłem i wyraźnie używane.

Szybko wspina się po krętych schodach. Zatrzymuje się dopiero pod samym mostkiem, na zafajdanej przez ptaki kratownicy jednego z najwyższych podestów. Trąca czubkiem buta jakiś czarny przedmiot. Sunie po metalowej podłodze, zaraz spadnie w przepaść. Warski zatrzymuje go w ostatniej chwili. Podnosi. To nieduży czarny krzyż. Przygląda mu się przez chwilę, waży w dłoni. Jest ciężki jak na tak mały przedmiot. Z twardego

tworzywa, z metalową wkładką.

Wyciąga z wewnętrznej kieszeni kurtki paczkę papierowych chustek. Wyjmuje jedną, delikatnie zawija klucz i wchodzi na mostek między wieżami. Stawia kołnierz. Wieje jak diabli.

Rzut oka przez prawą balustradę: zaśniedziałe hełmy na kościelnych wieżach, mansardy kamienic, spłoszona para gołębi podrywa się z furkotem i pchana podmuchem odlatuje w stronę niewidocznej Odry. Na krańcu karminowo-zielonego dachu pod pomostem, na kamiennej sterczynie w kształcie kwietnego pąka, coś wisi. Płaszcz. Chyba damski. Trzeba będzie tu ściągnąć ludzi z drabiną.

Gdyby był trochę młodszy i głupszy, spróbowałby sam zejść po murze, wspiąć się po kolorowych dachówkach i sięgnąć. Ale jest starszy i mądrzejszy. Poczeka.

Spogląda przez lewą balustradę: niedawno wyremontowany dach głównej nawy, brunatne przypory nad bocznymi kaplicami, ulica Marii Magdaleny i skośnie zaparkowane samochody.

Wyciąga z kurtki termos, pije.

Mostek Czarownic albo Pokutnic. Wysokość od poziomu ulicy pięćdziesiąt dwa metry. Aż się prosi, by go wykorzystać. Amerykanki rzucają się z Golden Gate, Francuzki z wieży Eiffla. Nawet jakieś siatki musieli tam zamontować, tylu było chętnych na spektakularny skok. Tu na razie nie było takiej potrzeby. Jak dotąd we Wrocławiu z wieży rzucił się zaledwie jeden facet. W 2009, ale nie stąd, tylko ze Świętej Elżbiety, obok Rynku.

To będzie dobry temat dla Hryniewicza i innych, gdy tylko rzecz zwąchają. Mostek Pokutnic pobudza wyobraźnię. Więziono przecież tutaj rozpustne kobiety. Te, co szukały w życiu uciech zamiast mężów. Odrzucone przez pobożne i pracowite rodziny niemieckich mieszczan zamiatały po nocach ten drewniany podest, dając przykład reszcie płci pięknej: lepiej się dobrze prowadzić, niż dać się doprowadzić na ten mostek. Te najbardziej zepsute odlatywały stąd ponoć na włochatych capach i rogatych sukubach wprost na Górę Milczenia, Zobtenberg, obecnie Ślężę.

Warski sam nie wie, skąd zna tę historię. Może ze szkoły? Na wycieczki z przewodnikiem nigdy nie chodził. Przecież jest stąd. Mniej więcej.

Jeżeli dziewczyna wspięła się na balustradę i mocno wybiła, miała mniej więcej pięćdziesiąt procent szans, że zawiśnie na dachu, a drugie pięćdziesiąt, że poleci dalej, z wiatrem.

Albo ktoś jej pomógł.

Samsung galaxy w kieszeni wibruje i piszczy. To Aleks. Komisarz schodzi z mostku, by cokolwiek słyszeć. Aspirant znalazł typka, który się natknął na zwłoki jako pierwszy. To tutejszy kantor.

– Kantor? Co znaczy kantor? Jakiś gatunek księdza?

– Ktoś w rodzaju organisty, tylko że nie gra, ale śpiewa. Cywil.

– Mówi się: „świecki”.

– Dziwny jest.

– Co znaczy „dziwny”?

– Pan komisarz sam się przekona.

– OK, to schodzę. Ofiara dokumenty miała?

– Nie.

– Daj ciuchy do analizy. I sprowadź mi na wieżę strażaków, bo jest coś do zdjęcia z dachu. Chyba w locie zgubiła płaszcz.

* * *

Zza grubo lakierowanych drzwi słychać uniesione głosy. Warski przez chwilę stoi, nasłuchując, lecz nie jest w stanie zrozumieć poszczególnych słów. Wpada mu w ucho tylko fragment pytania: „...po co te eksperymenty?!” i fragment odpowiedzi: „To nie jest twoja sprawa, do kiedy...”.

Gdy puka, hałas cichnie. Wchodzi, nie czekając na zaproszenie. Salka jest wysoka, jak wszystkie pomieszczenia w tym kościele, pachnie wilgotnym kamieniem i środkami czyszczącymi. Reprodukcja powieszona na środku ściany przedstawia wypędzenie kupców ze Świątyni Jerozolimskiej.

Dziwny gość, który – według słów Aleksa – tu pomieszkuje, stoi w pozycji zbesztanego ucznia. Oparty o parapet gotyckiego okna ksiądz w okrągłych okularach na perkatym nosie przerwał połajankę i teraz pytająco patrzy na policjanta. Kantor kłania się z przesadną pokorą. Usłużnym gestem wskazuje jedno z dwóch tapicerowanych krzeseł przy małym stole. Na blacie metalowy krucyfiks. Na ramionach Ukrzyżowanego – różaniec. Policjant nie siada – tym bardziej że w odróżnieniu od kantora ksiądz nie zachęca go, by spoczął.

– Komisarz Waldemar Warski, wydział dochodzeniowo-śledczy komendy wojewódzkiej.

– Witecki Edmund. Proboszcz.

– Rudzki. Jan Rudzki.

Moment ciszy.

– Pan tutaj mieszka, jak mi mówiono.

– Tak jakby... chwilowo.

– Chwilowo?

– Nasz kantor, opiekun chóru męskiego, ma przejściowe problemy ze stałym lokum – proboszcz opada na krzesło. – Jest pracownikiem biblioteki uniwersyteckiej. Pozwoliłem mu tutaj zamieszkać. Do czasu.

– Ktoś jeszcze tu mieszka?

Proboszcz patrzy na kantora – wygląda, jakby błyskawicznie i milcząco uzgadniali wspólną wersję.

– W zasadzie nikt – kapłan mówi wolno, nie spuszczać wzroku z bladej twarzy kantora. – Gospościa dochodzi. Jest jeszcze siostra Klara, ale i ona tu nie śpi. Ja sam mieszkam na plebanii, kamienicę obok, przy Świętej Marii Magdaleny.

Komisarz wyciąga termos, by wydobyć notes, przez chwilę szuka długopisu, w końcu wyjmuje go razem z papierowym zawiniątkiem, które kładzie ostrożnie na stole obok krucyfiksu. Staje bokiem do duchownego a twarzą do łysiejącego bruneta.

– Pan znalazł ciało?

– Nie mogłem w nocy spać. Poszedłem na spacer.

– Gdzie pan spacerował?

– Dookoła Rynku, wokół kościoła i po okolicy. Kiedy wracałem Szewską, zobaczyłem zwłoki.

– O której?

– Jeszcze było szaro.

– Znał pan tę dziewczynę? Kobietę?

– To straszny wypadek i wielkie nieszczęście, prawda? – spojrzenie kantora już nie jest takie pokorne. Jest uważne.

– Znał ją pan?

– Nieco.

Ksiądz proboszcz ciągnie prawą dłońią lewy rękaw sutanny, jakby sprawdzał, czy szew w łokciu trzyma.

– To Edith Kronenberg, nasza chórzystka. Niemka. Przebywała w Polsce na studiach kulturoznawczych. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, co mogło popchnąć ją do takiego

grzechu.

– Jak rozumiem, ksiądz sądzi, że to samobójstwo.

– A cóżby innego?

– Nie wiem – Warski szybko stawia kilka znaków w notatniku. Kiedy kończy, celuje długopisem w kantora. – Pan dyrygował tym żeńskim chórem?

– Broń Boże! – Rudzki wzdyga się, jakby policjant splunął mu w twarz. – One próbowały śpiewać chorał gregoriański.

– Coś w tym złego?

– To bluźnierstwo! – kantor garbi się pod ciężkim spojrzeniem proboszcza. Jego woskowa twarz marszczy się w jedno wielkie „przepraszam”.

– Chorał gregoriański zasadniczo zastrzeżony jest dla mężczyzn – proboszcz przygląda się swoim zgrubiałym paznokciom. – Ale one tak długo mnie namawiały, że w końcu uległem.

– Kim są „one”?

– Edith i Wanda.

– Wanda?

– Wanda Kamińska. Pracownik naukowy uniwersytetu. No tak. Zajmuje się muzykoterapią.

– I tak tu sobie we dwie podśpiewywały?

– W arkadzie nad prezbiterium... – wtrąca kantor – ...mamy wspaniałą akustykę.

– Najczęściej bywało więcej pań – ciągnie proboszcz. – Tylko że one się często zmieniają. Słomiany zapał, rozumie pan. No i obowiązki. Ale Edith i pani Kamińska kochały to. Ostatnio przygotowywały się do występu w Monachium. Bardzo czekały na tę szansę. Nie rozumiem, co pchnęło Edytę do samobójstwa. Ona była przecież...

– Mogę zapytać, co jest w tym termosie? – kantor chyba chce przerwać monolog proboszcza.

– Nie. Ale może pan zapytać, co jest w tej chustce – Warski rozwija zawilgoconą bibułę.

– Coś wam to mówi?

– Czy krzyż nam coś mówi? – Jan Rudzki robi ćwierć kroku w stronę stołu. Komisarzowi zdaje się, że chce dodać jeszcze coś równie mądrego, ale proboszcz Witecki jest szybszy.

– To jest elektroniczny klucz. Otwieramy nim drzwi od strony placu. Te, którymi można

wejść na wieżę. Między innymi na wieżę, bo jest tam też przejście do świątyni i aż tutaj, do dormitoriów.

– Dziwny kształt – policjant chrząka. – Z całym szacunkiem.

– To nie nasz pomysł – kapłan zaciera dłonie o krótkich palcach. – Niemieccy sponsorzy i potomkowie byłych parafian zafundowali nam dwa lata temu częściowy remont... dach i nie tylko. Pojawiło się parę nowinek. Mechanizm ukryty w kluczu, jakiś tam czip czy coś... jest podobno niemożliwy do skopiowania, o ile się nie posiada specjalnej karty. No tak... Dostaliśmy też system bezprzewodowego nagłośnienia świątyni i niezawodny alarm.

– ...który jednak nie włączył się, gdy do kościoła wchodziła Edith Kronenberg... Albo ją ktoś wnosił.

– Użycie klucza automatycznie wyłącza system – kantor wyciąga dłoń w stronę krzyża na bibule, lecz policjant powstrzymuje go stanowczym gestem.

– Wnosił? – proboszcz patrzy na Warskiego spode łba. – Myśli pan, że to było morderstwo?

– Na tym etapie muszę brać pod uwagę każdą wersję zdarzeń.

– Rozumiem.

– Ja też bym chciał rozumieć. Na przykład skąd Edith wzięła ten klucz. Miała własny?

– Z całego chóru żeńskiego klucz miała jedynie pani Kamińska – ksiądz zdejmuje z nosa okulary o podwójnej ogniskowej i obraca w dłoniach. – Wzięła na wiosnę, kiedy był występ chóru na mostku... Panie nagrywały program dla lokalnej telewizji. I krzyżyk u niej został. U pani Wandy.

Warski na powrót zawija znalezisko w papier.

– Ma pan podobny? – pyta kantora.

– Każdy z nas nosi swój własny krzyż, prawda?

– Doceniam pańskie poczucie humoru. Więc ma pan?

– Mam.

– Proszę pokazać.

– Jest w bibliotece uniwersyteckiej. Część rzeczy trzymam tam, część tutaj.

– Klucze od kościoła trzyma pan w bibliotece, a klucze od biblioteki zapewne w kościele? Tak dla odmiany?

– Ma pan rację – Rudzki podchodzi do szafki w kącie, chwilę w niej grzebie, wreszcie wyciąga pęk z kółkiem. – Klucze od biblioteki. Wejście główne, magazyn ksero, którym się

opiekuję, toaleta służbowa...

– Dobra, na razie wszystko... – Warski upycha w tylnej kieszeni dżinsów notes z długopisem. Zabiera termos. – Czy może mnie pan odprowadzić do wyjścia?

Kantor składa blade ręce jak do modlitwy i odpowiada ukłonem chińskiego sługi.

Aleks miał rację. Jest dziwny.

* * *

– Zna pan deklarację „Inter insigniores”?

– Inter... co?

– Stanowisko Kongregacji Nauki Wiary w sprawie dopuszczania kobiet do czynności liturgicznych.

– Niestety, w szkole policyjnej temat ten był zaniedbywany.

– Proszę nie kpić. Klemens XI nakazał surowo karać kobiety już za samo uczenie się śpiewu, a co dopiero śpiewanie w kościele...

Policjant i kantor idą środkiem nawy. Pierwszy myśli o miejscu, jakie drugi zajmie w planie śledztwa, tamten zaś znów ma wrażenie, jakby dziesiątki drewnianych, płóciennych i kamiennych oczu obserwowało go z pociemniałych obrazów w kaplicach, z witraży, znad ambony i z empor.

– Ta sprawa jest bardziej złożona, niż pan sądzi, komisarzu...

– Dlaczego?

– Nie da się jej rozwikłać bez wejścia na grunt ścisłej wiary i pojęcia istoty zła. Połączenie samobójstwa czy też zbrodni i świętego budynku kościoła, *sacrum*, *scelus i horrendum*... Musi pan pojąć, iż święci nie są jeszcze w chwale. Żyjemy w naszych pierwszych postaciach. Różnice między mężczyznami i kobietami są dalej ważne, prawda? Do czasu przemiany naszych jestestw, do czasu gdy staniemy przed obecnością Jezusa Chrystusa... Powiadam panu, że aż dotąd naszym świętym obowiązkiem jest utrzymywanie podziału na płcie! Zresztą... co tam moje słowa... „Bóg bowiem nie jest Bogiem zamieszania, lecz pokoju. Tak jak to jest we wszystkich zgromadzeniach świętych, kobiety mają na tych zgromadzeniach milczeć, nie dozwala się im bowiem mówić, lecz mają być poddane, jak to Prawo nakazuje...”. Zna pan ten cytat?

– Nie. Koran to jest?

– List do Koryntian.

Kiedy dochodzą do wielkich drzwi wychodzących na Szewską, kantor otwiera brunatne,

grube skrzydło, napierając na nie barkiem, i przytrzymuje przed komisarzem bez przerywania monologu: – ...oczywiście w Chrystusie Królującym nie będzie już mężczyzn ani kobiet. Ale to ciągle nie ten czas. Żyjemy, jak mówię, w ciałach Adama i Ewy. A te różnią się i narzucają role w liturgii.

Po kościelnych mrokach światło dnia razi w oczy. Na zewnątrz nie ma już parawanu, zwłoki Edith zabrano do zakładu, tramwaje ruszyły. Został tylko samochód Warskiego, radiowóz i najbardziej uparci gapie, których cierpliwość zostaje właśnie nagrodzona: podjeżdża straż pożarna z najdłuższą w mieście drabiną.

– ...w obecnej formie tylko mężczyźni mogą nosić ciężar bycia aniołami Chrystusa.

– O ile pana dobrze zrozumiałem, to jednak stan przejściowy... – Warski przywołuje gestem Aleksandra. – Istnieje dla śpiewających pań jakaś nadzieja w przyszłości?

– Kiedy nadejdzie czas chwały, mężczyźni kapłani złożą swój urząd na Jezusa – Rudzki wznosi oczy ku białym chmurom. – Wtedy niewiasty dostąpią pełnej równości. Ale teraz, powiadam, miast pożądać nienależnych im funkcji, winny cieszyć się, iż nie muszą brać na siebie nadmiernego...

Widok zbliżającego się aspiranta sprawia, że kantor milknie.

– Proszę, by jak najprędzej przyniósł pan z biblioteki swój egzemplarz klucza – Warski wręcza mu wizytówkę.

– Oczywiście.

Jan Rudzki wycofuje się do ciemnego wnętrza kościoła jak ślimak do skorupy.

Komisarz wydaje Aleksowi serię dyspozycji. Po minucie wsiada do saaba.

Po kolejnych dwudziestu pięciu minutach stoi na Krzykach, pod trzypiętrowym pawilonem. Wokół obite styropianem wysokie bloki, za plecami pole chwastów i psich kup, a przed nim, na domofonie: tajski masaż, biuro rachunkowe, firma cateringowa, escape room oraz psychoterapeuta. Policjant przez chwilę trzyma palec na przycisku z masażem, ale ostatecznie wciska guzik opisany jako Przychodnia Rozwoju Osobowości „Inspireum”.

* * *

Już w poczekalni coś drażni Warskiego. Chyba nawet wie co. Po pierwsze, agresywna woń odświeżacza do powietrza wymieszana z zapachem orientalnego kadzidełka. Po drugie, nadmiar antyków. Sam mieszka w starej kamienicy, wyposażenie skompletowali jeszcze rodzice poprzedniego właściciela. Nie ma absolutnie nic przeciw gnącym się ze

starości poniemieckim szafom, ciężkim zasłonom na okna czy zaśnieżonym żyrandolom. Nawet je polubił. Ale żeby wetknąć biedermeier – i to w takiej ilości – w betonowy pawilon usługowy na środku blokowiska?

W samym gabinecie podobnie jak w przedsionku: szklana gondola, zegar z kukułką, turecki stolik szachowy, złożony kandelabr. Na ścianach dyplomy w solidnych ramach. Ich właściciel też nie budzi sympatii Warskiego.

Na skierowaniu, które dostał w kadrach, przeczytał: Hajno Patryk, godziny przyjęć dwunasta-siedemnasta. Gdy wczoraj dzwonił, by się umówić, z całą pewnością gadał z kimś młodszym od siebie. Już się nastawił na łebka trzy lata po studiach, przed którym zrobi minę bardzo złego psa i każe czym prędzej wypełnić kwity, by po kwadransie mieć z głowy tę całą terapię.

Tak się nie stanie. Rozmawiał najwyraźniej z asystentem. Patryk Hajno jest starszym od niego ponurym facetem, któremu się nigdzie nie spieszy i którego z całą pewnością nie da się do niczego zmusić. Ma wodniste oczy alkoholika i fryzurę byłego hipisa: długie, przerzedzone włosy są tłuste, klatka piersiowa zapadnięta, do tego swobodnie rosnąca broda.

Hajno podaje rękę, przedstawia się cicho, siada w głębokim fotelu i zaczyna przeglądać teczkę komisarza. Przed nim, na biurku, posążki Buddy, kościany kalendarz i wonny patyk w porcelanowej menzurce. Obok paruje niedawno zaparzona herbata z fusami.

– Walczył pan w Bośni i wschodniej Sławonii?

– „Walczył” to mocno powiedziane – policjant się wierci. Obite skórą gdańskie krzesło o wysokim, bogato rzeźbionym oparciu zmusza go do nienaturalnego prostowania karku.

– A co pan tam innego mógł robić?

– Patrole, rutynowe czynności, kontrole podróżnych, warty, biurokracja.

– Aha. Więc to nie pański oddział aresztował „Rzeźnika z Vukovaru”? Operacja „Kwiatuszek”.

Jakiś miłośnik historii najnowszej?

– Tego pan nie wyczytał z moich papierów.

– Panie komisarzu... – psycholog miesza w szklance posrebrzaną łyżeczką. – Pańska sława kroczy przez panem jak pycha przed upadkiem.

No, pięknie. W dodatku filozof.

Warski postanawia wziąć terapeutę na przeczekanie.

– Znakomita większość weteranów, czy to Bałkany, czy Irak... Według ostatnich badań nawet osiemdziesiąt pięć procent przypląca udział w misjach rozwodem, alkoholizmem, uzależnieniem od środków psychotropowych. Sporadycznie w grę wchodzi hazard lub kompulsywny seks. Często problemy się dublują, a uzależnienia krzyżują. Dwa lata po powrocie z misji spowodował pan wypadek drogowy pod wpływem alkoholu.

– Wolałbym o tym nie rozmawiać – plan utrzymania milczenia już nieaktualny.

– Rozumiem, biorąc pod uwagę ofiary tego wypadku.

– Czy pan chce mnie wyprowadzić z równowagi? – policzek policjanta drga.

– A to aż tak łatwo ją pan traci? Równowagę? To chyba jeden z powodów, że się spotykamy. Trudności z opanowaniem emocji, nazbyt pochopne decyzje.

Milczenie.

Brodacz pociąga łyk naparu, komisarz wciska dłonie pod własne uda na siedzisku.

– Pańskim szefom musiało bardzo na panu zależeć, skoro siedzi pan tutaj, w gabinecie przede mną, a nie w...

– ...w pierdłu? To chciał pan powiedzieć? – Warski zrywa się z krzesła, ciężkie oparcie leci na podłogę. Rzeźbionemu w drewnie orłowi odpada skrzydło z połową łba.

– Przepraszam – pacjent kładzie drewniany ułomek na biurku obok srebrnego Siddharthy.

– Jakoś pan to przyklei.

Patryk Hajno pieści koniec swej zdziczałej brody.

– Doskonale pan wie, komisarzu, że to nie był mój pomysł, byśmy się spotkali...

– OK. Czyli mogę już iść?

Psycholog kręci przecząco głową i wskazuje ręką uszkodzone krzesło. Warski ponownie siada.

– Fakty z pańskiej przeszłości ktoś mógłby posegregować na tajemnice chwalebne i tajemnice bolesne, ale ja tego nie czynię – brodaty patrzy na pacjenta jak weterynarz na cielę o dwóch łbach. – Nie jestem tutaj od oceniania. Nie jestem księdzem. Ja oczekuję tylko otwartej, szczerzej, męskiej rozmowy...

– Szczerzej, tak? No to niech mi pan powie, ile pan wypija alkoholu, powiedzmy, w tygodniu... Ale tak szczerze, otwarcie.

– A pan?

– Jestem niepijący.

– Ach tak.

- Tak...
- Komisarzu, dwa razy w tygodniu...
- Mam rozumieć, że upija się pan dwa razy na tydzień?
- ...dwa razy w tygodniu będziemy się tutaj spotykali.
- Wolałbym raz na dwa tygodnie, jeśli to konieczne.
- Będzie tak, jak powiedziałem. W przeciwnym wypadku nie dostanie pan zaświadczenia. A szkoda by było, gdybym następnym razem spotkał pana jako ochroniarza w dyskotecce.

Rozdział 5.

Wtorek 20 września

Ranek jest słoneczny i rześki, wiatr delikatny, lato nie daje za wygraną, ale z pokoju sto dwadzieścia jeden tego nie widać. Choć nawet gdyby było tu okno, Warski nie zwróciłby uwagi, co się za nim dzieje. Rozpina kaburę, wieszka ją na oparciu krzesła, siada i uruchamia leciwy komputer. Jego ciasna, zawalona aktami kanciapa sprawdziłaby się najlepiej jako schowek na szczotki, lecz przynajmniej urzęduje tu sam. Na ścianie kamizelka kuloodporna, prezent od starych kolegów, wyrób na potrzeby NATO, aramidy i polietylen, w sumie trzydzieści warstw balistycznego nylonu. Obok kamizelki późnopeerelowski wieszak na paprotkę z pustą donicą służącą niektórym z gości za popielniczkę. Jest jeszcze niedziałający zegar z dworca w Vinkovci pod Vukovarem, pamiątka.

Komputer burczy, ekran monitora z antycznym kineskopem jaśnieje przez moment zdjęciem uśmiechniętego, pomazanego farbą sześciolatka z pędzlem w dłoni. Za chłopcem trzydziestoletnia z wyglądu kobieta o brązowych włosach, regularnych rysach twarzy i inteligentnym spojrzeniu. Na jej pełnych ustach – delikatny uśmiech. Jest podobna do „Dziewczyny z perłą” Vermeera. A chłopczyk – do komisarza.

Komputer pracuje z terkotem wiatraka. Zdjęcie ustępuje miejsca granatowemu pulpitowi pełnemu rozsypanych ikon, katalogów i plików w różnych formatach. Czas poprosić o pomoc wujka Google’a. Pierwsze pytanie: chorał gregoriański.

„Jednogłosowy śpiew liturgiczny Kościoła łacińskiego oparty na ośmiu skalach. Tradycyjnie śpiewały chóry mężczyzn i chłopców...”.

Warski czyta przez kilkanaście minut o psalmodiach, responsoriach, o neumach – poprzedniczkach nut, o kadencjach, tonach rotacyjnych i kompozycjach François Couperina.

Na temat śpiewających kobiet – nic.

Wpisuje: „List do Koryntian”.

Otwiera się strona Deon.pl. „Za autora powszechnie uważany jest święty Paweł. Miejsmem sporządzenia listu był Efez... List porusza kwestie doktryny i etyki: relacji

małżeństwa do dziewictwa i podległości kobiet wobec mężczyzn. W efekcie tych uwag nastąpiło wykluczenie kobiet z czynnego udziału w liturgii...”.

Teraz „Kobiety w muzyce religijnej”.

„U Izraelitów mężczyźni uczestniczyli w śpiewach rytualnych, a kobiety i mężczyźni w świeckich. W pierwszych latach chrześcijaństwa oficjalnie kobietom zakazywano śpiewać w czasie obrzędów, powołując się przy tym na słowa św. Pawła. Od V wieku wielokrotnie występowało przeciwko udziałowi kobiet w śpiewie liturgicznym – takie były postanowienia synodów w latach 441 i 532 oraz papieży Benedykta I i Zachariasza. To sugeruje jedynie, że kobiety w Kościele jednak wciąż śpiewały. Wiadomo też, że mniszki, podobnie jak mnisi, komponowały. Paradoksalnie, najpopularniejszym dziś znanym z imienia muzykiem średniowiecznym jest kobieta – Hildegarda z Bingen...”.

Komisarz sięga po termos.

„Kiedy w 1903 roku, ogłaszając encyklikę o odnowieniu muzyki »Motu proprio«, Pius X przypomniał o zakazie udziału kobiet w chórach kościelnych, na ogół odniesiono się do owego *memento* sceptycznie. Oficjalnie zezwolono na chóry mieszane, ale pod warunkiem że kobiety i mężczyźni znajdować się będą w znacznej odległości od siebie, najlepiej rozdzieleni organami bądź kratą. Największe emocje wzbudzała przy tym kwestia dopuszczenia kobiet do wykonywania chorałów jednogłosowych...”.

Czy to możliwe, żeby doktrynalne spory sprzed wieków skutkowały zwłokami na Szewskiej?

Oficer otwiera kolejną zakładkę w witrynie. „List do Rzymian”.

– Mam jedną dobrą wiadomość i jedną złą – przez uchylone drzwi wchodzi Toczyk. Na szyi ma identyfikator, na twarzy – zwykły wyraz naburmuszenia połączonego z niesmakiem.

– Złą najpierw.

– Przez papierologię zapisy z kamer będą dopiero pojutrze. Musiałem przepuścić wniosek przez prokuraturę. Anielewska będzie nas nadzorować.

– Czyli masz tylko dwie złe wiadomości...

– Mam jeszcze adres Edith Kronenberg. I klucze. To na Kazimierza. Zaraz za muzeum.

– Dobra, przejdziemy się piechotą. Jakies szczegóły?

Komisarz wyłącza pecet, zdejmuje z oparcia broń, a z wieszaka kurtkę. Wychodzą.

– Mieszkanie wynajęte na pół roku. Właściciele, bardzo mili dziadkowie, dwie przecznice dalej. Mówią o zmarłej same przyjemne rzeczy. Zapłaciła z góry. Zatrudniła

sprzątaczkę na umowę o pracę! Podobno Kronenbergowie, jej starzy, są obrzydliwie bogaci i tego tam... Matka już tu leci z Monachium.

– Dobra robota.

* * *

– Zaczekaj – tuż przed progiem Waldemar Warski podnosi otwartą dłoń. Aleks natychmiast przykleja plecy do ściany idealnie utrzymanej klatki schodowej. Na półpiętrach kwitnące rośliny, przed chwilą minęli panią szorującą podłogę, która wcale nie wydawała się brudna. Drzwi do mieszkania Edith – obite boazerią, z miedzianym wizjerem pośrodku – są minimalnie uchylone. Komisarz pierwszy wyciągnął broń, aspirant robi teraz to samo. Cicho przechodzi za plecami szefa, stają naprzeciw siebie, bokiem do futryny, lufy w sufit. Głębokie wdechy...

– Teraz!

Wpadają jednocześnie. Przedpokój czysty. Toczyk omiata pistoletem lewy, Warski – prawy sektor. Widzi dużą jasną kuchnię z jadalnią. Czysto. Za owalnym stołem z Ikei – podwójne, przeszklone drzwi do dużego pokoju. Podchodzi. Gdzieś za jego plecami Aleks przeskakuje między łazienką a garderobą.

– Czysto!

W dużym i perfekcyjnie wysprzątanym salonie zgrabna blondynka w krótkiej kurtce khaki i džinsach siedzi przy stole pochylona nad srebrnym laptopem Apple'a. Stuka w klawisze tak szybko, jakby ktoś sypał grochem o ścianę. Na widok wycelowanego w siebie pistoletu przerywa. Unosi ręce bez cienia strachu na twarzy. Oczy ma intensywnie niebieskie, kości policzkowe wyraźne, rękawy kurtki podwinięte, na dłoniach bawełniane białe rękawiczki. Kiedy się uśmiecha, w policzkach robią się jej dołki. Warskiemu wydaje się, że już gdzieś ją widział. Niedawno.

– My się znamy? – wsuwa pistolet w kaburę.

– Chyba jeszcze w przyjemności nie byłam – ciepły, niski ton, obcy akcent.

– Niemka?

– Ślązaczka, jeśli chcemy precyzji. *Polizeioberkommissar* Ana Wittesch. Aktualnie kryminalna policja berlińska. Bereich Einsatz. Jesli pozwoli mi pan sięgnąć do torby, pokażę mój *Ausweis* i *Vollmacht*. Pełnomocnictwu.

– Jak pani tu weszła?

– Za zgodą właścicieli.

– Po co?

– Prysłano mnie *in Verbindung*... W związku z wypadku, jaka wczoraj uległa Edith Kronenberg – policjantka zdejmuje rękawiczki i chowa je do kieszeni kurtki. Wyciąga ze stojącej na podłodze listonoszki skórzane etui z dwunastoramienną gwiazdą i czarnym orłem.

– Szybko pani przyjechała.

– *Fräulein* Kronenberg to córka znanych ludzi. Musimy wyjaśnić, co tu zaszło, zanim zabiorą pisać... *Journalisten von der „Bild” Redaktion*.

– I coś pani znalazła? – Warski oddaje identyfikator Bundespolizei. Bez pośpiechu przegląda podane dokumenty. Jeden – z zamaszystym podpisem komendanta – pokazuje z fuknięciem Aleksowi.

– Jak panowie znają, Edith Kronenberg, lata pięć i dwadzieścia, korzystała z indywidualny tok na studiów... tak się mówi?

– Tak.

– ...Uniwersytet Wrocławski. Z tym kościołem, przed nim znaleziono, połączyły ją amatorska praca... łączyła ją. Udział w chórze. *Musikliebhaberin*.

– Melomanka.

– *Genau so*. Mamy tu wszędzie dużo książek i wiadomości o muzyki – nadkomisarz Wittesch stuka palcem w krawędź laptopa, potem wskazuje na zajmujący całą ścianę regał.

– Klasyka niemiecka, tematy sakralny. Händel, Bach, Durante, Elsner, Górecki. Literatura specjalistyczni...

– Coś poza kolekcją?

– *In der Garderobe* bogaty zestaw cziuchowy na młodzieżowy zabawę, zabawny... mówi się...

– Na imprezy.

– *Genau! Mindestens* czterdzieści par butów. Bardzo piękne sukienki, szwietna bielizna. Zazdrościłam ja. Na zamrażalniku nieterminowa recepta dla... *Medizin. Antidepressivum*. Konieczna data wykupu minęła *vorgestern*... przedwczoraj.

Warski przechodzi do kuchni, Ana i Aleks wraz z nim. Recepta na Fevarin faktycznie wisi na stalowych drzwiach lodówki przytrzaśnięta magnesem w kształcie tolkienowskiego pierścienia z runami. Niemka otwiera wnętrze chłodziarki i szybko zamyka. Zapach nieciekawcy.

– *Offenbar* nje była ona w mieszkaniu od najmniej dwóch dni. Sprawdziłam aktywnoszcz na laptop. Nie logowała i nie korzystała z żadnego programu od piątku szesnastego, czyli już od...

– Jak się pani dostała do jej komputera?

– *Lassen sie...*

– Co?

– Przyjmiemy, że był włączony.

– Przyjmijmy, że nie powinna pani tu w niczym grzebać bez uprzedniego kontaktu ze mną. Stemple na papierach ma pani w porządku, ale wjeżdżanie tylnymi drzwiami...

– Tu tylnych nie ma drzwi.

– Na razie poproszę panią o numer telefonu i opuszczenie tego mieszkania. Po konsultacji z naszymi szefami zdecydujemy o zakresie współpracy. Gdzie się pani zatrzymała?

– Pan robi njedobrze mnie przegania. Ja panu nje mam zamiar przeszkadzac.

* * *

Po pieszym powrocie na Podwale Warski wali prosto do inspektora. Sekretarka Konarskiego – młodsza aspirantka Weronika Płatek, która wygląda, jakby do pracy w policji przysłała ją agencja modelek – bezskutecznie próbuje stanąć mu na drodze. Zrywa się zza stolika, wypina imponujący biust, okulary zerówki zjeżdżają jej na koniec małego nosa.

– Szef ma gościa...

Słaby argument. Na Warskiego nie działa. Wymija dziewczynę i wpada do gabinetu z widokiem na fosę. Przy stole konferencyjnym naprzeciw „Konara” siedzi niski, nieznany mu typ. Drogi garnitur w delikatne prążki, facjata po zabiegach odmładzających, aura kasy i władzy niemal namacalna. Popijają – a jakże – koniaczek. Louis Royer. Bogaty, orzechowy bukiet z owocową nutą, szybki efekt i zero kaca. Warski miał okazję smakować tę ambrosję jeden raz, dawno temu. W odwecie za aresztowanie „Rzeźnika z Vukovaru” serbscy spadochroniarze uprowadzili mieszkańców wioski nad Dunajem. Zagrozili wymordowaniem wszystkich, jeśli Haga nie odpiardoli się od Dokmanovicia. W bazie zaroilo się od europejskich urzędników, przyleciało też helikopterem IFOR dwóch dyplomatów. Markowali przygotowania do negocjacji, w czasie gdy Warski ze swymi ludźmi szykował coś całkowicie przeciwnego. Kiedy już rozpieprzyli Serbów i uwolnili

wieśniaków, jeden z panów reprezentujących europejskie wartości poczęstował ich tym koniakiem. A dokładnie skrzynką Louis Royera.

– Przedstawiam komisarza Warskiego, naszego asa... Coś się, Waldku, stało? – inspektor uznaje, że nie warto dokonywać prezentacji w drugą stronę. – Bo my tu sobie właśnie rozmawiamy o sprawach bieżących.

– Musicie zrobić przerwę. Alk wam nie wystygnie.

„Konar” patrzy przepaszająco na swego gościa. – Dawniej nie był taki złośliwy. Ale zgorzkniał w pracy – próbuje zarechotać i brzmi przy tym jak statysta w popołudniowych paradokumentach. Jego gość wydaje z siebie krótkie, ekstremalnie nisko dudniące „che, che” – i wykonuje ruch głową, w którym jest milczące przyzwolenie na przerwę.

Kto to, do diabła, może być? Bankier wierzyciel? Ktoś z Komendy Głównej? Nie, za dobrze ubrany jak na psa. Chociaż ma w sobie coś resortowego: niezmienny od dziesięcioleci, podlewany gorzałą sztuczny luz.

Konarski wychodzi. W korytarzu zachowuje spokój, lecz tylko do chwili, gdy wychodzą z zasięgu wzroku seksownej asystentki. W męskim kłopotie zaczyna krzyżeć: – Co ty mi wchodzisz jak do obory?!

Twarz mu czerwienieje.

– A co ty mi robisz w śledztwie? Co to za przemądrzała Niemka? Weszła do domu ofiary, włamała się do jej komputera, mała jej dziś nie postrzeliłem.

– Czego nie zrobiłeś?! – inspektor ma ślinę w kącikach ust.

– Nic się nie stało.

– I twoje jebane szczęście. „Stary” przyjął bratnią pomoc z Berlina. Nadkomisarz Wittesch będzie z nami pracować, rozkaz. Teraz przestajesz mnie wkurwiać i wracasz do roboty, bo mam gościa.

– Kto to jest?

– Nie zadałeś mi tego pytania. Ciach bajera – „Konar” odwraca się, podchodzi do pisuaru i zaczyna sikać. Nie patrząc na Warskiego, pyta spokojnym już tonem: – Chodzisz do tego Hejki?

– Chodzę. Ale nazywa się Hajno i cholernie mnie wkurwia.

– No to już nie musisz się męczyć.

– Dzięki.

– Prośba o zmianę psychologa została zatwierdzona.

– Zmianę? Nie prosiłem o zmianę.
– Ale on poprosił. Twierdzi, że go obraziłeś na sesji. I zniszczyłeś cenny mebel.
– Pierdoli.
– Dość! Odbierzesz od Weroniki nowe skierowanie. A teraz żegnam pana komisarza – inspektor zapina rozporek i z chytrym półuśmieszkiem wyciąga w stronę podwładnego rękę, w której przed chwilą trzymał fiuta.

Warski odwraca się w stronę drzwi.

Konarski cofa wzgardzoną dłoń. – Bądź grzeczny dla koleżanki z Berlina.

* * *

O wpół do jedenastej wieczorem na basenie wrocławskiej Akademii Wychowania Fizycznego nieopodal ulicy Paderewskiego jest pusto. Każdy dźwięk – od przesunięcia wilgotnej stopy po posadzce po plusk wody – odbija się zwielokrotnionym echem od wyłożonych błękitnymi płytkami ścian. Waldemar Warski w neoprenowej piance i z pasem obciążonym ołowianymi ciężarkami zakłada pływackie okulary i klips na nos. Zanurzony po pierś robi długą serię głębokich wdechów, a gdy wywołane hiperwentylacją zawroty głowy graniczą z omdleniem – wolno schodzi na dno. Siada na kaflach, krzyżuje nogi, otwarte dłonie kładzie na udach. Zamyka oczy – patrzenie, tak jak myślenie, zwiększa zużycie tlenu.

Chcesz wytrzymać długo – musisz rozluźnić mięśnie i całkowicie oczyścić głowę.

To drugie jest dużo trudniejsze. Świeży obraz dziecka z przystawioną do głowy lokówką i drugi – sprzed dziesięciu lat, ale tak samo wyraźny: umierający w rozbitym samochodzie siedmiolatek błaga wzrokiem o pomoc, której on – uwięziony wśród pogiętych blach – nie może udzielić. Bezradność, ból, wściekłość, żar trawiący tapicerkę.

Woda w basenie ma dwadzieścia dwa stopnie. Optimum. Serce bije szybko. Naczynia włosowate skurczyły się – krew odpłynęła z rąk, nóg i trzewi, by obficie zasilić mózg i płuca. Obieg został zmniejszony, pompa musi więc działać energiczniej. Ale to dopiero początkowa faza zanurzenia. W tej właściwej serce spowolni. Tym bardziej, im dłużej potrwa bezdech.

Nie napinać się, nie wspominać, nie myśleć.

Dziś niemyślenie jest trudniejsze niż zwykle. Roztrzaskane ciało kobiety na bruku, klucz-krzyż, dziwny kościelny kantor i jego teoria o kobietach, które mają milczeć. Ładna niemiecka policjantka i brzydki psychoterapeuta zionący strawioną wodą. Potem znów

umierający Krzysio. Niiieeee... Komisarz próbuje wypchnąć z głowy obrazy, zastąpić muzyką. Refren piosenki Miraculous Mule: *Evil on my mind, evil all the time...*

Pierwszy bąbel z ust wypuszcza w szóstej minucie. Odtąd stara się wydychać zużyte powietrze w regularnych, niewielkich porcjach, co dwadzieścia sekund.

Po dwóch kolejnych minutach, gdy tlen się kończy, nurka ogarnia pozazmysłowy spokój. Delektuje się nim przez kolejne sekundy, które wydają się nie kończyć, bo czas płynie gdzieś obok.

Odpina pas, gdy zaczyna czuć zimno. Prostuje nogi, odbija się od dna i wypływa z rękoma złożonymi nad głową.

Patrzy na zegarek. Sześć minut pięćdziesiąt osiem sekund. Bywało lepiej. Jego rekord to siedem i pół minuty. Ale po pierwsze, nie o rekordy w tym chodzi, a po drugie, za dużo ma w tym tygodniu na głowie, by ją skutecznie oczyścić ze skojarzeń. To samobójstwo nie jest samobójstwem. Policjantka z Berlina za szybko tu przyjechała. Nawet biorąc pod uwagę bogactwo i sławę rodziny ofiary. Gdzie on tę Anę widział?

Kilka razy przepływa basen na ukos – kraulem, delfinem i na plecach, potem nurkuje po balast.

Czuje się dobrze. Podejrzewa, że ostatni raz w tym tygodniu.

Rozdział 6.

Środa 21 września, przedpołudnie

Nadkomisarz Ana Wittesch wsiada do granatowego saaba. Przed chwilą dżentelmeńsko otwarto jej drzwi samochodu. Obrzuca wewnątrz krytycznym spojrzeniem. Zmięte koperty, kartony po pizzy, stare gazety. Kto jeszcze czyta papierowe wydania prasy?

Na tylnej kanapie rozłożony kąpielowy ręcznik. Nie zdążył wyschnąć.

Warski wraca za kierownicę, uruchamia odtwarzacz i wrzuca wsteczny, gdy chłopaki z Miraculous Mule zaczynają grać. Ostro cofając, wyciąga ze schowka termos. Potem jedzie Podwalem pod prąd.

– W co pan się bawi? – gdy lawirują między autami z przeciwka, Ana kurczowo trzyma się uchwytu pod sufitem. Próbuje zachować spokój. – Chce mnie się pan pozbyć? Wystraszyć? Czy ja panu... wie sagt man... przeszkadzam?

Wczesnojesienne słońce praży skośnie przez boczną szybę. Oficer kręci kierownicą, odpowiada dopiero po długiej chwili, gdy wjeżdżają w Świdnicką: – Dobra. Ustalmy zasady: jest pani wyższą ode mnie stopniem protegowaną mego szefa, więc nie musi pani wykonywać moich poleceń. Ale od tego mam aspiranta Toczyka. Już go pani poznała. Nikogo więcej nie potrzebuję do pomocy. Więc pani będzie się przyglądać. Ale nie wpieprzać.

– Wpieprzacz?

– Nie przeszkadzać. Rola obserwatora.

– Ale ja jestem...

– I nie marnujemy czasu na zbędne dyskusje. Czy to jasne?

Cisza. A potem: – Przeczytałam wieczorem w tutaj web-serwisu, że ratował pan dziewczynka z rąk *Pervert...* i ukarał podejrzany na przykładowo miejscu. Dobrze powiedziałam?

– Mówi się: ukarać przykładowo.

– Tak u was jest wolno? – uśmiezek na drobnych ustach Any. Takie usta miały przedwojenne gwiazdy niemego kina. Warski z pewnym trudem odrywa od nich wzrok, by pilnować drogi.

Mija plac Teatralny.

– Droga pani nadkomisarz... – mówi nienaturalnie spokojnym tonem. – Podejrzany dewiant zginął przy próbie zamachu na życie dziecka. Tyle. A my... ja i pani... nie jesteśmy parą gliniarzy z amerykańskiego filmu. Nie poznamy się i nie zostaniemy przyjaciółmi. Skończymy sprawę Edith Kronenberg, napiszemy swoje raporty i więcej się nie spotkamy.

– *Warum?*

– Wa-co?

– Dlaczego nje spotkamy?

– Takie mam przeczucie.

Na Szewskiej Waldemar jeszcze raz pociąga z termosu i odkłada go do wnętrza podłokietnika. Gdy zatrzymuje saaba pośrodku placu z fontanną, Ana ma wielką ochotę dyskretnie wyniuchać, co jest w naczyniu. Niestety – jego właściciel nagle sobie o napoju przypomina, wsuwa ramię do kabiny i zabiera termos. Wchodzą oboje do kościoła przez to samo imponujące zachodnie wejście, pod którym dwa dni temu kantor Jan znalazł ciało Edith.

* * *

Ulga. W kościele jest przynajmniej dziesięć stopni chłodniej niż na zewnątrz. Warski z trudem powstrzymuje się, żeby nie zanurzyć głowy w kamiennej misie na wodę święconą. Zamiast tego sprawdza godzinę w komórce.

– Próba zaraz powinna się skończyć. Musimy znaleźć drogę na galerię.

Ana już chce wskazać drogę, ale się powstrzymuje. Staje między przedsionkiem i nawą, patrzy w obie strony, jakby nigdy w tym gmachu nie była. Przykłada rękę do ucha. – Możemy iść za dźwiękiem.

Rzeczywiście: słyhać śpiew. Gdzieś daleko, w głębi... Policjant próbuje sobie przypomnieć, co powiedział proboszcz: arkada nad prezbiterium, świetna akustyka.

Ruszają.

W miarę przybliżania się do głównego ołtarza – zastygłych w ruchu świętych i Chrystusa na krzyżu – śpiew jest coraz wyraźniejszy. Można rozróżnić kilka kobiecych głosów i odgłos kroków dobiegający z całkiem innej strony.

Z bocznej kaplicy wychodzi kantor Rudzki. Wygląda, jakby chciał im zagrozić drogę i powiedzieć coś nieprzyjemnego. Ostatecznie zatrzymuje się i patrzy tylko na Anę. Warskiego zdaje się nie zauważać.

Policjanci wchodzą pod sklepienie ciemnego przejścia na chór. Kiedy pokonują kręcone kamienne schody, śpiewy na galerii ustają. W nagłej ciszy wchodzą do jasnej, wąskiej, wysokiej hali. Wzdłuż ceglanej ściany stoją cztery kobiety w płaszczach. Dłonie pochowały w rękawach. Piąta z pań podchodzi do Any z wyciągniętą dłonią. Ma po kilka różnobarwnych pierścionków na wszystkich palcach, paznokcie pomalowane na amarant, wyraziste usta w podobnym kolorze. Na nadgarstku malowane henną znaki elfów. Jest wyższa od niemieckiej policjantki i, jak się Warskiemu zdaje, starsza. Klasycznie piękna twarz, bardzo długie sztuczne rzęsy, włosy w odcieniu orzecha, spod patchworkowego płaszcza wystają buty „eskimoski”.

– Kamińska. Proszę mi mówić Wanda.

– Ana Wittesch, policja berlińska.

– Waldemar Warski. Komenda wojewódzka.

– Słyszałam o panu.

– Ja o pani również – komisarz wyciąga notatnik i czarny długopis. – Od księdza proboszcza.

– Dziewczyny, na dzisiaj dosyć! – dyrygentka odwraca się i klaszcze w uniesione dłonie. Śpiewaczki – trzy z nich mogą być studentkami, jedna jest po pięćdziesiątce – zbierając się do wyjścia, szeptem wymieniają uwagi, a przy tym obserwują policjantów nieufnie. Kamińska macha na pożegnanie każdej z osobna. Posyła uśmiechy, których poddenerwowane chórzystki nie odwzajemniają. Później dyrygentka gwałtownie poważnieje.

– Czym mogę państwu służyć?

– Garścią informacji. Dobrze znała pani Edith Kronenberg?

– Dość dobrze. Poznałyśmy się na uczelni. Miałyśmy podobne zainteresowania.

– Muzyczne?

– Nie tylko. Artystyczne, naukowe, estetyczne i ogólnokulturalne. Przygotowywałyśmy razem prace popularyzatorskie. Z dziedziny muzykologii, religii i estetyki. Nosiłyśmy się z pomysłem wydania pierwszej z nich. Chyba nie przesadzę, mówiąc, że Edith była mi bratnią duszą. Wiadomość o jej, o tym... wypadku... dosłownie zwała mnie z nóg.

– Szybko doszła pani do siebie.

– Cóż... każdy mierzy się przecież ze smutkiem na swój sposób, czyż nie?

– Czy ma pani własny klucz od kościoła? Mam na myśli ten w kształcie krzyża.

– Mam. Kamińska sięga do głębokiej kieszeni swego wielobarwnego okrycia. Pokazuje czarny krzyż.

– Dziękuję – Warski skreśla coś w notatniku. – A pomysł żeńskiej scholi był czyj?

– Żadna z nas, cóż, nie ma, nie miała głosu na solową karierę. Ale na chór wystarczyło. Pomysł był mój.

– Kiedy Edith była ostatni raz na próbie?

– Tydzień temu. Przedwczoraj nie przyszła. Myślałam, że uderzyła gdzieś w dłuższy melanz, co się zdarzało...

– Była zabawową dziewczyną?

– Zdecydowanie. Młoda, zamożna z domu, dowcipna, inteligentna, zwracała uwagę facetów. Co? Dziwi się pan? Kościelny chór i jednocześnie imprezy?

– Niczemu się nie dziwię. Pytam. Jakie Edith miała relacje z rodziną?

– Niedobre. Kronenbergowie to klasa lepiej niż wyższa, on jest właścicielem banku, ona prowadzi salon artystyczny słynny nie tylko w Monachium. Ufundowali galerię sztuki swego imienia. Ale Edith miała to wszystko w poważaniu. Odsunęła się od rodziców. Wyjazd na studia do Polski, zamiast...

– ...powiedzmy... na Oksford...

– ...tak, to był z jej strony wyraz buntu.

– Byłyście dobrymi przyjaciółkami?

– Mam nadzieję, że tak o mnie myślała. Ja lubiłam ją bardzo. Jak siostrę.

– Nie była czymś więcej?

Milcząca dotąd Ana wydaje z siebie cichy syk, a Wanda perliście się śmieje.

– Och, nie. Jeśli ma pan na myśli to, czy byłyśmy parą lesbijek, to – niestety – muszę pana rozczarować.

– Niestety?

– Cóż... Pan, jak się domyślam, po raz pierwszy zetknął się z Edith po jej wypadku. Widziałam to obrzydliwe zdjęcie w tabloidzie. Powinniście ich za coś takiego zamykać. Szakali. – Kamińska krzywi się i jednocześnie robi w powietrzu gest, jakby chwytła i rozgniatła w garści komara. – Za życia Edith była olśniewająca, uwodzicielska, wulkan energii, głowa pełna pomysłów. Trochę korzystałyśmy z Wrocławia, to prawda, ale z umiarem. Niech pana nie zmylą zdjęcia z Facebooka. Zdjęcia z imprez prawie zawsze są, cóż... przesadzone.

– Czy mogła chcieć popełnić samobójstwo?

– A nie popełniła?

Długa chwila milczenia. Warski musi przyznać, że jego niemiecka koleżanka, nawet jeżeli ma ochotę się wtrącić, dzielnie daje odpór pokusie.

Wanda dotyka palcem swego klasycznego nosa rzymskiej bogini, a potem mówi wolno:

– Edith łatwo się zakochiwała.

– Kto był ostatnim obiektem jej uczuć?

– *Herr* kantor? – Ana jednak nie wytrzymała.

Dyrygentka, wbrew przewidywaniu Warskiego, nie jest zaskoczona pytaniem.

– Nasz drogi Jan to ciekawy mężczyzna. Wiem, że przynajmniej raz się spotkali. Był u niej na Kazimierza. Mówiła mi, że przyszedł przekonywać, byśmy zrezygnowały ze śpiewu w kościele, bo to bluźnierstwo. Twierdziła, że zachowywał się, cóż... penetrancko.

– Penetrancko?

– Tak powiedziała. Chyba nasza aktywność artystyczna drażniła go z powodów dogmatycznych. Ale nie sądzę, by w imię dogmatów skrzywdził Edith. Jeśli ją kochał, to tylko platonicznie.

– A to czemu? – policjant stuka długopisem w notes.

– Niech pan z nim sam porozmawia.

– Porozmawiam. Ma pani jakieś inne podejrzenia?

Wanda kręci przecząco głową.

– Nie. W ogóle nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł chcieć zabić Edith.

* * *

– Właściwie nie ma się do czego przyczepić. Nie współżyła przed śmiercią. *No sex, no drugs*. Nie miała we krwi śladów narkotyków, antydepresantów ani alkoholu. Pusty żołądek, nic nie jadła od dwóch-trzech dni. Nic nie piła, co jest dość dziwne, bo wszystkie znane mi cudowne diety – o ile sobie taką aplikowała – każą się nawadniać podczas głodówki. Inna sprawa, że z jej figurą dieta wydaje się bezsensowna. Po co miałyby się głodzić? Może, biorąc pod uwagę finał tej historii, po prostu się czymś skrajnie zamartwiała w ostatnich dniach. Ale to już nie ja muszę ustalić.

Magdalena Batorzyńska odsłoniła przed obojgiem policjantów tylko zaszytą grubymi czarnymi nićmi twarz nieżyjącej. Resztę nagiego pociętego ciała kryje tkanina równie biała jak fartuch patolożki. Oko ofiary jest już chyba na swoim miejscu, bo zamknięte powieki

Edith niewiele się od siebie różnią.

– Nie ma śladów większej przemocy, są natomiast drobiazgi. Pęknięte kąciki warg, połamane paznokcie, liczne drobne zadrapania i zasinienia powstałe w okresie od dwóch dni do dwóch godzin przed śmiercią. Wszystkie w okolicy stawów skokowych, przedramion, a szczególnie nadgarstków, w okolicach dłoni i szyi... – patolożka mówi jednostajnie, jakby nagrywała protokół sekcji na dyktafon. Jest w jej głosie jakaś sztuczność. Jakby za wszelką cenę próbowała ukryć swoje emocje.

– Przyczyną mogły być autoagresywne zachowania, co by współgrało z tezą o załamaniu psychicznym – ciągnie. – Jeśli chodzi o ślady szyjne, zastanawiałam się nawet, czy to nie była próba powieszenia, ale do typowej bruzdy wisielczej jest jeszcze daleko. Ślad dość dziwny. Jakby nosiła obrożę. Masz coś w tym kierunku?

Ana taksuje jasną twarz Magdaleny uważnym spojrzeniem. Przy powitaniu wydawało jej się, że patolożka i komisarz są na „pan – pani”, nie na „ty”. Batorzyńska nie odwzajemnia spojrzenia. Od początku spotkania zachowuje się tak, jakby Warski przyszedł tu sam.

– Jeśli pytasz, czy znalazłem u niej w mieszkaniu madejowe łożo, kolczatkę na szyję i zestaw pejczy, to nie – on kuca przy stole sekcyjnym, jak gdyby chciał zajrzeć leżącej w ucho, potem przygląda się dłoniom. – Coś pod paznokciami?

– Dobrze kombinujesz – lekarka kiwa głową. – Ale musi się wypowiedzieć materiałowizna, dałam już próbkę do analizy.

– Próbkę... – policjant gestem zachęca, by powiedziała coś więcej.

– Pod szkiełkiem wygląda mi to na filc. Substancję sprzed epoki tworzyw sztucznych. Jeszcze w latach osiemdziesiątych tak robiło się płaszcze, tanie dywany i wykładziny. Albo trupięgi.

Komisarz prostuje się nad ciałem Edith.

– Mamy jej palto na badaniach, ale z tego co widziałem, to raczej nie jest filcowa kapota po dziadku, tylko drogi ciuch z niemieckiego butik. Jeszcze sprawdzimy. Coś cię szczególnie zaskoczyło?

– Dwie rzeczy. Przekrwione białka – jak przy jaskrze. I siniaki pod językiem połączone z naderwaniem więzadła...

– ...które mogą oznaczać...

– Oczy czy naderwanie?

– Jedno i drugie.

- Co do oczu, to albo rzeczywiście jaskra, albo długie przebywanie w ciemności i późniejsze porażenie światłem. Kilka mniej prawdopodobnych przyczyn to alergia, grypa, gwałtowne kichanie. Albo kolejny przejaw autoagresji. Mogła te oczy zwyczajnie trzeć.
- Język?
- To jest bardziej dziwne – patolożka wyjmuje z kieszeni fartucha cienkie rękawiczki, nakłada je i delikatnie otwiera usta denatki.
- Tu popatrz.
- Widzę – schylony Warski przez chwilę dotyka policzkiem kosmyka platynowych włosów Magdaleny.
- Sie versuchte... próbowała połknąć język? – w tonie stojącej za nimi Any czuć zniecierpliwienie.
- Tak mogło być, proszę pani – Batorzyńska dopiero teraz zaszczyca ją spojrzeniem swoich wielkich oczu. – Mogła próbować to zrobić, co domykałoby nam pełen zestaw autoagresywnych zachowań poprzedzających samobójstwo...
- ...jakie jest chyba nietypowy na kobietę – Ana dokańcza zdanie, zaś Magdalena potakująco kiwa głową i nawet się do policjantki uśmiecha. – Zauważyła już pani, że to śmierć spoza tradycyjnego repertuaru kobiet?
- *Natürlich*. Statystyczna samobójczynia w ponad siedemdziesiąt procent przypadki decyduje się na przedawkowanie tabletki. *Mehr als ein Duzend prozent* podczina żyły. Powieszenie, truj gaz, *Abgase*, te... spaliny... to ledwo kilka procent odsetki. Skok z wysokoszczi... ewenement *für ein Mädchen*.
- Chyba że czyn ma być manifestacją albo komunikatem skierowanym pod konkretny adres – Batorzyńska zdejmuje rękawiczki, wkłada dłoń w kieszeń fartucha, wyciąga z niej okulary i zaczyna się nimi bawić.
- *Zum Beispiel* do rodziców, że tak jej nie kochali. Niewykupiony antydepresanty, psychiczne załamanie, próba wieszania się albo duszenia przez język. A na koniec spektakularny skok.
- To wszystko zbyt łatwe. Dlaczego miałaby wysyłać starym pocztówkę aż z Wrocławia? Akurat wtedy kiedy się im wyrwała – komisarz przeczesuje się dłonią. Najpierw stawia na sztorc, a potem niedokładnie wygładza niesforną czuprynę. – Czy to jest możliwe, by ktoś ją przywiązał... powiedzmy za szyję, nadgarstki i stopy... do jakiegoś obitego filcem katafalku?

Krótki śmiech Magdaleny.

– Więc twoim zdaniem to byli sataniści? Myślałam, że jednak jesteś inteligentniejszy niż „Fakt”.

– „Fakt”? – dopytuje Ana? – *Was is das?*

– Nasz „Bild” – odpowiada lekarka. – Nawet to sobie wyrysowali na stronie. Dziewica ułożona na ołtarzu Lucyfera szarpie się i drapie, a biali heteroseksualni mężczyźni po pięćdziesiątce w czarnych pelerynach i maskach weneckich medyków odprawiają nad nią rytuał Szandora LaVeya.

– *Quatsch mit Soße!* – Ana nie ma najmniejszych wątpliwości. – Bzdura totalna.

– Niestety komisarz jest typowym samcem: trudno mu z głowy wybić mroczne zabójstwo, zwłaszcza jeśli sądzi, że sam je wymyślił – Batorzyńska ignoruje ostrzegawcze pomruki Warskiego. – Jeszcze się pani przekona.

* * *

– Uciekła od rodziny, w obcym kraju i obcym mieście łączyła imprezowanie z lekami, a *schließlich* nie dokupiła recepta. Napad depresji mógł ją atakować po kilka... klicko... kilkudniowym, jak ta jej koleżanka, Wanda... jak mówiła?

– Po kilkudniowym melanzu.

– *Genau so. Kater, Katzenjammer*, załamanie. Nie jadła, nie piła. Dalej jeszcze gorzej. Wybrała *ein dramatisches Finale*.

– I nie zostawiła żadnego listu do rodziców? – Warski pije z termosu, w szyby zaparkowanego wciąż przed prosektorium saaba bije chłodny deszcz. W środku dnia zrobiło się szaro. Jesień jednak nadciąga. Ale nie czas na melancholię. Przeciwnie – policjant odczuwa pęd do działania, a wypijana mikstura ma w tym zapewne swój udział.

– Dlaczego nie zostawiła listu? – powtarza.

– Może po to, aby jeszcze bardziej pokazywac rodzicom, że ona nje ma nic do... dodanja?

– Nie ma im nic do powiedzenia.

– *Übrigens...* dzwoniłi do mnje z Berlina, chcą, żebym towarzyszyła Frau Kronenberg przy pokazanju zwłoka córki.

– Świetnie, może się jednak pani do czegoś przyda – gliniarz zamyka termos przyciskiem i chowa go pod łokciem. – Zrobimy tak: pani wybada matkę, jak silny był konflikt rodziców z córką, na ile to mógłby być motyw i czy ona, znaczy Edith, przejawiała kiedyś skłonności samobójcze. I jeszcze, na wszelki wypadek, czy miała kontakt z jakimikolwiek

sektami.

– Ale pan to nje wierzy, co mówi.

Komisarz kładzie ręce na kierownicy i bębni palcami w jej skórzaną okładzinę.

– Powiedzmy, że sataniści i wiązanie do katafalku nie jest już u mnie teorią numer jeden.

– *Warum?*

– Przynajmniej parę rzeczy się tutaj nie składa. Skąd Edith miała klucz do kościoła?

– Od kantora?

– Kantor Rudzki nie ma alibi. Był w kościele, a potem wyszedł na spacer i znalazł ciało.

Albo poszedł sprawdzić.

– Co sprawdzić?

– Upewnić się, że ofiara nie żyje. Może chciał coś przy tym usunąć? Na przykład swój klucz z kieszeni jej płaszcza. Ale pechowo dla niego krzyż wypadł po drodze w górę, a płaszcz został na dachu.

– *Es macht keinen Sinn.* Gdyby ją osobliwie spychał...

– Osobiście.

– ...nie musi wtedy martwić się płaszczem i kluczem. Wziął on by jedno i drugie. *Und vor allem: daczego jej nie zabił einfach.*

– *Einfach?*

– Tak całkiem zwykło. Jak ludzie się zabijają.

– A jeśli jej tylko dopomógł w samobójstwie? Nachodził w domu, sączył coś do głowy o błuźnierstwach, o łamaniu dogmatów Kościoła, o nieuchronnej karze boskiej za grzeszne śpiewanie...

– *Es past nicht zusammen.*

– Nie trzyma się kupy?

– Przedumane.

– Wydumane.

– Od niedobrego thrillera. Mężczyzna, jaki nienawidzi kobiet. *Män som hatar kvinnor.*

Verblendung.

– Co?

– Powieść taka. *Roman* ze Skandynawia.

– Słyszałem, ale nie czytałem. Nie lubię książek kryminalnych.

– *Warum?*

– Mam dużo ciekawszych lektur – Warski po raz tysięczny przypomina sobie o książkach stojących w kartonach pod ścianami mieszkania i przekręca klucz w stacyjce. – Wydaje mi się, że wszyscy tu kłamią. Proboszcz coś ukrywa, ten cały Rudzki oczywiście też, kłamię nawet nasza dyrygentka, szczególnie jeśli chodzi o relacje z Edith. I pani też coś ukrywa, pani nadkomisarz.

– *Ich?!*

– Nie spotkaliśmy się... – komisarz uruchamia wycieraczkę i wyjeżdża ze szpitalnego parkingu. – Nie spotkaliśmy się pierwszy raz w mieszkaniu Edith. Stała pani na Szewskiej nad ciałem w poniedziałek, jak tam przyjechałem.

Ana milczy.

– Mam wrażenie, że to wszystko coś znaczy. Czemu usiłuje mnie pani przekonać do wersji samobójstwa? Gdyby istniały jeszcze kontrole graniczne, po prostu bym zadzwonił i zapytał, kiedy dokładnie przekroczyła pani...

– ...ale nie istnieją. I pan, Polacy wszyscy, powinniście być z tym *zufrieden*.

– Cały mój naród jest niezmiernie wdzięczny Berlinowi za hojne dotacje, za trud niemieckiego podatnika, który z dzikiego kraju czyni nas cywilizowanym społeczeństwem...

– Czy pan pije jakis alkohol?

– To nie jest pani sprawa.

Warski ostro wjeżdża na zalewane deszczem rondo Reagana. Przed mostem Grunwaldzkim, który Anie nieodparcie kojarzy się z podobnymi konstrukcjami nad Sprewą, musiał się zdarzyć niedawno jakiś wypadek. Miga niebiesko radiowóz, jest korek. Komisarz zwalnia. Jego pasażerka utkwiała wzrok w wodnych smugach płynących po szybie.

– Ja nie wiem, dlaczego pan na mnie patrzy jak na zepsutą dziewczynkę. Ja się nie nazywam Kronenberg, mój ojciec nie siedział na milionach. Wychowałam się w Deutsche Demokratische Republik i wiem, jak było, kiedy istniał *Mauer*. Wiem, co to jest kolejka po jedzenie, co to jest propaganda, co to jest kłamstwo na śniadanie, obiad i to... *Abendessen*. Przez pieprzony *Mauer* straciłam obydwie rodzice.

– Przez mur berliński?

– Tak.

– Przykro mi.

Ana milczy.

Suną wolno po moście na pierwszym i drugim biegu, w powietrzu wiszą niezadane pytania, ale ona najwyraźniej nie ma ochoty kontynuować opowieści o sobie i rodzicach, a on w końcu mówi cicho, jakby sam do siebie: – Nie będziemy wykluczać ani samobójstwa, ani przyczynienia się do śmierci, ani zabójstwa z premedytacją. Pod kościołem są kamery uliczne. Kopie zapisów będziemy mieli jutro. Pooglądamy sobie razem.

Ana odpowiada skinieniem.

– Jestem Waldek, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Przeciwko Waldkom?

Warski wybucha krótkim śmiechem.

– Ana – ona podaje mu dłoń. On ściska ją mocno. Odpowiedź też jest zaskakująco silna.

– Masz krzepę.

– Co?

– Nieważne. Gdzie cię odwieźć?

– Nie trzeba odwożicz. Przespaceruję się spod policja. Lubię deszcz.

Rozdział 7.

Środa 21 września, popołudnie

W Galerii Dominikańskiej, gdzie w rybnym fast foodzie zjadła spóźniony lunch, Ana kupiła przenośny grzejnik, kabel przedłużacz z czterema wtyczkami, miniaturową drukarkę HP i zapasowy toner, paczkę flamastrów, plik barwnych stickerów oraz trzy ryzy papieru A4. Zaparkowała kabriolet tak blisko kościoła jak tylko się dało, a potem – na raty – wniosła wszystko wraz z drugą walizką do swojej celi. Mijając ukryte przejście na ciemnym półpiętrze, za każdym razem nasłuchiwała. Ale tym razem nikt nie śpiewał i żaden mężczyzna nie zaszedł jej od tyłu.

Podłączenie dodatkowego sprzętu grzejącego sprawiło, że po raz pierwszy od przyjazdu mogła się rozebrać do koszulki. Otworzyła butelkę ustronianki – o smaku podobnym do jej ulubionej Highland Spring – rozłożyła na łóżku przejęte rankiem od proboszcza papiery, o których tyle jej opowiadał przez telefon, włączyła laptop i zanurzyła się w pracy, z powodu której tu przyjechała. W excelowskich tabelach, ciągach cyfr, rejestrach sądowych i stenogramach z posiedzeń ważnych gremiów złożonych z osób duchownych i świeckich. Teraz – gdy na zewnątrz robi się ciemno – jest już tak pochłonięta robotą, że za pierwszym razem nie słyszy pukania. Ksiądz doktor Edmund Witecki stuka więc po raz drugi. Ana nakłada bluzę na koszulkę i uchyla drzwi.

– Cieszę się...

– ...że to nie Jan przyszedł cię niepokoić?

– Że on tu jest gdzieś obok... to *ein bißchen* utrudniało skupienie, ale się przy... przyzwyczajam. Tak mówisz?

– Tak. On nie będzie przeszkadzał – ksiądz przysiada na rogu zavalonego papierami łóżka. Bierze do ręki jeden z dokumentów. Kopia protokołu wyceny nieruchomości sporządzonego przez wrocławskiego rzeczoznawcę na potrzeby stołecznej kancelarii prawnej Jagielski i Partnerzy z ulicy Kruczej. – Nie mogę mu na razie odmówić gościny, lecz uprzedziłem, by się trzymał od ciebie z dala. Coś znalazłaś?

– Niewiele. Potrzebny mi czasu. Więcej dnia mi ten policjant zajmował.

– Komisarz Warski. Mówiłem ci, że będą problemy.

– Nie ma powodu do nerwów. Trzymam rzecz na pulsach... tak się mówi?

– Rękę na pulsie – proboszcz wykonuje stosowny gest, przykładając krótkie palce do grubego nadgarstka. – Obyś miała rację. Przyniosłem ci klucze od wyjścia na Łaciarską. Chciałem dać ci też od drzwi automatycznych, pod wieżą, byś nie musiała chodzić aż przy kancelarii, tylko niestety...

Ksiądz robi pauzę.

– ...niestety klucz zginął. No tak.

– Dzisiaj?

– Dzisiaj zauważyłem. Miałem cztery klucze. Jeden dałem Wandzie, a jeden Janowi, także...

Ana przeciąga kciukiem po policzku i na chwilę wkłada sobie koniec palca do ust.

– ...także jeszcze dwa mi zostały. Lecz teraz jest jeden.

– Mogła Edith zabracz?

– To, niestety, prawdopodobne.

Kapłan skubie mankiet sutanny włożonej pod ciemnoszary sweter z kieszeniami.

– *Also...* ten krzyż, który *Herr Kommissar* znalazł.

– Należał do mnie. Na to wychodzi, że policja będzie mnie podejrzewała.

Ana znowu trzyma kciuk w ustach.

– A wiesz, że twój ojciec jako chłopak też ssał palec, kiedy się frasował?

Ona próbuje się uśmiechać. Ale nie wychodzi to przekonująco. Choć minęło ponad ćwierć wieku, każde wspomnienie o ojcu boli.

– Usiądź koło mnie. O, dobrze... Od przyjazdu chciałem z tobą porozmawiać o Leonardzie. Mym stryjecznym bracie.

– Też chciałam cię o coś zapytać.

– Więc pytaj.

– Kiedy ostatni raz go widziałeś, mówił, co zamierza zrobić?

– Jeśli masz na myśli... Nie. Udawał spokojnego. Ale ja czułem, że to pozory... tak. Myślenie kciuka zawsze go przede mną zdradzało. Mówił o ucieczce. Że musi się udać, że obie będziecie bezpieczne, bo ma jakieś dokumenty, jakąś polisę. Tak o tym mówił. Polisa ubezpieczeniowa. Na życie. Zawsze miał dużo tajemnic. Spotykaliśmy się ukradkiem. Ty z twoją mamą chyba...

– My wiedziałyśmy – Ana zaplata stopy. – Tata powiedział mi w wielkiej tajemnicy, że

mamy w Polsce rodzinę. Chyba szłam wtedy do pierwszej *Grundschule*. Przestraszyłam się tej wiadomości. Polska nie miała dobre konotacje. Łobuzy z konspiracyjnej „Szolidarnosci”, sabotażysty...

– To były straszne czasy, zakłamane. Szwagierki Wittesch, nasze kochane matki, miały ciężkie losy. Ale się nie poddawały. Obie przystojne, zawsze piersi do przodu, brały się pod boki, prawdziwe Ślązaczki. Otto i Maks mieli gust do kobiet. Z tym że moja mama, taka... bardziej niemiecka, miała czerstwą cerę wieśniaczki. A twoja babka była pół-Polką i gładką niewiastą bardzo... krew z mlekiem się kiedyś mawiało. Pamiętam, jak obie siedziały w kuchni, w oparach bielizny, i te ich ukradkowe rozmowy. Zapach warzonych kalesonów i szeptów. Twoja babka mówiła, że za to, co nasi ludzie porobili na Wschodzie – nie będzie litości. Musiało już być po tym, gdy czerwoni wymordowali Nemmersdorf. Niedługo mieli się pojawić i u nas. Miałem pewnie cztery, pięć lat. Ale dużo już rozumiałem. Wiedziałem, że ojciec, że Otton, jak poszedł z Paulusem, to już nie wróci. Nawet w czterdziestym piątym mama wciąż nie wiedziała, czy zginął nad Wołgą, czy go wywieźli na Sybir. Łudziła się, że mógł przeżyć. Był zwykłym żołnierzem z poboru. Nie należał do partii. Jego brat, a twój dziadek – tak samo. Prosty *Gefreiter* w dwudziestej pierwszej, a potem w dziewięćdziesiątej dywizji, ale wiesz sama...

– Wiem... *Panzergruppe Afrika, unsere Helden*. Honorowi, do końca wierni, niesplamieni mordami w Europie. *Deutsche Wüste-Ritter*. Rycerzowie.

– Zbędna ironia. Twój dziadek bił się uczciwie. Pod Agedabią zdobył Krzyż Żelazny. Zginął pod El Alamein. No tak. Już po „Gustloffie”, kiedy *Gauletier* kazał cywilom wyjść z Breslau, twoja babka, wdowa z dzieckiem, poszła na Drezno. Pieszko, na mrozie. Marli tysiącami. Mały Leonard wpadł pod konia. Tak go poturbował, że nie mógł iść o własnych siłach. Twoja babka niosła go na rękach. Przygarnęli ich, prawie umierających, jacyś dobrzy ludzie w Lüben. Breslau już wtedy był twierdzą, mojej mamie kazali zostać. Miała pracę w kuchni polowej, była *Kampf erforderlich*. Niezbędna. I zobacz, jak to się potem poplotło. Breslau zmienili we Wrocław, mamusia została po złej stronie kurtyny, ale jednak żyła. Doczekała siedemdziesiątki, a twoją babkę...

– Zgwałcili na oczach taty i pokroili jej bagnetami twarz, co była jak krew z mlekiem. Proboszcz chwilę milczy.

– Chciała się powiesić. Niektóre zabijały wcześniej dzieci, topiły w przerębłach, strzelały do siebie wzajem, połykały trutkę na szczury. Ale ona się nie powiesiła. Twój

ojciec mówił mi później, że to przez niego. Bo bez niej by nie przeżył. To były podobno jej ostatnie słowa: „Zostaniemy, schowamy się i przetrwamy”. *Du mußt überleben*. Tak mu powtarzała. Musisz przeżyć. Ruscy ją zgwałcili, lecz nie zamordowali w niej ducha, i dzięki temu Leonard też przeżył. Odnalazł mnie, gdy byłem już klerykiem, tu niedaleko, pod miastem. Lata pięćdziesiąte, jeszcze wokół ruiny, szaber, gwałty, masa ludzkich nieszczęść. Moja mamusia się bała. Przetrwała Sowietów, nie wiem, co jej zrobili, nigdy nie mówiła. Wittesch, Witecka, nazwiska przepisywali ludziom bez przeszkód, lecz strach był. Nawet w seminarium mówiło się po kątach, że dzieci folksdojczów i Ślązaków nie będą mogły... mniejsza z tym. Jak twój ojciec pierwszy raz przyjechał, było już chyba piętnaście-dwadzieścia lat po wojnie. Nigdy mi wprost nie powiedział, kto go wysyłał do Polski – i po co. Domyślałem się tylko, że centrala handlu, w której on pracował...

– *Du sagst: Außenhandelszentralle?*

– No tak. Ci go delegowali lub partia. Albo i jedno, i drugie. Innej możliwości nie było.

– Nie było?

– Potem już przyjeżdżał regularnie – zatopiony we wspomnieniach kapłan nie reaguje na wątpliwości krewniaczki. – Za każdym razem musieliśmy konspirować, by pogadać. Mówił, że jego szefom bardzo by się polski kuzyn nie spodobał. Polak, którego matka wyrzekła się niemieckich korzeni – i ksiądz na domiar złego. Ja po prawdzie też się nie chwaliłem Leonardem, chociaż był niby w tych dobrych Niemczech, a nie u rewizjonistów z Łaby. Alumni, nawet księża, nawet nasi wykładowcy ze Lwowa, z Równego, ze Stanisławowa... niczego nie rozumieli. Ojciec poległ w mundurze Wehrmachtu? Brat w Berlinie? Za to można było oberwać po uchu, no tak.

Proboszcz macha ręką, jak gdyby chciał odgonić resztę wspomnień. Wstaje, poprawia sutannę.

– Rozgadałem się, dziecko, przepraszam... Najważniejsza teraz jest twoja misja. Musimy uratować, ile się jeszcze da. Choćby to było tylko dobre imię mojej... no tak... instytucji.

* * *

Przedwcześnie zrudziałe kasztanowce przybrały po deszczu smutny, brunatny kolor. Pod drzewami, w zapadającym mroku, schną obsypane liśćmi drogie modele aut. Wśród nich dwukolorowa, kobaltowo-czarna lancia ypsilon pokryta matowym lakierem. W Belvedere Park przy ulicy Przyjaźni czuje się pieniądz. Pod kasztanami trawnik jak zdjęty z Wimbledonu, nowy chodnik, szerokie schody wiodą na wysoki parter białego

apartamentowca. W holu, za podwójnymi drzwiami i szybą, ochroniarz portier podnosi głowę znad kontuaru. Ma siwy uniform, do ramienia przytroczone walkie-talkie i nieprzytomne oczy. Nerwowo pociera nos.

– Gdzieś tutaj macie gabinet psychologiczny – Warski nie wyciąga legitymacji. – Doktor Joanna Staniszk.

– Trzecie piętro, se... sektor B – recepcjonista wstaje i wtedy widać, jaki jest wysoki i chudy. Wskazuje zamontowaną w kącie tablicę z dziesiątką nazw, nazwisk, logotypów, numerów i wielkich liter. Sprawia wrażenie osoby, którą przyłapano na czymś brzydkim i która chce się teraz bardzo wykazać. – Nieestety nie po-powiem panu, czy już nie zamknięte. Winda jest tutaj.

Komisarz podchodzi do aluminiowych drzwi, dusi podświetlony przycisk i pół minuty później wkracza wprost do przestronnego, minimalistycznie urządzonego studio, gdzie wszystko zdaje się odwrotnością zagraconego gabinetu Patryka Hajny. Rozproszone białe światło, puste ściany w barwach kości słoniowej, jasny i prosty stół, funkcjonalne krzesła. Nie śmierdzi kadzidełkami – pachną narcyzy w wysokim białym cylindrze. Żadnych bibelotów, w centrum designerski szeslong, który wskazuje mu gospodyni. Ona sama siada w obłym fotelu za niskim blatem z przydymionego szkła. Patrzą na siebie.

Wiek psycholożki Warski może się tylko domyślać. Pracę chirurga estetycznego włożoną w twarz i szyję ocenia na szóstkę. Delikatnie pomalowane szminką usta, perfekcyjny makijaż podkreśla zieleń oczu, ołówkowa spódnica przed kolano odsłania opalone nogi i ekscytujące kolana. Włosy ufarbowane na niby-naturalny słowiański len, zero biżuterii. Ton głosu lekko zdarty, jak u pieśniarek ladino czy fado.

– Nazywam się Joanna Staniszk. Jestem psychoterapeutką i proponuję, byśmy zaczęli od kwestii technicznych. Możemy się widywać dwa razy w tygodniu.

– Może wystarczy raz na dwa tygodnie?

– Hmm... To zależy od pana, komisarzu. Poprzedni psycholog, jak usłyszałam, nie odpowiadał panu.

– Po prostu nie jestem fanem gładzenia o niczym nazywanego mylnie szczerą rozmową. Taki mam charakter.

– Spotykamy się między innymi dlatego, żeby to zmienić.

– Jeżeli ci powiedzą, że góra zmieniła swoje miejsce...

– ...uwierzyć możesz, lecz jeśli powiedzą, że człowiek zmienił charakter, nie wierz.

Schopenhauer, a wcześniej Mahomet. Nie zgadzam się z tym twierdzeniem.

Komisarz milczy.

– Pan dużo czytuje filozofów?

– Pani często przyjmuje gliniarzy?

– Nieczęsto. Szczerze mówiąc, staram się tego unikać. Tym razem mnie... hmmm... poproszono. Pańscy szefowie mają znajomych, którzy są także moimi znajomymi. Im zależy na pańskiej kondycji psychicznej. Cenią pana.

– Pani znajomi?

– Niechże już pan się ze mną nie droczy. To dziecinne. A pan jest dorosły, czyż nie?

* * *

Po wyjściu proboszcza Ana ściąga tylko buty i kładzie się w łóżku bez rozbierania. Leży na plecach ze wzrokiem wbitym w jaśniejący na suficie romb – placek blasku rzucony przez latarnię stojącą za grubym murem, poniżej okna. Myśli o swoim krewnym.

Nazywa księdza Witeckiego stryjem z braku lepszego słowa w obu językach. Faktycznie kapłan jest stryjecznym bratem jej nieżyjącego ojca. Pokręcone to – jak losy rodziny Wittesch. Jak opowieści dziadków o zagładzie 6. Armii Paulusa. O Krzyżu Żelaznym Maksymiliana Wittescha za Afrika Korps. O zimowej ewakuacji Breslau, o rozkazie, który już wtedy odbierano jako *Vernichtungsbefehl*, wyniszczający. Tyle że tym razem wymierzony w swoich.

Sowieckie mordy i wsie płonące na całej drodze ku Dreznu. Historie o przybijanych do stodół, o wrzucanych do zatrutych studni. Charakterystyczny syk matki w słowie *Russen*. Kłótnia rodziców w wartburgu zaparkowanym głęboko w mokrym lesie. Tamtym razem nie szeptali. Albo myśleli, że ona – na tylnym siedzeniu – niczego nie zrozumie, albo byli tak zdenerwowani, że o niej zapomnieli. Zrozumiała bardziej intencje niż słowa. Deszcz bębnił w plastikowy dach auta dokładnie tak samo jak dziś przed południem.

Ojciec miał jakiś skarb. Tyle zrozumiała. Z tego powodu należało w ciągu najbliższych tygodni rzucić wszystko i uciekać. *Nach Westen*. Bo tutaj nie da się żyć. Nie wiedziała, nie rozumiała, dlaczego się nie da. Jej było dobrze. Przecież jeździli na jagody i miała mówiącą węgierską lalkę Anitę.

Co z tego, kiedy polisa na życie, ten skarb – on był ważniejszy. W jakiś niepojęty sposób ważniejszy niż wszystko inne.

Potem różne wyjątkowe rzeczy zdarzały się nieomal jednocześnie, a przynajmniej tak to

wygląda teraz, w jej wspomnieniach. Zanim uciekli, ojcu coś się stało. Ale czy to był wypadek, czy samobójstwo? Mama, Emma, mówiła raz tak, a raz inaczej, w każdym razie Leonard Wittesch spadł z wysokości. Śmierć na miejscu.

Jego śmierć miała związek ze skarbem.

Zaraz potem także i mamie coś się stało.

Zostawiła Anę w pustym mieszkaniu. Powiedziała, że ma zachowywać się cicho. I że nie wolno jej wyjść. Pod żadnym pozorem. Miała wkrótce wrócić. Ale nie wróciła. A ona tak strasznie czekała. Całą noc i dzień. I jeszcze jedną noc. Kiedy zrobiła się głodna, piła wodę z kranu, bo do jedzenia była tylko sól. Skakała po zielonej wersalce, żeby zabić czas, a potem cicho szlochała, patrząc przez okno na trzecim piętrze na mur nieznanego jej domu na nieznanym osiedlu. Jeszcze później przyszli i nakarmili ją ludzie, których nie znała. Dostała małą tekturową walizkę i pugilares na szyję. Miał złoty łańcuszek. Mama zjawiała się tylko na krótko, nie powiedziała tego, ale było jasne, że ktoś chce ją schwytać i skrzywdzić. Ana dostała polecenie: musi udawać o dwa lata młodszą, niż faktycznie jest. Tuzin razy powtórzyła przed mamą i przed jakąś kobietą w chustce zawiązanej pod brodą, tak jak to robią Słowianki, że nazywa się Sophie Langner i chodzi do przedszkola. Sophie Langner, *Kindergarten nummer acht und zwanzig, Gruppe Gelb. Unsere Betreuerin ist Frau Rita.*

Dalej był marsz na dworzec w grupie nieznanych jej dzieci w różnym wieku. Raz we wspomnieniach jest to jasny dzień, a raz noc. Mama mówiła: „Jak cię ktoś zapyta, to jedziesz na wycieczkę z drużyną szachową”. Zapach pieczonych kurczaków i frytek na Hauptbahnhof. Długie oczekiwanie. Jedzenie czerstwych bułek. Halogeny i reflektory, siatki i druty kolczaste – to było z pewnością w nocy. Pamięta światło ręcznej latarki pogranicznika. Psa w kagańcu i chłód. Zima? Albo zimna wiosna, bo przed dworcem sprzedawali już kwiaty.

Ich gehöre zum Schachverein, ich heiße Sophie Langner, Kindergarten Nummer achtundzwanzig, Gruppe Gelb. Unsere Betreuerin ist Frau Rita.

Trzask metalowej pieczęci. Groźny mężczyzna w bryczesach i okrągłej czapce z zielonym otokiem przybił stempel, trzymając na oknie kolejowego przedziału *Ausweis* z cudzym imieniem i nazwiskiem, który mu podała po wyjęciu z pugilaresu na szyi. Z jakiegoś powodu rozumiała, że ten trzask stempla to sukces. Wyjechała na zawsze, a przy tym udało się jej dokonać czegoś większego. Wywiozła zawartość tekturowej walizki. Z

ukrytym tam papierowym skarbem.

Potem spłynęły na nią całe kaskady nowych doświadczeń. Intensywny zapach z ulicznych piekarń i woń innej benzyny. Setki kolorów, których nie umiała nawet nazwać. Pięknie ubrane panie i panowie. Różne od dotychczas jej znanych latarnie, różne autobusy i tramwaje, rowery, wózki dziecięce, różne monety. W toalecie nie umiała spuścić po sobie wody, było jej wstyd, że jest gorsza.

Słyszysz ciche kroki na korytarzu.

Was ist los?

Ktoś szedł, ale się zatrzymał i teraz stoi za jej progiem.

Przez chwilę myśli o broni, która została w Berlinie. Podkrada się bosą do framugi. Ale jeszcze zanim położyła dłoń na kutej klamce, słyszy oddalające się kroki. W prawo.

Otwiera drzwi: w ciemnym zakończeniu oświetlonego tylko jedną żarówką korytarza widzi jeszcze ciemniejszy kształt, który zapada się na schodach.

Nadkomisarz Wittesch wraca do sypialni, wkłada sportowe buty, kurtkę, bierze klucze, torebkę i telefon. Szybko wychodzi.

* * *

Tak jak przypuszczała – podsłuchiwał ją kantor Rudzki. W czarnej marynarce i z grubym szalem zawiniętym pod szyję idzie niespiesznie deptakiem wiodącym do przejścia Świdnickiego. Zatrzymuje się na przystanku autobusu, kilka metrów od grupki rozbawionej młodzieży. Wyrostki w szerokich spodniach i panny w kusych kieckach dopijają piwo z butelek, drinki z małych puszek, robią sobie zdjęcia. Ktoś puszcza muzykę z telefonu, krąży skręt. Jeden z chłopaków sika na ulicę.

W zamieszaniu Ana może podejść bliżej śledzonego. Staje obok nastolatków tak, aby z punktu widzenia kantora być częścią rozchichotanego towarzystwa, a jednocześnie nie zwracać na siebie uwagi młodych. Garbi się i udaje, że coś sprawdza w iPhone.

Autobus z dworca w kierunku Popowic i stadionu podjeżdża po pięciu minutach. Jest prawie pusty. Hałasujący młodzi wlewają się środkowymi drzwiami. Kantor wybiera tylne. Siada tyłem do kierunku jazdy, jak gdyby nie chciał na nikogo patrzeć. Policjantka mości się w drugim końcu – blisko kierowcy. Opiera ramię i skroń o szybę, przymyka oczy. Udając drzemkę, obserwuje wewnątrz w okrągłym lustrze pod sufitem.

Po przejechaniu Legnickiej z grupy młodych zostaje tylko troje. Kantor wciąż na swym miejscu. Dwa siedzenia obok jeszcze jeden pasażer – siwy mężczyzna czyta książkę.

– Ja cię znam! Jedziesz... ep! Na Kozanów... ep! ...co nie?

Dwaj spuchnięci od kebabów i sterydów siedemnastolatkiem podchodzą do Any na szeroko rozstawionych nogach. Wyższy – ten, który usiłuje mówić – trzyma się drążków i foteli, by nie upaść. Potencjalnie niebezpieczny – policjantka ocenia to zawodowo – jest niższy, wygolony. Na skroni wydziarzał sobie uskrzydloną czaszkę, silnie umięśnione przedramiona wychodzą spod podwiniętych rękawów bluzy. Złe, za blisko osadzone i nadmiernie błyszczące oczy. Agresywny, naćpany, z pewnością wyćwiczony w osiedlowych potyczkach. Przebiegły. Nadkomisarz Wittesch zna ten rodzaj bandziorów z Kreuzbergu, tylko tamci rzadko są biali.

– Cegła, wracaj tu, kurwa, nie rób gnoju! – pozostawiona samej sobie koleżanka, kruczowłosa ofiara solarium w krótkich spodenkach z dżinsu naciągniętych na fosforyzujące rajstopy, woła któregoś z łobuzów, ale oni obaj widzą już wyłącznie Anę.

– Na Kozanów, Kozanów jedziesz, ja cię znam. Ty masz... ep! Brata masz młodszego. Kewina, nie?

Kierowca hamuje. Wytatuowany kulturysta pochyla się nisko nad Aną.

– Ojebiesz mi kolbę... ojebiesz.

Autobus staje. Rzut oka w wypukłe lustro: Rudzki podchodzi do tylnego wyjścia. Syk otwieranych drzwi. Palce wytatuowanego na suwaku kurtki policjantki. Jej błyskawiczny ruch – plaśnięcie prawą dłonią w twarz, ręka nie hamuje, przechwytuje gruby nadgarstek i skręca go z całej siły. Lewa dłoń dopycha nienaturalnie wygięty łokieć. Gnojek już klęczy i jęczy, ona jest już nad nim. Przerażony ziomal chce prysnąć w stronę koleżanki, lecz przewraca się i upada w pół drogi, blokując przejście między siedziskami.

Dziewczyna wydaje z siebie dźwięk jak wrząca w czajniku woda. Siwy mężczyzna przerwał lekturę i z otwartymi ustami patrzy, jak Ana fachowym ciosem w przepoń odbiera oddech wytatuowanemu łysolowi, jak chwyta oburącz drążki pod sufitem, jak się podciąga, jak przeskakuje nad drugim nastolatkiem, jak przytrzymując na ramieniu torbę, wybiega przez środkowe drzwi na pusty chodnik.

Kantor już zdążył zniknąć.

Policjantka robi cztery kroki w przód, dwa w tył, kręci piruet na skraju trawnika i parkingu. Z jednej strony – bloki, z drugiej – skwer. W oknach mieszkań ciemno, między drzewami – tak samo. Na nieoświetlonej alejce wiodącej z przystanku w głąb zieleńca – nikogo. Jan Rudzki rozplątał się w banalnym osiedlowym pejzażu.

Nadkomisarz Wittesch wyciąga iPhone'a i lokalizuje się na mapie. Za pomocą innej aplikacji wzywa taksówkę.

Rozdział 8.

Czwartek 22 września

W oświetlonej jarzeniówką kanciapie komisarza – oznaczonej dwiema jedynekami i dwójką w środku – trzy osoby mieszczą się z trudem. Ana dostała jedyne krzesło, Warski przysiadł połową pośladka na rogu biurka, aspirant Aleksander Toczyk – od kiedy przyniósł tu swojego della i uruchomił film – stoi oparty o ścianę.

Na ekranie laptopa obraz ulicy Szewskiej nocą z niedzieli na poniedziałek. Czarny mur kościoła, wzdłuż niego rząd żeliwnych słupków oddzielających chodnik od ulicy i torów tramwaju. Bliżej oka kamery pusty ogródek piwny ze złożonymi parasolami. Dalej szklana elewacja banku, jeszcze głębiej rozmazane pięciopiętrowe budynki. Ani jednego człowieka, żadnych ruchomych cieni, żadnej gry świateł. Statyczny brązowo-pomarańczowo-czarny obraz bez głosu. I nagle: jest ciało!

Toczyk pochyla się, zatrzymuje obraz, cofa o pięć sekund. Potem puszcza poklatkowo to samo.

Edith leci ku ziemi tyłem.

– Daj jeszcze raz.

Edith ponownie spada. Potem jej korpus leży, latarnie świecą i tylko zapalające się i gasnące światła w bloku na trzecim planie – oraz przelatująca przed kamerą ćma – świadczą o tym, że nagranie nie stoi.

– On wyjdzie w siódmej minucie, szefie.

Warskiemu nie chce się tyle czekać. Przesuwa film. Minuta szósta sekund czterdzieści. Edith leży. Ćma krąży. Kantor Jan Rudzki wchodzi w kadr z prawej strony i idzie prosto ku zwłokom. Klęka przy nich, gwałtownie się zrywa i wybiega z filmowanego obszaru.

– Czyli że przyszedł nie od strony kościoła, ale z Oławskiej.

– Ewentualnie od Rynku.

– Wracał ze spaceru?

– Tak jak mówił.

– Ale nie pamięta ulic, którymi spacerował. Dobra, ściągniesz jeszcze zapisy z Łaciarskiej, z Wita Stwosza, z Kurzego Targu. Na tym już wszystko?

– Oglądałem do końca, nic nie ma – Aleks zamyka widok ulicy Szewskiej, aby otworzyć drugi plik.

– Zawsze coś jest – Ana mówi jakby do samej siebie. – Zawsze.

Aspirant Toczyk pokazuje film numer dwa.

– Będzie dwoje wkurwionych przechodniów i kot.

Tym razem kamera się obraca – a z nią cała panorama. Widać skraj placu i fragment kościelnego muru, potem iluminowaną fontannę, rząd samochodów zaparkowanych wzdłuż Wita Stwosza. Ponownie plac, znowu mur kościoła.

– I tak to w kółko leci, dam na przyspieszeniu.

Katedra. Fontanna i kuliście przycięte drzewka. Auta jedno przy drugim. Ponownie fontanna i zieleń. Znowu kościół. Znowu fontanna.

– O, tutaj! – Aleks spowalnia nagranie. Przez środek placu, od strony Łaciarskiej, idą kobieta i mężczyzna. Ona na obcasach, on w białych butach. Facet się wyraźnie spieszy, babka coś mu klaruje, chwyta go za łokieć, ale on nie chce słuchać, wyrывa rękę. Kamera ujmuje ich oboje przez sześć sekund, potem na monitorze pojawia się parking, między autami biegnie kot o jasnej sierści. Powrót obrazu ze skweru, para już minęła fontannę, najpewniej się kłóca, bo oboje machają rękami, potem ona wymierza mu policzek i niezdarnie biegnie w stronę Szewskiej. Ruchoma kamera przez cztery sekundy pokazuje kościelny mur, potem wolno wraca. Spoliczkowanego już nie ma. Jego towarzyszki także.

Ana wsuwa kciuk między wargi. Na tradycyjnie skwaszonej twarzy Toczyka znać intensywną pracę płata ciemieniowego: – Jeżeli natychmiast po tym, gdy zaliczył liścia, pobiegł o... tutaj za nią, to przebiegli oboje pod murem kościoła dwie i pół minuty przed upadkiem ciała. Mogli dalej się gonić tylko Kurzym Targiem lub Szewską. Ale potem mamy już kilkanaście możliwości: Rynek, Oławska i tak dalej. Kantor będzie dopiero po siedmiu minutach. Możliwość, że któreś z nich go spotkało, jest tego tam...

– Wiem, jaka jest... mizerna – Warski mierzwi dłonią włosy. – Pokłóceni nas nie doprowadzą... – ostatnie słowa kieruje do Any, jakby nie miał pewności, czy zrozumiała wywody Aleksa.

– A może pan film piętnaście minut przed upadek pocofać?

– Mogę – Toczyk patrzy na komisarza, ten nie protestuje.

Policjantka kładzie palec na ekranie della: – Ściana od kościoła jeszcze raz tu.

Aspirant powiększa fragment. Kościół w przybliżeniu. Brunatnoszara ściana i jasny

fragment placu. Półmetrowej wysokości słupki, okrągłe białe lampy, nic interesującego. Jeden pełny obrót kamery, drugi... czwarty.

– A jednak coś jest.

– Stop! – Warski puka środkowym palcem w ten sam punkt obrazu co wcześniej Ana. Granica między cieniem a światłem zmieniała się. Jest nowe wybrzuszenie, nierówność. Im dłużej cała trójka w to patrzy, tym wyraźniej widzą, że wypukłość ma kształt połowy postaci. Owal głowy, wyraźnie zarysowana szyja i ramię, potem coś, co może być połą płaszcza, i wreszcie noga – od kolana w dół. Widoczne przewężenie w kostce – to nie jest złudzenie. Noga bez buta. Szczupła i bosa stopa Edith Kronenberg, która idzie wzdłuż kościelnego muru, ukryta w jego cieniu.

– Jedenaście i pół minuty przed upadkiem – Warski bawi się czarnym długopisem. – Możesz wolno cofać, ale wciąż na powiększeniu?

Aspirant Toczyk robi, co trzeba. Klik – klatka w tył. Żeński kształt stapia się na powrót z linią cienia. Jeszcze kilka klatek wstecz – nic ciekawego. Parę kolejnych – znów wybrzuszenie linii cienia, teraz dużo mniejsze i rozmazane, coś w rodzaju dwóch brzusków spłaszczonej litery „B”.

– Może być jej cień rzucony na chodnik.

– Dwa kształty, dwie osoby – Warski dotyka monitora końcówką długopisu. Potem wskazuje drzewa na placu. – Wszystkie rzucają cień pojedynczy. Za kościołem jest latarnia, tylko jej nie widzimy. Jeżeli mielibyśmy dwie osoby podchodzące od południa Łaciarską, to by się zgadzało.

– Zwei Personen – Ana zagarnia dłonią włosy znad czoła.

Warski obraca długopis w palcach.

Ktoś otwiera drzwi.

„Konar”.

Koszula, granatowy krawat, garnitur. Dyplomatka w ręce.

– Pani nadkomisarz Wittesch, proszę ze mną. Przyjechała matka ofiary. Z szoferem, tłumaczem, ochroniarzem i adwokatem. Mamy spotkanie w zakładzie medycyny sądowej za dwadzieścia pięć minut. A od pana komisarza chcę mieć w południe plan śledztwa, bieżące raporty i podkładki.

Po wyjściu szefa i Any Toczyk cicho gwizdże.

– Tego jeszcze nie było, żeby „Stary” jechał na okazanie ciała.

– Jedzie na okazanie szacunku – Warski wyciąga spod biurka termos. – Wyguglowałem sobie państwa Kronenbergów z Monachium. Gazety wyceniają ich na pół miliarda euro.

– Miliona chyba.

– Miliarda.

– Pierdolisz! Chciałem powiedzieć: pan komisarz pierdoli.

– Co mi jeszcze chciałeś pokazać?

Aspirant nie opowiada. Wciąż próbuje ogarnąć jaźnią pół miliarda.

– Miałeś mi coś pokazać na osobności.

– Aaaa... Trochę jest tego... no... głupia sprawa, skoro naszą nową koleżankę przysłali w sprawie Edith, po jej śmierci... a tutaj... tego... pan komisarz sam patrzy.

Toczyk siada na zwolnionym przez Anę krześle, wraca do nagrania z pierwszej, nieruchomej kamery. Przesuwa kursor. Nocny widok zamienia się w obraz poranny, wokół ciała Edith jest coraz więcej gapiów, pojawia się dwójka policjantów z prewencji, niebo całkowicie jaśnieje, latarnie i światła w oknach gasną. Jeszcze więcej ludzi, zasłaniają zwłoki, podjeżdża i staje tramwaj, pasażerowie dołączają do tłumu ciekawskich. Zajeżdża saab Warskiego, po nim radiowóz na sygnale. Ustawianie parawanu. Rozpinanie taśmy.

– A tu Ana Wittesch – Aleks zatrzymuje kadr. *Polizeioberkommissar*, bez wątpienia ona, przepycha się między ludźmi mniej więcej w tym samym czasie, gdy Warski zaczyna oględziny ciała. Kilka sekund później obok Niemki wyrasta proboszcz Witecki. Wychodzą z kadru już razem.

– Nie przyjechała w sprawie śmierci Kronenberg. Już tu była.

– Na pewno.

– Pan komisarz wiedział?

– Podejrzewałem.

– Więc po co ją tu przysłali?

– I to... widzisz, Aleks... – Warski pociąga z termosu, po czym uśmiecha się łobuzersko. Jego pobrużdżona twarz na moment młodnieje. – To jest właśnie najciekawsze.

* * *

Dochodzi dwunasta. Pisanie planu śledztwa idzie komisarzowi opornie, a fakt, że opróżnił już termos, jest tylko jedną z przyczyn. Trzy kolejne telefony od przepalonego redaktora Jacka Hryniewicza i od urzędującej sto metrów stąd prokuratorce Aldony Anielewskiej – władczej i kostycznej z natury, a rozlazłej z figury – też mu nie pomogły w

skupieniu. I jeszcze teraz pchnięte z impetem skrzydło drzwi odbija się z trzaskiem od ściany. Konarski jest spocony, rozwiązany krawat krzywo na nim wisi, w ręce ma zmiętą gazetę: – Czytałeś?!

– Nic nie czytałem, pracuję. „Aniela” zadręcza mnie szczegółami.

Inspektor rzuca na biurko lokalny dodatek „Wyborczej”.

– No to, kurwa, poczytaj!

Komisarz rozprostowuje papier. Brukowce od wtorku piszą o satanistycznych motywach samobójczego skoku dwudziestoletniej Edith K. Ofiara raz jest studentką, raz artystką, a ktoś ją nawet opisał jako „austriacką wolontariuszkę”. Teraz jednak problem jest inny. Nie chodzi o bzdury, lecz o wyciek prawdy.

„Zagadkowa śmierć córki niemieckich przemysłowców”.

Jak widać, tragicznie zmarła przestała być dla dziennikarskiego światka anonimową Niemką lub Austriaczką o nazwisku na literę K.

W artykule jest sporo szczegółów o rodzinie Kronenbergów, jest zdjęcie roześmianej Edith z jakimś przystojniakiem w stroju do konnej jazdy albo gry w polo. Jest stary Kronenberg we fraku i jego młodsza o pokolenie żona w sukni do kostek. Już wcześniej, czytając o rodzinie, Waldemar zwrócił uwagę na to, że monachijski bankier musiał spłodzić córkę po sześćdziesiątce.

„...z nieoficjalnych przecieków udało nam się dowiedzieć, że samobójcza śmierć studentki miliarderki może kryć drugie dno. Dochodzenie w sprawie prowadzi, pod nadzorem prokuratury okręgowej, komisarz Waldemar Warski, oficer znany z bezwzględnej egzekwowania prawa wobec przestępców. Już sam fakt, że postępowania nie powierzono komisariatowi ze Starego Miasta, ale komendzie wojewódzkiej, wskazuje na...”.

– Widzisz?

– Nic nadzwyczajnego.

– Na końcu, kurwa, na końcu patrz...

– „Rzecznik komendanta wojewódzkiego podkomisarz Mateusz Zdrożek nie potwierdził nam informacji, że wrocławska komenda wystąpiła o pomoc do policji berlińskiej. A jednak – według naszego źródła – Niemcy przysłali już specjalną wysłanniczkę, nadkomisarza policji berlińskiej...”.

– Ktoś cynkuje – „Konar” sapie nad Warskim, wydzielając przy tym smród popielniczki.

– A Kronenbergowa zażyczyła sobie, żeby jej natychmiast zapakować trumnę do prywatnego samolotu. Dobrze, że mi jej nie kazała zanieść osobiście na lotnisko. Wieczorem odlatują.

– Co na to Magda?

– Co miała powiedzieć? Resztę badań zrobi sobie z próbek. Musisz to zamknąć, jak najprędzej. Samobójstwo i chuj.

– Czego ty się boisz?

– Większego dymu. Miliarderzy, przecieki... Zdrożek mówił, że telewizja z Warszawy jakaś się zapowiedziała na szesnastą. Nie możemy dopuścić, żeby pismacy się dobrali do twojej nowej koleżanki.

– Czemu?

– Jej obecność, z formalnego punktu widzenia, jest nie do końca zgodna z przepisami. Ale ktoś z Berlina dzwonił do Główniej, że mają ją umocować w trybie awaryjnym. A ci zadzwonili do nas i wystawiliśmy kwity na gębę.

– Kiedy dzwonił?

– W poniedziałek. A może jeszcze w piątek. Nie pamiętam. O co ci chodzi?

– O nic.

Na biurku komisarza dzwoni dwudziestoletni telefon z kwadratową klawiaturą i pękniętą słuchawką.

– Pani prokurator... dawnośmy się nie słyszeli... chyba cały kwadrans. Tak, tak... już sobie z panem inspektorem przeczytaliśmy. Ktoś strzela z ucha, to pewne. Ale się w końcu dowiemy, kto to jest. I mu to ucho oberwiemy.

* * *

– Miłosierny jest Pan i łaskawy... nieskory do gniewu i baaaa... rdzo łagodny. Nie zapamiętuje się w sporze, nie płonie gniewem na wieweeeki. Nie postępuje z nami według naszych grzechów... ani według win naszych nam nie odpłaaaaaca...

W kościele tradycyjnie pachnie mokrym kamieniem, zetlałym wapnem, stearyną i kadzidłem. Po „Salve Regina” przyszedł czas na „Twoje niebo”. Głosy pięciu kobiet w kremowych sukniach unoszą się wzdłuż oświetlonych świecami ścian nawy.

Dyrygentka tym razem nie stoi przed śpiewaczkami. Dołączyła do chóru. Na początku poinformowała słuchaczy, że ona i koleżanki poświęcają ten występ pamięci tragicznie zmarłej Edith Kronenberg, pełnej dobra i miłości istocie, którą tak wszystkie uwielbiały.

Teraz, z kancjonałem w dłoniach, Wanda Kamińska śpiewa z oczyma wbitymi w Warskiego.

Komisarz siedzi w ławie obok Any Wittesch. Przed nimi proboszcz w sutannie, *Frau Kronenberg* w kapeluszu i ekscentrycznej tunice z etolą, jej ochroniarz w garniturze, siostra Klara w gołębim habicie i jakieś dwie niemłode kobiety we włóczkowych czapkach. Weteranki nabożeństw wszelkich. Za nimi jeszcze pół tuzina podobnych pań. Dalsze ławy są puste, w szóstej z kolei klęczy kantor Rudzki. Nie słucha pieśni. Znów ma nieodparte wrażenie, że jest zewsząd obserwowany. Z łokciami opartymi o skośny pulpit, z twarzą wciśniętą w złożone dłonie szepce słowa modlitwy:

– ...za występki i zbrodnie przeciwko Bogu Ojcu, Jezusowi Królowi królów i Panu panów, Kościołowi Świętemu, Świętej Nauce Kościoła Bożego, Świętym Sakramentom, Świętym Obrazom i Świętym Miejscom Kultu Boga... przepraszamy Cię, Trójco Święta. Za tchórzostwo i bierność... przepraszamy Cię, Trójco Święta...

Gdy schola intonuje „Miserere mei, Deus...”, Rudzki wstaje z ławki. Wychodzi na środek nawy, klęka na oba kolana, zamasyście się żegna i wychodzi, stukając obcasami znoszonych butów.

Komisarz wymyka się za nim.

Ana za komisarzem.

Kantor idzie do kruchty, skręca pod ciężkim filarem, znika w bardzo wąskich drzwiach, w kolejnym z ukrytych przejść, którego istnienia żadne z policjantów wcześniej nie zarejestrowało.

Schody w górę doprowadzają ich do rozwidlenia. Z korytarza po lewej wieje i śmierzdzi ptasimi odchodami. To chyba droga na wieżę – sączy się z niej nikłe światło. Tunel po prawej stronie jest ciemny jak wylot lufy. I jak się zdaje, to z niego dobiega echo oddalających się kroków kantora. Policjanci ruszają. Ciekawy skrót... Kilkanaście stopni pokonanych niemal po omacku i wychodzą oboje na znane już Anie drewniane półpiętro. Miejsce, w którym po raz pierwszy natknęła się na Rudzkiego.

– Jego pokój musi być tam – teraz Ana prowadzi, a Warski poznaje korytarz, który wskazał mu w poniedziałek Aleks. Drzwi od tymczasowego lokum człowieka przeżywającego „przejściowe problemy lokalowe” są uchylone.

Waldemar wchodzi pierwszy.

– Nie podobały się chorały?

– Pan doskonale wie, co mi się nie podoba – na widok Any w progu blade oblicze Rudzkiego deformuje się w brzydkim grymasie. – Nie podobają mi się mieszkające w kościele kobiety, nie podoba mi się mieszanie ról...

– I z tego powodu napastował pan Edith Kronenberg w jej mieszkaniu?

– Nikogo nie napastowałem.

– Ona mówiła co innego. Pan ją naszedł na Kazimierza Wielkiego i zaatakował.

– Jaaaa?! To niedorzeczne. Tylko z nią rozmawiałem.

– O czym?

– Zachęcałem, by przemyślała swój udział w wątpliwej sprawie. To była przecież dobra dziewczyna, niestety, pod silnym jakby wpływem Kamińskiej, która...

Pauza.

– ...która co?

– Która nie podąża drogą Kościoła i nie wiadomo, po co tu jest. Dla której śpiewanie w domu Bożym to jakaś kolejna pseudoartystyczna breweria, muzykoterapia... Wypełnienie wewnętrznej pustki. To zabłąkana, niezaspokojona dusza.

– Sporo pan wie o jej wnętrzu.

– To przecież ona panu... państwu powiedziała o mej rozmowie z Edith. Prawda? Któż by inny? A czy miała odwagę powiedzieć o niezdrowej relacji ze zmarłą?

– Co pan ma w myśli? – Ana odzywa się po raz pierwszy.

Rudzki zaczyna trzeć dłonie, jakby je mydlił.

– Pani Kamińska, kobieta dojrzała, która tak chętnie powtarzała, że miła Edith to jej bratnia dusza... ale ja bym to może określił jakby inaczej.

– Niech pan określi.

– Ona, mam na myśli panią Wandę, ona reprezentuje sobą środowiska, których permissywizm... po prostu Kościołowi szkodzi najzwyczajniej, a nasz ksiądz proboszcz w swojej dobroci patrzy na te zabiegi tak jakby przez palce. To jest zmiękczenie wiary, to jest szkodliwe.

– Czy pan się kochał w Niemce? – policjant ściska ramię kantora i wskazuje idealnie zasłane łóżko w kącie celi. – Byłeś o nią zazdrosny. Usiłowałeś ją tutaj zaciągnąć w nocy z niedzieli na poniedziałek. Ale ci nie wyszło. Ona zagroziła, że powie księdzu albo Wandzie, więc zaprowadziłeś ją nie tutaj, ale w górę. Skręciłeś z nią w korytarz na wieżę!

– Nie, nie... nie! – Rudzki wytrzeszcza oczy, kurczy się pod uściskiem. Marynarka robi

się nagle na niego za duża.

– Przyniosłeś krzyż z biblioteki? Miałeś do mnie zadzwonić! Gdzie masz klucz?!

Na czole komisarza pulsuje żyła. Kantor nie odpowiada, wymownie zerka na trzymające go ramię. Uwolniony z uchwytu podchodzi do niskiej szafki przy łóżku, otwiera górną szufladę, wyciąga czarny krzyż i podaje go na drżącej dłoni.

– Dobrze – nagle uspokojony policjant waży klucz w garści i oddaje go. – Niech pan nie wyjeżdża z miasta bez uprzedzenia mnie osobiście. I niech pan pilnuje swojego klucza.

* * *

Dziesięć minut później nadkomisarz Wittesch dogania Waldemara Warskiego na rogu Szewskiej i Oławskiej. Przez kilkanaście metrów idą obok siebie w milczeniu, wymijając przechodniów zmierzających w większości w przeciwną stronę – do centrum. Jest późne czwartkowe popołudnie, wciąż ciepło, w kawiarnianych ogródkach pełno ludzi. Nadchodzący weekend może być ostatnim ładnym tego roku. Synoptycy zapowiadają burze.

– Łatwo pan tracisz... łatwo tracisz zimną krew. *Warum berührst du den Verdächtigen?*

– Co?

– Szarpanie jego za ciało. Czemu tak nerwy? *Unprofessionell.*

– Umówiliśmy się chyba, że nie będzie zbędnych komentarzy – Warski odpowiada po dłuższej chwili milczenia. Patrzy pod nogi i myśli o termosie, który zostawił w samochodzie, a auto – na parkingu komendy.

– Bałam się, że go uderzysz.

– Kantora?

Fuknięcie.

– ...źle myślałaś.

– Jesteś zaminowany.

– Po polsku mówi się „podminowany”.

– W Berlinie za takie szarpanie człowiek ma *Disziplinarverfahren*. Jak to będzie?

– Dyscyplinarka. Tu nie jest Berlin. Tutaj bijemy podejrzanych, jak nas wkurzają.

Ana staje, lecz ponieważ Warski idzie dalej, jej też nie pozostaje nic innego niż ruszyć za nim. – Ty żartowałeś? Powiedz, że to jest nieprawda.

– Nieprawda – komisarz nadal nie patrzy na towarzyszkę. – Rozmawiałaś z Kronenbergową?

– Rozmawiałam. *Eine spezifische Frau*. Nie pokazuje prawdziwy żal. Tylko udawany.

Die Kronenbergs to tajemna rodzina. Bardzo strzegą prywatną sferę. Zwykle rodzice nie chcą... nie wierzą... *nicht akzeptieren*, że syn albo córka zrobili samobójstwo.

– To prawda.

– Każą szukać winnego, domagają wyjaśnienia. *Aber Kronenberg...*

– Nie wykazała zainteresowania?

– Dokładnie.

– I nikogo nie podejrzewa? Żadnych wrogów córki?

– Nie miała wrogów.

– Aaaa... prawda. Krynica dobra, życzliwa, układna, miła. Ale może starzy Kronenbergowie mają wrogów?

– Czasy Rote Armee Fraktion dawno minęło.

– No tak... teraz macie Arabów.

– Ty opowiadasz takie falsche, bardzo niemądre rzeczy, żeby ze mną pokócić, ja?

Wchodzą na przejście dla pieszych. W rzędzie brzydkich bloków, pod wielką reklamą tanich SMS-ów widać front małego bistra.

– Jesteś spragniony?

– Spragniony czego?

– Po prostu... spragniony – nadkomisarz Wittesch już straciła chęć do sprzeczki. – *Durstig*. Może wejdziemy gdzieś sobie na kawę i wodę?

– Nie jestem spragniony. Jestem wkurwiony, bo kręcę się w kółko. Kręcimy się. Klucz z wieży jednak nie był kantora. Ale on coś ukrywa. Nieudolna próba zrzucenia podejrzeń na Kamińską... Nie kupuję ani tych pierdół o zdradzie wiary, ani o miłosnych relacjach Edith i Wandy. Ludzie zabijają na rozkaz lub w sytuacji, ich zdaniem, bez wyjścia. Dla korzyści, okazania siły, czasem, dużo rzadziej, z zemsty. Wiesz, że Edith Kronenberg ma w Niemczech młodszego brata?

– Wiem. Znana postać. *Sonny boy* i gracz w polo.

– Oboje są spadkobiercami fortuny?

Ana w pierwszej chwili nie odpowiada. Mijają orientalny bar i biuro informacyjne Parlamentu Europejskiego, zza rozłożystych akacji wyłania się barokowa elewacja teatru lalkowego.

– Jeśli ty myślisz, że młody Kronenberg wysłał tutaj zabójców, to rzeczywiście kręcisz się jak kółko.

– Dlaczego?

– Nie bierzesz pod uwagę najprostszego. Samobójstwo ze smutku. *Es tut mir Leid.*

Rozdział 9.

Wieczór i noc z czwartku na piątek

Milczenie przedłuża się. W końcu Joanna Staniszk wstaje z fotela, obchodzi szklany stolik i siada na drugim końcu szezlonga. Teraz dzieli ją od Warskiego mniej niż długość ręki. Policjant czuje intrygujący zapach nieznanego mu perfum, coś jak woń nadrzecznych trzciny w gorący dzień. Może dojrzeć delikatne kurze łapki w zewnętrznych kąciach oczu psycholożki. To jedyne zmarszczki, jakie dostrzega na twarzy, szyi i poniżej – bo tym razem Joanna nie ma na sobie żakietu, lecz półprzezroczystą koszulę. Trzy guziki od góry rozpięte, pod satyną – skraj koronki morelowego biustonosza.

– Skoro w panu nie ma zgody na mówienie o sobie, będę mówiła za pana – obejmuje szczupłe kolano kościstymi palcami. Tylko one – i te kąciaki zielonych oczu – zdradzają, że nie jest już trzydziestolatką.

– Jak pani sobie chce – komisarz nie zamierza być nieuprzejmy, tylko zwyczajnie nie chce mu się gadać.

– Sądzę, że pan się boi dopuszczenia do siebie drugiej osoby i ten lęk projektuje na mnie, jako agresora...

On odchyła się na swoim końcu szezlonga.

– ...a ja przecież nie mam wobec pana żadnych ofensywnych planów.

– Chce mnie pani życzliwością doprowadzić do zwierzeń. Po co? Jesteśmy tu oboje wyłącznie z powodów biurokratycznych.

– Co jest złego w zwierzeniu się?

– Asymetria.

– Między oceniającym i ocenianym? W pewnym sensie ma pan, oczywiście, rację, ale przecież istnieje cały wachlarz ludzkich zachowań, których podstawą jest bezinteresowna akceptacja.

– „Wachlarz zachowań” kojarzy mi się z pogadankami Gucwińskich. Bardzo je lubiłem i jest mi smutno, że programu już nie ma. Nasze nowe zoo też mi się mniej podoba. Lubiałem te śmierdzące wolaria i obsrane zagrodki dla kaczek. O tym możemy porozmawiać.

Joanna Staniszk poprawia włosy – żywą reklamę najlepszych szamponów i farb. Jej

mowa ciała – podobnie jak skóra – wygląda na efekt pracy wykwalifikowanego specjalisty. Ale pod wystudiowaną ogładą jest coś drapieżnego, głębszego, jakiś ból.

– Dobra... zacznijmy tak: czy pani wierzy w istnienie samoistnego zła? Nie zła, które jest skutkiem krzywdy, zła wcześniej spowodowanego innym złem, ale takiego, które rodzi się bez powodu, z czystej satysfakcji jego czynienia?

Terapeutka wzdycha. Mówi wolno i cicho: – Zło to jest błąd, często wynikający z przyrodzonego naszemu gatunkowi lenistwa. Błąd, który podczas dorastania skłania niektórych z nas do dokonywania niewłaściwych wyborów. A że złe decyzje lubią się powielać, powstaje pewien mechanizm złych koincydencji, w pewnej mierze nieuchronny. To oczywiście tylko jedna z teorii przydatnych w praktyce psychoterapeutycznej. Bo jest jeszcze teodycea Leibniza wywodząca zło z samej oczywistości stworzenia...

– Nie rozumiem.

– Gdyby nie było w nas ani odrobiny zła, bylibyśmy przecież równi aniołom. A nie stworzono nas aniołami.

– Z tym się mogę zgodzić.

– Jest wreszcie możliwość zaprogramowania w drugim człowieku zdolności do czynienia zła. Do krzywdzenia. Nawet do skrzywdzenia siebie samego.

– Miałem taką sprawę. Dobrze ustawiony właściciel, powiedzmy, że z sektora średnich przedsiębiorstw, ukrzyżował na ścianie swojego domku letniskowego młodą kochankę. Dziewczyna koniała dwa dni, on w tym czasie wymieniał kafelki w łazience. W którym momencie ten człowiek dokonał – jak to pani powiedziała? – niewłaściwego wyboru. A może został przez kogoś zaprogramowany?

– Trzeba by było się cofnąć do dzieciństwa tego człowieka i szukać przyczyn, ale ja wolę zająć się teraz pańskim przypadkiem – akcent pada na przedostatnie słowo w zdaniu.

– Pańską przeszłością. Nikogo pan jeszcze nie ukrzyżował, lecz przysłali mi akta i nie mam wątpliwości, że pomoc jest panu potrzebna. Chcemy razem uniknąć nadużycia siły, nieodwracalnego w skutkach wypadku przy pracy. Pan ma łatwość pociągania za spust, bardzo przydatną, jak się domyślam, w wojskach specjalnych, lecz niekoniecznie w mieście.

– Inna sprawa. Dwoje rodziców z Nadodrza, oboje nauczyciele, syn jednak, dziewięć lat. Kazali mu klęczeć w kącie z podniesionymi rękami. Za wszelkie przewinienia. Klęczał całymi godzinami, prawie codziennie. Zmarł w tej pozycji. Albo: pośrednik w branży

nieruchomości, mieszkał samotnie, trzymał tresowanego psa, zapraszał chłopców...

– Pan nie naprawi całego zła tego świata, komisarzu. Nawet całego zła tego miasta – Joanna Staniszk zdejmując dłoń z kolana i kładzie ją na udzie policjanta. – Możemy wytrenować rozładowywanie napięcia w sytuacjach ekstremalnych. Możemy dojść do stanu, kiedy zdoła pan, w pewnym sensie automatycznie...

Warski odsuwa jej rękę i wstaje z szezlonga. Czuje, że ta kobieta na niego działa i za chwilę może tu rzeczywiście dojść do wypadku przy pracy.

Sięga po kurtkę.

Na strzeżonym parkingu pod kasztanami porastającymi Belvedere Park otwiera termos. Pije, przyglądając się przez szybę ochroniarzowi w holu. Potem włącza silnik, światła, radio – i rusza w kierunku centrum z termosem między udami. Na ulicach gęstnieje pierwsza jesienna mgła po upalnym lecie.

Parkuje na zakazie, tuż pod samym kościołem.

Klucz-krzyż zostawił w komisariacie, więc wali pięścią w niskie drzwi bez klamki, a potem obchodzi kościół od wschodu i kołacze w drugie – większe, na ciężkich zawiasach. Stukot niesie się po Łaciarskiej. Już chce odchodzić, gdy skrzypiące wrota stają otworem. Ale to nie kantor otwiera. To ksiądz Witecki.

– No tak. Pan komisarz, zapraszam.

– Właściwie chciałem zobaczyć kantora, ale skoro już ksiądz się pofatygował... – policjant wchodzi przez próg. – Nie sądziłem, że ksiądz tu nocuje.

– Bo nie nocuję. Już panu mówiłem, śpiam na plebanii. Zatrzymały mnie sprawy kancelaryjne. Proszę dalej – duchowny ma na sobie czarną ortalionową kurtkę, pod nią sutannę i sweter. Na łańcuszku u szyi wiszą okulary. Prowadzi przez niedoświetlony, kamienny korytarz – nie do swojego biura, lecz w głąb. Otwiera jedno z tuzina sekretnych przejść i już są pod galerią, na której Warski rozmawiał niedawno z Kamińską – w kącie prezbiterium oświetlonego nikłym blaskiem wiecznej lampki. Gospodarz prowadzi do rzędu stall z rzeźbionymi podłokietnikami i przytwierdzonymi do ściany oparciami. Siada i klepie wyślizganą dechę, zachęcając Warskiego, by spoczął obok.

– Kiedyś zasiadali tutaj biskupi z Rzeszy. Niech pan spojrzy – wskazuje palcem pionowo w górę. Światło ze stojących na zewnątrz latarni oświetla poprzez witraż ogromne malowidła w przenikających się kolebkach stropu. Anioły o sześciu skrzydłach, święci z emblematami męczeństwa, Chrystus na tarczy, herby, klucze, korony.

– *Biblia pauperum*. Przez czterysta pięćdziesiąt lat te cuda skryte były pod pobiałą. Gminy protestanckie nie uznawały wizerunków Boga. Ale to pewnie pan wie.

– Po co ksiądz mi to opowiada?

– Proszę posłuchać. Niedawno odsłoniliśmy polichromie, zrekonstruowaliśmy kazalnicę i chrzcielnicę w pierwotnym kształcie, a wszystko dzięki sponsorom z Norymbergi. Tam po wojnie znalazło się wielu wypędzonych. Zmuszonych do ewakuacji w styczniu, no i później... tak. Wypędzonych przez nowe władze. Grupa niemieckich darczyńców, nie tylko byłych parafian, powstała w latach dziewięćdziesiątych. Stała się prężna dzięki zaangażowaniu pewnej niewiasty, bardzo już posuniętej w latach *Frau Eleonore*, zmarłej w ubiegłym roku, świeć Panie nad jej duszą.

– Do rzeczy, proszę księdza.

– W ostatnich latach, gdy kończyliśmy remont – a prace finalne są zawsze najbardziej absorbujące organizacyjnie i finansowo – Eleonora przyjechała tu i mieszkała cztery miesiące w miejscu, z którego obecnie korzysta nasz kantor. Gdyby nie poświęcenie tej kobiety, setki telefonów do Niemiec, nie dokończylibyśmy renowacji. Kościół jest ogromny. Ponad pięćdziesiąt tysięcy metrów sześciennych.

– Do rzeczy.

– Tak, tak. Zaprzyjaźniłem się z Eleonorą, opowiedziała mi o sobie więcej niż komukolwiek, tak sędzę. Była prostą dziewczyną, szóstą córką jednego z zarządców majątku Strachwitzów. Ojciec – tyran i pijak – doprowadzał rodzinę do nędzy. Pił i bił. Jako czternastolatka uciekła z domu do Reicharbeitsdienst. Potem służyła w Lebensborn w dzisiejszym Połczynie. Wie pan, co to było?

– Hodowali małych Aryjczyków.

– Tak, tak... Eleonora pracowała jako pomywaczka, sprzątaczką. Karmiła świnie. A chciała być pielęgniarką. Nie zdała egzaminu na koniec kursu. „Byłam za głupia” – tak mi mówiła. No tak. Na stanowisko nadzorczyńi w obozie jej kwalifikacje wystarczyły. Robiła rzeczy straszliwe. Niczego panu nie powiem, bo choć jej wyznanie nie było kanoniczną konfesją, to jednak wyjątkowy ciężar grzechów tej nieszczęsnej sprawia, że traktuję opowieść jak spowiedź. Rozmawialiśmy tutaj, w tej ławce, gdzie z panem siedzę.

– Zaraz się popłaczę.

– Bliźni są z natury dobrzy, komisarzu. Tylko okoliczności wystawiają nas na ciężkie próby. I nie każdy może podołać. Ludzie pańskiej profesji z racji nieustannego obcowania z

przestępstwem są podejrzliwi, czasem zanadto, zanadto. A kantor Rudzki, nasz drogi Jan, to prawy człowiek. Tymczasem podejrzliwość każe panu dopatrywać się w bliźnim zbrodniczych tajemnic. No tak. Nawet jeżeli są sekrety, to nie jest koniecznie coś złego. To może być zagubienie, trudność w poznaniu tego, co dla nas najlepsze. Ale po największym grzechu można się znów podnieść. Tak jak ta nieszczęsna. Wierzę, że niebo na nią czeka, mimo jej obozowych zbrodni... Błądzimy, co nie znaczy, że jesteśmy źli.

– Ksiądz wierzy w istnienie samoistnego zła?

– Wierzę w grzech pychy. Bo on był pierwszy. Szatan, oszczerca i oskarżyciel, zapragnął kultu siebie samego. Od tego zaczęła się historia grzechu. Jej resztę znamy. Ty sądzisz, synu... – duchowny pochyła się ku Warskiemu, czują wzajemnie swe oddechy – ...sądzisz, że zło przeniknęło te mury?

– Tak właśnie sędzę. Ktoś mu pomógł.

Ksiądz dotyka dłonią czoła, piersi i obu ramion.

– Jan nie jest winien.

* * *

Nocny autobus numer dwieście czterdzieści pięć omija niektóre przystanki na Legnickiej. Za placem Jana Pawła II poza szoferem, kantorem i Aną zostały w środku tylko trzy osoby. Za ulicą Poznańską – dwie. *Oberkommissar* Wittesch – w butach do biegania i kurtce feldgrau narzuconej na czarny dres – zaczyna się martwić, co będzie, jeśli zostanie sama ze śledzonym. Pociecha taka, że Rudzki wygląda na nieprzytomnego ze zmęczenia. Przysypia. Co mu w takim razie każe zarywać następną noc?

Między skrzyżowaniami autobus przyspiesza na prostej, przed rzędem migających pomarańczowo lamp zwalnia, po prawej stronie widać już zadrzewiony skwer i przystanek, na którym poprzednio zgubiła cel.

Schyła głowę nad trzymanym oburącz smartfonem. Przesuwa kciuki po ekranie, markując totalne zaaferowanie pisaną rzekomo wiadomością. Kantor wstaje i – jak na to liczyła – mija ją obojętnie. Podchodzi do przednich drzwi. Kierowca zauważa jego ruch w ostatniej chwili, hamuje tuż przed końcem zatoki. Gdy Rudzki wysiada, Ana dopada wyjścia. Rzut oka na zewnątrz, plecy odchodzącego kantora, jeszcze chwilę nie wysiada, kierowca niecierpliwie spogląda w wypukłe lustro: oto typowa blondynka... nie może się zdecydować, czy wyjść.

Zdecydowała się. Wyskakuje, wbiega między krzewy na skraju chodnika i osiedlowego

parkingu. Wdeptuje w coś miękkiego, co może być tylko psim klokiem. Pochylony w marszu Rudzki wchodzi między drzewa porastające ciemny skwer.

Ana za nim.

* * *

W mieszkaniu na parterze starego bloku przy ulicy Kołłątaja Wanda Kamińska, w samej bieliźnie pod jedwabnym szlafrokiem, siedzi z podciągniętymi kolanami na dużym pomarańczowym pufie. Pokój jest wypełniony tak ciasno, że nawet parapety i siedzenia krzeseł służą za półki. Najwięcej jest tu książek, sporo lakierowanych albumów z reprodukcjami nowych i starych mistrzów. Nie brak płyt – winylowych i kompaktowych – upakowanych w pudłach z Ikei, wetkniętych w różnorakie szpary, rzuconych luzem. Na krążkach muzyka, filmy – dokumentacje wystaw, wernisaży i wykładów, poradniki dla ćwiczących jogę i dla medytujących wedle wskazań Vipassany. Pomalowane na kolor surowego betonu ściany ozdabiają reprodukcje dzieł Ingres'a i Fragonarda. Odaliski w tureckiej łaźni, kurtyzany pod baldachimami i na huśtawkach. Do tego coś z zupełnie innej bajki: tybetański kilim mandala i dwa przesłodzone wizerunki kotów – dzieła znajomych artystek, beneficjentek polityki kulturalnej samorządu.

W kącie pokoju – trener. Między aparatem a pufem na patchworkowym dywanie niski japoński stolik. Inkrustowany blat z drewna sandałowego dźwiga wysoki kielich zdolny pomieścić zawartość butelki. W kielichu resztką czerwonego sycylijskiego Burdese rocznik 2010.

U stóp Wandy szerokoekranowy hewlett-packard. Na monitorze zdjęcia z ostatniego wspólnego wieczoru z Edith. Piękne usta Niemki w zbliżeniu. Jej małe, zgrabne małżowiny uszne. Ciepły, owocowy zapach jej skóry, którego nie da się sfotografować, ale którego Wanda nie zapomniała.

Prawy klawisz. „Usuń”.

„Czy na pewno chcesz przenieść ten plik do kosza?”

Tak.

Kolejne zdjęcie – stopy Edith wystawione na zewnątrz przez hotelowy balkon w Krakowie, skrawek szlafroka na jej kolanie, w tle zieleń miejskiego parku i burzowe chmury. Plik ląduje w koszu, tak samo jak dwadzieścia poprzednich i sześć kolejnych. Po kwadransie Wanda opróżnia wirtualny śmietnik i resztę wina. Chciało jej się płakać, a teraz chce jej się śpiewać. Szuka w sieci odpowiedniego podkładu muzycznego.

Byłe tylko go nie zgubić. Kantor idzie coraz szybciej – to na pewno nie jest spacer, lecz marsz w konkretnym celu, w konkretne miejsce.

Ana Wittesch stara się utrzymywać stały dystans. Czterdzieści metrów. To akurat tyle, żeby kantor nie zniknął we mgle, która wisi między rozrzuconymi nieregularnie blokami. I żeby ona sama pozostawała na skraju widzialności.

Zmiana krajobrazu. Tartanowe boisko za siatką, rozgrzebana budowa, samotny przechodzień z psem na skraju dwupasmowej, dobrze oświetlonej ulicy. Rudzki przystaje. Dwa razy rozgląda się, jakby sprawdzał, czy jakiś samochód nagle nie wyjedzie z mgły. Ale gdyby Ana chciała zyskać pewność, że nikt jej nie śledzi – rozejrzałaby się podobnie i w tym samym miejscu.

Jan rusza przez pasy, potem idzie wzdłuż ogrodzonego blachą magazynu budowlanego. Ona najpierw czeka, by zwiększyć odległość, potem truchta za nim. Wbiega do parku: wysokie jawory, utwardzona żwirem aleja, pojemniki na śmieci, dalej ściana mgły. Z każdym dziesiątkiem metrów jest ciszej. Sunąc po trawie, słyszy chrobot kamyków deptanych trzydzieści metrów przed nią.

Rudzki mijają plac zabaw, zamknięty na głucho kiosk, jeszcze sto metrów i park się nagle kończy. Lekki wiatr nasączony wonią mułu rozwiewa mleczone opary. Widać rząd parkujących pod latarnią ciężarówek i dziwaczne osiedle: altany, szklarnie, ciasno ściśnięte domy, każdy inny. Między nimi ciemny jednopiętrowy pawilon chroniony solidną metalową bramą. Dalej woda – to chyba Odra.

Kantor podchodzi do wysokiej furty, coś zabręczało, chyba otwiera skobel, słysząc szczekanie psa, wtóruje mu drugi zwierzak. Budynek, do którego Rudzki się zbliża, wygląda na opuszczony. Kantor wyjmuje latarkę. Promyk światła omiata zagraconą werandę. On schyla się po coś, otwiera drzwi.

Policjantka czeka bez ruchu. Czuje smród tego, w co wdepnęła. Kierowca jednego ze stojących w oddali tirów zapalił silnik – pomruk diesla niesie się daleko. Błysk światła w oknie na parterze bungalowu. Dopiero teraz Ana zakrada się do uchylonej furtki. Podchodzi pod oświetlone okno.

Zagląda do wnętrza ponad krzywym parapetem.

Widzi pokój urządzonej jak sala w najuboższym szpitalu: naddarte tapety na ścianach, stare meble pociągnięte olejną na biało, podobny do wieszaka metalowy stojak na

kropłówki, przeszklona szafa – pusta. Rudzki pochylony nad wąskim łóżkiem na kółkach. W pościeli – jeszcze bledszy od niego młody, może trzydziestoletni mężczyzna o podłużnej twarzy ascety. Ma haczykowany nos, oczy otwarte i nieruchomo wbite w sufit.

Kantor Jan gładzi go po dłoni.

* * *

– Dlaczego, stryju, nje powiedziałaś mi to po prosto?

– Z powodu tajemnicy spowiedzi, dziecko. Poza tym Adam umiera i sprawy wkrótce rozwiążą się same.

– Wyglądał jak Lazarus.

– Jak Łazarz? No tak... Adam nie ma pieniędzy, Jan nie ma pieniędzy, wszystko wydali na leczenie, ja nie mogę dawać im z tacy, to byłoby nieuczciwe wobec parafian. Jan sprzedał mieszkanie po rodzicach, próbowali prywatnego leczenia, lecz odkąd rak zjadł wątrobę... znikąd pomocy. Adam umrze, a Jan wyjedzie stąd, już postanowił. Ma daleką rodzinę gdzieś na Kujawach czy na Kaszubach. Zapomniałem nazwy wioski.

– Powjem o wszystkim Warski. Skończy sprawę Edith, będę szię mogła zajacz tylko tym, czym trzeba.

– Nie!

– Już byszmy byli gdzie indziej, gdy kantor by nie zachowywał szię jak idiot!

– Nie możesz mówić o Adamie! Ani Warskiemu, ani nikomu innemu, rozumiesz?!

– Ważniejsza jest nasza praca czy przesady? – nadkomisarz Wittesch wierci się na krześle. Uderza płasko w ciemny obrus na blacie kancelaryjnego biurka. – Przepraszam, stryju, ale oboje znamy stawkę, a to są jakieś, to jest... *völliger Unsinn!* Bez sensa.

– Nie pozwolę uczynić Jana jeszcze bardziej nieszczęśliwym – ksiądz kładzie owłosioną dłoń na drobnej ręce krewnej. A ona jest wściekła. Na siebie – za to, że oglądała tę zarazem wzruszającą i krępującą scenę w hospicjum. Za to, że nie domyśliła się wcześniej. Za to, że jako policjantka ośmieszyła się, podglądając spod parapetu parę dorosłych mężczyzn, których życie prywatne nie powinno obchodzić organów ścigania.

Spod domu opieki wróciła taksówką. Widok żegnających się przed kościołem Warskiego i stryja też nie poprawił jej nastroju. Co oni knują o drugiej w nocy? Poczekała w taryfie, aż granatowy saab odjedzie, potem zapłaciła kierowcy, zakołatała w dębowe wrota, poszła z księdzem do zawalonej papierzyskami kancelarii. Pod portretami Jana Pawła II i Franciszka opowiedziała, jak śledziła Rudzkiego, dokąd ją doprowadził, co zobaczyła.

– Rozmawiałem dziś wieczór z komisarzem – duchowny zmienia temat, by już nie mówić o Adamie i Janie. – Zagadaliśmy się nadzwyczajnie długo. To człowiek ciężko doświadczony przez los, obarczony brzemieniem grzechu, lecz na wskroś uczciwy.

– Też tak myślę ja.

– Może on byłby w stanie zachować się wobec nieszczęsnego Jana po ludzku, lecz jest w nim też i gliniarz. Jest w nim dużo gniewu. No tak. Jan niepotrzebnie chodził do Edith, niepotrzebnie przekonywał, bez mojej wiedzy i zgody, by poniechały śpiewania. Niepotrzebnie zaperza się, złości, szermuje Pismem Świętym nadaremno. Kiedy biedaczka wyskoczyła z wieży...

– Jan wracał od Adama.

– I tylko Adam to może potwierdzić. Tak, tak. Będą go przesłuchiwać, konającego, dowiedzą się dziennikarze. Adam od lat ukrywa się przed własną rodziną. To jest tragedia, chce już tylko umrzeć. A Jan... nie masz pojęcia, jak się boi i wstydi. Nie wiesz, co się dzieje w jego duszy. Nawet on sam tego nie wie. Z powodu Adama odszedł z seminarium. Wcześniej też cierpiał. Obwinia siebie, duszę i swe ciało. Szuka w Bogu odpowiedzi, ale jej nie znajduje. Nie możemy go zdradzić!

Ana rozkłada szeroko ręce, jakby chciała zagarnąć zalegające kancelarię sterty „Naszych Dzienników”, książek i zakurzonych teczek z dokumentami.

– Nasza misja, stryju. Najważniejsza jest nasza misja. Tak jak mi powiedziałaś: dobro Koszcioła przede wszystkim.

– Ale nie za cenę nieszczęścia człowieka.

* * *

Wanda Kamińska leży z głową opartą o puf i z dużymi słuchawkami na uszach. Upiła się bardziej, niż chciała. Trzynastoprocentowe sycylijskie wino o długim smaku jagód, cytrusów i pieprznej czekolady było zdradliwe. Upuściła kielich, na wielobarwnym dywanie w świetle spod abażura zasycha ciemna plama.

W butelce ani kropli alkoholu.

A cóż może być smutniejszego od pustej butelki?

W laptopie, z którego płynie rozdzierająca bachowska fuga w wykonaniu Lany Trotovšek, nie ma już żadnych zdjęć Edith Kronenberg.

A cóż może być smutniejszego od myśli o Edycie?

Wandzie nie chce się spać, nie chce się jeść, nie pragnie nawet więcej wypić. Chce się

roztopić w muzyce. Niestety mózg, w odróżnieniu od procesora Intel Core i7, nie poddaje się łatwo zabiegowi oczyszczania pamięci. I stąd żal. Za dziewczyną...

Naprawdę się urzęnęła.

Wyciąga rękę w górę – skrzypce Lany Trotošek łkają, a ona dyryguje.

Za plecami otwierają się drzwi mieszkania.

Lana Trotošek gra rzewnie, lirycznie, w g-moll. Fale wzruszenia przechodzą przez ciało Kamińskiej, oczyszczają jej czakry. Jest prawie szczęśliwa.

Ktoś albo coś szarpnięciem wyciąga z laptopa wtyczkę słuchawek. Tęskna melodia przeskakuje na głośniki i nagle muzyka genialnego organisty z Lipska wypełnia całe mieszkanie.

Zdezorientowana Wanda próbuje usiąść, ale ktoś lub coś zarzuca jej na głowę płócienny worek. Zaciska końce na szyi. Gasi muzykę.

Oskrzela i źrenice napadniętej rozszerzają się, wzrasta ciśnienie i poziom cukru we krwi. Ona martwieje, potem pręży mięśnie, usiłuje kopnąć obunóż niewidocznego wroga, lecz trafia w powietrze. Zaczyna machać rękami we wszystkie strony i wierzgać. Przewraca lampę z abażurem. Brzęczy trącona butelka, upada krzesło.

Wanda Kamińska jeszcze chwilę walczy o oddech, przegrywa tę walkę i mdleje.

Rozdział 10.

Piątek 23 września

Gdy nadkomisarz Ana Wittesch wchodzi do mieszkania dyrygentki, najpierw natyka się na Aleksa. Aspirant Toczyk, w czapce i z tradycyjnie zboląłą miną, właśnie prowadzi niskiego, przygarbionego mężczyznę z wąsem – to sąsiad z góry. Jako pierwszy zadzwonił pod numer dyżurnego.

– Więc wychodził pan z psem? – Waldemar Warski stoi w pełnym bałaganu pokoju. W rękę trzyma termos, oczy ma podkrążone i zapadnięte bardziej niż zwykle.

– Jak co rano, o wpół do szóstej. Ale pod drzwiami pani Wandy Fafik zaczął szczekać, a potem jeszcze drapać w drzwi, jakby wyczuł obcego. No to już nienormalne było. Więc pomyślałem, że trzeba sprawdzić. Zapukałem. Nic. Potem dzwoniłem, a pies drapał i drapał. Więc nacisnąłem klamkę. Było otwarte. No to weszłem. A tu pusto. Tylko butelka na podłodze i krzesło wywrócone. No i jeszcze lampa w kawałkach. A potem zobaczyłem to... – sąsiad pokazuje plamę – ...i zadzwoniłem.

– To rozlane wino, nie krew – wtrąca Toczyk.

– Z tego telefonu pan dzwonił? – Warski wskazuje stojący na parapecie antyczny aparat ze słuchawką i cyferblatem.

– Nie, ze swojej komórki. Niczego nie dotykam. Jestem emerytowanym celnikiem, panie inspektorze...

– Komisarzu. Waldemar Warski, komenda wojewódzka. Wcześniej niczego pan nie zauważył?

– Zanim tu wszedłem?

– Wczoraj wieczorem. Dziś w nocy. Coś pan, powiedzmy, słyszał?

– No tak, był taki moment, był. Mam swoje lata, do toalety czasem się nocą budzę, no to usłyszałem, jak na dole, chyba u Wandy, znaczy u pani Wandy, muzyka nagle głośniejsze odezwała. I jakiś stukot był. Ale bardzo krótko. Potem znów się cicho zrobiło.

– Pamięta pan, jaka to była muzyka?

– Klasyczna jakaś.

– A ten stukot?

– Jakby krzesło spadło.

– Więc piła wino i słuchała muzyka – Ana podchodzi do ustawionego na stosie książek aparatu, który kojarzy się Warskiemu ze starym radiem jego ciotki, choć w rzeczywistości jest to mobilny głośnik Marshall Stanmore. – Często tak robiła?

Emerytowany celnik patrzy na komisarza, jakby szukał u niego zgody na udzielenie odpowiedzi blondynce z obcym akcentem. Policjant kiwa głową.

– Co do picia, tobym jej nie podejrzewał, grzeczna była, chociaż w drzwiach się nie dała przepuścić. Harda taka. Ale cuchu żadnego żem nigdy nie czuł. A jeśli muzyka, to popołudniami raczej. Tak w nocy – to nie. Tu w bloku spokojni ludzie mieszkają, ciszy przestrzegamy.

– O której to było? Ten hałas.

– Jakaś trzecia chyba, bo całkiem ciemno. Trochę trwało, zanim zasnąłem.

– I już się więcej hałas nie powtórzył? – Warski odstawia termos obok spiętych plastikowymi kółkami kart skserowanej książki. Rzuca okiem na tytuł, który ledwo się mieści w trzech liniijkach. Jest coś o muzyce, aniołach i diabłach. Wyjmuje notes i długopis, ręka mu lekko drży.

– Nie powtórzył, panie komisarzu.

– I nikt po schodach nie chodził?

– Chyba nie. Ale samochód jakiś odjechał z podwórza.

– Widział go pan?

– Tylko słyszałem.

– Diesel? Benzyna? Duży silnik?

– Raczej duży. I chyba diesel. Ale ręki nie dam sobie uciąć.

– Między tym wybuchem głośnej muzyki a odjazdem samochodu ile mogło czasu upłynąć?

– Tego to już nie wiem. Gdybym przypuszczał, że coś złego... Ale przecież tu nigdy nawet roweru z piwnicy nie ukradli.

Warski chowa notes, odprowadza sąsiada do wyjścia. Ana przez moment myśli o obwąchaniu pozostawionego przezeń na parapecie termosu, lecz Aleks wciąż kręci się po pokoju. Ogląda albumy.

Policjantka zakłada białe rękawiczki, klęka przy pomarańczowym pufie. Kładzie dłonie na klawiaturze laptopa, a gdy wprawia palce w ruch, aspirant odwraca się ku niej ze

zdziwioną miną. W życiu nie widział, by ktoś pracował na komputerze w tym tempie.

Z korytarza dochodzi kilka męskich głosów. Przyjechała ekipa techników. Wchodzą, komisarz wraca z nimi. Właśnie zleca przez telefon wezwanie mundurowego z psem. Kończy rozmowę, staje nad Aną.

– Znalazłaś coś?

– We dwie minuty? Przecenjasz mnje.

– To na razie zwijamy kantora – Warski sięga po termos, ona prostuje się i chowa rękawiczki w kieszeni kurtki. Gestem prosi, by przeszli w jakieś ustronne miejsce. Wychodzą na balkon czy raczej zakratowany ciasny występ od strony podwórza. Po wilgotnej, mglistej nocy wciąż jest chłodno. Na podwórkowym placu zabaw trzy młode matki czuwają nad grupką dzieci w czapkach i skafandrach. Komisarz bębni palcami w barierkę.

– Więc?

– Kantor jest *in einer Sackgasse...* ślepa ulica. On ma swoje problemy, ale nje zabił Edith. I nje uprowadził Wandy, jeśli ją w ogóle ktokolwiek porwał. Rudzki nje ma samochodu, ani duży diesel, ani mały, ani żadny. To outsider, nje morderca. Nje ma w nim agresji, nie ma szły, a Wanda była od njego wyższa, więc nje byłby w stanje nawet fizycznie jej stąd wynjeszcz.

– I wszystko to mówi ci twoja intuicja... – Warski stara się nie patrzeć w stronę matek z dziećmi. Takie obrazki wciąż go bolą. Odwraca się do Any. – Najpierw mi powiedz, co ty przede mną ukrywasz. Prowadzisz jakieś śledztwo na boku?

Panika w oczach Any. Tego się nie spodziewał. A może mu się przywidziało, bo po chwili z jej spojrzenia da się wyczytać już tylko irytację.

– Przyjechałam za zgodą twoich i moich przełożonych.

– To nie jest odpowiedź.

– Nie masz powodu się na mnie złościć. Frau Kronenberg już wyleciała, możesz zamknąć sprawę. Rodzina mi potwierdziła, że Edith była chora. Depresja, wielu lekarzy, nawroty choroby. Dostaniesz na to papiery od jej lekarza. To było samobójstwo.

– A Kamińska? – Warski wskazuje pracujących za przymkniętymi drzwiami balkonowymi techników. Jeden pobiera właśnie ślady zapachowe, drugi fotografuje. – To przypadek, że jedna chórzystka zwała się na chodnik, a druga znika z mieszkania dzień po tym, gdy rozmawiała z nami?!

- Może poszła do miasta i jeszcze szę trzeźwi.
- Wywaliła lampę, krzesło, cisnęła pustą flaszką, zostawiła otwarte drzwi...
- ...bo była pijana, chciało jej się wrażeń więcej, zadzwoniła za taksówkę. Albo przyjacziela z samochodem. Może w tej chwili jedzą śniadanie.
- Ty masz mnie za durnia?! – żyła na czole Warskiego pulsuje.
- Jestem tu tylko po to, żeby ci pomóc.
- Gównu mi pomagasz! – komisarz wraca do mieszkania. Zatrząskuje za sobą drzwi balkonu.

Ana Wittesch wyjmuje z torebki telefon. Nerwowo wyszukuje numer, stukając w ekran dużo mocniej niż trzeba. Dzwoni.

* * *

– *Tu septiformis munere dextrae Dei tu digitus... tu rite promissum Patris sermone ditans gutturaaaa...*

W prześwietlonym złotym blaskiem prezbiterium męski chór śpiewa hymn „Veni Creator Spiritus”. Kantor – w lakierkach, garniturze i z grafitowym szalem fantazyjnie okręconym wokół szyi – dyryguje w ekstazie.

– *...hostem repellas longius pacemque dones protinuuuus...*

Oczy ma przymknięte, pracuje całym ciałem. Nie słyszy kroków Warskiego, który zbliża się środkiem głównej nawy. Gdy policjant chwytą go brutalnie za łokieć, jest wybudzony, zaszokowany i obruszony. Szarpie się, kiedy Warski usiłuje odciągnąć go na bok.

Chórzyści – siódemka ubranych w bluzy chłopców w wieku licealnym – także są totalnie zdezorientowani. Dwóch starszych i wyższych od reszty zastępuje Warskiemu drogę. Chcą chyba wziąć swego opiekuna w obronę. Ale intruz o skurczonej, złej twarzy tylko warczy w ich stronę: „Policja!” – i dalej ciągnie kantora za ramię.

– Co pan wyprawia?! – Rudzki nagle wrywa się, lecz wtedy glina fachowo chwytą go za nadgarstek i wykręca mu rękę. Popycha zgiętego w pół w stronę zakrystii.

– Tu sobie pogadamy – w pomieszczeniu pełnym szaf i skrzyń z czarnego, pokłutego przez korniki drewna pachnie czymś sfermentowanym. Na dłuższej ścianie wisi zmętniałe lustro w barokowej ramie, po lewej krzesła i wieszak na komże, po prawej świecznik z paschałem grubości męskiej ręki. W kącie kwadratowy stół, na nim wiklinowe tace. Puste.

– Gdzie Wanda Kamińska? – policjant nogą zatrząskuje za sobą grube drzwi ozdobione mozaiką z aniołami. Skurcz twarzy przechodzi mu w nerwowy tik.

– A skąd ja mam wiedzieć? – zatrzymany rozmasowuje sobie przegub. Żałośnie psi wyraz jego twarzy może oznaczać, że już nie będzie się stawiał.

– Jest w twojej celi?!

Cisza.

– Gadaj!

– Oczywiście, że nie ma jej u mnie! Mogę pana zaprowadzić – kantor robi krótki półobrót, jakby się zbierał do wyjścia, ale komisarz wstrzymuje go gestem.

– Czeka! Nie tak prędko... Co robiłeś dzisiaj, powiedzmy... o trzeciej w nocy?

– Nie powiem – pytany spuszcza wzrok.

– Aha... nie powiesz! Czyli ani nie spałeś u siebie, ani nie spacerowałeś z powodu bezsenności?

– Nie powiem!

– Dobra, zrobimy tak... – Warski sięga pod kurtkę i wyciąga kajdanki. – Założę ci bransoletki i wyprowadzę, żeby sobie twoi chłopaczkowie popatrzyli i mieli co opowiadać rodzicom. Wciąż też do mnie wydzwania jeden dziennikarz z „Wyborczej”. Niejaki Hryniewicz. Może słyszałeś. Jest bystry i uparty. Bardzo mu przypasuje podejrany kantor, który nienawidzi kobiet, mieszka pod więzłą i nie ma alibi na czas dwóch rzekomych samobójstw. I księdzu proboszczowi nie będzie...

– ...nie będzie mi miło? Nie będzie mi do śmiechu? To pan chciał powiedzieć?! – ksiądz Witecki wchodzi do zakrystii z wystygłą kadzielnicą, którą stawia obok pustych tac. Na jego sutannie widać długi zaciek od wosku. – Ja pana po prostu nie poznaję... Po tym wszystkim, co sobie wczoraj powiedzieliśmy, wpada pan tutaj i szantażuje Jana...

– Zmieniły się okoliczności – Warski krzywi usta, jego powieka trzepoce. Kajdanki jednak chowa. – Wanda Kamińska znikła ze swojego mieszkania. Ślady wskazują, że być może została uprowadzona. A tymczasem podopieczny księdza nie potrafi nawet powiedzieć, co robił w dziś nocy. Nie chce powiedzieć. A to już jest utrudnianie dochodzenia. I wystarczający powód do zatrzymania.

– Paa...anie komisarzu – kapłan odwraca się i otwiera szafę. Na środkowej półce stoi w równym rzędzie kilkanaście butelek wina, jedna jest w połowie pusta. – Nie trzeba się tak denerwować. Może lepiej szklaneczkę na rozluźnienie? Pożegnamy Jana i porozmawiamy spokojnie, jak wczoraj.

– Mówiłem, że już nie piję.

– Mówił pan, to prawda. Ale czasem „nie piję” znaczy tylko: „nie chcę rozmawiać o pić” – proboszcz wyjmując otwartą butelkę, otwiera wieko jednej ze skrzyń, chwilę w niej grzebie, wyciąga niezbyt czystą ścierkę i szklanę, przeciera ją, napełnia w połowie, bierze mały łyk i zwraca się do kantora: – Niech Jan uspokoi chórzystów, pożegna ich i zaczeka na nas w ławie, dobrze?

Rudzki szybko wychodzi, duchowny siada na krześle, wskazując policjantowi drugie.

– Wolno pić wino mszalne tak sobie? – Warski przeciąga dłonią po włosach nad czołem. Wciąż stoi.

– Wolno. W tej chwili to nie krew Chrystusa, tylko umiarkowanej jakości riesling. Siostra Klara kupuje w Lidlu. No tak. Za komuny, kiedy alkohol był na kartki, większość księży...

– Kamińska zniknęła w nocy, a pański... a księdza człowiek, po pierwsze, ma motyw, po drugie, nie ma alibi i po trzecie, nie współpracuje.

– Pańskie zdrowie. Bo ja się o pana naprawdę martwię. Pan jest, proszę wybaczyć szczerłość, zdezorientowany i zaślepiony. Uparcie trzyma się pan nieszczęsnego Jana, a to zupełnie nie jest tak, jak pan sądzi.

– Tylko jak?! Już druga osoba dzisiaj mnie przekonuje, żebym odpuścił Rudzkiemu.

– Zna pan powiedzenie: „Jeśli dwóch mówi, że jesteś pijany, to idź się położyć”?

– Nie jestem pijany – Warski gapi się na szklanę w dłoni duchownego.

– Ale zachowuje się pan jak alkoholik w ciągu.

– Proszę księdza... – komisarz opiera dłoń o rant krzesła i zbliża twarz do twarzy rozmówcy. – Według wszelkich prawideł dochodzenia Jan Rudzki jest podejrzanym numer jeden. Dlatego będzie dla niego lepiej, jeżeli zacznie ze mną rozmawiać. Szybko i na temat. Na temat Kamińskiej, na temat tego, co robił w nocy, na każdy temat, który może mi pomóc w odnalezieniu waszej dyrygentki. Bo jeżeli coś się tej pani stanie, to będziemy mieli dwa powiązane zgony, a to już oznacza większe problemy. To oznacza między innymi media. Będzie ksiądz miał tu tłum agresywnych łowców sensacji z kamerami przez całą dobę. Będą sprawdzali żywot kantora, zajrzą w każdy kąt, zajrzą pod habit siostry Klary...

– No tak... – kapłan dopija wino, przeciera szklanę, wstaje i chowa naczynie do skrzyni. – Myślę, że uda mi się przekonać Jana, by wszystko panu wyjaśnił. Proszę mi dać tylko trochę czasu.

Wanda Kamińska mocno ściska kolana na wyściełanym szorstką tkaniną metalowym łożku. Wnętrza ud ma lepkie od potu. Wcześniej rozdrapała sobie niewielką krostę na kciuku. Wbijała w nią paznokiec, coraz mocniej i mocniej, żeby coś poczuć. Cokolwiek. Ból jest lepszy niż przeraźliwa pustka, w której tkwi. Od jak dawna? Sama nie wie. Od chwili gdy odzyskała przytomność, niczego nie słyszy, nie czuje, nie widzi. Nawet czas zdaje się zatrzymany.

– Jest tam kto? – po raz kolejny próbuje krzyczeć, ale własne słowa dobiegają do niej jako szept. Przed oczami pojawia się niewyraźny obraz. Więcej niż sen, mniej niż rzeczywistość. Wyostrza się. To plac przed katedrą. Północna ściana, brunatne cegły, przypory, ciemne witraże i jeszcze ciemniejsze boczne drzwi bez klamki. Drzwi pod wieżą. Wiedziała... już wcześniej się domyślała, że to, co jej zrobili, ma coś wspólnego ze śmiercią Edith. Dotąd była przerażona. Teraz wpada w panikę. Zaciska powieki i szarpie więzy. Odpowiedzią jest przeszywający ból. Nie ten, który zadała sobie sama. Sto razy silniejszy. Tysiąc razy. Elektryczny impuls rozchodzi się od mostka, rozrywa serce i skręca wnętrzności.

Otwiera oczy.

Prąd przestaje razić.

Drzwi są coraz bliżej. Otwierają się przed nią. Wie, co jest na końcu drogi, wie, po co to wszystko. Nie wie tylko: dlaczego właśnie ona?

Jeszcze raz próbuje wyrócić źrenice. Kara jest natychmiastowa.

* * *

– Bez pańskiej współpracy, komisarzu, nie zajdziemy daleko – Joanna Staniszk siedzi naprzeciw Warskiego w podkreślającym figurę płowym golfie i długich, szerokich spodniach z półprzezroczystego materiału. Tym razem nie oddziela ich stół. – Rozmawiamy dwadzieścia minut, lecz nie posunęliśmy się ani o krok.

Tu akurat policjant musi się zgodzić. Choć nie uważa, aby była w tym jego wina. To ona nadużywa pseudonaukowego żargonu pełnego „symptomów”, „w pewnym sensie”, „regresji”, „analizy” i innej pitolizy. Gdyby nie to, że na parkingu przed apartamentowcem osuszył pół termosu, i gdyby nie fakt, że patrzenie na psycholożkę sprawia mu przyjemność, już dawno przerwałby sesję i trzasnął drzwiami.

– Zatem może małe odstępstwo? – jej wystudiowany uśmiech jest pełen wyrozumiałości.
– Tylko jedno.

– Co pani ma na myśli?

– Zmianę otoczenia. Filiżankę kawy w kawiarni. To wszystko.

– Wszystko?

Cisza, która zapada, nie jest – co trochę Warskiego dziwi – ani trochę krępująca. Przeciera dłonią czuprynę, a ona dotyka palcem dołka między dekoltem a szyją.

– Zatem: jesteście umówieni...

– ...na sesję wyjazdową?

Jej krótki śmiech jest jedyną odpowiedzią. Komisarz wstaje, terapeutka po raz pierwszy podaje mu rękę na pożegnanie. Ma płaskie, lśniące paznokcie w naturalnym kolorze – prawdziwe dzieła sztuki manikiuru.

Wychodząc z apartamentowca, Warski włącza telefon. Dwa esemesy od Jacka Hryniewicza. Redaktor coraz bardziej pragnie rozmowy.

Jest też informacja od Magdy Batorzyńskiej. To, co Edith wydrapała paznokciami, to mieszanka zwierzęcej sierści, wełny i celulozy. Spilśniona techniką niestosowaną od co najmniej dwudziestu pięciu lat.

„...i pozdrów ode mnie niemiecką koleżankę”.

Rozdział 11.

Sobota 24 września i noc z soboty na niedzielę

Za gotyckim oknem silny wiatr przepędza zwały amarantowych chmur. Letnia pogoda fatalnie się załamała. Choć nie ma jeszcze piątej po południu, nadkomisarz Wittesch musiała zapalić światło, żeby nadal pracować. Powierzchnia łóżka, niewielki blat wąskiego biurka, na którym postawiła rodzinne fotografie, i grubo lakierowana podłoga – wszystko razem przestało jej wystarczać już w czwartek. Dlatego w piątek wieczorem, po kolejnym samotnym posiłku w barze sałatkowym, kupiła dwa pudełka pinezek oraz metrowej szerokości korkową matę do ćwiczeń. Przykleiła ją do muru szeroką taśmą. Przez cały wczorajszy wieczór i ostatnich sześć godzin z przerwą na dietetyczną kanapkę zapełniła improwizowaną tablicę prawie w całości. Potwierdzenia przelewów, spisy pasażerów lotów, wypisy z rejestrów spółek i gruntów, skopiowane repetytoria, księgi wieczyste, korespondencja w trzech językach. Czwarta część tego, co wydobyła czy raczej wykradła z sieci, przepuszczona przez drukarkę, wisi teraz na korku pomazana flamastrami: podkreślenia, elipsy, strzałki.

Barwa niebieska – transfery praw do nieruchomości.

Barwa czerwona – transfery pieniędzy.

Na zielono – kredyty.

Podwójnie podkreśliła te umorzone.

Linie ciągłe to zakupy.

Linie przerywane – darowizny.

Podmioty, w których kumulują się długi, oznaczyła na czarno.

Skupiska zysków zaznaczyła wykrzyknikami, bo już jej zabrakło odcieni pisaków.

Większość wydrukowanych dokumentów wciąż wala się po pościeli i biurku, czekając na swoje miejsce w schemacie systemu. Trzeba przyznać, że szajka sprytnie wszystko obmyśliła. Skonstruowali coś w rodzaju finansowego perpetuum mobile i skomplikowali tak, że da się dojrzeć sznurki, ale nie tych, którzy za nie pociągają. Jedno wydaje się jasne: zaplanowali szczegóły dużo, dużo wcześniej. W aktach prawnych sprzed ponad dwudziestu lat, w każdym razie w tych, które przeczytała, znalazła pozornie niebudzące żadnych

wątpliwości sformułowania, które przy jej obecnej wiedzy wyglądają, jakby celowo zostawiano w nich furtki pod przyszłe przekrety. Jakie oni muszą mieć wpływy, by kręcić przepisami z takim wyprzedzeniem? By potem zapobiec przez lata wszelkim niespodziankom? W ilu instytucjach muszą mieć ludzi? Przecież ktoś wycenia grunty, ale ktoś inny kontroluje transakcje. Chociażby polska skarbowka. Ktoś rozpatruje wnioski kredytowe, ale ktoś inny decyduje o uznaniu pożyczki za pieniądze stracone.

Stuk-puk-puk. Stuk... puk.

Trzy szybkie i dwa wolne. Georg?!

Co za myśl. Georg obraził się i nie odbiera telefonów.

A jednak coś w jej ciele radośnie podskakuje i pani nadkomisarz – nie dbając o to, że ma na sobie tylko T-shirt, rajstopy i narciarskie skarpety – otwiera drzwi.

To kantor.

– Dzień dobry pani.

– Dzień dobry – policjantka staje na jednej nodze, drugą stopę przykładając do łydki. Trzymając jednocześnie i klamkę, i framugę, zastawia wejście. – Czym mogę służyć?

– Przechodziłem i zauważyłem przez szparę światło...

– Słucham?

– Światło... u pani.

Patrzy jej prosto w oczy, a ona uśmiecha się grzecznościowo i nic nie mówi. Chce tylko jak najszybciej wrócić do pracy. Do hektarów, kont i przelewów. Ale kantor nie ustępuje.

– Praca do późna?

– Czytam przed snem. A okno nie daje światła. *Schlechtes Wetter*.

– Rzeczywiście. Książki potrafią wciągnąć, prawda? Studiuję pani coś wartego polecenia?

– Raczej nie do pana. Literatura... *strikt professionell*.

– To dość niezwykle.

– Niezwykle?

– Policja ma swój komisariat, prawda? Pani na pewno przysługuje hotel. Kościół to jest jakby... szczególne miejsce dla niemieckiej policjantki.

– Czy ja panu przeszkadzam?

– Powiadam, że to dość niezwykle.

– Tak, rzeczywiście. Lecz dookoła jest wiele niezwykłości. Taka na przykład

muzyka. Ludzki głos jako najdo-ro... najdoskonalszy instrument. Wiele kobiece głosy nastrojone w jedno. A przy kobietach mężczyzna, który odszedł z seminarium, bo poznał innego mężczyznę, a teraz on jego trzeci. Czy to nie jest niezwykle?

Nieszczery uśmiech Rudzkiego ustępuje brzydkiemu grymasowi. Coś mu wypada z dłoni.

– Woli pan o tym tutaj rozmawianie czy do czasu na komisariacie? – Ana już nie trzyma futryny. Staje na progu bokiem, jak gdyby zapraszała gościa do wnętrza, choć wie, że ten się wejść nie odważy. Nie może się ruszyć. Pąs wędrujący od bladej szyi w górę sprawia, że blade policzki przyjmują barwę świeżo ugotowanej szynki.

– Niech pan już idzie – Ana dźga mężczyznę palcem w ramię i przydeptuje stopą w skarpecie przedmiot, który przed chwilą upuścił.

Kantor odchodzi krokiem manekina. Stopy stawia szeroko, ręce ma sztywne, opuszczone. Ana podnosi z posadzki klucz w kształcie krzyża.

Zamyka drzwi i długo przygląda się rozwieszonym na korku kopiom dokumentów. Nie myśli jednak o przelewach, gruntach, kredytach. Waży w ręce klucz i myśli o możliwym związku swojej tajnej pracy ze śmiercią jednej dziewczyny i zaginięciem innej. Jest to tak nieprawdopodobne i wymagające tak karkołomnych powiązań, że... No właśnie. Że przypomina to, co ma przed sobą. Sieć nieprawdopodobnych związków, które jednak istnieją.

„Pojedziesz do Wrocławia” – powiedział jej Jonas Gruber w dniu wpadki w Waßmannsdorf, gdy przejęli transport nawozu do kwiatów zamiast heroiny. *Futur*, niepozostawiająca wątpliwości forma czasu przyszłego. A to znaczy, że Gruber musiał się wcześniej skonsultować z polską policją. 15 września ktoś tutaj już zaakceptował jej przyjazd. 16 września Edith Kronenberg po raz ostatni zalogowała się na swoim apple’u.

Przypadek?

Możliwe.

A jeśli nie, to co? Spisek?

Historia to w gruncie rzeczy ciąg mniejszych i większych spisków. Dreyfus i Emil Zola, pożar Reichstagu, pakt z Mołotowem, beczki Gehlena, operacja „Drozd”. Często przy tym okazuje się, że ci, którzy najgłośnieściej wyśmiewają mroczne teorie, to właśnie sami spiskowcy – tyle że nie teoretycy, lecz praktycy.

Źle działa na nią to miejsce. Zimne mury, tajne przejścia, muzyka, która miała być sposobem na rozmowę z Bogiem, a staje się polem walki, samobójstwa i tajemnicze

zniknięcia.

Powinna skupić się na tym, co sprawdzalne. Na krążących pieniądzach.

Skupia się. Przez kolejne dziesięć minut uzupełnia notatki i grupuje wydruki. Potem wylogowuje się z sieci, zamyka laptop, odłącza drukarkę, zdejmuje z szyi łańcuszek z tokenem i wiesza go na oparciu krzesła. Ściąga koszulkę, skarpety i bieliznę, naga idzie pod prysznic. Po kąpieli rozkłada ubrania, których nie wkładała od wyjazdu z Niemiec. Wybiera szare legginsy i ciepłą, asymetryczną sukienkę do pół uda. Do tego martensy, bo oprócz adidasów nie ma żadnych innych butów. Krem, perfumy Feuillage vert, których nie używa na co dzień, token na szyję, spojrzenie w lustro. Minutę później schodzi po schodach. Na drewnianym półpiętrze zbacza ze zwykłej drogi. Nie idzie przez salę z krucyfiksem i korytarz przy kancelarii. Teraz, kiedy ma krzyż-klucz kantora, może iść krótszą drogą, przez dolną część wieży. Wychodzące na plac z fontanną drzwi bez klamki otwierają się i zamykają za nią cicho, a przesiąknięty wilgocią wiatr rozwiewa jej włosy, gdy idzie w stronę parkingu. W sukience jest jej trochę chłodno, dlatego siadając w kabriolecie, najpierw włącza ogrzewanie fotela, dopiero potem szuka w nawigacji długiej i prostej drogi – przed wieczorem musi się zresetować. Czteropasmówka numer dziewięćdziesiąt osiem, potem obwodnica oznaczona piątką – może być. Powoli jadąc przez Przedmieście Oławskie, Krzyki i Grabiszyn, ogląda kamienice nie tak znowu różne od tych stojących w Berlinie i w zapadającej nocy myśli o pieprzonym Georgu, który od tygodnia nie dał znaku życia. O komisarzu Waldemarze Warskim, który ma dużo tajemnic. O podręcznikowo pięknej patomorfolożce, z którą on musiał być kiedyś związany, a której imienia Ana nie może sobie przypomnieć. Marta, Magda, Marlena?

Po półgodzinnej jeździe odnajduje zatoczkę komunikacji miejskiej, staje, włącza światła awaryjne, wyjmuje smartfon, chwilę szuka lokalu, który by jej odpowiadał. Stron oferujących wrocławską rozrywkę – niemiecko-i anglojęzycznych – jest w bród. Ostatecznie wybiera klub w pasażu Niepolda, wrzuca kierunkowskaz i wraca do centrum. Przypomina jej się imię patolożki: Magdalena.

* * *

Dłoń Sebastiana – tak się w każdym razie przedstawił Anie trzy godziny temu – błędzi po jej plecach ruchem pozornie bezcelowym, ale ona zna przecież te kontredanse. Ma trzydzieści sześć lat, szczytowe libido i doświadczenie nie tylko z białymi mężczyznami. A ten nieco podobny do Jonasa Grubera, lecz dużo odeń młodszy rudzielec wydał jej się

sympatyczny i ładnie pachniał. To wystarczyło, bo tego wieczora nadkomisarz Wittesch zawiesiła poprzeczkę niżej niż zwykle. Można powiedzieć, że Sebastian miał farta.

Zaczął się od tego, że w drugim z kolei klubie usiadła na stołku przy końcu zaokrąglonego baru. Tu też nie mieli Highland Spring, więc zamówiła drinka z różowego grejpfruta, soku cytrynowego i liczi. Plus kilka kropel wódki. Barmanka, dziewczyna w ciasno opinającej biust białej bluzce i krótkich spodenkach, podając napój z bryłką lodu i słomką, mrugnęła do Any. Albo jej się tak tylko zdawało. Było ciemno, ciepło, klub pachniał wystygłym papierosowym dymem z domieszką palonej gdzieś w toalecie marihuany, o wpół do dziewiątej wieczór zabawa dopiero się rozkręcała. Na podświetlonym dance floorze kołysało się kilka młodszych od Any dziewczyn. Didżej z rastafariańskimi dreadami do pasa puszczał kawałki, flirtując z dwiema opartymi o konsolę nastolatkami na niebotycznych platformach. Faceci – tych było więcej niż kobiety – okupowali centrum baru, nieliczni próbowali podtańcowywać partnerki, koleżanki i nieznajome, kilku najgorszych smutasów po prostu piło piwo w kątach.

Pierwszy zaczął ją równolatek, wysoki, gładko ogolony szatyn w okularach. Z twarzy – urzędnik, nauczyciel, od biedy mogła go sobie nawet wyobrazić jako glinę zza biurka. Było w nim coś fałszywego i pospiesznego. Pewnie miał żonę, która wyjechała, a on ściągnął obrączkę i przyszedł na łowy. Zaproponował drinka, podziękowała z uśmiechem i pokazała mu palcem, że ma wciąż co pić. Coś odparował, lecz głośna muzyka sprawiła, że doszły ją pojedyncze sylaby. Pytał o imię. Przedstawiła się jako Magdalena.

– Ma-gda-le-na!

– Je-stem! Ja-rek!

Didżej puścił jakiś przebój Gwen Stefani, słyszała to już w toalecie na stacji paliw. Kilku siedzących nad kuflami ruszyło żwawo w stronę parkietu, rastaman jeszcze podkręcił głośność i dodał basów.

– Zatańczysz?! Magda?!

– Ty zatańczysz! – odkrzyknęła. – Ja po-pa-trzę!

Jarek poszedł płasnąć. Przez pierwsze pół minuty kątem oka sprawdzał, czy Ana na niego zerka, potem dziewczyna o ładnej buzi okolonej aureolą rubinowych loków zarzuciła mu ręce na szyję i nadkomisarz Wittesch poczuła się uwolniona od natręta. Wysączyła do końca grejpfrutową świeżość i wyszła do toalety, by się wysikać przed spacerem w kierunku trzeciego lokalu. Kiedy wróciła, przy jej pustym krześle za barem nie było Jarka,

stał za to prawie dwumetrowy rdzawy blondyn z małą bródką muszkietera. W jasnej marynarce, wąskich spodniach i trzewikach jak do gry w kręgle. Młodszy od niej i ewidentnie zaradny – w miejscu po jej napoju umieścił kolejny koktajl, z wyglądu identyczny – i wskazał jej to szkło obiema dłońmi, jak sprzedawca ze starej reklamy.

Podeszła. Zauważyła, że koleś jest lekko piegowaty, a pod szyją u krawca marynarką ma ładną koszulę.

– Próbowałem zgadnąć, co pani pije – nie usiłował krzyżeć, jak Jarek, który wciąż jeszcze kręcił piruety z partnerką. Nie było w nim pośpiechu i fałszu, było skupienie na szczegółach. Pochylał się i mówił wprost do ucha Any.

Podjęła wyzwanie i szklanę, upiła łyk. Grejpfrut, cytryna, woda sodowa, tylko wódki więcej i kropla czegoś ostrego zamiast liczi. Lepsze.

– Trafisz czy wahałeś moja szklanka?! – teraz ona przyłożyła usta do jego skroni. By to zrobić, musiała stanąć na palcach, co się jej spodobało. Georg, a wcześniej Norbert też wymagali, by się wspinała. – Słyszałam w radio, że mężczyźni robią dziewczynom tabletki gwałtu.

– Już ich złapała policja – on znów się schylił, by odpowiedzieć. Żadne z nich wciąż nie siadało. – *In Polen haben wir eine sehr effiziente Polizei.*

– Akcent mam aż taki szilny? – zaczęła się śmiać. Była już rozluźniona.

Gadali trochę po polsku, a trochę po niemiecku. Przedstawił się jako Sebastian, trzydziestolatek po rozwodzie. Pracował kilka lat w Niemczech, pozycjonował jakieś firmy w mediach społecznościowych, teraz wrócił do Wrocławia i programuje gry. Ona skłamała, że jest informatyczką, a on nie sprawdzał tego podchwytliwymi pytaniami, za co zarobił plus.

Nim dopiła drinka, zaproponował, żeby zmienili lokal. Na jego kawalerkę. Gdy odbierała kurtkę w szatni, chciał dzwonić po taksówkę. Wyjaśniła, że ma w pobliżu samochód. Na widok porsche zaklaskał w dłonie. Jak chłopiec. Spytał, czy pozwoli mu poprowadzić, i zapewnił, że prócz jednego piwa niczego nie pił. A ona przecież piła.

Dała się powieźć przez nocny Wrocław, przez mosty przywodzące na myśl rodzinne strony, przez jakieś ronda, pod starymi wiaduktami kolei i wzdłuż ciemnych parków. Dobry nastrój nie opuszczał jej ani wtedy, gdy pili jagodowy kefir w jego miniaturowej sypialni – od razu wyznał szczerze, że nic innego nie ma – ani wtedy, gdy usiadła na nim, ani wtedy, gdy ją pocałował.

Dobry nastrój znika dopiero teraz, gdy jego język splata się z jej językiem, gdy ona czuje, jak napręża się pod spodniami jego członek, gdy palce jego lewej ręki wślizgują się pod gumkę majtek, a prawa dłoń szczypie sutek, trafiając przy tym na zawieszony między piersiami token.

W zasadzie nie ma żadnego powodu do nerwów – no... może tylko myśl o tokenie. Ale w dotyku nie różni się on od setek innych zawieszek i nie powinien budzić niczyich podejrzeń. A już najmniej – wątpliwości napalonego faceta. A jednak myśl o pracy się wkręca. System powiązań: polski Kościół, komisje i rzeczoznawcy, dziwne przepisy, kancelarie prawne i notarialne, pozornie niezwiązani z sobą kredytobiorcy, celowo zagmatwane przepływy pieniędzy.

I jeszcze Georg, który nie odbiera telefonu i sam nie dzwoni.

Ana schodzi z kolan mężczyzny, podnosi z podłogi torebkę, mówi „przepraszam” i jest bardzo wdzięczna Sebastianowi, że milczy przez piętnaście sekund, których ona potrzebuje, by wyjść.

* * *

Podświetlona na zielono fontanna szemrze, a nad dachami kamienic słychać pomruki nadchodzącej burzy. Jest dziwnie ciepło, może nawet cieplej, niż było w dzień. W mroku wzdłuż muru kościoła idą kobieta i mężczyzna. On ją prowadzi. Wanda Kamińska jest bosa, ma tylko majtki, biustonosz i zbyt dużą męską kurtkę ze skóry na ramionach. Gdy oboje docierają do zagłębionych w murze drzwi bez klamki, potężny facet z pokancerowanym podbródkiem chwyta kobietę za oba ramiona i prostuje przed sobą. Ale ona leci mu przez rękę.

Mężczyzna jeszcze raz stawia Wandę do pionu. Wkłada krzyż w zimną dłoń. Ona natychmiast go upuszcza. On podnosi klucz z ziemi, rozgląda się po placu, nikogo nie widzi. Otwiera drzwi, wciąga Kamińską do środka, a tam – w całkowitych ciemnościach – zdejmuje z niej kurtkę i jeszcze raz wciska krzyżyk w dłoń. Popycha. Półprzytomna dyrygentka z jedną ręką wyciągniętą przed siebie zaczyna wolny marsz po schodach.

Trwa to długo, bo co rusz przystaje. Nim osiągnie zanieczyszczoną ptasimi odchodami kratownicę – ostatni podest przed wyjściem na mostek – mija prawie dwadzieścia minut. Wreszcie wychodzi na zewnątrz. Pierwsze gęste i duże krople deszczu właśnie spadają na dachy i wieże. Gdzieś na zachodzie, za ratuszem, za autostradą i lotniskiem, ciemnofioletowe niebo rozjaśnia krótka błyskawica. Pięć sekund później słychać grzmot i

w tej samej chwili wzmaga się wiatr.

Wanda przekłada nogę przez balustradę. Jest wysoka, wygimnastykowana, nawet w swoim obecnym stanie bez trudu pokonuje przeszkodę. Chwilę chwieje się okrakiem na śliskiej poręczy. Wie, że powinna skoczyć, ale deszcz – dobry, a woda na ustach – słodka.

Wystawia język i wsysa w siebie wilgoć. Dlaczego śmierć ma być rozwiązaniem? Przecież może się cofnąć.

Nie może.

Za plecami jest głucha ciemność, pułapka bez wyjścia, miejsce, do którego wróci, jeżeli przeżyje.

Wszystko jest lepsze od powrotu.

Nie! Te wszystkie myśli o nieuchronności... one nie są jej. Powstały poza jej głową, wsączyły się przez ciągi obrazów i elektrycznych bodźców.

Krew w głowie huczy. Jest wyjście trzecie. Jest szczelina w mroku. Promień światła. Resztkę wolnej woli, ostatnia rzecz, jaką może przeciwstawić groźbie powrotu do miejsca bez czasu. Wejdzie tę w jasną szparę i będzie żyła.

Otwiera zaciśniętą pięść, przygląda się krzyżowi-kluczowi. Rzuca go przed siebie. A potem na powrót przekłada nogę przez balustradę – by wrócić do czegokolwiek.

* * *

Nadkomisarz Wittesch wraca do kościoła z mieszkania swego niedoszłego kochanka. Chce jak najszybciej znaleźć się we własnym łóżku, ale znowu gubi się po wjechaniu do centrum. Z czteropasmówki miała zjechać w ulicę Ofiar Oświęcimskich, obok budynku banku ze złotym sztyldem, który kilkakrotnie mijała. I tak robi. Potem powinna być znana jej dobrze ulica Łaciarska – i jest. Dalej jeszcze sto metrów, drugi skręt w lewo. A tu – zakaz wjazdu. Na próżno próbuje sobie przypomnieć, jak wjechała za pierwszym razem, wioząc drukarkę i grzejnik. Jedzie powoli dalej, na drugim biegu mija wschodni mur katedry i plac, na który właśnie spada nagły, rzęsisty deszcz. Po chodniku, po jej prawej stronie, pędzi wielkimi susami ubrany na czarno mężczyzna w kurtce z kapturem.

Zegar w samochodzie wskazuje pierwszą czterdzieści sześć. Przed obwieszonym antenami paskudnym blokiem, którego brzydotę wydobywa właśnie z mroku potężny błysk, Ana wrzuca lewy kierunkowskaz i rozgląda się za miejscem do parkowania.

* * *

Gwałtowny powiew wichru – pędzącego nie od burzowego centrum, ale w przeciwnym kierunku – uderza w Wandę Kamińską. Zabrakło pół sekundy, aby przeniosła cały ciężar ciała przez balustradę. Aby żyła.

Teraz leci w tył. Uderza plecami o dach nawy, ześlizguje się po sztucznym goncie, bólu nie czuje, jeszcze walczy. Jej palce bezskutecznie szukają oporu, występu, uchwytu, czegokolwiek. Wiatr i grawitacja pchają ją ku kamiennej krawędzi, kolejna błyskawica na niebie, prawa noga chwilowo znajduje oparcie w miejscu, gdzie poszycie dachu łączy się pod ostrym kątem z pionowym murem południowej wieży. Próbuje utrzymać się na tej nodze, ale impet zsuwającego się ciała jest duży, a wektor ruchu wskazuje przepaść.

Natychmiastowy wyrzut obu rąk – ostatnia szansa – jest tym samym, czym skurcz tkanek rażonych prądem. Czystym odruchem. Lewa dłoń trafia na rynnę – obłą, zbyt grubą, by dała się chwycić. Prawa ręka chwyta już tylko powietrze.

* * *

Jest wolne miejsce przed bankiem na Wita Stwosza. Ana zamyka porsche, biegnie wśród kałuż, wzdłuż szpaleru wystrzyżonych drzew, w kierunku wejścia bez klamki. Krzyż gładko wchodzi w otwór, automatyczny zamek ustępuje z cichym kliknięciem, skrzydło uchyla się łatwo. Nie zapala światła, bo nie wie, gdzie jest włącznik. Przyświeca sobie smartfonem. Kamienne schody, boczny korytarz na murowanym podeście, teraz schody drewniane i skrót do części sypialnej – przez czarne półpiętro.

W pokoju rozbiera się prędko i uruchamia w miarę ciepły prysznic. Już wie, że zdezelowany ogrzewacz da jej cztery minuty, potem woda robi się zimna. Wskakuje pod kołdrę. Patrzy w wysokie okno, za którym – w nieregularnych odstępach czasu – chmury jaśnieją fosforowym blaskiem. Dźwięk grzmotów – tu, za grubymi murami – brzmi jak pomruk jakiegoś wielkiego i sennego zwierzęcia.

Ma niejasne uczucie, że kradnąc ten wieczór dla siebie, nie tylko zawiodła przyjemnie pachnącego Polaka, ale – co gorsza – czegoś nie dopatrzyła, coś zaniedbała. Zwykle, dobrze jej znane poczucie winy.

Zasypia tylko po to, by obudzić się dwie godziny później z jeszcze większym niepokojem. I zabrać się do pracy.

Rozdział 12.

Niedziela 25 września, poranek

Po burzowej nocy wstał ciepły dzień, zupełnie niepodobny do wczorajszego. Słońce jeszcze nie wzniosło się nad kamienice, ale i tak już widać, że są szanse na powrót lata. Wiesława Kuna, pięćdziesięcioletnia, niska i żwawa, nazywana przez większość policjantów z Podwala panią Wiesią, zaczęła pracę na swoim pięttrze jak zawsze o siódmej. Niedzielnny ranek to właściwie jedyny moment, gdy nikogo tu nie ma, więc może spokojnie robić swoje. Poza tym w inne dni sprząta po bankach i w dwóch mieszkaniach na Psim Polu. Pracowała już jako czternastolatka, pracowała za komuny i za demokracji, ciężko przeharowała całe życie i nie zanosi się na to, by coś mogła w tej kwestii zmienić.

Największy bajzel – jak zwykle – pozostał w pokojach od sto piętnaście do sto dwadzieścia osiem. Zmięte torebki po chińskich zupkach, pety wciśnięte w doniczki, w wieczka i w zakrętki. Choć teoretycznie w całym budynku palić nie wolno, gliniarze, szczególnie ci na nockach, kopcą, mając zakazy gdzieś. Wiesława podlewa rachityczne rośliny, ściera z blatów tłuste plamy i zaschnięte kółka po kawie. W stodwudziestce znajduje ukryte puste flaszki.

Pokój z numerem sto dwadzieścia jeden – ciasny i bez okna – zazwyczaj nie wymaga wiele zachodu. Tym razem jest podobnie. Wiesławę zastanawia tylko jedna rzecz. Urzędującego tu na co dzień komisarza Warskiego z pewnością nie ma – bo i światło zastała zgaszone, i przez dwie godziny na pięttrze musiałyby go zauważyć, gdyby się kręcił. A jednak komputer na biurku pracuje na pełnych obrotach, jakby nad klawiaturą siedział niewidzialny programista. Wyskakują i znikają strony z zawartością katalogów, w nich jakieś ciągi tekstów, liczby poprzeplatane znakami, tabele i zdjęcia. Skany dokumentów z pieczętkami.

Sprzątaczką spryskuje płynem do mycia szyb i przeciera suchą szmatą błyskający ekran. Zastanawia się przy tym, czy nie powinna zadzwonić do dyżurnego na dole. Jednak szybko dochodzi do wniosku, że nie warto zawracać mu głowy. To pewnie normalne. A nawet jeśli nie, życie nauczyło Wiesławę Kunę nie widzieć, nie słyszeć, milczeć. To najlepszy sposób na unikanie kłopotów. Równie skuteczny jak zimna woda z solą, co spiera plamy z krwi.

– Wyglądasz na zmęczoną, dziecko. Pracowałaś całą noc? – proboszcz rozgląda się po celi, a Ana wykonuje nieokreślony gest, który równie dobrze może znaczyć „tak”, „nie” albo „nie chcę o tym rozmawiać”.

Siedzi przed ekranem na zabałaganionym łóżku w dżinsach i luźnym zielonym T-shircie Bundespolizei.

– Miałem telefon z Katedralnej. No tak. Z kurii – kapłan przyniósł ze sobą zapach kadzidła i starości.

– *Jetzt?*

– Właśnie. O siódmej rano w niedzielę. Po pierwszym nabożeństwie.

– Czyli, że jednak cosz... – Ana spogląda raz na księdza, a raz na ekran. Klika „esc”, by wyjść z katalogu, którego nie powinna oglądać bez zgody polskiego sądu albo prokuratora generalnego.

– Przyjechał emisariusz Instytutu.

– Banku watykańskiego?

– Tak – kapłan zaplata palce na brzuchu. – Doktor Alois Kuntz. Chce spotkania. Sekretarz księdza biskupa nie mówił, czego to ma dotyczyć, ale...

– Jak jest jego nazwisko?

– Alois Kuntz. Doktor. Prawnik Instytutu Dzieł Religijnych.

– Na pewno Kuntz?

Proboszcz otwiera usta, aby potwierdzić, lecz w tej chwili porzucony gdzieś między opakowaniem po ryżowych waflach i pustymi butelkami po ustroniance iPhone odzywa się dźwiękiem cymbałów. To Warski.

– Co? Jak to?!

Duchowny patrzy pytająco, gdy Ana nerwowym ruchem wpycha smartfon do tylnej kieszeni dżinsów i sięga po buty.

– Mów mi, mów, dziecko... Co się dzieje?

Ona przez chwilę mocuje się z adidasami podskakując na prawej, a potem na lewej nodze.

– Wanda Kamińska... – Kładzie dłoń na ramieniu stryja. – Leży na chodniku.

– Jezu Chryste! – duchowny żegna się szybko. – Gdzie leży?!

– Niestety tam. – Ana podnosi rzucony na podłogę sweter. – Pod więźą.

Tłum zebrany wokół trupa na Szewskiej jest mniejszy niż sześć dni temu. Niedziela – miasto jeszcze przysypia. Za to policjantów więcej. Ze staromiejskiej, z Rakowca i z wojewódzkiej. To w końcu drugi przypadek, to samo miejsce i okoliczności. Są już trzy radiowozy i auto techników plus karetka pogotowia ratunkowego, której załoga znów nie ma kogo ratować. Ten sam parawan do zakrycia zwłok.

– Posterunkowy mówi, że ciało znalazła kobieta, którą spisał i puścił – aspirant Toczyk przekazuje komisarzowi plastikową saszetkę na dowody. W środku klucz-krzyż.

– Pięknie, kurwa, pięknie... – Warski kuca za parawanem i unosi znalezisko na wysokość oczu. Trzyma torebkę niemal z obrzydzeniem, jakby podnosił zużytą prezerwatywę. – Ktoś z nami pogrywa.

– Seryjny samobójca – Toczyk, w kurtce z kapturem i bejsbolówce, mówi cicho, by określenie „seryjny” nie doszło do jakichś niepowołanych uszu. Nie chodzi tylko o tłum gapiów za taśmą. Takiego słowa nie powinni słyszeć ani szeregowi gliniarze, ani personel karetki, ani nawet technicy.

– Tego się obawiam – komisarz patrzy na ciało kobiety, z którą rozmawiał w środę. Jej spojrzenie spod długich rzęs, jej emfaza – tego już nie ma. Jest karykaturalnie spłaszczona twarz ze zmętniałymi oczyma. Szerokie na centymetr krwawe pęknięcie w rozerwanym policzku odsłania kilka tylnych zębów. Otwarte złamanie prawej goleni.

– Będzie wiele pierwszych stron w tabloidach – Ana pojawiła się za plecami Warskiego w niezasnurowanych butach i swetrze wciągniętym na lewą stronę.

– Szybko się pojawiłaś.

– Mieszkam niedaleko.

Warski chciałby dopytać o adres, lecz są pilniejsze sprawy.

– Załatwisz monitoring na cito – warczy na Toczyka.

– Ale jest niedziela.

– I drugi trup! Kurwa mać! Nie będę znowu trzy dni czekał. Jak trzeba, pojedziesz z chłopakami do domu szefa ochrony banku. I jeśli kantor znowu nam wyjdzie na nagraniu, spacerowicz cholerny, to już mi „Aniela” nakaz podpisze.

– Może źle, żeśmy nie kazali wieży zamknąć – Toczyk wciąż mówi półszepem.

– Nie nasza jurysdykcja. O właśnie, właśnie! Jest i wielebny! – miejsce wściekłości na twarzy Warskiego zajmuje nieszczery uśmiech. Prostuje się i daje znak dwójce

posterunkowych, aby przepuścili proboszcza przez taśmę.

– Wanda tam leży? – duchowny wskazuje parawan.

– Niech ksiądz lepiej nie zagląda – komisarz obchodzi zasłonę i wyciąga przed siebie torebkę z kluczem. – Porozmawiajmy o tym. Kto ma te klucze? Ile ich jest? U kogo, od kiedy?

– Ja mam egzemplarz. I Jan ma, tak jak mówił. Miała jeszcze pani Wanda i był czwarty na zapas, ale...

Kapłan pauzuje.

– ...ale niedawno wyparował. Zgadza się?

– Tak.

– I nie uznał ksiądz za właściwe mi o tym powiedzieć.

– No... tak jakoś... – duchowny kręci głową.

– Więc...?

– Miałem od początku, od remontu, cztery klucze. Z tego, jak już mówiłem – dwa u mnie, jeden od dawna, dawna u Jana, jeden u pani Wandy, tak. I w środę, wieczorem, zauważyłem, że jeden z dwóch moich... jak pan komisarz mówi... wyparował.

– Skąd?

– Z szafki w zakrystii.

– Kto tam ma dostęp?

– Siostra Klara, moja gosposia, panie, które sprzątają i dekorują kościół, ministranci, chórzystki i chórzyści...

– Kantor?

– Jan oczywiście też.

– Dobra... jeden krzyż mamy w komendzie, jeden mam tutaj. Trzeci ma ksiądz?

– Tak.

– Poproszę.

– Mam panu oddać?

– Tak! Ma ksiądz oddać. Do depozytu. Chwilowo. Przecież macie jeszcze to wejście... – ruch dłoni w kierunku głównej bramy – ...i od Łaciarskiej.

Proboszcz podaje krzyż-klucz dwoma palcami.

– Tu mi ksiądz wrzuci – Warski nastawia wydobytą z kurtki torebkę na dowody i odwraca się do Toczyka. – Dobra, robimy tak: wołasz lekarza, niech pisze kwity, dzwonicz

do „Anieli”, niech przyjeżdża i tu popatrzy, żeby potem nie było nieporozumień. Gdy ci pozwoli, wieziecie ciało do doktor Batorzyńskiej, bo im dłużej ona tu leży, tym gorzej dla nas. Zaraz się jakiś przyplącze z kamerą. A ksiądz prowadzi mnie do Rudzkiego.

* * *

W pustej sali pod krucyfiksem kantor Jan leży krzyżem na wilgotnej posadzce. Światło, które przez wysoko położone okno pada na głowę Chrystusa i plecy Rudzkiego, sprawia, że scena kojarzy się Anie Wittesch z obrazami Caravaggia albo Georges’a de la Tour.

Ale Warski, za którym tu przyszła, nie jest dzisiaj w nastroju kontemplacyjnym.

– Wystarczy – mówi w progu i klaszcze w dłoń.

Wchodzący proboszcz tylko chrząka i skubie rękaw sutanny. Nie zdobywa się na to, by zbesztać glinę.

Kantor unosi się na łokciu, klęka, wstaje. Marynarkę i ciemne spodnie ma brudne od kurzu. Patrzy wpierw na trekkingowe buty Warskiego, na jego znoszone dżinsy, kurtkę kryjącą kaburę i kajdanki, wreszcie – prosto w oczy.

– Czego pan ode mnie znów chce?

– Po pierwsze, chcę, żeby pan mi dał swój klucz od wieży.

– Nie mam.

– Ach... nie ma pan?!

– Nie mam.

– Ktoś panu ukradł?

– Nie.

– Zgubił pan?

– Tak jakby...

– Co to ma znaczyć: „jakby”?!
– Upuściłem klucz wczoraj obok sypialni... – kantor próbuje znaleźć spojrzenie księdza

Witeckiego, ale go nie znajduje. – Obok mojej celi.

– ...i co dalej?

– Co z czym?

– Mam rozumieć, że upuścił pan klucz na korytarzu, w części mieszkalnej tego budynku?

– Tego kościoła. Tak.

– I zapomniał go pan podnieść.

– Tak... byłem zdenerwowany. Musiałem wyjść na powietrze.

– Czym się pan zdenerwował?

– Mam czasem takie stany. Lękowe.

– O której to było?

– Jakby koło szóstej, siódmej po południu. Potem wróciłem i klucza nie było.

– I ja mam w to uwierzyć?! – glina odwraca się do proboszcza. – Słuchajcie mnie, boże sługi... Będzie dużo, dużo lepiej dla was obu, jak ten ostatni krzyż się znajdzie. Bo na razie jeden klucz oznacza jedną ofiarę. Czy wy rozumiecie, że mamy dwa trupy związane z waszym kościołem i mam prawo tu wszystko zaplombować, a was obu posadzić do wyjaśnienia? Od teraz również księdzu nie wolno opuszczać miasta bez mojej zgody. To jasne?

* * *

– Czy baza poszukiwanych aktualizuje się teraz na bieżąco? – komisarz wchodzi do pokoju aspirantów, gdzie dwóch nowo awansowanych ze Śródmieścia szczawiów wypełniania grube pliki kwitów. Jeden przygotowuje papiery na jutrzejsze ranne posiedzenie składu aresztowego, drugi przepisuje na czysto raport z akcji rozbicia grupy piętnastolatków ćmiących blanty na trawniku pod kładką na fosie. Mogliby sobie, gnoje, kopcić dalej, aż by im płuca wypadły, gdyby nie fakt, że widać ich było z okien komendy i „Stary” po prostu musiał posłać kogoś, by ich zatrzymał.

– Baza poszukiwanych?

– A to zależy, kiedy ostatni raz był u pana komisarza ten magik od upgrade’owań – młodzi chcą być pomocni. Odpowiadają jeden przez drugiego:

– Jak helpdesk był w ciągu ostatnich tygodni, to musieli wgrać tę aktualkę, że dane same się zasysają... pan komisarz wie.

Warski nie miał styczności z serwisantem ani przez ostatnie tygodnie, ani w ogóle w tym półroczu. Więc to raczej nie aktualizacja bazy. Ktoś ręcznie odpalił jego komputer dzisiaj o szóstej trzydzieści pięć rano i nie wyłączył.

Idzie do dyżurnego ochrony, ale po rozmowie z nim jest tak samo głupi jak wcześniej. Kamery na pierwszym piętrze całą noc pracowały, ścieżka z nagraniem się zachowała, poza panią Wiesią nikt do pokoju nie wchodził. Okna w kanciapie sto dwadzieścia jeden nie ma, przez szyb wentylacyjny żadna istota zdolna uruchomić peceta nie wejdzie.

– Może było przepięcie fazy i sam się włączył? – sierżant Florian Kloc, weteran służby, który na dyżurach spędza ostatni rok przed emeryturą, czwarty raz przekonuje komisarza, że

„to nic takiego”. – Się nawet i w mikrofalówkach zdarza. Zięć jest elektrykiem, mi mówił...

A pan komisarz sprzęt wyłączył z guzika czy tylko zostawił na spaniu?

– Zawsze wyłączam. To odruch.

Czyżby, cholera, sprzątaczką?

Niemożliwe... Chociaż z drugiej strony każdego można skorumpować albo zastraszyć.

Wracając do biurka, Warski zastanawia się: co takiego kuszącego może zawierać jego twardy dysk? Parę rzeczy by się znalazło. Choćby adresy i numery świadków prokuratury w sprawie słynnego nie tylko na Śląsku zabójstwa małżonków lombardziarzy. Wytypowany sprawca zleceniodawca walczy już w drugim podejściu apelacyjnym, jego papugi wiele by dały za możliwość dotarcia do osób, które go wskazały, a których dane nie trafiły nawet do akt głównych, nie mówiąc o akcie oskarżenia.

Siada na krześle, obraca w rękach termos, rozłącza jedną po drugiej przychodzące rozmowy. Pierwszy numer to dziennikarz z „Wyborczej”, drugi: „numer prywatny”. Trąca stopą ukryty pod biurkiem twardy dysk. Blacha obudowy odpowiada brzękiem. Egzemplarz pamięta jeszcze początek stulecia. Warski odziedziczył go po poprzedniku „Starego”. Wtedy to był krzyk mody, myszka nie miała już kulki, tylko czerwone światełko, nie było szuflady na dyskietki, ale na płyty, a do tego nowość: wejście USB.

Coś dużo ostatnio dziwnych rzeczy się dzieje. Kloc jest stary jak węgiel i nie powinien pytać jego, tylko tych młodszych z wydziału techniki operacyjnej, ale w niedzielę ich nie ma. Jutro pójdzie, teraz trzeba pisać nowy plan śledztwa, o który się zaraz upomni „Aniela”.

Galaxy S4 wibruje i popiskuje.

Oczywiście, prokuratorka. Ściągnął jej telefon myślami. Normalne.

Rozdział 13.

Poniedziałek 26 września, przedpołudnie

– Nje przeszkadzam ja? – Ana Wittesch wchodzi przez uchylone drzwi pokoju sto dwadzieścia jeden. Jest uśmiechnięta, w prawej ręce trzyma torebkę, w lewej kluczyki od porsche. Drugi z rzędu ciepły dzień sprawił, że zamiast wojskowej kurtki założyła sukienkę, a zamiast ciężkich butów – klapki. Siedzący bokiem przy biurku Warski i stojący nad nim Toczyk pierwszy raz mogą podziwiać jej kształtne kolana i proste, dobrze umięśnione łydki.

– Zapraszamy na pokaz – komisarz się nie odezwał, więc święty obowiązek gościnności przyjmuje na siebie aspirant. Podstawia wchodzącej krzesło, które tu przed chwilą przytargał dla siebie, a potem rozrywa szarą przesyłkę z logo korporacji finansowej i adresem komendy. – Dostaliśmy to właśnie z pozdrowieniami od kierownika oddziału na Szewskiej.

W środku koperty – płachta folii bąbelkowej. W niej mniejsza, tym razem biała koperta. A w tej – pendrive.

Aleks wciska kostkę w ściankę swego della. Pecetowi Warskiego nie ufa po wczorajszym włamaniu. Bo że to było włamanie – żadnych wątpliwości nie miał ani on, ani chłopaki z helpdesku, ani ci z techniki. Włamanie profesjonalne – bez śladów. Ten, kto wszedł na twardy dysk komisarza, niczego nie poprzestawiał, niczego nie skopiował, niczego nie usunął. Coś obejrzał. A obejrzyć mógł wszystko.

– No to jedziemy... – Aleks uruchamia, co trzeba, i oglądają we troje ścianę kościoła, iluminowaną fontannę na placu, ławki, zaparkowane jeden przy drugim samochody i kuliste drzewa. Obraz jest kiepski, w chwilach eksplozji błyskawic nie widać nic – jasnopomarańczowy kleks rozlewa się na całym ekranie i długo trwa, nim można cokolwiek znów dostrzec.

Katedra – fontanna i przycięte korony zieleni – rząd aut – znowu kościół... Mija pierwsza minuta nagrania.

Zegar w rogu ekranu pokazuje niedzielę 25 września, godzinę pierwszą czterdzieści pięć.

Uczynne kierownictwo placówki bankowej nie dołączyło do pendrive'a żadnego opisu, lecz Warski ma przeczucie, że wybrali dokładnie ten fragment, co trzeba – i zaraz coś zobaczy.

Ana Wittesch wkłada kciuk do ust i ściska kluczyki auta. Z trudem powstrzymuje chęć wyjścia z pokoju. Wie, co się zaraz pokaże na monitorze.

W drugiej minucie filmu ulica Szewska przed główną bramą kościoła jest już zalana nagłym deszczem. Na wschodnim końcu placu widać przebiegającego mężczyznę w kapturze. Wypadł z przejścia pod obwieszonymi antenami blokiem i pędzi Łaciarską. Znika za wschodnim krańcem kościoła.

Komisarz prosi aspiranta, by mu powtórzył scenę, choć nie wierzy, by biegacz mógł do czegokolwiek doprowadzić. Facet leci nie do kościoła, tylko go mija. Jego celem jest zapewne najbliższy całodobowy monopolowy. Może przy normalnej pogodzie taki sprint po wódkę byłby dziwny, ale w zacinającym deszczu trudno, żeby chłopak szedł spacerkiem.

Dalej. Przed końcem drugiej minuty w perspektywie ulicy Wita Stwosza błyskają reflektory niedużego osobowego auta. Wóz zbliża się, zaraz będzie można rozpoznać markę i numery tablic. Już dość wyraźnie widać przednie lampy – dotąd rozmazane deszczem nieregularne blaski zyskują kształty. Lewy reflektor świeci słabiej.

Bach! Kolejna błyskawica!

I niczego dalej nie można dojrzeć.

Gdy obraz wraca, ruchoma kamera pokazuje Szewską i ciało. Wanda leży martwa.

– Czyli momenta upadku nje mamy? – Ana wyjmując kciuk z ust.

– Jak widać... nie – Warski patrzy w ekran. Pojawia się kot, który – nie zważając na deszcz – podchodzi do ciała i zaczyna je obwąchiwać. Potem oko szerokokątnego obiektywu ponownie omiata północną pierzeję placu, ale samochodu osobowego już nie ma. Koniec nagrania.

– Miałaś rację, Ano, mówiąc, że „zawsze coś jest” – komisarz przechyla termos.

– Tyle co nic... Biegnie człowiek, jecha auto i jest kot.

– Kot i facet na razie mnie nie interesują. Interesuje mnie samochód. Myślisz, że dałoby się odczytać numery?

Aleks mamroce coś w odpowiedzi, cofa film i wszyscy troje oglądają od początku przejazd wozu z nierówno świecącymi lampami.

– Zatrzymaj tuż przed rozbłyskiem i powiększ – Warski bębni palcami po biurku. Schylony Toczyk robi to, co do niego należy – maksymalne zbliżenie jest jednak wciąż niewyraźne. Kupka pikseli. Sześć najjaśniejszych to prawy reflektor. Sześć trochę bardziej burych – lewy. Dziewięć czy dziesięć kwadratów ledwo tylko odróżniających się od ciemnego tła – to rejestracja wozu. Komisarz przygotowywał wnioski dowodowe z monitoringu zbyt często, aby mieć nadzieję, że da się odcyfrować choć literę. Pije i zamyka wieko termosu. Taśmy już nie zamierza oglądać. Woli zapytać niemiecką koleżankę, czy mogliby pojechać do zakładu medycyny sądowej jej samochodem. A ona musi się zgodzić – bo co powie? Kluczyki od kabrioletu zwisają jej wciąż z serdecznego palca lewej ręki.

* * *

Kiedy schodzą ku bocznym drzwiom wyjściowym z dawnego prezydium policji śląskiej, oboje myślą o tym samym: o kształcie reflektorów porsche 911 rocznik 2006. Na zacienionym dziedzińcu Warski po raz enty ignoruje telefon od reportera z redakcji na placu Solnym. Prosi Anę, by otworzyła dach kabrioletu.

– Ładna jest pogoda... przewietrzmy się.

– Muszę cię zamartwicz. Dach mi się nje rusza. Już z zeszłym miesiącem. Dawno miałam pojechać do mechaniki, ale nje wyszło.

– OK – on obchodzi samochód dookoła. – Śliczny wózek. Problem z dachem może być związany z elektryką. Włącz światła.

– Są w porządku – Ana otwiera drzwi i mości się w fotelu kierowcy. – Wskakiwaj!

– Włącz, proszę. Siadasz za kółkiem w klapkach, masz awarię...

– Nie kieruję w klapkach – ona zgina się z uniesioną wysoko brodą i zdejmuje klapki. – Kieruję boso. To jest dozwolone.

– O tym, co jest dozwolone, decyduje funkcjonariusz policji... Żartowałem. Nie kłóć się ze mną.

Ana ustępuje.

– Grzeczna dziewczyna. Naciśnij hamulec... dobrze, stop działa. Daj długie. Krótkie. Postojowe... dobra, teraz mgielne... Coś z lewą lampą jest nie tego...

– *Beschädigt?*

– Trochę, powiedzmy, niżej świeci. Trzeba ustawić w jakimś serwisie. Dam ci telefon mechanika z naszego warsztatu. Przyjedzie, zrobi na miejscu – komisarz nagle zaczyna tryskać humorem. – Dach ci też naprawi, to złota rączka. Sam u niego serwisuję mego

staruszka.

– Złota co?

– Tak się mówi... rączka – komisarz siada na fotelu pasażera i potrząsa dłonią. – Fachowiec. Będzie pani zadowolona. Możemy jechać.

* * *

– Niczego nadzwyczajnego nie znalazłam – doktor Magdalena Batorzyńska bawi się cienkim łańcuszkiem na szyi. Platynowe loki ma dzisiaj spięte nad karkiem, fartuch rozpięty, ciasny top pod spodem podkreśla biust. – Nie współżyła przed śmiercią, nie jadła i nie piła przez dwie doby, oddała mocz pod siebie, ślady pokazują, że na leżąco. Ma przekrwienie białek wskazujące być może na jaskrę, ale w mniejszym stopniu, niż to było u Edith Kronenberg. Wszystko jak przy samobójstwie.

– Nie, nie! ...eghrmm... – z krtani Warskiego wydobywa się wymuszone kasznięcie – Nie ma mowy o samobójstwie. Jeszcze przy Edith mieliśmy motywy. Odstawione proszki, samotność w obcym kraju, konflikt z rodziną. Ale ta? Rozmawiałem z nią w środę, była zdrowa, była zrównowazona, nie była nawet zbyt przybita śmiercią koleżanki. Musisz coś znaleźć. Co pod paznokciami?

– Na analizę trzeba poczekać. Ale na oko to może być ta sama substancja. Sierść i wełna, filc sprzed epoki tworzyw.

– Myślałaś o bagażniku bardzo starego samochodu? – komisarz przenosi wzrok ze zszytego już policzka martwej Wandy Kamińskiej na twarz patolożki.

– Bagażnik?

– Wyłożony filcem bagażnik, w którym ktoś zamknął ją, powiedzmy, w czwartek w nocy i trzymał tak do soboty. Nie jadła, nie piła, sikała pod siebie i skrobała wewnątrz. Może usiłowała wydrapać w filcu informację?

– Ile lat musi mieć auto wyłożony takim czymś? – stojąca po drugiej stronie stołu sekcyjnego Ana najpierw bez emocji obejrzała złożone w kuwetach wnętrze Wandy, teraz przygląda się z bliska jej palcom. – Ma ranę na dłoni.

– Zrobiła ją sobie sama, trąc palcem o palec. Znowu zachowania autoagresywne, ale żadnych śladów napaści i obrony. Nikt jej nie bił. Raczej ktoś zadziałał stresem poprzez uwięzienie.

– Do tego stopnia, by chciała się zabić zamiast uciec? – policjantka pociera pokryte gęsią skórką przedramiona. W pomieszczeniu jest chłodno, a ona ma tylko sukienkę i

gumowe klapki.

– Nie jestem psychiatrą. Ale ludzie wieszają się w więzieniach, więźniowie obozów rzucali się kiedyś na druty...

– Po dwóch dniach w niewoli? – w kieszeni komisarza odzywa się komórka, natychmiast ją wycisza.

– *Kann sein...* jak się na polski... hipnoza?

Magdalena i Waldemar spoglądają na siebie wzajemnie. Ona odpowiada pierwsza:

– Przekonanie, że zahipnotyzowaną osobę można skłonić do zachowania niezgodnego z jej charakterem, poglądami, przyjętą moralnością czy nawet podświadomymi dążeniami, jest błędne – mówi monotonicznie, jakby dyktowała protokół. – Prawie nie ma takich wypadków, a te, które opisuje literatura, są niejednoznaczne. Natomiast to, co by przemawiało za pani intuicją, to pewne, ledwo widoczne, ślady na policzkach. Tutaj i tutaj. Mogła mieć założone okulary spawalnicze, narciarskie gogle albo coś jeszcze innego.

– Ktoś mógł ją rażić szwiałem? – Ana pochyla się nad czołem Wandy i przytrzymuje sobie dłonią włosy, by nie musnąć kosmykiem nieżyjącej. – Jakieś torturowanie przez okulary? Pokazywanie złych filmów? *Gewaltprogrammierung*?

– Neuroprogramowanie? – doktor Batorzyńska wkłada ręce do kieszeni fartucha. – Dziwaczne, ale nie niemożliwe.

– Związana na szorstkim posłaniu, oślepiąca światłem albo rażona obrazami, głodzona... – komisarz prychnie i pociera brodę. Zarost chrzęści. – Tylko jeśli ktoś już miał nad nią kontrolę, czemu kazał skakać z wieży? Transport, możliwość dekonspiracji w środku miasta. Możliwość jej ucieczki w ostatniej chwili. Czemu jej nie pokroił, nie udusił, nie zagłodził tam, gdzie trzymał? W antycznym aucie... I jaki motyw?

– Sława choćby. – Lekarka przykrywa twarz ofiary białą fizeliną. – Zagładałeś, Waldek, do internetu? Kimkolwiek jest nasz sprawca, sławę już zdobył.

* * *

W drodze powrotnej Ana Wittesch milczy, bo jej partner skupił się na swoim samsungu. Dziennikarz Hryniewicz i ktoś o „numerze prywatnym” próbowali się połączyć w sumie osiem razy. Warski – podobnie jak wszyscy funkcyjni w komendzie – ma zainstalowaną apkę ujawniającą wszelkie numery dzwoniące na służbowy aparat – także te zastrzeżone. Jak widać jednak ktoś ma jeszcze lepszą aplikację. Przegląda jeszcze skrzynkę esemesową: znajduje przesadnie grzeczne prośby z dwóch rozgłośni radiowych – o spotkanie, o

oddzwonienie i „o której można do Pana Komisarza zatelefonować”. Medialna sfera ruszyła.

Najpierw sprawdza witryny tabloidów. Jakiś paparazzo albo po prostu ktoś sprytny i żądny zarobku wlaźł na dach kamienicy przy Szewskiej i zrobił ujęcie ciała Wandy z lotu ptaka. Na dużym zbliżeniu widać twarz leżącej, ranę na policzku, stojącego przy zwłokach Toczyka i plecy Warskiego. Jest też infografika przedstawiająca prawdopodobną trasę upadku ciała. Dziennikarze policzyli metry i przedstawili zarys kościoła w porównaniu z wieżą Eiffla, filarem mostu Golden Gate i konturem kanadyjskiego wiaduktu Księcia Edwarda. Dalej zdjęcia obu ofiar za życia. Młodziutka, tryskająca radością Edith i nie mniej urodziwa Wanda – dojrzała artystka o intrygującym spojrzeniu. Tytuł całości: „Seria samobójstw czy morderca satanista spycha ofiary z Mostka Czarownic?”.

W tekście poniżej debilnego nagłówka pełno błędów. Ofiary były – zdaniem autorki podpisanej jako Zuzanna M. Garstka – zadurzonymi w sobie ministrantkami. Pierwsza to córka bankiera, druga zajmowała się plastyką. Miały mnóstwo pieniędzy. Anonimowy informator Garstki mówi, że wielokroć widział je razem w „najbardziej snobistycznych wrocławskich klubach” w sytuacjach – tu znowu cytat: „dwuznacznym”. Pod informacją ciąg dywagacji: zabiły się z miłości czy padły ofiarą mordercy „...który już został ochrzczony przez wrocławian mianem »Spychacza«”.

W końcówce tekstu autorka myli nazwisko prokuratora pod cytatem o „trwających intensywnych czynnościach śledczych”. Pisze o „Anieli”: Aldona Aplejewska. W ramce obok reprodukcja barokowego sztychu: rogaty diabeł spycha nagą pulchną dziewczynę z wieży zwieńczonej krzyżem.

No, pięknie...

Na deser tabloid reprodukuje wspólną fotkę Wandy i Edith z facebookowego profilu ich koleżanki. Obie całują się z kieliszkami w rękach. Jasne włosy splecione z włosami kasztanowymi. To może być jakieś składanie życzeń albo cokolwiek. Ale czytelnikom wystarczy, by sobie wyrobić pogląd. Lesbijki ministrantki, rozpsute utracjuszki, gotycki kościół, diabły i wieża o złej sławie. Potworny, seryjny „Spychacz satanista”. Komisarz nie ma wątpliwości, że to wszystko rozejdzie się po internecie jak wirus. Wystarczająco długo pracuje, by już wiedzieć, jaki będzie skutek. Na imieninach siostry komendanta, na weselu kuzynki nadinspektora, na operatywce u prezydenta miasta, na konferencji w Warszawie, na briefingach, koktajlach i w poczekalni na lotnisku – każdy z jego szefów

będzie przez najbliższe tygodnie pytany o postępy w tej, a nie w żadnej innej – kurwa mać!
– sprawie.

Warski czuje, że musi zajrzeć do zostawionego w komendzie termosu. A Ana – jak na złość – jedzie wolno. Sunie Podwalem za nissanem z niebieską elką na dachu.

Waldemar wraca do smartfona. Klik-klik. Lokalna „Wyborcza”. Ci faktycznie muszą mieć jakiegoś informatora w komendzie albo prokuraturze. Podają dane ofiar, stopnie i nazwiska prowadzących dochodzenie. Piszą o scholi śpiewaczej, a autor głównego tekstu Jacek Hryniewicz rozmawia z dwiema chórzystkami, które oczywiście „boją się, czy nie będą następne”. Jedna z babek mówi o kantorze z katedry: „Jan to dziwak i przeciwnik obecności kobiet w Kościele”.

„...obie ofiary były członkiniami parafialnego chóru żeńskiego” – zauważa dziennikarz. Dalej pisze: „Z kantorem nie udało nam się skontaktować. Podobnie jak z komisarzem Waldemarem Warskim, którego chcieliśmy zapytać o to, czy kantor R. jest jego głównym podejrzanym. Proboszcz parafii, ksiądz doktor Edmund Witecki, zwierzchnik kantora, powiedział nam jedynie tyle, że dziś jeszcze ogłoszony zostanie termin uroczystego nabożeństwa za duszę zmarłej Wandy Kamińskiej”.

- Co tam poczytałeś? – Ana już wyprzedziła naukę jazdy.
- Że Edith i Wanda miały romans, a morderca ma ksywę „Spychacz”.
- Spychacz?
- Bo spycha bogate lesbijki z wieży.
- *Scheiße!*
- I tu się w końcu zgadzamy.

Rozdział 14.

Poniedziałek 26 września, popołudnie i wieczór

W muzycznej kawiarni złożonej z czterech amfiladowo połączonych sal tłoku nie ma. W pierwszej – z widokiem na płytę Rynku – siedzą dwie pary i samotna kobieta nieuważnie przeglądająca kolorowy tygodnik. W trzech głębszych pomieszczeniach ciągnących się aż do Przejścia Garncarskiego jest prawie pusto. Najwyżej pięć osób, w tym pianista, który gra przygnębiającą melodię – coś pomiędzy Tomem Waitsem a przewodnim motywem z serialu „Polskie drogi”.

Na sztucznie postarzonych ścianach wiszą zdjęcia starych jazzmanów na przemian z nowymi gwiazdami muzyki fusion. Atmosfery dodają kaflowe piece, miedziane rury pod sufitem i obrusy w biało-czerwoną kratę.

W najgłębiej położonej sali siedzą blisko siebie kobieta ostrożnie smakująca rasowe Douro Alves de Sousa i mężczyzna, który zamówił tylko czerwoną herbatę.

Ona jest absolwentką Instytutu Psychologii wrocławskiego Wydziału Nauk Historycznych i Pedagogicznych z roku 1988, dobrze sytuowaną, niezamężną i bezdzietną kobietą o ilorazie inteligencji – zależnie od pomiaru – między sto czterdzieści a sto pięćdziesiąt. On jest absolwentem technikum mechanicznego i szkoły policyjnej w Szczytnie, w październiku 1999 roku przeniesionym pod komendę ministra obrony narodowej razem z całą Grupą Realizacyjną Operacji „Most”. Zwaną także „komandosami z Marsa” – ulicy, a nie planety. Albo „jednostką GROM”.

Joanna Stanisz założyła na spotkanie podkreślającą pośladki obcisłą lnianą spódnicę i jasną koszulę, Waldemar Warski zdobył się na popielatą rubaszkę ze stojącym kołnierzykiem i ciemniejszą o ton marynarkę. Przez chwilę myślał nawet o pantoflach, ale ostatecznie został przy dzinsach i swych codziennych traperach. Nie mówi dużo, słucha, patrzy – co wciąż sprawia mu przyjemność. Gdyby był młodszy lub bardziej naiwny, mógłby się zakochać. Joanna jest zajmująca, intelektualnie przewrotna, autoironiczna.

– ...lekarz, prawnik, dziennikarz, policjant – mówi – ...to ktoś, kogo warto mieć wśród znajomych. Koleżanka lekarka wypisze panu receptę, a koleżanka terapeutka? Jest socjalnie bezużyteczna. Mnie nie wolno nie tylko udzielać porad rodzinie czy znajomemu, ale nawet

dzieciom koleżanek i sympatiom tych dzieci.

– A facetowi, z którym pije pani alkohol?

– Wyłącznie rozmawiamy. A piję sama ze sobą, chyba że coś pan sobie do tej herbaty kazał dolać.

– Miewa pani pacjentów, którzy po cichu wzmacniają herbatę?

– O pacjentach też mi nie wolno rozmawiać. Ani o ich problemach.

– Czyli jesteśmy skazani na moje kłopoty.

– Tak: lęk, gniew, agresja... – ona upija łyk wina, on tylko dotyka swojej, wciąż nieruszonej filiżanki. Herbata nie należy do jego ulubionych napojów. – W moim zawodzie agresja zatruwa każdego. No, powiedzmy... prawie. Można pracować w magazynie dowodów.

– Ciebie również zatruła?

– Przeszliśmy na „ty”?

– Tylko na użytek dzisiejszej rozmowy.

Pianista skończył odtwarzanie smętnej kompozycji, teraz gra instrumentalną wersję jakiegoś szlagieru z przedwojennej Warszawy. Psycholożka unosi kieliszek.

– Nie musimy rozmawiać – Warski pociera podbródek. – Patrę na ciebie i to mi w zasadzie wystarcza. Możesz mówić o swoich ostatnich wakacyjnych wyjazdach, o koleżankach ze studiów, o winach albo o pogodzie. Z przyjemnością posłucham. Sprawy policyjne tylko nam zepsują nastrój... Ożeż ty!

Potężny i trochę młodszy od Warskiego mężczyzna przechodzący przez salę w stronę toalety trąca łokieć Joanny biodrem – jakby się zatoczył. Karmazynowe wino bryzga na kremowy jedwab koszuli.

– Przepraszam, przepraszam... – po głosie nie czuć pijaka, twarz też raczej przytomna. Z gatunku tych, co mogą się podobać kobietom, które lubią szerokie żuchwy, a przy tym uważają, że blizny nie szpecą rycerza. – Zagapiłem się, jeszcze raz bardzo przepraszam.

Drab znika za załomem ściany odprowadzany czujnym spojrzeniem Waldemara.

Joanna wyjmuje ze stojaka serwetkę i przykłada do bluzki. Douro już wsiąkło.

– Zaraz wracam – wstaje, zdejmuje torebkę z oparcia krzesła, idzie do łazienki. Warski chwilę patrzy za szybę, w ciemną bramę Przejścia Garncarskiego, potem wyciąga telefon, by sprawdzić, co nowego dziennikarze wysmażyli przez ostatnie sześć godzin.

Jest tego trochę. Po wpisaniu ciągu: Spsychacz, Wrocław, kościół, śmierć, Kronenberg –

wyszukiwarka podsuwa sześć tysięcy wyników. Prócz tekstów są i fotografie: Edith z rodziną, ciało Wandy na chodniku, Warski i Anielewska na zeszłorocznej konferencji prasowej po zamknięciu sprawy nożownika z Przedmieścia Świdnickiego, kantor Jan Rudzki odbiera Ważną Nagrodę Śpiewaczą w budynku, który może być filharmonią gdziekolwiek w Polsce, dalej kilka różnych ujęć budynków policji, prokuratury i sądów, znany już komisarzowi barokowy sztych przedstawiający diabła i wiedźmę. Komisarz czyta komentarze, krótką notkę o historii parafii i wywiad z psychiatrą, który opowiada o typach samobójstw. Joanna Stanisław – w tej samej chwili – nabiera z pojemnika mydło o woni lawendy i przemywa chustką tkaninę na biuście. Potem wyjmuje z torby transparentną szminkę i poprawia makijaż. W oświetlonym ledami lustrze toalety widzi sztuczną araukarię w wielkiej donicy i rząd białych kabin za sobą. Na tym tle – kobietę, której życie nie jest nudne i która będzie miała dzisiaj dobry seks.

Ze środkowej kabiny wychodzi wielkolud ze źle zrosniętym podbródkiem. Chwilę później do – damskiej przecież! – toalety wparowuje drugi typ. Niższy, z oliwkową cerą i kręconymi czarnymi włosami, które przywodzą jej na myśl nieogolone łono. Jego gęste, smoliste brwi schodzą się nad nosem.

Psycholożka kończy malowanie ust, chowa szminkę, torebkę umieszcza za plecami. Bez strachu odwraca się w stronę obu mężczyzn. Kilka sekund mierzą się wzrokiem, potem ten większy rzuca śniademu polecenie:

– Pilnuj drzwi.

* * *

Waldemar Warski przejrzał już Onet, teraz przebiega wzrokiem zawartość serwisu Gazeta.pl. Nie żeby go ciekawiło. Musi wiedzieć, w którym miejscu mu się media przyssają najmocniej. Wierzchem na obu portalach lecą wiadomości polityczne ze stolicy, potem już wieści o „Spychaczu” z Wrocławia. Mostek Pokutnic z dorysowaną dziewczyną w locie. Długa lista polskich seryjnych morderców. Kanibal z Kalinowic Górnych – typ, który robił z włosów sznurówki. Władysław Mazurkiewicz – krakowski agent Geheime Staatspolizei i Urzędu Bezpieczeństwa. Bogdan Arnold nazwany „Władcą Much” – trzymał ciała w mieszkaniu tak długo, aż latające robactwo zmuszało sąsiadów do wezwania milicji. Dalej „Wampir” Marchwicki, „Frankenstein” Knychala i na koniec „Szatan” Trynkiewicz.

Jeszcze niżej krótkie opinie specjalistów w sprawie „Spychacza”. Wypowiadają się

emerytowany profesor kryminologii z uniwersytetu w Toruniu i znana autorka powieści detektywistycznych Katarzyna Blondyna.

Na koniec – a jakże – wspólne zdjęcie związanych pocałunkiem Kronenbergówny i Kamińskiej przklejone na tło zachodniej elewacji kościoła. Nie ma jak alians religii, seksu i zbrodni – zawsze się sprzedają.

Telefon w ręce piszczy – tym razem to nie dziennikarze, lecz skrócony numer z komendy.

W pierwszej chwili chce posłusznie odebrać, w drugiej – rozłącza się. Coś mu nie pasuje. Nie... nie numer. Numer jest jak najbardziej w porządku, zna go na pamięć, należy do jednej z sekretarek wydziału prezydyjnego i na pewno ma coś wspólnego z dwiema rzeczami. Z falą publikacji i z brakiem postępów w śledztwie. Właśnie o tym – więcej niż pewne – chce z Warskim rozmawiać jeden z dwóch jego szefów – „Konar” albo „Stary”.

Jeśli nie o to chodzi, co jest nie w porządku?

Przedłużający się pobyt Joanny w toalecie. Wielki niezdarca ze sznytą na gębie nie wyszedł z klopa. A potem wszedł tam jeszcze jeden – niższy, kędzierzawy brunet. Policjant zarejestrował go z nawyku kątem oka.

Od sześciu minut żaden z dwóch facetów nie wyszedł.

Zrywa się z krzesła, trzema suszami dopada załomu ściany, czterema – podwójnych drzwi na końcu bocznego korytarza. Lewe oznaczone złotym trójkątem, prawe – błyszczącym kółkiem. Szarpnięcie za gałkę – zamknięte.

Cofa się o trzy kroki, robi krótki rozbieg i skacze.

* * *

Na widok wpadającego razem z drzwiami szatyna w butach do wędrowek ciężki facet, który dotąd przygniatał Joannę w kącie pomieszczenia, zrywa się na obie nogi. Jest w tym ruchu przeszło stu czterdziestu kilogramów sprawność znamionująca sportowca. Drugi gość – duże, zrosnięte brwi, ciemna morda starego wyrokowca – od razu próbuje uderzyć z półobrotu, lecz Warski unika ataku. Choć sam nie do końca złapał równowagę po skoku, krótkim kopnięciem w goleń sprowadza bruneta do parteru.

Skurwiel wstaje szybko, o wiele za szybko. Ugina kolana, przyjmuje postawę boksera i drobiać kroki usiłując zajść komisarza od tyłu.

Joanna Staniszk chwiejnie wstaje, sięga po torebkę, podnosi but ze zwichniętym obcasem. Ściskając rozerwaną na piersiach koszulę, sunie w stronę Warskiego z plecami przy ścianie. W tym czasie mięśniak, niedoszły gwałciciel, zapina spodnie.

Brzydki brunet nie czeka, aż kompan go wesprze. Przypuszcza natarcie – i zalicza drugi cios, tym razem z łokcia. Waldemar, były specjals, zazwyczaj wali raz a celnie. Łokieć miał zmiażdżyć grdykę, tamten zdążył jednak z kocią zwinnością zmienić kierunek w trakcie ataku – i gliniarz trafił go jedynie w szczękę. Śniady zamiast się dusić – otrząsa się. Pokazuje zęby w złym uśmiechu. Dopiero się rozkręca.

Komisarz wyszarpuje z kieszeni džinsów kluczyki od saaba i rzuca psycholożce.

– Czekaj w samocho...

Nie kończy, bo w tej chwili wielkolud, który już pozapinał, co trzeba, wykonuje skok z miejsca – i to jest niesamowite. Facet o ciele rugbysty rzuca się na Warskiego jak kot na ptaka w trawie. Ręce szeroko, jedna zaciśnięta w pięść, druga gotowa złapać za gardło. Policjant uskakuje ledwo, ledwo, ocierają się, wielki robi szybki zwrot, jego kompan znów próbuje uderzyć, umykająca Joanna zatrzaskuje za sobą wiszące na jednym zawiasie drzwi – i wtedy z trzaskiem elektrycznego spięcia w łazience gaśnie światło.

A dokładnie – komisarz gasi je celnym kopniakiem wprost w umieszczony na wysokości jego głowy kinkiet.

Zarówno człowiek góra, który faktycznie jest byłym rugbystą, jak i jego ciemnolicy kamrat, co zjadł zęby w ulicznych walkach na pięści, maczety, bejsbole – obaj przez chwilę zamierają w bezruchu. A Warski – nie. Bo jest lepiej wyszkolony i bardziej doświadczony. W alpejskim ośrodku, do którego dowódcy wysłali jego i sześciu kumpli na kwartał przed Bośnią, w tak zwanym Pawilonie Śmierci, gdzie wcześniej trenowali bez rozgłosu faceci z Kommando Spezialkräfte – jednymi z ciekawszych zajęć były walki po ciemku. „Tracisz noktowizor i jedziesz dalej” – mawiał ich instruktor, z pochodzenia Norweg. „Przełączasz się na biologiczny, a nie techniczny tryb nocny”. Przede wszystkim dźwięki, ale też ruchy powietrza, drgania podłoża i zapachy. Kiedy człowiek uczy się łączyć pozornie skąpe dane dostarczane przez słuch, węch i dotyk, kiedy mózg integruje pomijane dotąd doznania – trójwymiarowy obraz sytuacji sam wyświetla się pod powiekami, jakby był dzień.

Wielki garbi się i wystawia przed siebie zgięte przedramiona, każde grube i twarde jak gałąź. Lekko się kołysze.

Komisarz wali go prawym w tętnicę szyjną.

Śniady, słysząc uderzenie i charkot, kopie na oślep, wywracając araukarię. Warski chwytą go mocno za stopę, wykręca ją, ciągnie w swoją stronę, dolny sierpowy w jądra,

typ się zgina, teraz podwójne uderzenie oburącz w uszy – skurwiel traci przytomność.

Ale wielki jeszcze stoi. Dyszy, obraca się, półotwarta japa, nos nisko, jak u szczutego psami niedźwiedzia.

Policjant wyciąga glocka i uderza spodem rękojeści w skroń. Muskularny facet pada w otwarte drzwi toalety. Wali twarzą o rant sedesu. Mokra plaśnięcie połączone z dzwonieniem ceramiki i chrzęstem miażdżonej kości szczękowej mówią Warskiemu, że jest po robocie.

Chowa broń pod marynarkę, daje krok w stronę zlewu, coś już zaczyna widzieć. Rozkręca wodę, przemywa twarz, porządkuje włosy. Wychodzi, nie patrząc na leżących. Przed toaletami stoi dezorientowany, mocno wystraszony kelner.

– Dwaj panowie pomylili łazienki i źle się poczuli – komisarz stara się mówić spokojnie, lecz głos mu drży. Wyciąga portfel, z niego sto złotych.

– Za wino i herbatę, reszta dla pana. Za zniszczenia w kabinie zapłacą tamci.

Rusza do wyjścia, za którym czeka Joanna. Idąc sztywno między obrusami w kratę i nielicznymi gośćmi, wygląda trochę jak Michael Corleone po zabiciu Solozza i McCluskeya.

* * *

W mieszkaniu na Świdnickiej, wśród poniemieckich szaf i pod zaśniedziałym żyrandolem, komisarz Waldemar Warski zdejmuje kurtkę, koszulę i buty. Rzuca kaburę na stojące w środku pokoju łóżko, podchodzi do okna, uchyla kotarę, przechyla termos z wklęsłym wieczkiem i pije, patrząc na wieczorny ruch uliczny. Jest jeszcze niespokojny po walce i wariackiej jeździe do domu, ale napój zaraz zrobi swoje.

Joanna wychodzi z łazienki.

Z wilgotnymi włosami, ubrana jedynie w jego nieużywaną koszulę – lata temu, w innym życiu, dostał w prezencie zbyt małą – wygląda nie mniej seksownie niż w swych półprzezroczystych jedwabiach i lnach. On wyciąga ręce, jedną przyciąga do siebie jej biodra, drugą kładzie na twarzy. Ściska zaróżowione policzki. Usta otwierają się, źrenice rozszerzają, ciało drży w oczekiwaniu. Klęka między ciepłymi udami, oddycha prosto w nią, coś tam już zaczyna falować. Kołysanie wychodzi spod miednicy i sięga ramion. Trwa długo. Wreszcie Joanna przeciągle wzdycha, obraca się tyłem i szeroko rozstawia stopy, a on – uniesiony z klęczek – rozpina spodnie i wchodzi od tyłu mocno, z ręką na jej płaskim brzuchu, z nosem we włosach przyklejonych do spoconego karku.

Jego palce w jej ustach, gwałtowne pchnięcia, ona skamle, on gryzie ją w ramię, jej jęki przechodzą w wycie, sąsiad z góry wali czymś w podłogę, on odwraca ją przodem, spływają w dół.

Rozdział 15.

Wtorek 27 września

– To nie było mądre... – Joanna Staniszk siedzi ze skrzyżowanymi nogami na rozkopanym łóżku i pije czarną kawę. Bez mleka, bez cukru. Za przybrudzonymi szybami wstaje kolejny słoneczny poranek i w ciepłym świetle wypełniającym zagracone mieszkanie równo opalone ciało psycholożki przybiera barwę złota.

– Powiedzmy... sytuacyjnie wyszło – Warski, mokry i przepasany jedynie ręcznikiem, podnosi z podłogi kaburę, wieszka ją na stojaku przy oknie, sięga po termos.

– Jednak nie zachowałam się profesjonalnie.

– I tu różnimy się w ocenie, pani doktor.

– Nie jestem lekarzem. A ty?

– Co... ja?

– Kim jesteś?

– Psem o poranku.

– Zawsze byłeś psem?

– Byłem też żołnierzem.

– Ho, ho! Stąd biegłość w kopaniu złych tyłków. Od małego lubiłeś mundur, władzę i przygodę?

– Ty mi pewnie to wytłumaczysz. Widzę, że znów ci się zebrało na...

– Nie, raczej nie. Zajmujesz się tymi samobójczyniami?

Warski nie odpowiada.

– Samobójczyniami albo ofiarami „Spychacza”?

– Może to i samobójczynie, i ofiary zabójstw.

– Nie rozumiem.

– Ja też jeszcze nie. Kręcę się od poniedziałku jak gówno w przeręblu.

– Można być jednocześnie zabitym przez kogoś i siebie samego?

Milczenie.

– Miałeś taki przypadek?

Cisza.

- Ale powiesz mi przynajmniej, czy to twoje śledztwo?
- Owszem. Moje. To nie tajemnica. Już jest w internecie. Ale tak jak ty nie możesz rozmawiać o pacjentach, tak ja nie mogę o bieżącej sprawie.
- HUUU-huuuu-haaaa... Paskudni dziennikarze czyhają.
- Wypisują brednie.
- Bez nerwów – ona przechyła się w pościeli i odstawia kubek na podłogę. – Nie znam żadnych dziennikarzy, którym mogłabym sprzedawać twoje tajemnice. Nie podziękowałam wczoraj za ratunek. Zrobisz mi śniadanie czy wracamy do łóżka?
- Nie bardzo mam z czego śniadanie przyrządzić. Jest stara pizza, ser, imbir i kurkuma. I miód. I chyba pieprz mam.
- Może być.

* * *

Ksiądz proboszcz Edmund Witecki – w sutannie i grafitowej marynarce zamiast ulubionego swetra – idzie niespiesznie przez most Piaskowy. Słońce przygrzewa, woda mieni się seledynowo i szmaragdowo, płyną pierwsze suche liście i dzikie kaczkę. Przystań Kardynalska, gmach biblioteki i kościelna wieża. Ulice Najświętszej Marii Panny, Świętej Jadwigi, Katedralna, Świętego Idziego, Kapitulna, Kanonia... Dom Kapituły, Dom Księża Emerytów, gmachy archidiecezji... Za kościołem Najświętszej Maryi Panny na Piasku i mostem Tumskim to już wszystko ziemie odzyskane.

Odzyskane z pewnym trudem.

Krasnal na latarni, dokładnie oczyszczone czerwone mury, idealnie odnowiona nawierzchnia pod stopami, przepyszna elewacja Centrum Duszpasterstwa w kolorze dojrzałych owoców i miodu. Dumny, złoty herb nad wejściem.

Trzeba było odzyskać, by się tym wreszcie zająć. Eklezja i dbałość o architekturę, wcielenie tajemnicy. Komisja Majątkowa nie była błędem. Na pewno nie. Była ceną, jaką młoda demokracja zapłaciła Kościołowi za ochronę procesu transformacji. Za wsparcie bolesnych reform. Za uspokajające słowa z tysięcy ambon. Że wszystko podrożało sześć razy, ale kiedyś będzie lepiej. Że nie ma pracy, ale nie ma też cenzury i otwarto granice. Że bogacą się oni, ale kiedyś wzbogaciecie się i wy. A poza tym: w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... przekazmy sobie znak pokoju.

Oczywiście, nie udało się uniknąć błędów. Faktyczne utajnienie posiedzeń komisji, brak możliwości odwołań od jej decyzji, coraz większe sumy w obrocie... To przyciągało

uwagę wielu spośród osób, które miały wiedzę, co się święci. Po 1992 roku, po wprowadzeniu w życie części handlowej Układu Europejskiego, trąbka zagrała. To było wielkie wezwanie do zakupów – ale tylko dla posiadaczy informacji i kasy.

Potem stało się to, co musiało. Pojawili się inwestorzy z prawdziwymi pieniędzmi, z pieniędzmi, jakimi nikt dotąd nie dysponował. Ceny skoczyły, w dokumentach zaroilo się od zer. A wielkie sumy zawsze zachęcają do ryzykownych działań. No tak. Ludzie są tylko ludźmi.

Chciwi adwokaci i pośrednicy o niejasnych intencjach, śliscy notariusze, dziwni protegowani prałatów, jacyś kuzyni, o których szeptano, że to nie kuzyni... I jeszcze ci smutni ludzie z kwitami. Wyrastali jak spod ziemi, we wszystkich diecezjach, w każdym większym mieście kogoś mieli. Oferowali odetkanie każdej zatkaney rury.

Bank nie chce przyjąć lokaty na preferencyjny procent? Przecież arcybiskup nie będzie trzymał pieniędzy w skarpecie.

Rada gminy nie chce odrolnić terenu? Przecież siostrzyczki nie po to odzyskiwały grunty, by sadzić na nich rzodkiewkę.

Urząd nie chce zmienić planu przebiegu drogi? My pomożemy.

Mętna woda, duże ryby. Panowie piętnaście procent.

Było też, oczywiście, trochę niewypowiedzianej przekory – no tak. Lewacy, libertyni i antyklerykalni agresorzy, te okropne tygodniki... Oni obrażali najświętsze wartości, a my tu sobie po cichutku załatwialiśmy, co ważne. Kościół myśli wszak w kategoriach stuleci. Wrzaski ucichną, napastliwe artykuły zjedzą mole, a ziemia – to ziemia. Ziemia i religia w szkołach: inwestycje w przyszłość.

Zresztą trzeba było jakoś wyrównać dekady krzywd i upokorzeń. Jakaś uczciwość w tym była. A on, skromny teolog, uczciwy był do przesady. Najlepszym dowodem fakt, że gdy tak zwane postępowania regulacyjne startowały, proboszczował w dekanacie Kozanów. I co? Po ćwierci wieku dalej jest proboszczem, tyle że na Starym Mieście. Większość z tych, z którymi sprawował prymicję za biskupa Kominka, to już kanonicy, archiprezbiterzy, infułaci, jest i dwóch biskupów z jego seminaryjnego rocznika. A on? Od pięćdziesięciu lat na uboczu.

Przychylne wiatry powiały dopiero za czasów ekscelencji Henryka. Rozdzielali nie tylko żółty, a właściwie pomarańczowy, ser z Niemiec – rozdzielali też solidne porcje dewiz, przechowywali słynne miliony Piniora, Surowca i Huskowskiego. Witecki już od

seminarium słynął ze skrupulatności i skromnych potrzeb. Był nieprzekupny, niemożliwy do zaszantażowania, był diecezjalnym Katonem. Może dlatego arcybiskup metropolita powierzył mu aż tyle. Trzymał ukrytą szkatułę wyłącznie na dane słowo, a jednak po wszystkim, gdy środki z kufrów wpłynęły do banków, pozostał wciąż tylko proboszczem.

Nie, żeby się żalił. Stwierdza przed samym sobą jedynie fakt.

W apogeum kampanii regulacyjnej arcybiskup Gulbinowicz miał już siedemdziesiąt jeden lat i trzy watykańskie dykasterie na głowie. Trudno się dziwić, że troskę o nieruchomości pozostawił młodemu. Ksiądz kanclerz Bronisław Kalisz, ówczesny dziekan katedralny, nadawał się do tego idealnie. Prawnik po świeckiej uczelni, sutannę przywdział późno, lecz wiele razy udowodnił lojalność, nie był naiwny, potrafił rachować. Wiedział, co to instrumenty finansowe, studiował w Rzymie Master of Business Administration w czasie, gdy on – Witecki – doktoryzował się z teologii pastoralnej i homiletyki.

Czy homiletyk nadawał się do zamieniania dokumentów na hektary, a hektarów na miliardy i nowe miliony? Do optymalizacji metod refinansowania inwestycji? Do równoważenia budżetów kolejnych projektów?

Nie nadawał się.

W głębi ulicy Katedralnej widzi kojący zmysły układ dachów, kolumnad i murów. Kwiaty w oknach. Wszystko na swoim miejscu: herb Jana Pawła II wyryty na trójkątnym szczycie, złoty zegar na katedrze Jana Chrzciciela wskazuje dziewiątą czterdzieści pięć. Doszedł za wcześnie, ale nie ma nic przeciwko spędzeniu kwadransa w poczekalni. Nie jest ani niecierpliw, ani pyszny, jest kimś, kto posłusznie przyszedł, gdy go wezwali.

Katon diecezji.

O tym, że coś brzydko pachnie, o tym, że liczby się nie zgadzają, o tym, że kradną... No tak, to należy nazwać po prostu... usłyszał o tym wszystkim w konfesjonale. Penitent, także duchowny, człowiek – mówiąc kolokwialnie – z jednej strony utyłany w grzechu, z drugiej ruszony sumieniem, wiedział, że Witecki nie złamie tajemnicy spowiedzi. Ale też nie zostawi sprawy samej sobie. I nie da jej zamieść pod dywan.

Nie złamał tajemnicy, nie zostawił sprawy. Poszedł do ekscelencji – wielki kanclerz metropolita Józef Kupny, też Ślązak, przyjął go nad wyraz życzliwie i dał zgodę, by działać.

Furta z kutym kardynalskim herbem uchylona, obsadzony iglakami plac – jak zawsze idealnie czysty i ukwiecony. Przed szafranową elewacją dwupiętrowego pałacu stoi,

wyprostowany, jeden z dwóch sekretarzy arcybiskupa.

– Kanclerz Kalisz i doktor Kuntz już na księdza proboszcza czekają.

Nie będzie siedzenia w poczekalni.

Kapłan idzie śladem diakona, ten usłużnie otwiera kolejne drzwi. Za trzecimi z rzędu – wysokimi, intarsjowanymi – wielka sala z bajecznym widokiem na francuski ogród i wolno płynącą Odrę. W tym pomieszczeniu przyjmuje gości sam metropolita, ale – jak widać – watykański emisariusz także czuje się tutaj u siebie.

Jest niewiele młodszy od proboszcza, mimo wieku emanuje niespożytą męskością. Opalony na miedziany brąz, krótkie siwe włosy przystrzyżone tak, jakby przed chwilą wyszedł stąd fryzjer. Wypielęgnowany kilkudniowy zarost, wiśniowy garnitur, łososiowy krawat. Duży sygnet na środkowym palcu lewej ręki. Nie wstaje na powitanie.

Ze złoczonego fotela podnosi się tylko kanclerz – łysiejący od czubka głowy pięćdziesięciolatek w czarnej koszuli z koloratką i w beżowej marynarce. To on dokonuje prezentacji: – Ksiądz proboszcz Edmund Witecki, doktor Alois Kuntz.

Skinienia głowy muszą wszystkim wystarczyć.

– Niechaj ksiądz spocznie – Bronisław Kalisz wskazuje tapicerowane krzesło o giętych nogach. Nie proponuje niczego do picia. Nie robi wstępów. Przechodzi bezpośrednio do rzeczy. Patrzy na emisariusza.

– Jak już szanownemu doktorowi opowiadałem, swego czasu jego ekscelencja arcybiskup Józef przystał na propozycję obecnego tu księdza proboszcza, aby dokonać czegoś w rodzaju audytu finansowego pewnych przedsięwzięć w związku z podejrzeniem... nieuczciwości i wywołanych nią strat kurii... ewentualnych strat, które wystąpiły w przeszłości. Także, mówię to bez ogródek, za czasów, kiedy pewne obszary aktywności ekonomicznej diecezji mnie osobiście podlegały. Tym bardziej zależało mi na poznaniu prawdy.

Kanclerz podnosi zsuwające się z nosa okulary w drucianych oprawkach. Jego głos jest matowy, jednostajny, słowa wydają się uprzednio wyuczonymi na pamięć.

– Nie miałem nic przeciw tym badaniom, proboszcz świadkiem, jeżeli ktoś kiedykolwiek zawinił, powinniśmy o tym wiedzieć, by wyciągnąć wnioski na przyszłość i uniknąć błędów. To było moje zdanie wyrażone wobec jego ekscelencji i ono się aż do ubiegłego tygodnia nie zmieniło. Czyż nie tak, księżo proboszczu?

– No tak. Ksiądz arcybiskup istotnie zlecił zbadanie...

– ...lecz na razie, mimo iż ani ja, ani nikt w całej naszej kurii nie czynił przeszkód, to na zleceniu się skończyło – Kalisz znowu dotyka okularów.

– Długo i bezskutecznie zabiegałem o fachową pomoc. Kogoś z doświadczeniem analitycznym, bankowym, księgowym, kogoś życzliwego Kościołowi, dyskretnego i do kogo miałbym pełne zaufanie – proboszcz splata krótkie palce na okrągłym brzuchu.

– Nie chcemy, aby ksiądz się tłumaczył ze zwłoki, nie tego phagniemy – w odróżnieniu od suchego altu księdza kanclerza głos watykańskiego wysłannika jest dźwięczny. Akcent i chrapliwe „er” dodają mu dyplomatycznego sznytu. – My chcemy, hazem z księdzem kanclerzem i za wiedzą jego ekscelencji, zdjęcz księdzu phoboszczowi ciężah z hamion. Co nie znaczy, że zamierzamy poniechać dalszego badania hachunków. O, nie! My dodatkowo badania pogłębimy. Bo tehaz audytem wszystkich przeszłych thansakcji zlecanych w imieniu kurii zajmę szę osobiście ja sam.

Palec emisariusza dotyka węzła własnego krawata.

– Ale mnie się właśnie udało sprowadzić osobę, kuzynkę...

– O tym za chwilę...

– Porozmawiamy szczerze – doktor Alois Kuntz nie daje dokończyć ani proboszczowi, ani kanclerzowi. Ściska obiema dłońmi lwie głowy wieńczące podłokietniki głębokiego fotela i pochyła się ku Witeckiemu. – Ksiądz miał na audyt przeszło hok i nie posunął sphhawy do przodu...

– No tak. Ponieważ długo czekałem na przyjazd krewnej, która na co dzień jest bardzo zajęta, a spełnia wszystkie nasze warunki dotyczące i dyskrecji, i kompetencji, i zaufania.

– Phoszę mi nie przehhywać – Kuntz figlarnym gestem grozi proboszczowi palcem, lecz w wyrazie jego twarzy nie ma nic żartobliwego. – O ile wiem, w tej chwili ma ksiądz zupełnie inne i bahhdziej palące problemy w pahhafii. I o nich chcieliśmy hozmawiać.

– No tak. Te wypadki...

– ...wypadki albo mohdehstwa, któhe niepotrzebnie hhozgrzewają emocje tutaj społeczności. Media piszą o intymnych związkah samobójczyni. Piszą o kantohh, któhy objawia oznaki nieposłuszeństwa względem phoboszcza. Kahhygodnego nieposłuszeństwa. Czytałem jakieś bzduhhy o satanistach w ghhanicach Kościoła. Czy ksiądz sobie zdaje sphawę, że za chwilę niepokojące infohmacje mogą poprzeciekacz do mediów włoskich, do Rzymu, do Watykanu? Może wybuchnąć niekontholowany pożar. Dlatego ksiądz phoboszcz jest w obowiązku zagasić ogień, póki możliwe.

– Drogi Edmundzie – kanclerz Bronisław stara się być dobrotliwy. – Musisz przerwać czynności związane z audytem. No i wyprowadzić swoją kuzynkę z części gościnnej świątyni. Wypadki kobiet i jej obecność za murami kościoła... jeszcze tego brakuje, aby ktoś niezyczliwy to połączył w jedno. Przez jakieś, jak doktor Alois mówił, rozgrzane głowy możemy popaść w kłopoty.

– Może mieć ksiądz u siebie hewizja policji. I dokumenty audytu wpadną w ręce nie wiadomo nam jakie – Alois Kuntz podnosi głos. Teraz gra rolę złego policjanta. Tym dobrym ma być kanclerz, z czego proboszcz świetnie zdaje sobie sprawę, lecz widzieć, jak z nim grają, to jedno, a oprzeć się im – to drugie. Watykański emisariusz prawie krzyczy: – Jeśli w kościele księdza są jakiegokolwiek, powtarzam, jakiegokolwiek dokumenty dotyczące finansów kurii, należy je bezzwłocznie przynieść tutaj, do mnie, tehaz, zahaz!

– Pamiętaj, mój drogi Edmundzie, że po pierwsze, zginęły ci klucze – Bronisław Kalisz pozostaje kordialny. – Każdy może sobie teraz buszować po kościele. Nie upilnujesz tego z pomocą siostry Klary. Po drugie, przy dwóch wypadkach i parafia, wasz chór, i sam kościół... To wszystko jest teraz na celowniku wielu różnych osób. Rozumiesz powagę sytuacji?

– Rozumiem. Czy metropolita...

– Wola jego ekscelencji jest taka, żeby ksiądz proboszcz przyniósł zgromadzone dokumenty, jak najszybciej oddalił swoją krewną i o wszystkim, powtarzam, o wszystkim, informował na bieżąco doktora Kuntza – kanclerz wstaje ze złoczonego mebla. – Czy jesteśmy obaj z doktorem zrozumiani?

* * *

Komisarz Waldemar Warski – w zamkniętym od wewnątrz pokoju sto dwadzieścia jeden – zatrzymuje nocne nagranie wideo w chwili, gdy samochód jadący w deszczu ulicą Wita Stwosza zbliża się do kamery na elewacji banku. W sąsiednim oknie przeglądarki otworzył wcześniej galerię modeli porsche 911 z roku 2006. To są te same reflektory.

Wittesch była już we Wrocławiu, kiedy Edith Kronenberg skakała lub ktoś ją spychał z Mostka Czarownic. *Frau* nadkomisarz podjeżdżała autem pod kościół, gdy to samo spotykało Wandę Kamińską. Motyw? Trudny do wyobrażenia. Sposobność? Owszem.

Warski poci się na zimno i to uczucie jest obrzydliwe. Przypomina forpocztę kaca po trzydniówce. Zamyka obrazu na ekranie, otwiera drzwi, wychodzi na korytarz, idzie w stronę gabinetu szefa najpierw po startej posadzce, potem po dywanie.

– Pan inspektor przyjmuje gości – Weronika, seksowna asystentka „Konara”, ma dziś białą bluzkę z rozsznurowanym cięciem, które odsłania połówkę piersi.

– A mogę wiedzieć, kogo przyjmuje?

– Pana komisarza niemiecką koleżankę – panna Płatek posyła wieloznaczny uśmiezek.

– Aha... – Warski omiata wzrokiem regał ze złotymi pucharami, półkę z pamiątkowymi albumami wydawanymi w małych nakładach z okazji policyjnych rocznic i wieszak. Zieloną kurtkę Any i jej torebkę listonoszkę. Odwzajemnia uśmiech, odwraca się, biegnie do pokoju zajmowanego przez Toczyka i młodych.

– Aleks!

Aspirant unosi głowę znad „Wrocławskiej”. Komisarz – choć patrzy na papier do góry nogami – rozpoznaje po tytule półkolumnowy artykuł, który już zdążył przeczytać w sieci. Tekst o napięciach między kantorem męskiej i dyrygentką żeńskiej scholi śpiewaczej. O imprezowych szlakach tej drugiej – muzykoterapeutki i szanowanej pracownicy naukowej uczelni. O towarzyszącej jej w tych melanzach młodej niemieckiej neohipisce, która uciekła z bogatego domu. O braku postępów w policyjnym śledztwie dotyczącym tragicznej śmierci obu kobiet. Wreszcie o tym, że chór żeński zawiesił próby na czas nieokreślony, bo jego uczestniczki boją się zostać kolejnymi ofiarami „Spychacza”.

– Aleks... do inspektora na operatywkę – wyraz twarzy Warskiego mówi podwładnemu, że to tekst na użytek siedzących w pokoju kolegów. Prawda zostaje pospiesznie wyjawiona półgłosem, gdy idą przez długi korytarz z oknami na dziedziniec.

– Musisz wyciągnąć Weronikę zza lady na, powiedzmy... pół minuty chociaż. Pokaż jej śmieszne koty w telefonie, nowy tatuaż na brzuchu, coś wymyśl.

Dochodzą na miejsce.

Przed wejściem do sekretariatu Toczyk puka w otwarte drzwi, czego zwykle się tutaj nie robi – i zaczyna z anielskim uśmiechem na zwykle skwaszonej twarzy: – Muszę ci coś pokazać, Weronka... – tyle tylko dobiega uszu komisarza, gdy wycofuje się rakiem za najbliższy automat z kawą.

Wyciąga z kieszeni dzinsów monety, nieuważnie przelicza, kątem oka obserwuje przechodzącą poprzecznym korytarzem trójkę aspirantów. Niosą łopaty. Rano mu na dyżurce mówili, o co chodzi. Dochodzeniówka dostała cynk o miejscu ukrycia ciała poszukiwanego od roku dilerka. Płytko pod ziemią w parku Szczytnickim. Ktoś go zadołował żywcem nieopodal stawu. Będą wykopki.

Po pół minuty Aleks i panna Płatek wychodzą z pokoju. On ją prowadzi do okna.

– Nie... stąd nie zobaczysz, chodź dalej... – kiedy mijają komisarza, ten głośno bije dłonią w szafę z kawą, potem cicho wkrada się do sekretariatu, zdejmując torbę Any z wieszaka, stopą blokuje zamknięte drzwi gabinetu szefa. Przerzuca zawartość listonoszki. Penetrował wiele tego typu torebek. Zwykle to śmietniki: szminki bezładnie wymieszane z kluczami, próbki perfum z nienoszonymi częściami biżuterii, paragony i kupony promocyjne. Średnio od pięćdziesięciu do stu przedmiotów i przedmiociątek. A pani nadkomisarz Wittesch ma porządek. I nie więcej niż tuzin rzeczy. Wśród nich: bardzo elegancki portfel Always Wild, zapewne równie kosztowny skórzany zasobnik z chusteczkami i czarny krzyż-klucz.

No, pięknie.

Policjant odwiesza torebkę z kluczem w środku. A potem idzie wprost do naczelniczki wydziału techniki operacyjnej Ewy Annarik.

* * *

„Esmeralda”... Warski nie dowiedział się nigdy, czy to określenie przyłgnęło do niej po emisji meksykańskiej telenoweli, czy disnejowskiej kreskówki. Wzięło się zapewne od jej południowej urody i smolistych loków, bo bujne kształty zyskała już w czasie, kiedy nosiła przezwisko. Pytana o włoskie bądź hiszpańskie korzenie przyznawała, że jej przodkowie nie wywodzą się ani spod Rzymu, ani spod Madrytu, ale spod Trembowli, dzisiaj Ukraina. Niezameżna matka Esmeraldy nazywała się Annarikova, całe życie przed wyjazdem do Polski przemieszkała na zabitej dechami kołchozowej wsi, a smoliste oczy zawdzięczają obie pojawieniu się w linii genealogicznej raczej jakiegoś Żyda niż Hiszpana.

Kiedy się pierwszy raz zobaczyli, prawie dziesięć lat temu, ona była zastępcą w dziale teleinformatycznym i tłumaczyła na zebraniach zasady korzystania ze świeżo przyłączonej do wszystkich glińskich komputerów sieci WWW oznaczonej na czarno-białych monitorach nową ikoną z nazwą „Internet” przed duże „i”. Uświadamiała jełopom, że w sieci da się prowadzić śledztwa dużo szybciej i wydajniej niż w realu.

– Ludzie podają tam informacje o sobie z własnej, nieprzymuszonej woli. Adresy, historie operacji finansowych, imiona ukochanych, zdjęcia z wakacji, wnętrza mieszkań i opinie o innych ludziach. Te informacje się krzyżują, uzupełniają, aktualizują i nigdy nie giną. Internet to świat, w którym tropy nie stygną, śladów nie zmywa deszcz, każde wejście i wyjście z każdego z miliarda pokoi jest rejestrowane, wykonywane czynności –

spisane, prowadzone rozmowy – nagrane i zaprotokołowane. I jest do tego świata kilka prostych kluczy.

W ciągu następnych lat procent spraw rozwiązywanych przez Warskiego dzięki penetrowaniu czatów internetowych, stron Facebooka, dzięki zestawianiu dat, nagrań, nicków, zdjęć i dzięki innym, podobnie nieskomplikowanym czynnościom – systematycznie rósł. Sprawa „Spychacza” – nawet nie wie, kiedy zaczął ją sam tak nazywać – jest pierwszą od dłuższego czasu, w której porady „Esmeraldy” na nic się jeszcze nie zdały. Ani sieciowe profile Edith – która korzystała z Facebooka, Twittera, Instagrama i miała konto youtube’owe – ani też strony odwiedzane przez Wandę Kamińską – głównie niszowe profile i blogi muzykologiczne – donikąd nie zaprowadziły. Ofiary nie kontaktowały się z żadną osobą, firmą czy organizacją, której Warski mógłby się złapać. Nie pisały w mailach, SMS-ach ani na czatach o nikim, kto by im dokuczał czy zagrażał. W życiu jednej i drugiej – podczas licznych baletów, wojaży, melanży i hulanek – nie pojawił się nagle żaden dawno niewidziany, a zapomniany znajomy. Bawiły się z chórzystkami, artystkami, studentami i pracownikami uniwersytetu. Chodziły do tej samej ginekolożki w Śródmieściu, znały tę samą instruktorkę jogi, wymieniały się linkami do filmów, w których próżno by szukać wątków satanistycznych. Edith dostawała recepty na Fevarin od lekarza, z którym Waldemar rozmawiał już dwa razy – i niczego się nie dowiedział. Nie było niczego podejrzanego w finansach obu ofiar. Nie odwiedziły żadnego wzbudzającego podejrzenia miejsca – razem ani osobno. Nikt im niczego dziwnego do domu nie przysłał. Nie połączyły się telefonicznie z nikim, z kim by nie rozmawiały regularnie. Przed śmiercią jednej i drugiej ich pieniądze i paszporty zostały w mieszkaniach, podobnie jak telefony i laptopy, w których nikt najwyraźniej nie grzebał przed policją.

Właściwie jedyną pomocą w śledztwie – poza informacjami od patolożki i obrazami z monitoringu – okazały się ślady zapachowe. Dwie próby z psem wykazały, że i w mieszkaniu Edith, i u Wandy mogła – choć nie musiała – przebywać ta sama osoba trzecia. Albo osoby. Lub też ktoś trzymał tam przez jakiś czas identycznie pachnące przedmioty – już usunięte. Problem z policyjnymi psami jest taki, że nie mogą, niestety, opowiedzieć, co wywąchały.

– No to faktycznie pozostają ci tylko stare sprawdzone metody – Ewa Annarik słucha, o co chodzi, a potem idzie z Warskim do nazwanej dumnie helpdeskiem mrocznej piwnicy informatyków. Wśród ochronnych siatek i stalowych półek ze sprzętem przekonuje

młodego, brodatego i ostrzyżonego na szlachciurę aspiranta, by obsłużył komisarza poza kolejnością. Na pożegnanie życzliwie klepie podwładnego po plecach, a Warskiego – po tyłku.

Gdy wychodzi, brodacz Sarmata daje komisarzowi do podpisania garść papierów i wydaje używany nadajnik GPS umieszczony w tekturowym pudełku razem z uchwytem, magnesami, kablami, zapasowym akumulatorem i innymi akcesoriami, które mogą się przydać, a które trzeba pokwitować każde z osobna. Na koniec wgrywa Warskiemu do smartfona aplikację.

– ...jak pan podłączy i uruchomi lokalizator, wystarczy tu raz dotknąć i położenie się samo wyświetli na mapie. Tej mapie, co już pan ma w telefonie wgrana. To się samo sprzęga. Jeszcze pan podpisze o... tutaj.

Dziesięć minut później Aleksander Toczyk – który przegadał z piękną Weroniką nie zadane pół minuty, ale prawie pół godziny – i omal nie umówił się na wieczór we dwoje – dostaje od bezpośredniego szefa kolejne zadanie. Tym razem ma zabawić rozmową nie asystentkę, ale nadkomisarz Anę Wittesch, i nie przy oknie, lecz przeciwnie – z dala od widoku na dziedziniec.

Komisarz w tym czasie chwilę krąży między autami, by upewnić się, że nikt go nie obserwuje, a później przyczepia nadajnik do tylnej części podwozia fioletowego kabrioletu porsche.

Bardzo z siebie zadowolony wsiada do własnego wozu i jedzie do nowej biblioteki uniwersyteckiej na spotkanie z kantorem.

* * *

– Cieszę się, że pan znalazł czas – Jan Rudzki zdaje się dzisiaj odmieniony. Ubrany jest inaczej niż zwykle. Dotąd policjant widywał go wyłącznie w czerni. Teraz kantor bibliotekarz ma na sobie obcisły granatowy golf, buraczkowe spodnie rurki i buty jak z kręgielni. Gdyby nie przeorana troskami twarz i wąta czupryna, można by go wziąć za wiecznego studenta.

– W gazetach piszą, iż jestem wciąż pańskim głównym podejrzanym. To prawda? – pozornie wyluzowany wprowadza Warskiego do niewielkiego pokoju z widokiem na Odrę. Pomieszczenie zawałone jest nowymi książkami, papierami, kartonami i kłębami folii bąbelkowej. Szumi wielka kserokopiarka – coś się tam chyba automatycznie powiela. Pachnie kurzem, plastikiem i niezłą wodą toaletową.

– Jest pan na czele mojej listy.

– A pani Ana?

– Co pani Ana?

– Przecież ona również nocuje w kościele. I do tego, jak sędzę, przywłaszczyła sobie mój klucz.

Kantor uważnie wpatruje się w Warskiego. Czego oczekuje? Że jego informacje zwałą komisarza z nóg? Nic z tych rzeczy. W pokoju nie ma krzeseł, więc gliniarz opiera się o jedną z dwóch metalowych szaf. Wyciąga notes, lecz go nie otwiera.

– Pan mi nie wierzy – kantor staje tyłem do okna. Daleko, za jego plecami, słońce oświetla most Pokoju. – Pan nie wierzy, a przecież poza mną i panią Aną nikt w kościele nie nocuje. Więc jeśli nie ja kłamię, to...

– Czy chciał się pan ze mną zobaczyć po to, by skierować podejrzenia na moją współpracownicę? Na oficera policji – komisarz stuka długopisem w okładkę notatnika. – To z pańskiej strony duża naiwność.

– Dlaczego pan w takim razie przyjechał?

– Bo mówił mi pan wcześniej, że sprawcą tych zdarzeń może być zło. Jak pan to ujął... *sacrum* i co?

– *Sacrum* i *scelus*.

– No właśnie. Chciałem zapytać, jak dobrze pan siebie zna. Co pan, kantorze, o sobie wie?

– Nie rozumiem.

– Słucha pan swoich myśli?

Brak odpowiedzi. Kserokopiarka skończyła pracę. Jest prawie cicho.

– Może nic pan o sobie nie wie? Może nie jest pan sam w swoim ciele? Może jest was dwóch? Jeden robi zakupy w markecie, dyryguje chórem, modli się albo kseruje książki. I to jest ten kantor, którego pan zna. A drugi... nie wiadomo, co robi. I dlatego ten pierwszy się tak potępia, zamartwia, cierpi, wyznacza sobie kary, pokuty, leży krzyżem. Zzera go sumienie. Bo boi się spojrzeć w kierunku drugiego, boi się zapuścić żurawia w otchłań.

– Kto patrzy w otchłań, musi się liczyć z tym, że otchłań patrzy na niego.

– Właśnie!

– Pan nie wierzy w Boga, komisarzu... Szkoda. Dla pana otchłań to tylko... jakby... kolejne słowo.

- A dla pana?
- Miejsce, w którym przebywają dusze zmarłych przed zmartwychwstaniem Jezusa, a także tych nieochrzczonych.
- Ja jestem ochrzczony.
- Nie jest pan jednak katolikiem.
- Przestałem chodzić do kościoła w ostatniej klasie technikum. Potem wybrałem szkołę policyjną. To nie było środowisko ludzi rozmodlonych.
- Niech się pan nie tłumaczy. Chodzi mi tylko o to, że bez wiary nie pojmie pan sensu tego, co miałbym do powiedzenia na temat zła.
- Wiara i policyjna robota... Jest taki jeden hochsztapler na Pomorzu, kiedyś komenda skorzystała z jego porady, gdy szukaliśmy zaginionych bliźniaczek ze szkoły specjalnej. Znikły obie na Stawowej, było podejrzenie, że to nożownik, tamten... pamięta pan histerię w gazetach?
- Pamiętam.
- Jasnowidz, bardzo religijny człowiek, miał wizję, że trzeba szukać w wodzie. Moi szefowie wysłali nurków na dno fosy miejskiej. Akcja trwała trzy dni i trzy noce. A dziewczynki znalazły się u biologicznego ojca w Essen. Pracował tam na zmywaku, w stołówce biura miejskich wodociągów. Czyli była woda. Nasze media odtrąbiły wielki sukces jasnowidza.
- Niech pan, powiadam, nie kpi. Przecież pofatygował się pan, by porozmawiać o złu i świętości.
- Powiem panu coś, czego być może nie powinienem zdradzać osobie będącej w kręgu podejrzenia. Mam w sprawie obu zgonów kłopot, powiedzmy... z motywem. I jednocześnie przekonanie, że gdy poznam motyw, poznam sprawcę lub sprawców. Jeżeli żadna z ofiar nie została wykorzystana seksualnie ani okradziona, jeżeli nie były powierniczkami tajemnicy, którą ktoś by chciał pogrzebać wraz z nimi, nie przyczyniły się do czyjegoś nieszczęścia, aby paść ofiarą zemsty... krótko mówiąc: jeśli nikt nie odnosi racjonalnej korzyści z ich śmierci...
- Och... znowu... *Ratio plus ratio, idem...*
- Słucham?
- ...*idem per idem*. Pan zawsze będzie próbował wytłumaczyć to samo przez to samo. Logicy scholastyczni nazywali ten błąd *circulus in definiendo*... kwadratura koła. Aby

wyjść z zakłętego kręgu logiki, dla szeregu warunków trzeba znaleźć człon nieuwarunkowany.

– A powie mi pan, co jest tym członem w naszym przypadku?

– Pan przecież już wie – kantor odwraca się plecami do gościa i patrzy na monumentalną fasadę urzędu wojewódzkiego za rzeką. – Pan się musi domyślać, lecz nie napisze pan tego słowa w swoim kajecie, bo jak by to wyglądało? Nie umieści pan w raporcie anioła Edomu.

– Czego?

– Raczej: kogo. Szatana. Arcydemonia nienawiści. Owocu chorego związku upadłego anioła i kobiety.

– Rzeczywiście... w raporcie nie umieszczę – policjant chowa notes. – Uporczywie sugerowane przez brukowe media wątki okultystyczne wydają mi się...

Samsung wibruje i piszczy. „Aniela” czegoś chce.

– Jeszcze sobie porozmawiamy, kantorze.

Wychodząc na korytarz, policjant nie zamyka drzwi kserokopiarni. Prokuratorka po drugiej stronie słuchawki informuje chłodnym tonem, że właśnie posłała do komendy aplikantkę z teczką pełną informacji od ludności, które dostarczyła jej przez ostatnie trzy dni poczta. Medialny szal wokół „Spychacza” zaowocował kilkudziesięcioma obywatelskim doniesieniami z całej Polski. Na sąsiadów, na podejrzanych osobników z wszelkich okolic, nie wyłączając Wybrzeża, i na różne indywidua mogące stać za podwójną zbrodnią.

– Niech pan przesieje te bzdury i znajdzie ziarno, którego nam trzeba, panie Waldku – zwyczaj mówienia policjantom po imieniu Anielewska przejęła od swej bezpośredniej szefowej, wiceprokuratorce okręgowej. Ona też każdego traktuje tak, jakby miała mu zaraz postawić zarzut. – Oczekuję sprawozdania do jutra, do dwunastej. Niech pan nie lekceważy żadnego tropu. Aha... i jeszcze coś. Rozmawiał pan z jakimiś mediami dzisiaj albo wczoraj?

– Ani dziś, ani w tym tygodniu, ani w zeszłym.

– I niech tak zostanie. To ważne.

* * *

– Paaan z waaaamiiii... – proboszcz Edmund Witecki rozkłada uniesione dłonie.

– I z duuuuuchem twoooooim – odpowiada mu dwójka stojących obok ołtarza szczupłych

ministrantów gimnazjalistów i kilkanaście żeńskich głosów spomiędzy ławek.

Wieczorne nabożeństwo we wtorek to nie jest coś, co przyciąga do kościoła tłumy.

– Niech was błogosławi Bóg Wszeechmoogący, Ojcieec i Syn i Duuuch Święty. Aaaa... men – kapłan robi prawicą znak krzyża. Ministranci i babcie żegnają się w odpowiedzi.

– Idźcie, ofiaaara spełniooo...ona.

– Bogu niech bę-ę-ędą dzięki.

Duchowny obchodzi słabo oświetloną mense, obraca się plecami do owieczek, klęka przed retabulum. Przed Ukrzyżowanym, przed świętym Janem i Matką Boską w rozwianych szatach, przed zrozpaczoną Marią Magdaleną i aniołami o twarzach przejezdzonych niemowląt. Ministranci klękają po bokach. Potem cała trójka przechodzi do zakrystii, gdzie chłopcy pomagają niższemu od nich proboszczowi wyswobodzić się z ornatu i alby.

Ławki w nawie pustoszeją – starsze panie wychodzą przez główną bramę na Szewską. W kruchcie mijają stojącego pod filarem eleganckiego i wysokiego mężczyznę w słusznym wieku. Dżentelmen ma zapięty płaszcz z pagonami i kapelusz w dłoni. Wysłannik Instytutu Dziej Religijnych, szerzej znanego jako bank watykański, czeka, aż wyjdą ministranci. Gdy chłopcy – z przystankiem na pokłon przed Najświętszym Sakramentem – przechodzą w kierunku wyjścia, doktor Alois Kuntz rusza ku zakrystii. Proboszcz właśnie przesypuje garść monet z wiklinowego koszyka do płóciennego mieszka.

– Taca była skhomna – Kuntz zamyka za sobą drzwi.

– Na pewno nie są to sumy, które mogłyby interesować bank Watykanu – kapłan nie ma wątpliwości, że kolejne już spotkanie z tym człowiekiem będzie najmniej przyjemne. Choćby dlatego, że tym razem są sami.

– Bank dba o każdy ghhosz, stahamy się być skhupulatni – emisariusz chwilę ogląda ściany pomieszczenia, jakby czegoś tu szukał, potem podchodzi bardzo blisko księdza. Jest od niego wyższy, jest młodszy i bez wątpienia silniejszy.

– Przejrzałem, co ksiądz nam przyniósł. Ze smutkiem stwiehdzam, że to nie jest, niestety, wszystko.

Witecki nie odpowiada. Odsuwa się od Kuntza na tyle, na ile może, opiera plecy o częściowo poczerniałe lustro.

– Śmiehdzi tu czymsz – Niemiec macha kapeluszem przed własnym nosem. – Przejdźmy się.

Otwiera drzwi i przepuszcza proboszcza przodem, jakby to on był gospodarzem. Potem idą wzdłuż bocznych kaplic, stacji Drogi Krzyżowej i wyrytych w ścianach krzyży apostoelskich.

– Być może w pałacu jego ekscelencji nie wyhazałem się zbyt jasno, więc tehz to hobię. Pophoszono mnie, abym ostatecznie przejął działania księdza.

– Kto prosił? Arcybiskup?

– Czy ksiądz kwestionuje moje pełnomocnictwa?

– Tego nie powiedziałem.

– Widziałem dostarczone od księdza dokumenty i powtarzam: mamy powody sądzic, że ksiądz nie jest z nami szczehy. Że nie dostahczył wszystkie, a to znaczy, że phawdopodobnie nie zamierza ksiądz poniechać phowadzonych tutaj czynności – Kuntz unosi dłoń i zatacza nad głową krąg. – Dlatego zostałem upoważniony do poinfohmowania księdza o przeniesieniu go do domu emehytów. Zda ksiądz pahafię i przephowadzi...

W ciemności i ciszy rozlega się hałas. Dwa stuknięcia dobiegają z góry, z galerii. Na pewnej siebie, opalonej twarzy watykańskiego bankiera widać nagły niepokój, który z kolei wywołuje zdziwienie proboszcza. Tym większe, że Alois Kuntz, bądź co bądź wysłannik Ojca Świętego i rzymskiej kurii, zakłada na głowę kapelusz. W samym środku świątyni, dokładnie pod krucyfiksem na tęczy!

– Czy pan się czegoś obawia, doktorze?

Emisariusz nie raczy odpowiedzieć. Rozgląda się z nisko pochyloną głową, w górę nie patrzy. A tymczasem z północnej empiry dobiega jeszcze kilka mniej wyraźnych szmerów, które mogą, choć nie muszą, być krokami. Bankier odwraca się od kapłana bez pożegnania. Idzie szybkim krokiem do wyjścia. Przed progiem bramy odwraca się i bardzo głośno wymawia słowo:

– Emehytuhha!

Rozdział 16.

Wtorek 27 września, późny wieczór

Zdjęcie, które nadkomisarz Ana Wittesch zrobiła komórką, jest nieostre z powodu niedoświetlenia, lecz zarazem na tyle wyraźne, że powinno wystarczyć do identyfikacji typu, którego dostrzegła tylko dzięki temu, że wychodząc po ryżowe chrupki i ustroniankę, skręciła na czarnym półpiętrze inaczej niż zwykle. Zamiast iść przez zawity korytarz koło kancelarii, zeszła niedawno odkrytym skrótem wprost do nawy głównej i wyjścia na Szewską, z którego w końcu jednak nie skorzystała. Zatrzymał ją głos mówiący po polsku z saksońskim akcentem: „Pophoszono mnie, abym ostatecznie przeхваł działania księdza...”.

Te słowa zza filara nie pozostawiały wątpliwości. Pieprzony Alois Kuntz z wizytą u stryja.

Wdrapała się na odsłoniętą emporę, użyła iPhone'a, miała już zrobić drugie zdjęcie, z mniejszej odległości, lecz potrafiła jakiś klęcznik, który zwałił się z potwornym hukiem – a przynajmniej tak to zabrzmiało w jej uszach. Człowiek używający nazwiska Kuntz oraz – jak jej wiadomo – kilku innych nazwisk, zwyrodnialec, lecz zarazem błyskotliwy gracz, natychmiast zasłonił twarz i uciekł. Czym tylko potwierdził jej podejrzenia.

Boi się, świniak.

Policjantka siedzi przed klawiaturą w swojej celi. Autoryzacja do bazy Bundesnachrichtendienst trochę trwa. Najpierw program szyfrujący – bez jego uruchomienia nie otworzy się nawet strona logowania. Potem aktualny numer z tokena, który od wyjazdu z Berlina Ana zdejmuje z szyi tylko pod prysznicem. Następnie login i dwa hasła. Po zaakceptowaniu drugiego z nich automat wysyła jej na komórkę zaszyfrowanego SMS-a, ale i to nie wszystko. Trzeba jeszcze rozszyfrować ciąg znaków za pomocą zmienianego co trzy miesiące algorytmu, który upoważnieni winni nosić w głowie – i tylko w głowie. Ale niektórzy sobie zapisują.

Po czterech minutach Ana wchodzi do bazy danych. Wprowadza zdjęcie Kuntza, program porównawczy startuje i szybko mieli. Proboszcz – zgodnie z instrukcją – kazał założyć w jej celi najlepsze łącze, jakie się dało.

Jest! Nie musiała długo oczekiwać. Tak jak sądziła. Tak jak pamiętała: oto we własnej

osobie „wuj Manfred”, zboczeniec i szef jej ojca, były wicenaczelnik IX Wydziału Zarządu Wywiadowczego Ministerium für Staatsicherheit. Szerzej znanego jako Stasi. Manfred Danner *vel* Alois Kuntz *vel* Martin Gapik *vel* David Liteschfield. Jest historia służby Danner w NRD, informacja o oddelegowaniu do Rzymu pod nazwiskiem Kuntz – i coś jeszcze: plik powiązany z nazwiskiem Gapik. Kilkanaście screenów. Wszystkie dokumenty po szwedzku. Protokół przesłuchania dziewczynki. Opinia psychologa. Sądowy nakaz zatrzymania. Portret pamięciowy młodszego o kilka lat skurczybyka. Ana rozumie co trzecie słowo, ale i tak pożera szwedzkie zdania, skanując co drugą linię. Na policzki wypełza jej rumieniec. Otwiera stronę sztokholmskiej placówki Interpolu i zaczyna dzwonić. Rozmawia najpierw z oficer dyżurną, potem z lokalnym komisariatem policji w nadbałtyckiej gminie Värmdö, gdzie też odebrała kobieta. Kiedy wykręca kolejny z podanych jej przez Szwedkę numerów, w tym należący do policjanta, słyszy kroki na korytarzu.

Nie zamknęła za sobą drzwi. Ale teraz to już nie ma znaczenia.

* * *

Mijając pieszo barokową stelę na placu Kościelnym, iluminowaną kolegiatę Świętego Krzyża i Świętego Bartłomieja, a potem niewielki kurialny hotel, który mu proponowano, lecz odmówił – doktor Manfred Danner czuł się, jak gdyby spacerował po bawarskim czy austriackim miasteczku. Za Ogrodem Botanicznym i ulicą Sienkiewicza było już gorzej. On, urodzony berlińczyk, prawnik, posiadacz czterech aktualnych paszportów i tłustego konta w afrykańskim banku, na ulicach Kluczborskiej, Baryckiej i Żeromskiego poczuł się przeniesiony w czasie. Ta bieda wyzierająca z niemal każdego kąta... jak w Deutsche Demokratische Republik trzydzieści, czterdzieści lat temu.

Zarówno wtedy, gdy go przygotowywali do pracy w Polsce, jak i wówczas, gdy uczył się tego języka na miejscu, jego odraza wobec tego kraju jedynie rosła. Każda wizyta tutaj tylko go utwierdzała we wzgardzie. Te zryte ściany, rupiecie i szczyny wyciekające z bram. Oberwane rynny, mech górą, grzyb spodem, agresywne, paskudne reklamy. Niemieckie kamienice, z których *Polacken* uczynili rudery. Żadnych knajpek, żadnych ciekawych zakątków. Tylko tanie sklepy, lichwiarze, kioski z alkoholem i znowu lichwiarze. Pod latarniami świńskie typy takie, że – trawestując Himmlera – należy się kara śmierci za sam wygląd. Ich życie codzienne łatwo mógł sobie wyobrazić. Telewizor, kapusta, brudne nogi i chore zęby. Proste prace, do których się urodzili, wódka i sranie. W całym tym kraju nie

produkuje się ani jednej rzeczy, którą on by chciał mieć. W całym tym mieście nie ma niczego, co chciałby kupić albo posiadać.

Z jednym wyjątkiem – i ten wyjątek każe mu wreszcie wezwać taksówkę.

* * *

– *Herr* Kuntz jest bardzo niezadowolony z papierów, które zaniósłem. Domyśla się, że to nie wszystko. Wie, że nie wszystko – ksiądz wchodzi przez niedomknięte drzwi, nakłada wyjęte z kieszeni swetra okulary i patrzy na pokrytą wydrukami ścianę celi. Rozpracowywany przez Anę schemat przestał się już mieścić na powierzchni korka. Część kart – fotografie, mapy, tabele – policjantka poprzyklejała kawałkami taśmy bezpośrednio do muru.

– Zaczął mnie straszyć domem emeryta. Potwoornie się boję – kapłan potrząsa głową i rozczapierzonymi dłońmi, jak straszycie z dziecięcego teatru.

– Jego należy się bać – nadkomisarz Wittesch nie śmieje się ze scenki. – To nie jest żaden Kuntz, żaden Alois – mówi ze skurczonymi ustami. – To Manfred Danner. Działali z moim ojcem na kierunku polskiemu, bywał u nas w domu, znał mamę, ona się go bała. Ja też się bałam. Był zastępca szefa Hauptverwaltung Aufklärung w bezpiece.

– Leonard pracował w handlu.

– I ty w to, stryju, wierzyłeś? To była jego legenda.

– Co ty mówisz? Leo był oficerem?

– Stryju... ja nie wiem, jaki *Papa* miał status. Wszystko było przecież tajne, a ja nie miałam jeszcze nawet ośmiu lat. Mama o tym milczała. Danner do nas przychodził. Do domu. Wsiedził mnie sobie na kolana, *Scheißbonkel*, czułam jego penis i ręce pod sukienki.

– Jezu Chryste. Czy musisz?

– ...muszę, bo to jest jakoś wszystko powiązane. Dlaczego on teraz przyjechał?

– Nie wiem.

– To jest człowiek ekstremalnie niebezpieczny. Zawsze taki był. Ja nie pamiętam żadnej rozmowy na temat, żadnej słowy mamy, *kein Wort*, a wiedziałam, że wujek Danner ma nad nami władzę. *Und die blonden Mädchen...* dziewczynki jasny włosy muszą go odstrzegać nadszczególnie. *Vater* nigdy nie pozwolił, by Danner został z mamą sam minutę. O mnie nie pomyślał. Nie wiedział, że wuj Manfred pożąda też dzieci. On miał coś wspólnego na śmierć taty – Ana mówi coraz szybciej. – To poszło *alles zusammen*. Tata przygotowywał ucieczkę. My... cała trójka. Ojciec, matka i ja. Do Polski taty wypuszczali, nawet do

Tschechoslovakei jeździł i Węgry... dalej już nie. Ale nawiązał kontakt, nie wiem, skąd wiedziałam. Czy ty wiesz, stryju, jak to nikt nic nie mówi... a jednak wiesz? *Du weißt alles*. Wiedza dopływa przez skóry.

– Wiem – proboszcz siada na łóżku, opiera łokcie na kolanach, brodę na złożonych dłoniach.

– *Vater* poznał w podróży kogoś, kto miał nas zabrać. *Nach West Berlin*. „Jak dyplomaci”. To zdanie padło przy mnie. Pamiętam. *Als Diplomaten*. Tylko że coś się musiało popsuć. Padło podejrzenie i ojciec nie dostał wyboru. Musiał siebie zabić, by nas ratować. Albo mu oni zrobili. Danner go zdradził. *Aber Papa etwas...* coś zdobył i zakrył. To była lista agentur, ona miała zapewnić mamie i mnie *neue Leben*. Szczęśliwy życie *im Westen*.

Proboszcz zdejmuje okulary, wyciąga z kieszeni jedwabną chustkę i zajmuje się przecieraniem podzielných szkielek, by nie patrzeć, jak Ana z trudem powstrzymuje się od płaczu.

– W ostatniej chwili porobiło się jeszcze gorzej. Nie mogłam wyjechać z mamą. Nie mogłam wyjechać jako Ana Wittesch. Zostałam Sophie Langner. *Kindergarten nummer acht und zwanzig, Gruppe Gelb. Unsere Betreuerin ist Frau Rita*. Dokumenty, co zdobył tata, miałam w walizce. Ci, dla których były, pomogli. Jako Sophie mieszkałam w ośrodku dla polski azylanty, potem mnie wciąż przynosili. Stasi szukali mnie do samego kwietnia dziewięćdziesiąty rok. *Bis April!* Wierzysz? To już było dawno po zniszczeniu Stasi-Zentrale, po wyborach, po porażce komunistów. A oni jeszcze szukali mojej tekturowej walizki. Lista agenturowa była ważna.

– Co z mamą twoją? Bo mnie mówiono potem, że Emma...

– ...nie jest pewne. Ja sama mamy nigdy już nie zobaczyłam. Odjechałam od *Hauptbahnhof als Sophie Langner* – szloch Any jest krótki, stłumiony. Po nim soczyste chlipnięcie. Policjantka wychodzi do łazienki, ociera twarz, wraca do księdza z ręcznikiem w dłoniach. – Zmusiłam się, aby nie rozważała, czy i jak mamę dopadli. *Offiziell vermisste Person*.

– Zaginiona... Chryste, zmiłuj się nad nami. Chodź do mnie – proboszcz poklepuje pościel obok siebie. Ana siada, kładzie głowę na wełnianym swetrze, który pachnie kadzidłem i świecą. Długo milczą, ona jeszcze kilka razy pociąga nosem.

– Danner ich wydał – mówi po przerwie. – Że myślą uciekać. Że ojciec ma dokumenty.

Że robi zdradę socjalistycznej republiki. Pieprzonej zony. Ja szperałam po latach w akty, miałam przez to kłopot w swojej miejscy pracy. Ale badałam w urlopach, na wolnym czasie, *privat*. Kilka wydziałów Stasi analizowałam. Wykryłam papiery taty znikłymi. Na Manfreda Dannera – też prawie nic. Tylko używane nazwiska *vel* Gapik, *vel* Kuntz. Przydziały służbowe na kierunek *Polen*, państwowy odznaki. Oficjalny *entladen*. Zwolniony. Przyczyna nieznana. Kiedy zaczynałam go badać, myślałam... nieżywy. Aż odkryłam kilka *indirekte Hinweise*. Poszlaki. Jego zrobili szpiegiem, nie wiem, co to po polsku... unielegalnili. Wysłali na kierunek inny, w ostatniej chwili przed upadkiem mura. Do Watykanu poleciał. Potem *riss er sich los*... jak to?

– Zerwał się ze smyczy.

– I dalej żadnych danych aż do niedzieli, kiedy stryj wymienił... – policjantka jeszcze raz przeciera ręcznikiem oczy – ...jedno z jego nazwisk... Kuntz... ja sprawdziłam. Wszystko się zgadza, lecz to same stare rzeczy. Ale dziś, kiedy wrzuciłam foto, baza wypuszczyła mi nowe nazwiska Dannera. David Liteschfield i Martin Gapik. Pod ten drugi tożsamoszcz parę laty temu on wypłynął. Oskarżony w Szwecji zaocznie o gwałt. Matka dwunastoletni dziewczynki z mały miejscowości na wyspie Vindö złożyła zawiadomienie. Mała jest imię Eike Luddorf. Ona była przesłuchana w sądowej i psychologicznej obecności, potwierdziła zgwałcenie, zarzut jest nagotowany i do wykonania przez lokal policja. Ale bez europejski nakazu aresztu.

– Ja nie rozumiem, dziecko, co ty mówisz.

* * *

Podmiejskie osiedle Kiełczów to właściwie wieś – widać od wjazdu. Kuntz-Danner każe taksówkarzowi stanąć pod kościołem. Skromny górnosaksoński klasycyzm, a wokół niego – gównno gorsze niż w mieście. Spalony wrak golfa dwójki pod krzywą latarnią i nieforemna buda z blachy falistej doklejona do dziewiętnastowiecznego folwarku w rozsypce. Oto kwintesencja skutków słowiańskiej administracji na tych ziemiach. *Polnische Wirtschaft... schlimmste Rot*.

Wyciąga z kieszeni płaszcza miękką paczkę papierosów Marlboro. Na tę przyjemność pozwala sobie sporadycznie. Idzie wolno i pali. Wyszukany wcześniej przez internet przybytek okazuje się – a jakże! – barbarzyńską kopią toskańskiej willi otoczoną cementowym murem i tłuczonym szkłem. Kamery nad wejściem, czerwone serce miga w zasłoniętym żaluzją oknie. Dzwonek wideofonu. Te półlegalne burdele od Budapesztu przez

Bratysławę – wszystkie są podobne. Takie inne od koreańskich, tajlandzkich i chińskich kombinatów z hurtową ekspozycją towaru, z kategoriami, taśmociągami, z myciem pianą i suszeniem. *Mitteleuropa* pozostała skansenem, co ma swe uroki.

Wciska dzwonek, ktoś z wewnątrz automatycznie otwiera.

W przedpokoju różowe światło i dziewczyna, która odbiera płaszcz. Kieszenie zawczasu opróżnił. Druga lalka – w błyszczącej podomce, ze sztucznie powiększonymi piersiami i całkiem niezłymi nogami – prowadzi do małego baru z lustrem i kilkoma rzędami butelek. Za obitą pluszem platformą i rurą do tańca siedzi głęboko zapadnięty w narożnej kanapie facet. Bawi się komórką i nawet na wchodzącego nie patrzy. Nad głową typa – płaski telewizor. Jakiś amerykański film porno. Grupowy seks czarnuchów.

Kobieta za kontuarem – wysoka, po trzydziestce, o włosach w kolorze marchwi i wielkich jak malarskie pędzle sztucznych rzęsach – pyta, czego się gość napije.

– Czegoś w zamkniętej puszcze.

Dostaje napój energetyzujący i szklanekę. Sprawdza pod światło, czy czysta. *Kann sein.*

– Może pan sam przeglądać albo ja pomogę.

Poradzi sobie, już się z tym systemem spotkał. Siada na stołku obitym fioletowym skajem i dotyka knykciem stojącego na barze ekranu. Zdjęcia dziewczyn do dyspozycji. One same po pokojach pracują przed kamerami albo czatują z klientami, by nie tracić cennego czasu. Odrzuca wszystkie brunetki i te po dwudziestce. Wybiera jasnowłosego aniołka, czwartą propozycję z rzędu. Natalia, 17 lat. Puff-mama coś sprawdza na drugim, niewidocznym dla niego ekranie ukrytym poniżej baru.

– Właśnie kończy kąpiel.

– Polka?

– Ukrainka.

– *Macht nichts.*

Dziewczyna zjawia się, nim doktor dopije niedostatecznie schłodzony landrynkowy napój. Staje pół metra przed nim. Ma uśmiech ładny, choć nieszczerzy, i generalnie jest taka jak trzeba. Metr siedemdziesiąt, około pięćdziesięciu kilo, białe i duże przednie zęby, szyja długa, niewielkie, ale naturalne piersi, w wysokich butach łydki sportowo jej się napinają. Pod półprzezroczystym wdziankiem widać zagłębienie pępka. Wyciąga rękę, chwyta za krocze i przyciąga ciało do siebie.

– Chcę zobaczyć twój paszport.

Życzenie najwyraźniej nie dziwi ani Natalii, czy jak ona się tam faktycznie nazywa, ani barmanki. Tylko typ w kącie na słowo „paszport” podnosi głowę. Ale nie wstaje z kanapy.

Kobieta o marchewkowych włosach wciska niewidoczny przycisk, coś buczy, odskakuje jakaś zapadka za kontuarem i puff-mama pokazuje dokument, nie dając go gościowi do ręki. Kciukiem zasłania imię i nazwisko dziewczyny. Da się odczytać tylko *otczestwo Aleksandrowna*, data *roždienija* 12 grudnia 1999, *miesto roždienija: Kriwyj Rig*. Datę wydania i *nomier udostowierienija* Danner zapamiętuje automatycznie, bo zawsze zapamiętuje takie dane za pierwszym razem.

Barmanka prosi o tysiąc złotych, on oferuje dopłatę w zamian za możliwość zakrycia kamery w pokoju. Marchewkowa głowa przywołuje goryla.

Facet po dźwignięciu się z kanapy jest wyższy od Dannera, ma bardzo długie nogi, wygląda raczej na koszykarza niż klasycznego bramkarza, bywalca siłowni.

Trzeba mu dwa razy powtórzyć życzenie gościa, a gdy już kapuje, w czym rzecz, przeciągle patrzy Niemcowi w oczy. Ten nie spuszcza wzroku. Wreszcie koszykarz wyznacza cenę. Pięćset euro ekstra.

Natalia, czy jak się ona zwie, jest przestraszona dopłatą, ale ona nie ma tu nic do gadania.

Dwadzieścia minut później Manfred Danner *vel* Alois Kuntz wychodzi spod prysznic i bawiąc się sygnetem na palcu podchodzi do dziewczyny. Ta leży w butach na boku, podparta łokciem zalotnie rozszerzyła nogi, lecz w jej oczach jest więcej strachu niż zaproszenia. Strach rośnie jeszcze, kiedy człowiek, który ją wynajął, zdejmuje z bioder ręcznik i zakrywa umieszczoną wysoko w narożniku kamerę. A potem zakłada lateksowe rękawiczki i klęka nad twarzą Natalii. Wsuwa nie do końca nabrzmiały członek między jej zęby a lewy policzek i kilkakrotnie bije dziewczynę w twarz, tak aby poczuć uderzenia na własnej żołądki. Jego penis zaczyna twardnieć wtedy, gdy w kąciku ust jasnowłosej pojawia się kropla krwi.

* * *

Ana dopija ostatnią ustroniankę do końca. Jest już spokojna. Wy tłumaczenie księdzu zawilości związanych z europejskim nakazem aresztowania zajęło jej kilka minut.

– ...i wtedy Watykan natychmiast to oprotestował. Dlatego nie ma ekstradycja i nigdy nie będzie. Tylko w ten wypadku, kiedy on dobrowolnie do Szwecji wjedzie, *dann kann man ihm Handschellen aufgesetzt*. W kajdanki go mogą zamknąć. A nie wjedzie sam, bo głupi

nie jest. Dlatego to wszystko na nic, chociaż rozmawiałam i jeszcze zadzwonię. Jest tam taki policjant Kristiansson, podobno sprawa małej Eike to jego obsesja. Mówiła mi Szwedka z Värmdö, że przysięgał jej matce...

– ...ja rozumiem, dziecko, tak, no... tylko... Boże mój, wszystko, co ty mówisz... o Leonardzie, o Emmie... to dla mnie za szybko, za dużo. Jeszcze te nieszczęścia, te drastyczne sprawy, ten straszny czyn doktora Kuntza...

– Manfreda Dannera. No właśnie. On ma słabość do mały blondynki i ona może go zgubi. Czy nocuje w pałacu biskupim?

– Mogę popytać.

– To by było potrzebne. Koniecznie. Słuchaj mnie, stryju – Ana ściska proboszcza za rękę. – Danner nie przyjechał osobiście do Wrocławiu, by ciebie zesłać na emeryturę. On jest za duża figura do takich zadań. Coś szę za niedługo stanie.

CZĘŚĆ
DRUGA

CZY DIABEŁ ŚPIEWA?

Rozdział 17.

Noc z wtorku na środę

Ruchy Joanny Staniszk są coraz szybsze, a jej ciało coraz bardziej śliskie, przez co kochanek, leżąc pod nią, musi wyginać tułów, by się nie wysunąć. Chciałby chwycić ujeżdżającą go kobietę za biodra, lecz przypięła mu oba nadgarstki jego własnymi kajdankami do wezłowania łóżka. W efekcie komisarz Waldemar Warski – napięty jak łuk kuszy – tuż przed finałem styka się z prześcieradłem już tylko łopatkami i piętami.

Pot się z niego leje, oddycha haustami; gdy wreszcie opada na plecy, przez ćwierć minuty nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Rozkuj mnie – mówi wreszcie.
- Mam cię uwolnić tak za nic? – odpowiada Joanna dziewczęcym głosem.
- Chwilowo nie jestem do niczego zdolny.
- Masz jeszcze mózg, krew ci właśnie do niego wraca. Wymyśl coś. Zaskocz mnie.
- A o czym byś chciała słuchać?
- Choćby: jak ścigasz „Spychacza”.
- Nie mogę ujawniać szczegółów dochodzenia, już mówiłem.
- Nie mogę cię zatem odpiąć.
- Dobra, zrobimy tak: powiem ci, co społeczeństwo Wrocławia i okolic pisze o „Spychaczu” do prokuratury... OK?
- Zamiast anegdot wolałabym usłyszeć, kogo serio podejrzewacie. Ty i prokuratorka.
- Czytasz o tym?
- Dziś w samochodzie słuchałam prawie godzinnej audycji – Joanna mości się w nogach łóżka, podciąga kolana pod brodę i przechyla głowę. Obserwuje wciąż niezdolnego do ruchu Warskiego.
- Więc pewnie wiesz, że podejrzewamy pewnego kantora dziwaka. Przynajmniej nad linią wody.
- A pod?
- Pod wodą kryją się różne stwory. Myślę, że ktoś osobiście doprowadzał te dziewczyny pod kościół w celu niekoniecznie związanym z ich śmiercią.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Chyba coś bredzę. Odepnij mnie. Chcę się podrapać.

– Odepnę, jak będziesz dalej opowiadał.

On prycha.

– Ludzie piszą do Anielewskiej głównie o tym, kto może być „Spychaczem”. Większość wskazuje nielubianych sąsiadów, byłych małżonków i podejrzanie się zachowujących szefów różnych firm. W większości przypadków dane nadawców są lipne. Ale nie zawsze. Pracownik ochrony uniwersytetu zapewnia nas, że „Spychaczem” jest poseł Jarkiewicz, a emerytowana specjalistka z dziedziny weterynarii, tak się sama określiła – podała PESEL – pisze, że sprawcą jest członek szatanistycznej – ona tak pisze przez „sz” – szatanistycznej sekty, która zniewala śpiewające kobiety.

– Jak zniewala?

– Muzyką. To muzyka ma z tych kobiet robić... Czekaj... – Warski zamiera na chwilę, potem gwałtownie zaczyna się szarpać. – Rozepnij mnie, proszę. No już! Coś mi się przypomniało.

– Mówiłam, że krew ci wraca. Już są efekty – ona się uśmiecha, on szarpie kajdankami.

– Bardzo śmieszne, kurwa mać! Coś przegapiłem. Rozpinaj... no!

– Dobrze, już dobrze... – psycholożka wstaje i wolno owija opalone ciało w ręcznik o ton ciemniejszy od skóry. Ale Warski nie reaguje na erotyczne bodźce. Jest już gdzie indziej. Papiery... pismo... maszynopis... wydruk. Litery widziane na odwrót. Czyżby jednak okultyści?

Stanisz bez pośpiechu uwalnia prawą dłoń komisarza, lewą bransoletę policjant odpina sobie sam.

– Odwrócone pismo.

– Odwrócone? Zaszyfrowane?

– Nie, nie szyfr. Po prostu widziałem to na biurku czy stole... do góry nogami. Że zniewala... A obok paproć i stary telefon. Parapet Kamińskiej!

– Jakiej Kamińskiej?

– Drugiej ofiary. Na parapecie leżały wydruki tekstu o zniewalaniu muzyką. Muszę lecieć.

– Gdzie? Teraz?

– Do jej mieszkania – on zbiera rzeczy rozrzucone po sypialni sąsiadującej z gabinetem,

gdzie miał – i w zasadzie nadal powinien – odbywać sesje psychoterapii. Przypina kaburę, całuje Joannę w usta i wychodzi odprowadzany jej uważnym wzrokiem. Gdy zamyka za sobą drzwi, ona podchodzi do nocnej szafki, gdzie leży biustonosz, smartfon i majtki. Bielizny nie wkłada. Wybiera zapisany w pamięci numer.

Męski niski głos odzywa się po trzecim długim sygnale.

– I co z nim?

* * *

Taśma oklejająca wejście do mieszkania Wandy Kamińskiej na parterze przy Kołłątaja nie została delikatnie przecięta, ale zerwana. Strzępy papieru zwisają z futryny i skrzydła, na wycieracze leży kilka oderwanych, skręconych fragmentów. To może być ważne albo i nieistotne. Po komisyjnym zaplombowaniu lokalu mogli tu jeszcze zajrzeć technicy czy sama prokurator Anielewska, która nie ma zwyczaju informowania współpracujących z nią policjantów o własnych ruchach. A zapewne coś kombinuje w sprawie. Przy Podwalu, po obu stronach ulicy Muzealnej, wiadomo, że Warski rozwiązał kilka zagadek bez udziału i pomocy nadzoru – najgłośniejszym przypadkiem było zabójstwo studentek znalezionych w ogródkach działkowych na Gajowicach. „Aniela” – inteligentna i ambitna – na pewno nie zamierza dopuścić, by i tym razem komisarz w ostatniej chwili informował urząd prokuratorski, kto jest sprawcą.

Może być jednak i tak, że papierowe taśmy zerwał na przykład ktoś, kto prowadził Edith Kronenberg pod kościół, kto zostawił – razem z ofiarą – ulotny ślad przywodzący na myśl dwa brzuszki spłaszczonej litery „B”. Kto zostawił zapachowy ślad.

I może ten ktoś nadal tu jest. Dlatego komisarz wpierw wyłącza komórkę, potem wyciąga z kabury glocka, a dopiero w trzeciej kolejności naciska klamkę. Tak jak przeczuwał – otwarte.

Uchyła drzwi, światła nie zapala. Wyciąga z wewnętrznej kieszeni kurtki latarkę. Omiata promieniem wąski przedsionek – pusto. Zamyka za sobą. Teraz kuchnia, łazienka, gęsto zastawiony przedmiotami duży pokój – wszędzie czysto. Zbindowane papiery w foliowej obwolucie leżą obok srebrnego telefonu z czarną tarczą, tak jak je zapamiętał.

Chowa pistolet, bierze do ręki to, po co przyszedł.

„Czy diabeł śpiewa? *Kann der Teufel singen?*”. Projekt dysertacji, *Dissertationsentwurf*. Wanda Kamińska, współpraca / *in Zusammenarbeit mit* Edith Kronenberg.

Rzecz wydana jest jak typowa praca zaliczeniowa albo semestralna. Sto dwadzieścia osiem obustronne zadrukowanych kart formatu A4 podziurawionych przy lewym marginesie i nanizanych na czerwone plastikowe kółka. Tekst po polsku na stronach nieparzystych, tłumaczenie na niemiecki – strony parzyste. Rozdział pierwszy: „Satanizm a opętanie”. Rozdział drugi: „Rola motywu muzycznego w procesach zniewolenia jednostki”.

Warski oświetla górną część wybranej na chybił trafił strony numer trzydzieści osiem:

„...złożony z trzech dźwięków dysonans zwany trytonem nie był uznawany przez średniowiecznych autorów pieśni i kompozytorów. Także duchowni potępiali ten interwał, ponieważ, jak uważali, brzmi on zbyt złowieszczo i demonicznie. Według doktora Williama Irvina, twórcy materiału »Czarny Sabat i sekrety muzyki strachu«, jednym z synonimów trytonu jest łacińskie wyrażenie »*diabolus in musica* – diabeł w muzyce«. Inne określenie tego zjawiska to »*Devil's Interval* – interwał diabła«. Tryton, chociaż posępny, nie jest jednak w kulturze niczym rzadkim, a jego przydatność do siania niepokoju w umysłach słuchaczy była wykorzystywana już od zarania średniowiecza”.

Dalej.

Rozdział trzeci: „Czy diabeł śpiewa?”. Strona... policjant wypuszcza krawędzie kartek spod kciuka... na przykład siedemdziesiąta. Tym razem czyta przedostatni akapit na dole:

„...dlatego satanizm w muzyce dzieli się najczęściej na dwa nurty: teistyczny i laveyański. Wyznawcy pierwszego uznają Szatana za bóstwo, jednocześnie sprzeciwiając się chrześcijaństwu. Postawę taką prezentuje wiele zespołów blackmetalowych oraz niektóre darkambientowe...”.

Jakieś chroboty na korytarzu. A może w mieszkaniu za ścianą? Komisarz przerywa czytanie i próbuje przypomnieć sobie, czy zamknął wejściowe drzwi. Słucha podwórzowego echa ulicznego ruchu. Dźwięki brzmią znajomo – podobne rozchodzą się w jego kamienicy na Świdnickiej. Już przy pierwszej wizycie zauważył podobieństwo między swoim lokum a mieszkaniem dyrygentki. I u niego, i tutaj słyhać tramwaje i zbyt blisko przejeżdżające auta. I u niego, i tutaj snuje się po systemie wentylacyjnym kloaczna woń.

Wraca do lektury. Rozdział czwarty: „Kościół przeciw »muzyce piekieł«”. Strona sto jeden: „Nie sposób pominąć podejścia kleru katolickiego, które dałoby się streścić następująco: skoro w dzisiejszym świecie muzyka jest tak powszechna jak powietrze, którym oddychamy, to nic dziwnego, że takie mocne, mające wpływ na istotę ludzką medium jest także skrzętnie i podstępnie wykorzystywane przez mistrza muzycznego,

szatana, czyli Lucyfera. On wszak doskonale rozumie moc rytmu i muzyki...”.

Czy to możliwe, by ta praca, czy też „projekt pracy”, miała jakikolwiek wpływ na bieg spraw? Czy muzykologiczny zapal Edith i Kamińskiej mógł na nie ściągnąć jakichś popierdoleńców? Czy grzebiąc w muzycznym satanizmie, mogły się czegokolwiek groźnego dokopać? Czy to, co ma w ręku, to cholerny „Raport Pelikana”?

Bzdury... Podobne rewelacje... *Black sabbath* i te rzeczy... można przecież przeczytać w pierwszym lepszym kolorowym tygodniku. Trzeba by jednak na wszelki wypadek znaleźć jakiegoś specjała, by się upewnić, że w zalewie pierdół nie kryje się coś istotnego.

Minimalna zmiana ciśnienia w pokoju. Ktoś otworzył drzwi wejściowe. Lub balkonowe od podwórza.

Warski chowa latarkę. Odkłada pracę dwóch nieżyjących melomanek tam, gdzie spoczywała – na parapet. Powoli sięga do kabury – i wtedy koniec kija bejsbolowego trafia go prosto w prawy łokieć.

Przeszywająca ciało błyskawica bólu wali przez nerw w sam środek mózgu. Ciemny pokój przed oczami bieleje. Świadomość trzeszczy, ale wytrenowane ciało już działa.

Kolejny cios drewnianej pały – wymierzony centralnie, z góry, w głowę – zostaje zablokowany lewym ramieniem. Kość promieniowa policjanta mało nie pęka. Jedna ręka chwilowo nie działa, dlatego druga – choć też rwie – musi owinać się wokół rękojeści bejsbola. Szarpnięcie ściąga w dół narzędzie ataku razem z właścicielem. W ruch idą uda. Wyskok Warskiego jest krótki. Nożyce w powietrzu przenoszą impet susa na jedno kolano. I właśnie ono miażdży twarz napastnika. Były żołnierz czuje, że jego rzepka druzgoce inne, cieńsze ludzkie kości.

Trafiony przeciwnik, choć powinien paść – stoi. Na szeroko rozstawionych nogach cofa się tyłem ku drzwiom. Jest mniej więcej postury Warskiego, na głowie ma ściśnięty trokiem kaptur bluzy. Słabo widoczna facjata przypomina buldoga potraktowanego szlifierką. Gęsta krew ścieka po ustach wielkimi glutami, jak stopiona smoła. Typ rozłożył ręce, maca powietrze. Aż się prosi o ostateczne kopnięcie w grdykę, które wyłączy go na amen, i komisarz nie zamierza mu tego żałować. Tyle że gdy bierze zamach nogą, tamten obraca się – i błyskawicznie ucieka.

To jest niewiarygodne. Facet na pewno stracił nos, może i zęby, kolano policjanta sięgnęło chyba kości sitowej, przed sekundą skurwiel ledwo się trzymał nad ziemią – a teraz biegnie, zamiast więc się z bólu na poplamionym dywanie. Wypada na korytarz, odbija

się od ściany, zostawiając na niej krwawy ślad, pędzi przez wyjście na podwórze, przez plac zabaw, przeskakuje nad ławką i małą zjeżdżalnią. Komisarz za nim. Uciekający wybiega między domami na dobrze oświetloną Stawową, własny rozpęd wyrzuca go poza krawężnik, tuż przed nim usiłuje zahamować z jękiem opon kierowca passata. Bach! Zderzenie – choć niezbyt mocne – winno rzucić mężczyznę na maskę, ale okazuje się zrobiony ze stali. Po konfrontacji z autem jeszcze przyspiesza. Pruje w stronę Piłsudskiego.

Tracąc już mniej więcej dwadzieścia metrów, Warski widzi sylwetkę uciekającego w świetle sklepowej wystawy. Spodnie od dresu, luźna sportowa bluza, rękawiczki na dłoniach. Niewysoki, szczupły. Czy to może być ten sam ciemny z gęby skurwiel gwałciciel, który dostał od niego po uszach w damskiej toalecie? U tamtego też zaskoczyła go przede wszystkim nadludzka szybkość.

Nie ma czasu się nad tym zastanawiać.

Kierowca passata wysiadł i coś woła, obaj biegnący już mkną w stronę skrzyżowania. Uciekający krwawi, policjant przydeptuje lepkie ślady na bruku, lecz co z tego, skoro przewaga tamtego się zwiększa. Warski dyszy, wyrzuca ręce i kolana wysoko, technika najlepsza w biegu na czterysta metrów. Już nie odczuwa bólu w łokciu, teraz gorące obręcze zaciskają się na udach. O wyniku pościgu zdecyduje wydajność płuc i odporność organizmu na kwas mlekowy. Komisarz jest nurkiem, ale tamten – nadczołowiekiem. Skrzyżowaniem George'a Foremana ze sprinterem klasy międzynarodowej. Rwie z prędkością nie mniejszą niż trzydzieści kilometrów na godzinę. Nie zwalnia.

Pomarańczowe światło na rogu. Tym razem Warski omal nie wpada pod pędzącego od strony dworca dostawczaka. Kierowca trąbi, biegnący usiłuje nie zwalniać, ma już za sobą tory tramwajowe, po prawej ciemny parterowy pawilon i skwer. Człowiek w kapturze wpadł pomiędzy topole. Ale tu się nie schowa. Cały zieleniec ma może sześćdziesiąt metrów długości, na jego końcu – wąska uliczka Bogusławskiego i mur kolejowego nasypu. Dalej – handlowe arkady, a wcześniej – ponury zakątek drobnych dilerów koło dawnego Amsterdamu. Jeśli skurwiel będzie tamtędy uciekał, jest duża szansa, że się o tej porze nadzieje na patrol. Warski musi zwolnić, bo padnie. Uciekający właśnie wybiegł pomiędzy drzew w zasięg latarni oświetlających tory. Widać go doskonale z trzydziestu metrów. Widać, jak robi coś, co osadza policjanta w miejscu.

W swej początkowo supertajnej jednostce powołanej dla ochrony żydowskich przelotów ze Związku Sowieckiego do Izraela komisarz – wtedy jeszcze podoficer – miał okazję

widzieć różne popisy świeżo zrekrutowanych młodych byków. Znał łebka, który przegryzł – choć trochę to trwało – stalową linę, i drugiego, co potrafił zjeść szklanę. Ci trzaskający pompki całymi godzinami, bez oznak zmęczenia, nie robili wrażenia na nikim. Jedni wychodzili na matę bić się ze związanymi rękami, inni przeciskali swoje gumowe ciała przez dwudziestopięciocentymetrowe szpary, jeszcze inni wbijali pięściami gwoździe, podnosili zastawione butelkami stoły za jedną nogę albo czynili podobne cuda. A ten tutaj po zmiżdżeniu pyska, po zderzeniu z samochodem i po przebiegnięciu pół kilometra w ciągu minuty dopada w pełnym pędzie sześciometrowej kamiennej ściany i nie wspina się na nią, tylko biegnie jak gekon po pionowym murze. Akcja trwa może dwie sekundy. Już jest na szynach, niewidoczny z poziomu ulicy, już go komisarz nie dogoni.

* * *

Powrót do mieszkania Kamińskiej zajmuje Warskiemu cztery minuty. Nogi ma jeszcze sztywne, prawe ramię nie do końca władne, lewe mu puchnie. Przez chwilę myśli o tym, że jeśli napastnikiem sprinterem był czarniawy gwałciciel z kawiarni muzycznej na Rynku, to gdzieś tu może się czaić jego wielki kumpel z blizną na brodzie. Z odbezpieczonym glockiem w dłoniach otwiera nogą drzwi mieszkania. Latarki nie zapala. Cierpliwie słucha. Przekracza próg.

– Halo! Co tu się dzieje?! – głos z korytarza.

Policjant wychyla się z ciemnego przedpokoju.

– Ciii...cho. Panie...

– Aaaa... to komisarz – niski wąsacz z psem sarenką na rękach ma na sobie szary szlafrok i białe papucie wyniesione z motelu. – No widzisz, Fafik, niepotrzebnie się denerwowaliśmy, to tylko policja. Wyszłem popatrzeć, bo hałas były.

– Niech pan wraca do mieszkania.

– Coś się stało? Bo pan komisarz niewyraźny.

– Nic się nie stało. Sprawdzamy, czy się obcy po okolicy nie kręcą. Niech pan spać idzie.

– Dobrze już, dobrze, idziemy – właściciel Fafika drapie za uchem swego pupila, odchodzi powoli, ogląda się jeszcze za siebie dwa razy. Warski zapala w mieszkaniu Kamińskiej wszystkie możliwe światła – teraz to już bez znaczenia. Projekt dysertacji „Czy diabeł śpiewa?” leży upuszczony na podłodze. Zabiera go i wychodzi na ulicę. Uruchamia telefon. Widzi sześć nieodebranych połączeń, w tym dwa od Any. Dzwoni jednak nie do

niej, ale do dyżurnego komendy. Trzeba jeszcze raz pobrać odciski i ślady zapachowe z mieszkania Wandy Kamińskiej.

– Tak! Teraz. Przed chwilą mało skurwiela nie zatrzymałem. W dużym pokoju leży kij bejsbolowy, zabezpieczenie.

Kolejny telefon – do Toczyka. Aspirant nie odbiera. Po północy trudno mu mieć za złe. Wyprowadzając auto na skrzyżowanie Kołłątaja z Kościuszki, Warski skręca w niedozwolony sposób ku Świdnickiej i nagrywa wiadomość głosową.

– Słuchaj, Aleks... ktoś nam się pętał po mieszkaniu pani dyrygent. Ktoś, na mego nosa, związany ze sprawą. Jedź tam rano, weź te zdjęcia pokoiów, co chłopaki porobili w piątek, i wszystko porównaj ze stanem obecnym. Czy coś nie zginęło. Prócz takiej jednej broszury z parapetu, bo tę sam wzięłem. Dobra... śpij dalej.

* * *

Na Świdnickiej, pod domem Warskiego, stoi fioletowy kabriolet z zaciętym od miesiąca dachem. Komisarz podchodzi, puka w szybę od strony kierowcy. Ana Wittesch otwiera, na chodnik wypada papierowy kubek po kawie. Ona przeciera oczy, wysiada, bierze torbę, wyjmując z niej gumę do żucia. On podnosi kubek, cicho sycząc z bólu, wyrzuca go do pojemnika pod gołą żarówką przy wejściu do klatki schodowej.

– Ja przyszedłam... przyjechałam z tobą rozmawiać – policjantka zamyka samochód.

– Zapraszam – on próbuje wsadzić rękę do kieszeni, ale ból przy zgięciu jest za duży. – Potrzyмай.

Przekazuje termos i diabelską pracę o muzyce.

– Co ci się stało? Daj klucze, otworzę.

W niedoświetlonym mieszkaniu Niemka pomaga ściągnąć gospodarzowi kurtkę i kaburę. O ile prawa ręka – mimo uderzenia w łokieć – wygląda w miarę normalnie, to lewa – paskudnie. Żółta, stwardniała opuchlizna rośnie wokół ciemnej pręgi między nadgarstkiem a stawem łokciowym. Całe przedramię gorące.

Warski sadowi się na wyłysiałej wersalce, termos stawia przy nodze, zamyka oczy i wzdycha. Ana odkłada szatańskie wersety na dywan, idzie do kuchni, otwiera obluźowane drzwi antycznej, prawie pustej lodówki, z trudem odrywa plastikową klapę zamrażalnika, znajduje lód. Gdy go kruszy i zawija w wyjętą spod tłustego zlewozmywaka siatkę reklamówkę, zauważa przyklejone do jednej z porysowanych szafek wyblakłe zdjęcie. W jasnym, czystym pomieszczeniu – jakaś jadalnia dużego, nowego mieszkania – pomazany

farbą sześciolatek ze szkolnym pędzelkiem w dłoni siedzi przed stojącą za nim wyjątkowo piękną kobietą o brązowych włosach i wydatnych ustach. Ona jest podobna do jakiejś postaci ze starego obrazu. Ana nie może sobie przypomnieć jakiej. Zaś chłopiec to po prostu komisarz Warski w wersji pomniejszonej i delikatniejszej.

Pełne szczęścia ujęcie sprzed lat i to obecne zaniedbane mieszkanie samotnego gliniarza...

Ana wraca z lodem do pokoju.

– Czytałam dobry na sytuacje takie *ist Kohlblatt*...

– Co?

– Od kapusty ta część. Co człowiek je.

– Liść kapusty. Cha, cha... Niestety, nie mam. Jest tylko ser, musztarda i trochę korzeni.

– Dlatego lodówkę masz nje zaopatrzony, żyjesz w kartony.

– Jest jedna rzecz, którą mogę cię poczęstować. Widzisz szklanki... tam?

Ana kiwa głową i sięga do zakurzonego wnętrza przedwojennej serwantki.

– Daj... naleję – Warski podnosi termos.

– Przyjechałam autem, ty wiesz.

– To nie to, co myślisz.

Policjantka przeciera szklankę własną chustką. Z termosu wypływa coś, co wygląda jak świeżo wyciśnięty sok marchwiowy. Ma intensywny pomarańczowy kolor i pachnie imbirem.

– Czteryście mililitrów gorącej wody, dwie łyżki miodu, pieprz cayenne, imbiru dodaję na oko, najważniejsza jest łyżka świeżo startej kurkumy.

– *Warum?*

– Odpręża. Poprawia pracę mózgu, trawienie, gojenie się ran i stłuczeń – Warski poprawia lód na ręce. – Zapobiega wewnętrznym zapaleniom. Pomaga oddalić ryzyko alzheimera.

– To jakiś owoc jest?

– Alzheimer?

– Ja wiem, kto był Alzheimer, ty *Dummkopf* – policjantka się śmieje. – Nie wiem, czy ty wiesz, że on profesor Leopoldina był, Uniwersytet Wrocławski dziszaj. Pytałam, czy ta twoja kurkuma jest owoc.

– Nie... to korzeń. Spróbuj... nie bój się.

Ona ostrożnie upija łyk, potem drugi. Stawia jedno z dwóch krzeseł w pokoju naprzeciw wersalki, siada ze stopami uniesionymi na palcach.

– Smaczność taka jest szrednia. *Aber...* Ja myślałam, że jesteś alkoholiku.

– I wcale się nie pomyliłaś. Tyle że niepijący.

– Od kiedy? – wzrok Any biegnie do kuchennych drzwi i zdjęcia na szafce. Warski dostrzega wędrówkę jej oczu.

– Tak, istnieje związek...

– To twoja żona i synek?

Chwila ciszy. Potem skinienie głową.

– Gdzie są? – dopytuje Ana.

Dłuższa chwila ciszy.

– Cosz szę im stało?

Przyłożony do przedramienia zimny kompres zaczyna koić ból.

– Wypadek. Przeżyła tylko ona. I, niestety... ja.

Ana gryzie w milczeniu kciuk. Warski znowu zamyka oczy, zapada się, wiotczeje, szarzeje, traci kontury jak woda z roztopionych kostek, która ścieka mu po nadgarstku, wsiąkając w dzinsy i wersalkę.

– Kiedy to było?

– Dziesięć lat, wczoraj, jakie to ma znaczenie?

– Opowiesz mi?

– Tylko nie myśl, że szukam litości.

– Już czę trochę znam. Szukasz bardziej ból, co?

Ana gryzie w milczeniu kciuk prawej ręki. Warski znowu zamyka oczy, zapada się, wiotczeje, szarzeje, traci kontury, jak lód, który ścieka mu po nadgarstku, wsiąkając w dzinsy i wersalkę. Tak, szuka bólu. Kiedyś klin klinem, a teraz ból – bólem. Tylko że to działa przez minuty, najwyżej – godziny. Potem wszystko wraca, więc w końcu pogodził się, że bolało, boli i będzie boleć.

Był pijany. Nic nadzwyczajnego, taki miał wtedy okres. O siedemnastej był zwykle na rauszu, wieczorem musiał uważać, jak chodzi, a to był przecież późny wieczór, 9 listopada, wilgotna, lodowata noc. Nie mógł zrozumieć, dlaczego żona chce wzywać taksówkę, by zawieźć gorączkującego Krzysia do lekarza. Taksówka z Krępic, gdzie wtedy mieszkali, pod szpital na Fieldorfa kosztowałaby jakieś pięć dych. Dwie flaszki w Tesco. A on miał

akurat pod domem służbowe renault. Samego wyjazdu z domu nie pamięta, chyba była przy tym kłótnia – normalka. Pamięta skrzyżowanie Średzkiej i Mokrzańskiej. Przedmieście, z jednej strony stary dom, z drugiej drzewa i zaorane pole. Jechał prawidłowo, nie szybko, wszyscy mieli zapięte pasy. Przeszło dwudziestoletnie duże bmw wypadło z podporządkowanej na pełnym gazie, jakby kierowca kompletnie nie zauważył krzyżówki. To był ułamek sekundy, krótki krzyk Alicji, najpierw huk – coś jak kopnięcie w pusty karton, tylko dziesięć razy głośniej. Potem zgrzyt blach i szyby rozsypujące się w pył, gdy dachowali. Eksplozje poduszek. W pękającym lusterku złapał jeszcze przerażone spojrzenie synka, który nazajutrz miał skończyć siedem lat.

A potem była długa cisza.

Złamana ręka, nos, trzy żebra, otwarte złamanie nogi z przemieszczeniem. Później się okazało, że także uszkodzenie śledziony. Wszystko nie miało znaczenia. Kiedy w szpitalu odzyskał przytomność, wyrwał nogę z wyciągu i wenflon z ramienia, zerwał maskę tlenową, rzucił się w stronę drzwi. Upadł przy drugim kroku. Krzyczał imię syna. Jeszcze z nikim nie rozmawiał, ale już wiedział.

Na pogrzebie, którego nie pamięta, po raz ostatni stał obok Alicji. Rozwód, podział symbolicznego majątku, bo dom na Krępicach nie był nawet ich, dalej kolejne listopadowe rocznice. Było ich już dziesięć, a im obojgu wciąż udaje się omijać nawzajem z daleka.

Raport po wypadku niczego nie zmienił. Chociaż wynikało z niego, że facet w dwutonowym bmw stracił hamulce, a Warski nawet na trzeźwo nic nie mógłby zrobić. W odróżnieniu od Waldemara gość nie zapiał pasów. Zginął na miejscu. Policjant nie miał więc szansy, żeby go zabić. Został sam z bólem i rozpalonym gniewem, który nie chce zgasnąć. Którego on też nie chce zgasić.

* * *

Ana kładzie rękę na ramię Warskiego, ale natychmiast cofa, kiedy napotyka jego zaskoczone spojrzenie.

– ...ale jeśli sądzisz, że mnie rozumiesz...

A jednak rozumie. I wie, jak to jest żyć z poczuciem winy za śmierć najbliższych. Przecież sama, od dziecka, obwiniła się za to, co stało się jej rodzicom. Nawet jeśli do końca nie wiedziała, co, dlaczego i za co. Syndrom ocalańca – mówią. Piętno, które sprawia, że chcesz swoje życie zmienić w karę. Jesteś winna, niewinna – to nie ma znaczenia. Racjonalne argumenty nie działają. Liczy się tylko głos, który wciąż

przypomina: ich nie ma, ty jesteś, niech będzie przeklęta każda sekunda, którą sobie kupiłaś za cenę ich nieistnienia.

Ana odwraca wzrok. Idzie po kolejną porcję lodu.

– Powiesz mi, co dziszaj stało? – rzuca w drzwiach.

Otwarcie oczu, potrząśnięcie głową, nagłe przebudzenie.

– Byłem w mieszkaniu Kamińskiej – odpowiada Warski. – Ktoś zerwał plomby. Ktoś mnie tam napadł.

– Po co by?

– Dobre pytanie. Może po to?

Oficer odkłada mokry worek z reszką lodu, podnosi z dawno nietrzepanego dywanu pracę Wandy i Edith, ona ją bierze, kartkuje, zatrzymuje wzrok na którejś z zapisanych po niemiecku stron i wyciąga iPhone'a. Pracuje oboma kciukami, trzymając wciąż na kolanach papiery.

Komisarz czeka.

Za oknem przejeżdża z klekotem śmieciara. Wittesch wciąż kartkuje pracę, coś sprawdza.

– Müll... – mówi wreszcie. – Bzdury przepisane z internetu. Energia wilkołaka, manipulacje okultystyczne, czarny transhumanizm, rytualne konsekracje kompozycji muzycznych... co tu jeszcze wypisały? Aaa... oddziaływanie poprzez niesłyszalne dla ludzkiego ucha dźwięki...

– Czyli to... co jest według ciebie?

– To jest głupi bardzo sklejek z różny strony internetowy niemieckie i przetłumaczony swobodnie sobie. Przetłumaczony polski... Co tam się robiło z tobą w domu od Kamińska?

– Stałem przy oknie w pokoju, czytałem to właśnie... i ktoś mnie napadł.

– Myślisz, że chciał czy to zabracz?

– Tak myślałem jeszcze przed chwilą.

– *Ausgeschlossen*.

– Co?

– Wykluczone. Nie o papiery chodziło. Raczej o ciebie. Był dobry *im Kampf*?

– W walce? Bardzo sprawny. Wszedł do zamkniętego na klucz mieszkania. Zaatakował mnie kijem.

– Po co kija nosi, jak się idzie nakraść papjery?

– Prawda. Miał rękawiczki, kaptur, nie pokazał twarzy, ale...

– Was?

– ...mam wrażenie, że już się spotkaliśmy. Żeśmy się bili. Był taki incydent. Siedziałem ze znajomą w kawiarni na Rynku. Dwóch skurwieli przyczepiło się do niej w toalecie. Bardzo brzydko. Musiałem..

– *Was meinst du mit „bardzo brzydko“?*

– Chcieli ją zgwałcić.

– *Scheiße!*

– Musiałem ich pogonić i mam teraz wrażenie, że jeden z nich to... podobny był z sylwetki i zachowania do tego z kijem.

Ana nic nie mówi.

– Trochę mało nie? Brak sensownego związku.

– Albo go nie widzisz ty – ona chowa telefon, bierze do ręki szklanekę z resztką kurkumowego koktajlu. – Kim jest twoja znajoma?

– Taka, powiedzmy... lekarka. Niezwiązana ze sprawą.

– Twoja lekarka?

– Nie mogę o tym mówić.

Ana patrzy uważnie.

– To twoja psycholog jest, tak? Chodzisz do kawiarni *mit einer Psychologin*.

Komisarz milczy.

– *Gib mir ein Moment*. A gdyby kombinować inaczej... zapomnij o Wanda Kamiński. Droga do eliminacji, tak to się mówi?

– Zależy, co chcesz powiedzieć.

– Ty jeden, ona psycholog i napastnik z kijem. Czy dzisiaj też byłeś z tą panią?

Prychnięcie.

– Byłeś. Ona wiedziała, że idziesz do domu Kamińskiej?

– Daj mi pomyśleć – oficer wstaje z wersalki i zaczyna chodzić między pryzmami kartonów a stołem, na którym leży obsypany okruciami laptop Samsunga i stos nieotwartych listów z banku oraz spółdzielni mieszkaniowej.

– Wiedziała – Ana też wstaje, odstawia szkło. – Powinieneś sobie przypomnieć, jak się zaczęła wasza znajomość. Twoja z panią psycholog. Kto miał inicjatywę. Może trzeci człowiek?

Gospodarz fuka. Jej argumenty nie są bez sensu, ale to może być próba wprowadzenia go w ślepią uliczkę. Tak samo jak wersja z samobójstwem. Ana gra swoją własną grę. Jaką?

– Nie mówisz mi wszystkiego.

– Przepraszam, że zepsułam ci humor.

– Nie zepsułaś. Jestem po prostu obity i zmęczony. O czym chciałaś rozmawiać?

– To poczekać do jutra może. Ja pójdę. Dziękuję ci za popicie.

Wychodząc ze starej kamienicy, policjantka zastanawia się, czy jednak nie powinna była powiedzieć Waldemarowi o tym, co odkryła w sprawie gospodarki gruntami Kościoła. I o śledztwie szwedzkiej policji przeciw człowiekowi, któremu zależy na tym, by jej odkrycia zniknęły. Człowiekowi z przeszłości, który okazał się jak najbardziej teraźniejszy, a przyjechał tu – być może – dlatego, że ona przyjechała. I nie nocuje w pałacu biskupim. Od kilku godzin Ana ma w pamięci nazwę hotelu Atlas.

Rozdział 18.

Środa 28 września

– Czyj to był pomysł z nowym psychologiem dla mnie? – Warski wali na wychodzącego z sekretariatu szefa centralnie, środkiem korytarza. – Twój czy tej suki z wewnętrznego?

– Co ty mi tu pierdolisz, Waldeczku? – „Konar” najwyraźniej wybiera się gdzieś między wyższe szarże, bo w rękę ma dyplomatkę, pod prochowcem garnitur i do tego żuje gumę, co jego zdaniem niweluje odór z trzewi. – Chodź... – bierze podwładnego pod ramię, na szczęście to mniej uszkodzone. Ciągnie w stronę schodów.

– Kim ona jest, ta psycholożka? Co ona dla nas robi? Nigdzie się nie ogłasza.

– Przestań mi zawracać głowę szczegółami! – Konarski mówi głośniej niż trzeba. Komisarz ma wrażenie, że to na użytek mijanych właśnie aspirantów z dochodzeniówki. Ale ci nie zwracają na nich najmniejszej uwagi. Mają swoje emocje, wykopali wczoraj naćpanego trupa z ziemią w ustach.

– Zalegasz z raportami i to jest teraz ważniejsze! – inspektor dalej pomstuje na całe gardło, ale wyraźnie nie o raporty mu chodzi. Puścił już łokieć Warskiego, z kieszeni marynarki wyciągnął smartfon, przegląda galerię zdjęć, pokazuje jedno.

Mężczyzna z wyglądu pięćdziesięcioletni, może i starszy, ale sztucznie wygładzony. Resortowa twarz. Włosy starannie ułożone, pod szyją węzeł krawata... zaraz...

Warski wyjmując z kurtki własny telefon. „Konar”, który wylał dziś na siebie pięć porcji wody kolońskiej, zwalnia na schodach. Gdy są już kilka stopni nad dyżurką, staje, by podwładny mógł pstryknąć zdjęcie ze zdjęcia. I nie przestaje nadawać: – Wkurwiają mnie już te twoje zaległości wszystkie! Do strzelania pierwszy, do papierów ostatni. Ile razy ja ci mówiłem, że w świat idzie sucha sprawozdawczość?!

Zaraz, zaraz... gabinet inspektora, koniak Louis Royer na stole, niewysoki, ale nabity facet rozparty na siedzeniu, jakby był u siebie.

– Wszystko to, co mi wisisz, chcę do piątku na biurku! – ostatnie krzyki poprzedzające wyjście inspektora z budynku nie omijają uszu siedzącego za ladą sierżanta Kłoca, który wygląda istotnie jak kłoc, a teraz patrzy na opieprzanego, chcąc mu dodać milcząco otuchy. Nie łapie jednak spojrzenia Warskiego, który przymknął oczy, oparł rękę o ścianę i poci

się, jak wtedy, gdy zaczął podejrzewać Anę.

„Konar” miał w oczach dużo pękniętych naczyń krwionośnych i jeszcze więcej strachu.

Niski facet, którego on wziął za bankowca. Wtorek, tydzień temu. Dudniący śmiech. Gość miał w sobie coś z gliny, coś z byłego wojskowego, coś z urzędnika skarbowego, z kredytodawcy. Kto to, do nędzy, może być? Ten sztucznie protekcjonalny ton „Konara”... To wtedy zaproponował, a właściwie nakazał mu zmianę psychologa. Bo Hajno niby się skarżył, że jest obrażany. Kurwa żeż mać.

Odrywając dłoń od pomalowanej na olejno lamperii, komisarz zostawia tłustą plamę. Jeżeli inspektor w tym siedzi... to... to jest bardzo, bardzo, bardzo niedobrze. Skurczybyk nieprzyjemny, zapijaczony, trzęsie się o władzę, ale jednak jest gliną. Gdy swego czasu Warski odkrył, że zabójcą studentek w ogródkach działkowych na Gajowicach jest syn prezesa spółki skarbu państwa, do wszystkich komendantów przyszedł anonim opisujący przebrzmiałą już historię drogowego wypadku nietrzeźwego oficera policji, który zabił w wypadku syna. „Konar” go wtedy uratował. I co teraz?

Myśl!

Coś na inspektora mają, jakąś starą plamę. To właśnie Andrzejka wkurwia. Że nie był kiedyś wystarczająco ostrożny, że znaleźli tego haka. A teraz go używają. Dlatego zdobył zdjęcie gościa, który go naciska. I pewnie sam próbował znaleźć typa w bazach, ale dawno nie jest już oficerem frontowym. Ma stępione zęby, otłuszczoną wątrobę, zbyt wiele miejsca w jego głowie zajmuje troska o gastrykę. Więc musiał podzielić się zdjęciem ze swoim najlepszym śledczym. Po prostu prosi, kurwa jego mać, o pomoc.

* * *

Ksiądz Bronisław Kalisz, pięćdziesięcioletni magister prawa, doktor nauk ekonomicznych, absolwent MBA, kolekcjoner starej porcelany, siedzi przy mahoniowym stole ze splecionymi na blacie dłońmi i wzrokiem utkwionym w bogato rźniętej karafce z domowym kompotem. Proboszcz Edmund Witecki i jego niemiecka krewna – oboje wpatrzeni w kanclerza – czekają na odpowiedź. Ale zamiast niej słyszą pytanie:

– I jak ja mam to powiedzieć arcybiskupowi? Że wysłannik Stolicy Piotrowej to kto jest?

Proboszcz chrząka, już chce coś powiedzieć, lecz Ana wyrywa się pierwsza:

– Że to były agent komunistycznej policji niemieckiej i seksualny przestępca poszukiwany pod nazwiskiem Martin Gapik przez szwedzką policję za czyn pedo...

Pädophilie. I że Szwedzi mają potwierdzone przez psychologi *eine Opferaussage...* zeznania dziewczynki, *dreizehn Jahre alt. Und auch* jego sperma...

Proboszcz wzdycha. Jego kuzynka kończy:

– ...co się oznaczy, mają profil DNA. Czy to jest mało?

– Jeżeli dobrze zrozumiałem, ślady biologiczne należą do jakiegoś Martina Gapika – kierownik kancelarii jego ekscelencji zdejmuje okulary i stuka nimi w błyszczący pulpit, na którym prócz karafki i szklanicy stoi jeszcze wazon róż świeżo ściętych w biskupim ogrodzie.

– Martin Gapik, Alois Kuntz i Manfred Danner to jest *ein und die selbe Person*. Ta sama osoba. Zdolny agent jest zdolny zmienić wszystko. Odciski palców, cechy głosu, wzrost. Wszystko prócz DNA.

– Pani tak twierdzi.

– Wystarczy pobrać mu próbkę szliny! – policjantka podnosi głos.

– Jak wy to sobie wyobrażacie? Pobrać próbkę? Mam kazać sekretarzowi zakraść się do hotelu naszego gościa? To jest wysłannik Ojca Świętego!

– On mnie molestował, gdy byłam dzieckiem.

Ksiądz Witecki kładzie dłoń na nadgarstku Any i ściska. Ksiądz Kalisz wygląda, jakby zeszło z niego powietrze. Zapada się w barokowym krześle, opiera brodę na piersi. Wzrok znów ma wbity w karafkę.

– Moi drodzy... księżę proboszczu i pani oficer... ja... ja nie wiem, co mam powiedzieć.

– Zostaw nas samych – pleban gładzi krewną po nadgarstku. – Proszę cię bardzo.

Gdy nadkomisarz Wittesch opuszcza pokój, proboszcz podchodzi do środkowego z trzech wysokich okien wychodzących na ogród. Za idealnie utrzymanym szmaragdowym trawnikiem z kamienną fontanną, za pomarszczoną taflą rzeki, za pełnym spacerowiczów bulwarem Włostowica pyszną się mury świątyni Najświętszej Maryi Panny i białe ściany historycznej biblioteki. Słońce świeci, firmament przybrał barwę lapis-lazuli, niewielkie smugi obłoków są jak białe dymy.

– Patrząc na tę sielankę, można zapomnieć, że nieprzyjaciel Boga i ludzi nie śpi nigdy, księżę kanclerzu.

Bronisław Kalisz podchodzi do plebana, jakby ktoś go popychał wbrew woli.

– Czy to prawda?

– Tak, prawda. On zachowuje się jak uwodziciel, który chce być ukryty i nieujawniony.

Jak człek przewrotny, co słowami wypowiedzianymi w złym celu przyciąga do siebie...

– Niech mi proboszcz nie cytuje tu ćwiczeń duchowych. Pytam o zgorszenie.

Witecki składa dłonie.

– Mój świętej pamięci ojciec Otton Wittesch był bratem Maksymiliana, dziadka Any. Syn Maksymiliana Leonard, dla mnie stryjeczny brat, a Any ojciec, był wschodniemieckim urzędnikiem. Tak mi się wówczas wydawało. Gdy jeszcze żył. Teraz wiem, że pracował dla bezpieki. Staatsicherheit – na pewno obilo się księdzu o uszy. Alois Kuntz, który wówczas nazywał się Danner, służył razem z nim. Może nawet przyczynił się do jego śmierci. Leonard Wittesch spadł z dachu... albo skoczył.

Przez dłuższą chwilę obaj duchowni myślą o tym samym. O ciałach kobiet na ulicy Szewskiej. I obaj postanawiają o tym nie rozmawiać. Pleban odzywa się pierwszy.

– Po śmierci Leonarda matce Any, Emmie, udało się przemycić ją na Zachód. Mieszkała w ośrodkach, a po zjednoczeniu – z krewnymi Emmy. Bardzo dobrze się uczyła, została wykładowcą na policyjnej uczelni, później ją... to tajemnica... zwerbowała jeszcze inna służba. Mówię to księdzu, by wiedział, że jej informacje są ścisłe.

– I wtedy proboszcz ją odszukał, żeby...

– Nie. To ona nawiązała ze mną kontakt. Dużo wcześniej. Szukała polskiej rodziny Leonarda, ja jestem jedynym żyjącym... no tak. Korespondowaliśmy. Resztę ksiądz już wie. Gdy pojawiła się wola dojścia do prawdy w rachunkach, uznałem, że tylko Ana może nam pomóc. Ona, powiadam, się nie myli. Ani w sprawie rachunków, ani w sprawie doktora... niby-doktora Kuntza.

– Co ze zgorszeniem? To grzech najcięższy. Pytam, czy jest możliwe, żeby doktor dopuszczał się czynów...

Pleban skubie rękaw sutanny.

– Doktor Kuntz przyszedł wczoraj wieczorem do bazyliki. Straszyl mnie odebraniem parafii. Powoływał się na kurie.

– Co takiego?

– Nie przejąłem się, nie jestem strachliwy. Chodzi o to, że Ana zrobiła mu zdjęcie z ukrycia. Bez mojej wiedzy. Ona ma różne możliwości sprawdzania tożsamości osób, ma urządzenia, systemy. Jeżeli niemiecki system mówi, że to jest seksualny przestępca...

– Nie musi mi ksiądz powtarzać w kółko. Zrozumiałem przecież, że jej proboszcz wierzy.

– No tak. W kontekście... eee... ewentualnego zainteresowania nieprzyjaznych nam elementów. Kościół i pedofilia.

– ...i dwie nieboszczki pod księdza murem! – Bronisław Kalisz nagle robi się zły. Łysina mu czerwienieje. – Ja o tym ekscelencji nie powiem! To by go... księdza arcybiskupa... to by go zasmuciło za bardzo... nie! A tak poza tym... – dalej kanclerz mówi już cicho: – ...nie byłoby u nas doktora Kuntza, gdyby berlińska kuria nie informowała Watykanu o wysłaniu policjantki. A nie byłoby policjantki, gdyby nie proboszcza pomysł na włączenie jej w spóźniony audyt.

– Nie miałbym konieczności szukania skradzionych pieniędzy, gdyby ksiądz w swoim czasie lepiej pilnował...

– Dobrze, już dobrze – kierownik kancelarii wraca do stołu, lecz nie nalewa sobie kompotu. Z kryształowej witryny wyciąga inną karafkę i szklanki. Leje dwa razy do połowy, częstuje gościa. – Ta sprawa nie może nas poróżnić. Dobro Kościoła przede wszystkim. I niech mi ksiądz powie tak szczerze: Kuntz nie otrzymał od was wszystkich materiałów?

– Nie otrzymał.

– I kuzynka księdza nadal bada dokumenty?

– Nadal. Jest w połowie pracy.

– Pieniądze...

– ...były kradzione. To pewne. A raczej... były zarabiane, lecz nie trafiały do skarbca diecezji. No tak. To dotyczy nie tylko naszego terenu.

– O jakich kwotach mówimy?

– Dziesiątki milionów, może setki.

– Kto w to jest zamieszany?

– Nie chciałbym podawać nazwisk, nim Ana nie skończy. Rozpoczęło się całe oszukiwanie za jego ekscelencji Henryka, ale...

– Więc to historia.

– ...ale przelewy wciąż jeszcze spływają.

– Aktualnie.

– Cały czas trwają transakcje.

Gospodarz przez długą chwilę trawi informację. Potem stuka szkłem w naczynie proboszcza. – Czy wierzysz, Edmundzie, że nie ukradłem złotówki?

– Nigdy w to nie wątpiłem.

– Co nie oznacza, że nie wiedziałem, jak się na ziemi zarabia – kanclerz siada tyłem do witryny z alkoholami, przodem do plebana. – Może będę mógł pomóc w dochodzeniu do prawdy. Niechże ksiądz naszą policjantkę zawoła.

* * *

Joanna Stanisz otwiera od wewnątrz drzwi prześwietlonego popołudniowym słońcem apartamentu i z miejsca dostaje w twarz. Mężczyzna, którzy zdzielił ją otwartą dłonią, wchodzi i zatrzaskuje za sobą wejście. Bije jeszcze raz, wierzchem ręki. Drugi cios jest pozornie niedbały, lecz mocny. Psycholożka – bosa, ubrana tylko w kremowy szlafrok z cienkiej bawełny – pada na parkiet. Napastnik staje nad nią okrakiem, chwytając za włosy, okręca ją wokół pięści i ciągnie w górę. A potem gwałtownie puszcza. Ofiara uderza o deski.

On – w popielatej marynarce i pod krawatem – rozpina spodnie. Ma już pełną erekcję, klęka nad leżącą, szeroko rozstawionymi kolanami zgniata jej przedramiona. Ściska szyję tuż pod brodą i wpycha członek do gardła.

Wytrzeszczone oczy Joanny są pełne łez, nos pełen śluzu, na czoło występują plamy. Bije piętami o podłogę jak w ataku padaczki. On też się poci, sapie, stara się utrzymać równowagę. Nie upływa minuta i rozpaczliwe trzepotanie bosych stóp ustaje.

Były pułkownik Tadeusz Kalita dopiero teraz wyjmując członek z ust Joanny Stanisz, lecz ona nie nabiera powietrza. Nie jest już w stanie. On trzeci raz bije w twarz – najmocniej. Z ust półżywej wypływa na parkiet ślina zmieszana z krwią. Kobieta ze świstem wciąga powietrze.

– Gotowa? – pytanie Kality brzmi jak dudnienie subwoofera.

– Ta... – pół słowa to wszystko, na co Joanna może się zdobyć. Pół słowa i rozwarcie ud. On schodzi z jej zdeptanych ramion, niezgrabnie przesuwając korpus. Ona – mimo bólu zmiażdżonych mięśni – szuka drżącą dłonią jego penisa, znajduje i wkłada go w siebie, gotowa na rżnięcie dla dorosłych.

* * *

Pół godziny później Joanna Stanisz i Tadeusz Kalita leżą w głębokiej trójkątnej wannie.

Pozbawiony okien salon kąpielowy, drugie co do wielkości pomieszczenie w apartamencie, oświetlony jest tylko dwiema lampami w podłodze. Tadeusz Kalita, były

żołnierz 18. Kołobrzeskiego Batalionu i spec od radiolokacji, oficer Oddziału III Zarządu II Sztabu Generalnego, a jeszcze później samodzielny pracownik Inspektoratu Wojskowych Służb Informacyjnych, nie wychodząc z piany napełnia sobie grube szkło dwunastoletnią Chivas Regal bez lodu. Jego stopa opiera się o łono kochanki. Drugą nogę wystawił z piany – poza krawędź porcelanowego basenu. Cmoka, jakby coś sobie wysysał spod języka.

– Domyśla się?

– Nie. Ufa mi... – Joanna chrypi. Gardło ma wciąż spuchnięte, na rękach rosną sińce, ale mieszanina bólu, lęku i erotycznego napięcia jej to wynagradza. – Pomysł w toalecie był... przełomowy. Choć już myślałam, że „Plankton” mnie zerznie faktycznie. Ledwo nad sobą panował.

– Musisz na Warskiego uważać – Kalita dopija whisky, odstawia szklanekę na ceramiczny podest, zanurza się po szyję. – Pije?

– Tylko napój z kurkumą. Dla zdrowia.

– Trzeźwy, skupiony i sprytny. Niby tylko pies, ale wilk. Znałem takich. Kazałem przejrzeć jego komputer. Nic nie ma. Ostrożny. Bunkruje się. Ma w domu drugi?

– Nie wiem. Chyba tak. Ma.

– Sprawdzisz. Pójdiesz tam jeszcze dzisiaj i sprawdzisz. Będziesz się mogła znowu z nim pierdolić.

– Zrobiłam to wyłącznie dla zaufania.

– Różnęłaś się, a nie budowałaś zaufanie! – on płynnie zmienia pozycję jak wąż. Obiema dłońmi chwyta skronie Stanisza, kciukami brutalnie rozciąga jej usta, wpycha pod wodę. Ona przez pierwsze dziesięć sekund wcale się nie broni. Próbuje tylko nie pić mydlin.

– Chcesz mnie wkurwić bardziej? – głęboki bas przechodzi w serię szczeknięć. Ćwiczyli to nie raz i zawsze jej udawana uległość najszybciej napędzała jego wściekłość. Tak jest i teraz. – Poczekamy, poczekamy... – grono bąbli z płuc rozbija kożuch pachnącej piany. Stanisza zaczyna się wić. Wbijają paznokcie w ramiona Kality, ale on tego kompletnie nie czuje. Czuje tylko, że bardzo chce ją uderzyć w jakieś miękkie miejsce.

* * *

– Wrzuciłam do jednego kubka i kurkumę, i imbir, zalałam sokiem z cytryny... – psycholożka mówi tonem niższym niż zwykle. Po rozstaniu z Kalitą doprowadzała się do porządku godzinę. Kremy, tabletki przeciwbólowe, pasty. Sesję przykrywania, topowania,

podrowania i lakierowania zakończyła nałożeniem ostrego makijażu. Dla lekkości dodała do sukienki sandały na obcasie. Własnoręcznie sporządzony napój wlała w oldskulowy litrowy termos z ebonitu.

– Do tego pół szklanki mleka kokosowego, ćwierć łyżki cynamonu i miód, tyle co w twoim przepisie. Rozcieńczasz wedle uznania. Ja rozcieńczyłam w połowie. Daj kubki, spróbujemy.

– OK.

Po słonecznym dniu nadszedł ciepły wieczór. Przez otwarte okno mieszkania Warskiego – wraz z hałasem odbitym od ściany Renomy, dawnego Pedetu – wlewa się zapach spalin i smażonej u sąsiadów kapusty z boczkiem. Joanna siada na wersalce, zakłada nogę na nogę. W blasku bocznej lampy jej skóra ma kolor płomienia świecy. Przyrządzony przez nią napój okazuje się słodszy od tego, który komisarz pija na co dzień.

– Brakuje mi cayenne.

– W moim przepisie... siadaj no tutaj... nie ma takiego obowiązku – ona stawia swój kubek na szczycie piramidy kartonów. Potem robi obrót – i już jest na jego kolanach. Dłoń kładzie mu płasko na środku piersi. – No pij. Żebyś miał dużo siły, bo ja mam dużo ochoty.

Śmiech. Pocałunek. Więcej w nim czułości niż namiętności. Policjant wyczuwa nadzwyczajną miękkość. Czyżby jego nowa znajoma się upaliła? Poczulby w oddechu. Jakieś tabletki? Na pewno jest zmieniona. Już od wejścia – gdy rzuciła krótkie: „Musiałam przyjść” – jego szósty zmysł rozpoznał anomalie.

Ona długo trzyma język między jego zębami, ssie.

On nie czuje podniecenia. Czuje żal.

I chce mu się teraz spać.

„Śpij... Nabierzesz sił”.

Ona to powiedziała?

„Powinieneś sobie przypomnieć, jak się zaczęła wasza znajomość. Twoja z panią psycholog...”.

Ana to powiedziała.

„Chcę, żebyś miał dużo siły”.

Słowa – wata. Wata w pościeli. Prześcieradło, łóżko, sen. Trzy litery. Co to za myśli? Czyje? Dlaczego? Tabletki?

„Jesteś zmęczony”.

Kto to mówi?

Nieważne już.

* * *

Najpierw się budzi świadomość. Ciało pozostaje w bezruchu, ale jaźń już sama siebie lokalizuje. Pozycja siedząca. Temperatura umiarkowana. Stygnący hałas Świdnickiej – nie do pomylenia z innym odgłosem miasta. Lekko kłoczna woń piwnic w systemie wentylacyjnym, cuch smażeniny. Mieszkanie. Szorstkość pięćdziesięcioletniej wersalki pod palcami. Jak sierść. Sierść i ścier drzewny. Stary filc. Filc pod paznokciami Edith Kronenberg. Wanda Kamińska i reflektory porsche. Czas i miejsce. Sposobność. Myśli wirują, głowa wiruje, Wrocław wiruje.

Dalej... dalej.

Kantor Jan i satanistyczne bzdury. Brak alibi. Prawdziwa rola nadkomisarz Wittesch. Jej przeszłość.

Dalej.

Małe usta Any i duże usta Joanny Stanisiz, która nie ma wieku. Zapachy ich obu. Zapach Louis Royera. Wystraszona twarz Konarskiego na korytarzu komendy. Elegant ze zdjęcia – trup na botoksie. Też bez wieku, jak Joanna.

Dalej.

Wielkolud z blizną. Kij bejsbolowy. Sprinter w kapturze. Uliczny wojownik. Mistrz parkuru. Człowiek na posyłki. Kto jest jego dysponentem?

Dalej.

Słowa Any: „...droga eliminacji. Psycholog i napastnik z kijem. Czy dzisiaj też byłeś z tą panią?”. Jestem z tą panią.

Dalej.

Skojarzenia uderzają o siebie, zjedzona dwie godziny temu pizza podchodzi do gardła. Trzeba uchylić powieki. Obraz będzie kotwicą. Obraz jest kotwicą. Pokój już się tylko kołysze – nie wiruje. Meble, stary żyrandol, naddarta tapeta w pasy, półmrok w kątach. Nie ma Joanny, nie ma jej sukienki w kwiaty, nie ma jej termosu, nie ma też jego własnego laptopa, który stał na stole.

Włochaty kamień w czaszce nie przypomina tego, który materializował się kiedyś na kacu. Nie przypomina nawet tego, co się czuje w drugiej, trzeciej dobie bez spania. To jest uczucie przywleczone z zewnątrz. Tabletki rozpuszczone wśród imbiru i miodu. Kurkuma

nie ma smaku. Ma tylko kolor. Pokój jest szary, bo zapada noc. Oczy znowu się kleją.

* * *

Kiedy Warski otwiera powieki po raz drugi w ciągu godziny, jego samsung stoi tam, gdzie stał – i dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej go zostawił. Terapeutka siedzi na krześle, wyprostowana, grzeczna uczennica, w ręce trzyma zdjętą z półki „Zasadę nieprawdopodobieństwa” Davida Handa. Zabytkowy termos z nakrętką, jak wielki naparstek krawiecki, postawiła pod nogą.

Zasada nieprawdopodobieństwa. Rzeczy mało prawdopodobne, nieprawdopodobne i rzeczy niemożliwe.

Powieki komisarza zamykają się kolejny raz.

Niedzielne włamanie do jego komputera. To, co przed chwilą zrobiła Joanna. Czego szukała? Czego szuka? Czego szukają? Przecież nie pism o szatanie i demonicznym interwale. „Jak się zaczęła wasza znajomość”. Co było pierwsze? Który z kamieni poruszył lawinę? Strach Konarskiego jako śmiertelna choroba przenoszona drogą umysłową.

Oficer kaszle. Wyschnięta błona odrywa mu się od ściany krtani. Psycholożka podnosi wzrok znad lektury. On prostuje nogi.

– Długo spałem?

– Dla mnie całą wieczność – ona wstaje z krzesła. W kusej kiece i z poziomu wersalki wydaje się wyższa. – Chcę wynagrodzenia za cierpliwość.

Odsłania uda i obraca się wokół osi. Jest w tym pozornie lubieżnym geście coś z małej dziewczynki, która zaprasza kolegę do zabawy w doktora. I nawet w niedoskonałym świetle bocznej lampy Warski widzi, że jego terapeutka jest dziś dokładnie wydepilowana.

Rozdział 19.

Środa wieczór

Nadkomisarz Ana Wittesch postanowiła zainspirować się mangą. Efekt ma być szybki, a jednoznaczny komunikat skierowany wprost. Kupiła krótką brzoskwińską sukienkę bez ramiączek, bawełniane pończochy podkolanówki i jasne buty kształtem przypominające te, w jakich się tańczy flamenco. Potem dobrała jeszcze cienki jak papier trencz. W butikach galerii handlowej, gdzie zjadła sałatkę z łososiem, mieli niezłą przecenę na letnie ciuchy – wprowadzili już kolekcje jesienne.

Zabiegi kosmetyczne zaczęła od wtarcia kremu samoopalającego. Potem włosy: fryzura nastroszona górami i otulająca twarz dołem. Postrzępiona grzywka nad czołem, pianka i lakier, a potem znowu lakier i pianka, aż pozornie nieuporządkowane blond pasma owinęły się wokół szyi. Dalej nos – dużo pudru, trzeba podkreślić kości policzkowe, podbródek musi wydawać się mały, dziecięcy. Oczy i usta – przeciwnie: duże, jak największe. Gruby kontur, na to kolory. I jeszcze krem z drobinkami brokatu.

Przegląda się w lustrze po raz ostatni. Prawie nie poznaje samej siebie. Mogłaby teraz stanąć przed kimkolwiek: Georgiem, Jonasem, Norbertem czy choćby przed Warskim – i żaden by jej nie rozpoznał na pierwszy rzut oka. Unosi nogę, kolano jak najwyżej, opiera obcas o rant muszli i odchyła udo – proste? Proste.

Dłuższą chwilę zastanawia się, co zrobić z tokenem. Schować w torebce, ukryć tu, w celi, zanieść do auta, wymyślić coś jeszcze innego? W końcu wieszka za podgrzewaczem wody w łazience. Naciąga trencz, listonoszka na ramię, wychodzi do korytarza, schodzi na drewniane półpiętro, potem korzysta ze skrótu do drzwi pod wieżą. Na placu, mimo zmroku, temperatura powyżej piętnastu stopni. Ławki pełne meneli, strażnicy miejscy z owczarkiem idą wolnym krokiem, patrzą na nią. Co drugi mężczyzna na nią patrzy.

Na rogu Szewskiej i Wita Stwosza troje młodych muzyków odgrywa jazzowe standardy. Zbierają pieniądze do futerału po saksofonie. Dzwony ze Świętej Elżbiety wzywają na ostatnie wieczorne nabożeństwa. Ksiądz proboszcz też niedługo zacznie odprawiać. Życie starego miasta... Takie jak we Fryburgu, w Kolonii czy Ratzbonie.

Scheiße... Kobiety też się jej przyglądają. Za dużo ciekawskich oczu. Możliwe, że

przesadziła ze stylizacją. Nie pójdzie pieszo. Pojedzie autem, choć to mniej niż kilometr.

Cofa się do Krowiej, gdzie upchnęła porsche na placyku między garażami a ogródkiem jordanowskim. Rusza, jedzie Kotlarską, krąży w kółko po czterech wąskich przesmykach, wreszcie znajduje miejsce blisko hotelu Atlas, tuż przy rogu Odrzańskiej i Malarskiej. Kiedy zatrzaskuje drzwi kabrioletu, słyszy za plecami głosy podpitych mężczyzn – wyraźnie wołają coś właśnie do niej. Brzęk toczącej się po kamieniach butelki, klakson auta. Wejście do hotelu całe w pelargoniach, odzwierny w truskawkowym uniformie. Zdziwiona twarz bardzo młodej recepcjonistki. Może jej chłopak albo i ona sama jest fanką hentai lub lolicon – i oto widzi przed sobą żywą Loli Queen, która odzywa się do niej po niemiecku:

– *Guten Abend. Ist Herr Alois Kuntz in seinem Zimmer?*

– *Moment mal... Leider nicht.*

– *Ach, schade... Ich warte dann.*

Królowa wyobraźni zamawia w lobby średnią latte, zdejmuje ze stojaka wczorajszy numer „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, siada w niskim fotelu tak, aby widzieć jednocześnie i wejście od strony ulicy, i wewnętrzne podwórze, i przelot między recepcją a restauracją, i schody, i windę. W torebce plumka iPhone. Przez chwilę ma nadzieję, że zadzwonił Georg, ale to znowu Warski. Już czwarty raz dzisiaj. Nie odbiera, podobnie jak trzech poprzednich telefonów. On przysyła SMS-a.

„Jest postanowienie o zarzutach dla J.R. Jadę po niego”.

„Twoja prokuratorka robi błąd” – Ana odpisuje i wylogowuje aparat z sieci. Lekturę „FAZ” zaczyna od stron ekonomicznych. Nastawia się na dłuższe czekanie.

* * *

Ksiądz Edmund Witecki odesłał ministrantów i teraz przesypuje pieniądze z tacy do mieszka. Liczeniem drobnych zajmuje się siostra Klara, ale on nie musi liczyć, by wiedzieć, że po wieczornym nabożeństwie nie zebrano więcej niż dwieście złotych. Gdyby nie niemieccy dobrodzieje, nie miałby nawet na oświetlenie kościoła.

Zakłada sweter na sutannę, wiesza na szyi okulary, zamyka zakrystię, klęka na chwilę w prezbiterium, żegna się, wstaje i rusza wolno główną nawą, by zamknąć od środka główne wrota. W połowie drogi coś mu każe zajrzeć do bocznej kaplicy. Coś tam w mroku leży? Ktoś leży? Ksiądz doktor przechodzi między ławkami.

No tak. To Jan.

Leży krzyżem przed figurą świętej Barbary, dziewicy i męczennicy, patronki dobrej śmierci.

Kapłan klęka obok. Z kieszeni sutanny wyjmuje różaniec, zaczyna się modlić. Trwa to kilka minut, aż leżący kantor unosi głowę. W oczach ma łzy. Usiłuje się niezgrabnie podnieść, ale tylko siada w przyklęku na piętach. Jest nieogolony, bledszy niż zwykle, włosy posklejały mu się w strąki. Paskudnie pachnie i przełyka łzy.

Proboszcz opiera dłoń o zimną posadzkę.

– Chodzi o Adama?

– Tak.

– To już?

– Tak.

– Kiedy?

– Dzisiaj w południe.

– Byłeś przy nim?

– Byłem.

– Pojednał się z Bogiem?

– Nie... nie chciał.

W kościele jest tak cicho, że proboszcz słyszy wilgotne dźwięki w nosie kantora i szmer wiatru w nieszczelnym witrażu.

Rudzki ociera oczy rękawem marynarki.

– Co z nim dalej będzie?

– To wie tylko Bóg.

– Apokatastaza... Co mówił Eriugena? Mieliśmy się przecież spotkać wszyscy.

– Módlmy się o to – pleban przesuwając palcami paciorki różańca. – Chrystus jest dobrym pasterzem, Janie, zna każdego i wszystkich.

– Nie mam już siły się modlić.

– Posłuchaj: Pan zna nas, bo nas odkupił. Przez udział w Jego prawdzie i miłości... no tak. Powtarzam ci: każdego i wszystkich. Nieprzyjaciel nie wyrwie z ręki Pana żadnego istnienia. Jezus nie pozwoli.

Zachodnie wejście otwiera się gwałtownie. Słyszą odgłosy z ulicy i kroki. Kilku par nóg. Idą środkiem nawy w stronę prezbiterium. Już wychodzą zza filarów. Policja. Przodem kroczy Waldemar Warski, za nim jego wysoki pomocnik. A dalej niska kobieta w

czarnym mundurze i czapce.

Pleban wstaje, odkasłuje.

– Tu jesteście, panie komisarzu.

– Wspaniale! – idący na przędzie energicznie skręca między ławki. – Niech pan wstanie!

– wydany podniesionym tonem rozkaz skierowany jest chyba do Rudzkiego.

Kantor podnosi się z pomocą kapłana.

– Panie Rudzki, zatrzymuję pana do dyspozycji prokuratury okręgowej...

– Pan Jana aresztuje? – ksiądz Edmund usiłuje zasłonić kantora własnym ciałem, lecz on sam wychyla się zza jego pleców. Staje w pozycji na baczność.

– Jestem całkowicie niewinny – jego melodyjny głos tym razem brzmi bezbarwnie.

– Nie aresztuję pana i nikt na razie nie twierdzi, że jest pan winny – policjant mówi już ciszej. – Zostanie pan doprowadzony na przesłuchanie.

– I co dalej? – kapłan kładzie Warskiemu rękę na ramieniu, lecz pod ciężarem spojrzenia gliniarza ją cofa.

– Dalej, zależnie od wyniku przesłuchania, urząd prokuratorski postawi panu Rudzkiemu zarzuty lub ich nie postawi.

– Jakie zarzuty?

– O tym porozmawiamy sobie na Podwalu. Rączki.

Kantor ani drgnie.

Aspirant Toczyk z kwaśnym półuśmieszkiem wyjmując kajdanki, unosi je na wysokość głowy, potrząsa i pobrzękuje – jakby prezentował towar na sprzedaż. To jego ulubiony moment w realizacjach.

– Takie rzeczy nie będą chyba potrzebne, panie komisarzu – proboszcz gniecie w palcach koralik różańca. – Przecież nasz Jan może iść z wami dobrowolnie. Prawda, Janie?

Kantor kiwa głową dziesięć razy w ciągu trzech sekund.

Na komisarzu nie robi to żadnego wrażenia.

– Czy ksiądz mi może powiedzieć... – odwraca się ku duchownemu – ...gdzie jest teraz Ana?

– Mogę. Czy może pan nie zakuwać Jana?

Chwila milczenia.

– Dobra, zrobimy tak... – Warski wskazuje Rudzkiego niewysokiej policjantce. – Jedźcie

z nim na gładko, rejestracja w bęben i wszystko... Powiadom Anielewską, jak skończysz, kamerę naszykuj w sto siedem, będę za godzinę.

Toczyk z ustami w podkówkę wolno chowa kajdanki, po czym delikatnie bierze kantora pod ramię. Ruszają w stronę wyjścia.

Pleban i komisarz odprowadzają ich wzrokiem.

– Kuzynka księdza wie więcej, niż mówi. Najpierw przekonuje mnie, że Edith to zwykła samobójczyni w depresji. Potem odciąga mnie od kantora, bagatelizuje go... Wczoraj chciała mi coś opowiedzieć, ale się nagle rozmyśliła. Dziś nie odbiera moich telefonów. Gdzie ona jest?

– Tutaj... u góry, w części mieszkalnej. Pan tam był, to obok celi Jana. Już prowadzę... – kapłan uśmiecha się na widok zdziwionej miny policjanta, potem rusza między ławki, by przystanąć pod ciężkim filarem w kruchcie. Wskazuje wąskie, nierzucające się w oczy przejście, które Warski już zna – skradał się tędy za Rudzkiem w trakcie koncertu żeńskiej scholi. Idą schodami w kompletnej ciemności, proboszcz prowadzi, skręca na pamięć. Odrobina światła daje się dostrzec w rozwidleniu tunelu, a więcej blasku dopiero wówczas, gdy wychodzą przez czarną drewnianą ścianę na półpiętro przed dormitorium.

– ...i chcę, by ksiądz namówił Anę do szczerości tu i teraz, dzisiaj. W przeciwnym wypadku sama stanie się podejrzaną. Podobnie jak ksiądz. Nie żartuję. Dlaczego właściwie ona tutaj śpi, nie w hotelu?

– Sama panu powie – proboszcz podchodzi do drzwi, stuka. Czekają. Zniecierpliwiony Warski szarpie za kutą klamkę. Zamknięte.

– Chyba jej nie ma – proboszcz chowa dłonie.

– Chwileczkę – oficer wyjmuje telefon. Miejsce prędkościomierza wi-fi zajmuje mapa. Samochód Any – z nadajnikiem pod podwoziem – nie stoi już na Krowiej, jak wcześniej – tylko na Kiełbaśniczej. Po cholere go przestawiła o kilka przecznic?

– Klucz zapasowy do tej celi ksiądz ma?

– Nie mam. To znaczy... nie wiem. Muszę poszukać.

Pik-pik. Przychodzące SMS-y. Od razu dwa. Niestety, nie od Any. Jeden od byłej żony. „Dziś idę na cmentarz”. Drugi od dziennikarza z „Wyborczej”. „Obiecał pan coś dać dzisiaj, przypominam się delikatnie. Mam deadline o dwudziestej. Hryniewicz”.

– Dobra... robimy tak. Ja załatwię kilka spraw i jeszcze tu dzisiaj do księdza wrócę. Niech ksiądz poszuka albo Any, albo klucza do celi, bo inaczej wchodzimy ze ślusarzem.

Proszę mieć ciągle telefon przy sobie. Do wyjścia trafię.

* * *

Jadąc na komendę, Warski pociąga z termosu i oddzwania do dziennikarza.

– Jest pan uparty.

– Ciśnienie rośnie – słysząc, że reporter głęboko zaciąga się dymem.

– Wiem. Czytam, chociaż nie warto. Same bzdury.

– Tamto nie moja sprawa. To jest internet.

– Satanistyczny rytuał, odcisk stopy „Spychacza” na moście... Może odcisk ręki diabła Boruty?

– Tłumaczę panu, że to internet – Hryniewicz nieprzyjemnie chrypi, jakby coś ostrego uwięzło mu w krtani. – Stażystka to napisała. Wydawcy chcą, by wałkować „Spychacza”, a nie ma danych. W sobotę będzie szedł wywiad z siostrą Wandy Kamińskiej.

– Bardzo ciekawe, ale ja nie mam czasu. Zrobimy tak, że coś dam, ale za coś.

– Jasne.

– Nagrywasz?

– Ile lat my się znamy? Czy ja skrewiłem kiedyś?

– Dobra. Jedno pytanie: kto wam dał cynk o przyjeździe Niemki? I kiedy?

– O Edith Krone...

– Nie udawaj głupiego, Jacek. O niemieckiej policjantce.

– Przecież pan wie, że nie mogę. Ochrona źródła. Pana też nigdy nie dam...

– Chcesz mieć cokolwiek? Kto strzela z ucha?

– Paa... anie komisarzu.

– Mam rzecz sprzed chwili. Na wyłączność. Jeszcze na wyłączność. Gadaj mi zaraz... kto zacynkował? To ktoś z komendy?

– Jedno pytanie i koniec.

– Dobra. No to powtarzam: ktoś z Podwala? Z Muzealnej?

– Tak.

– My czy prokura...

– To jest już drugie pytanie.

Warski przez chwilę milczy. Nie odrywając słuchawki od ucha, skręca na czerwonym świetle z mostu Piotra Skargi w Podwale. Lubi Hryniewiczza czasem bardziej, a czasem mniej. Dzisiaj – mniej.

- Nie cytujesz.
- Jak zawsze – po drugiej stronie słuchawki da się słyszeć świst towarzyszący łąpczywemu paleniu tytoniu. – Będzie użyte moje ulubione: „śledczy”.
- Przed chwilą został zatrzymany Rudzki. Do dyspozycji prokuratury. Decyzja o ewentualnym przedstawieniu zarzutów jutro najpóźniej.
- Jakich zarzutów?
- A to sobie już do rzecznika prokuratury zadzwonić. Ty i ta twoja stażystka od internetu. Albo bezpośrednio do prokurator Anielewskiej.
- Może być zarzut zabójstwa?
- Co ja mówiłem?
- Przyczynienia się do śmierci?
- Ty mnie nie słuchasz?
- Utrudniania śledztwa?
- Do „Anieli” dzwoń. Cześć.
- Dzięki.

Mijając skrzyżowanie ze Świdnicką, komisarz myśli, że mógłby teraz skręcić do domu, zrobić sobie nowy koktajl, zabrać torbę i jechać na basen. Ale niczego takiego na razie nie robi. Zapowiada się długa noc. Już dzwoni Toczyk. Melduje, że Anielewska na razie do nich nie dołączy. Chce za to mieć na siódmą rano raport z przesłuchania kantora.

Będzie miała.

* * *

Gdy Manfred Danner, aktualnie doktor Alois Kuntz, radca banku watykańskiego, wchodzi do hotelowego lobby, jego wzrok natychmiast przecina się ze spojrzeniem siedzącej nad gazetą blondynki. W ułamku chwili rejestruje kilka rzeczy naraz. Gazeta jest niemiecka, a ona wygląda mu na call girl. Tylko że polskie dziwki nie czytają „FAZ”. Jeszcze jedno spojrzenie, które ona odwzajemnia. To nie jest zwykła słowiańska kurew. To klasa międzynarodowa. Czeka tu na klienta albo już odpoczywa. Może łowi?

Niemiec podchodzi do baru, nie zdejmując płaszcza, zamawia single malt. Czekając, aż kelner postawi serwetkę i naleje, obserwuje dziewczynę i bawi się sygnetem. Suczka nie ma już siedemnastu lat, ale i tak coś go w niej kręci. Wystylizowana na nastolatkę, gładka twarzyczka, nieduże piersi, naturalna blondynka lekko tylko rozjaśniona, włosy proste, *alles hübsch*.

Whisky już nalana, smakuje dobrze. Doktor Kuntz-Danner wyjmując z kieszeni wiśniowej marynarki etui skrywające kartę do pokoju. Prezentuje odciśnięte na nim trzy cyfry: jeden, jeden, siedem.

Siedząca w fotelu znowu na niego patrzy, zauważyła, co trzeba, odsłania w uśmiechu zęby, zalotnie przygryza dolną wargę. Zęby ma duże i zdrowe, szminka na jej ustach błyszczący. Profesjonalna i ostra. Tak ją ocenia. Pod okapem tuszu na rzęsach kryją się napalone oczy. I jeszcze coś w tym spojrzeniu jest. Coś, co mu kogoś przypomina.

Dopija alkohol i kładzie na blacie pięćdziesięciozłotowy banknot. Płaski ruch dłoni – reszty nie trzeba. Obdarowany napiwkami barman kłania się tak, jak się Polak powinien kłaniać.

Blondynka w podkolanówkach daje przechodzącej kelnerce znać, że też płaci.

Watykański bankier chowa plastikową kartę, etui zostawia, bierze kapelusz, idzie ku schodom.

Ana za nim – dwie minuty później. Na pierwszym piętrze bardzo żałuje, że nie mogła wziąć z Berlina pistoletu. Ale poradzi sobie. W najgorszym wypadku połamie kutasowi rękę. To go powinno otworzyć na szczerą rozmowę.

* * *

Przed wejściem do pokoju przesłuchań Warski raz jeszcze bezskutecznie próbuje zadzwonić do Any. Potem otwiera drzwi z gałką po jednej tylko stronie. W stosiódemce – ponurym pomieszczeniu z oknem weneckim i stołem – kantor wygląda jeszcze bardziej żałośnie niż w kościelnym półmroku. Zapadnięte oczy, sterczące we wszystkie strony resztki przetłuszczonych włosów, plamy na ubraniu i brudne paznokcie.

Toczyk stoi pod ścianą, czeka. Na widok przełożonego uruchamia kamerę. – Środa 28 września, wstępne rozpytanie Jana Bogdana Rudzkiego, syna Mariana i Walerii, zatrzymanego w związku z postępowaniem sto osiemdziesiąt dwa łamane przez szesnaście. Rozpytuje komisarz Waldemar Warski, rejestruje aspirant Aleksander Toczyk. Rozpytanie na wniosek prokuratora Prokuratury Okręgowej we Wrocławiu...

– Dobra... resztę dośpiewasz za ścieżką – Waldemar siada i stawia przed sobą termos. – Chce pan coś do picia?

– Dziękuję, nie – kantor trzyma dłonie na stole.

– Co pan robił w poniedziałek 19 września bieżącego roku między godziną drugą a piątą rano?

Cisza.

– Mam powtórzyć pytanie?

– Nie trzeba – gdy Rudzki zdejmuje ręce z blatu, zostawia na metalowej powierzchni mokre plamy. Ociera dłonie o nogawki czarnych spodni, wpycha je między uda, kuli się, a potem gwałtownie prostuje na niewygodnym krześle. – Tak jak mówiłem, byłem na spacerze, jakby przechadzce, a dokładnie... Poszedłem, pojechałem autobusem, byłem w odwiedzinach.

– Gdzie?

– W hospicjum dla mężczyzn, ulica Krótka 20.

– Po co?

– Odwiedzałem przyjaciela.

– Czy on to może potwierdzić?

– Niestety umarł. Dziś o dwunastej.

– I postanowił pan opowiedzieć mi tę historię dopiero teraz, kiedy tak nieszczęśliwie nie ma już możliwości potwierdzenia pańskich słów przez przyjaciela? Mimo że kilka razy pytałem pana o alibi na czas zdarzenia.

– Ja nie chciałem, by Adam był przesłuchiwany. Ale chodziłem tam regularnie...

– ...obsługa potwierdzi?

– Nie. Chyba nie... Moja znajomość z Adamem była... Myśmy nie chcieli, by ktoś wiedział. Przychodziłem w nocy.

– Dobra. Nazwisko Adama.

– Nawaszkowski.

– Jakież dane?

– Pochodził z Kartuz.

– Imię ojca, data urodzenia?

– Jego rodzice nie żyją. Nie znam imienia ojca. Urodzony 16 lutego 1986.

– Jak długo był pańskim partnerem?

Rudzki po raz pierwszy od wejścia komisarza patrzy mu prosto w oczy.

– Mógłbym się jednak napić herbaty?

– Aleks, idź do automatu.

– Nie mam drobnych.

– Ja nie mam żadnych w ogóle pieniędzy – kantor odzywa się niepytany. Warski wyjmuje

z tylnej kieszeni dzinsów portfel od Magdaleny, gmera dwoma palcami w wewnętrznej kieszonce, wyciąga dwuzłotówkę. Toczyk wychodzi z monetą. Od razu po zamknięciu drzwi ciekawie zagląda do ciasnej salki po drugiej stronie weneckiego szkła. Tak jak podejrzewał, stoi tam Konarski. Szanowny zastępca komendanta nie poszedł do domu. Pali papierosa i czuwa. Obserwuje Warskiego, który właśnie zadaje kolejne pytanie:

– Kiedy się poznaliście z Nawaszkovskim?

– Przeszło dziesięć lat temu. Ja dla niego wystąpiłem z seminarium w Toruniu. Mieliśmy plany. Wymyśliliśmy, że Wrocław, że duże miasto i daleko. Niby miasto spotkań, ale pan nie zrozumie, co myśmy...

– Bez takiej gadki. To nie jest obyczajówka, do nędzy. Jest pan zatrzymany w związku z postępowaniem w sprawie dwóch zgonów kobiet i nie interesuje mnie ciężkie życie gejowskie, tylko to, ile osób może potwierdzić pańską relację z tym człowiekiem. Interesuje mnie tylko pańskie alibi. Jasne?!

– Tak.

– No... dobra. To na co umarł? Na AIDS?

– Na AIDS ludzie umierali w latach osiemdziesiątych. Adam miał agresywną białaczkę. Bardzo kosztowną w leczeniu. Był wcześniej tylko kelnerem, krótko próbował fryzjerstwa, kucharzył... wszędzie umowy śmieciowe. Bez ubezpieczenia, a z mojego skorzystać nie mógł... Pan sobie nie wyobraża, w jakim kraju...

– Niech pan mnie już nie wzrusza, OK? Powiedzmy, że chcę panu pomóc się oczyścić. Ktoś musiał wiedzieć, że pan tam przychodzi. Do tego hospicjum. Chyba przez dziesięć lat związku dorobiliście się wspólnych znajomych.

– Nie bardzo. Ale jest pani sprzątaczką, salowa na Krótkiej 20, zostawiała mi w umówione wieczory klucz pod drzwiami. To jest prywatne, ale najtańsze w mieście hospicjum.

– Pani sprzątaczką ma jakieś imię albo, daj Boże, nazwisko?

– Adam nazywał ją „Kluską”. Do końca potrafił żartować.

– Nie płacz mi tu... O salowej mów!

– Taka dość gruba, czterdzieści, może pięćdziesiąt lat kobieta. Wszyscy tam wiedzą, starczy spytać.

– W nocy z soboty na niedzielę też pojechałeś na Krótką? Jak była burza.

– Też byłem, tak.

Wchodzący Toczyk stawia przed przesłuchiwanym papierowy kubek z herbatą, kładzie jedną saszetkę cukru i plastikowe mieszadło. Warski pije swój koktajl.

– Gdzie ci sprzątaczką zostawiała klucz?

– Na takiej jakby werandzie... jakby graciarni.

– A ty żeś przychodził w nocy zobaczyć przyjaciela i całkiem niezauważony wychodził.

– Czasem mnie któryś z pacjentów widział. Tam jest ich mało, w tej chwili czterech. W większości starzy. Leżą, czekają... Modlę się za nich.

– W tej chwili radziłbym się modlić za siebie. A dokładnie, żeby sprzątaczką „Kluska” nam to twoje bywanie nocne potwierdziła. Dobra, przerwa. Pij tę herbatę, będzie decyzja, to ktoś tu przyjdzie.

* * *

Drzwi od hotelowego apartamentu sto siedemnaście są uchylone. Ana Wittesch wchodzi do środka bez pukania. Ciepłe światło z czterech kinkietów, duży przedpokój, po lewej lustro, kapelusz, płaszcz i marynarka na wieszaku, czerwone kwiaty w wazonie, po prawej – częściowo otwarta, mocno zaparowana łazienka. Zapach kokosowego mydła i szum puszczanego na full prysznic. Przed nią pokój z aneksem sypialnym, przestronne studio, duże, stylowe meble, zabudowany barek, na ścianach nowoczesne malarstwo, spuszczone herbaciane kotary.

Wiesza trencz na oparciu krzesła, zdejmuje z ramienia torbę, odwraca się w stronę łazienki i w tym momencie wie już, że jest źle.

Manfred Danner – występujący w tym mieście jako Alois Kuntz, ale tutaj, w hotelu Atlas, zarejestrowany jako obywatel Austrii David Liteschfield, nie myje się pod prysznicem. Stoi przed nią.

Ona z miejsca robi fachowy półobrót, który powinien zakończyć się ciosem, lecz on ma w ręce paralizator. Już go przyłożył. Trzaskają cztery miliony woltów. Nadkomisarz Wittesch traci przytomność.

Danner-Kuntz bez spodni, w samej koszuli, podtrzymuje upadającą. Układa zwiotczone ciało na małżeńskim łóżu. Odkłada narzędzie, które wygląda jak duża latarka.

Podwija rękawy, wyciąga pasek od spodni. Przewraca ofiarę na brzuch i przywiązuje oba nadgarstki do ramy tapczanu. Chwilę się zastanawia nad sposobem unieruchomienia stóp – w końcu robi to za pomocą wyszarpniętego spod nieprzytomnej prześcieradła. Przytracza dwa końce powłoki do krótkich nóg łóżka. Ściąga majtki i skarpetki, które zwija

w kulę i wpycha związanej do ust. Rozpina koszulę, lecz już nie traci czasu, by ją zdjąć. Chce zaczynać. Chwyta leżącą za biodra, unosi je, klęka za nią roztrącając kolanami łydki. Mocno rozchyła pośladki i pluje w różową rozetę odbytu. Gwałci policjantkę przez równe sześć minut, w siódmej ona odzyskuje przytomność.

Walkę podejmuje od razu, ze wszystkich sił. Wierzga i wije się jednocześnie. Zwierzęcy skowyt wydobyty z dna krtani jest – mimo obrzydliwego knebla – cholernie głośny. A siła, z jaką związana szarpie pas i prześcieradło – niesamowita. Mimo stu kilogramów chłopca na tapczanie łóżko zaczyna łupać o parkiet. Danner musi zareagować błyskawicznie. Sięga po paralizator, przykłada go Anie do krzyża i trzyma długie pięć sekund, w trakcie których jego erekcja jeszcze tężeje.

Wytrysk ma obfity, choć ostatni raz spuścił się raptem do tego. Wyciera członek o jej sukienkę, idzie do łazienki – całkiem już spowitej kłębamii pary – tam rzuca na kafle koszulę. Wchodzi pod wciąż rozkręcony tusz. Po prysznicu w kapciach i szlafroku z nazwą hotelu – idzie do barku, by nalać sobie trzy czwarte szklanki. Butelkę Ardbeg Uigeadail – o smaku lukrecji, dymu z cygar i kakao – przywiózł z rzymskiego lotniska. Tutaj się tego nie kupi.

Podnosi torbę Any, wyciąga telefon, idzie z nim do łazienki, kładzie w umywalce, zalewa wodą. Kiedy przeciera dłonią zaparowane lustro przed sobą, sygnet z piskiem rysuje szkło. Nie mógł się powstrzymać – to prawda. I będzie miał dużo sprzątanii. Nie obędzie się bez serwisu. Co oznacza dodatkowe komplikacje.

Ale pokusa była większa niż kiedykolwiek.

Nie poznał jej od razu. Przypomnił ją sobie na schodach, kiedy już przestała się gapić, kiedy na chwile zelżało jego podniecenie.

Córka tego zdrajcy Leonarda... tak długo jej szukali. Jej i tego, co mogła mieć ze sobą. A ona, z takim skarbem, została w końcu polską dziwką? Zbyt żalosne, by było możliwe.

Kroki na emporze kościoła tego starego capa Witeckiego, co ściągnął wszystkie kłopoty. I jego wcześniejsze słowa o pomocnicy, na którą tak czekał. „Zabiegałem o fachową pomoc w audycie. Kogoś z doświadczeniem analitycznym, kogoś życzliwego Kościołowi, dyskretnego i do kogo miałbym pełne zaufanie...”.

Że też nie zwrócił wcześniej należytej uwagi na dodatkową figurę w grze.

Ale lepiej późno niż wcale.

Nadrobił zaniedbania błyskawiczną dedukcją w pokoju sto siedemnaście. Leonard miał

w Polsce rodzinę. Witecki-Wittesch. Do kogo można mieć większe zaufanie niż do rodziny? To nie jest dziwka... to jest pomocnica proboszcza, wezwana przez niego analityczka, córka kuzyna, niemiecka krewniaczka, która rozpoznała go, czając się w kościele, i teraz przyszła... no... po co przyszła? Sprowokować?

Dał się sprowokować. *Verdammt Kacke...* Wraca do pokoju, uchyla kotary, próbuje przez szybę dojrzeć chodnik pod hotelem, ale widzi mało. Skrada się do drzwi, nasłuchuje przeszło minutę.

Nic.

Jeśli polska policja wystawiałaby ją na wabia, powinni już wchodzić razem z futryną. A nie wchodzi. Bo i po co mieliby ją wystawiać? Co ich obchodzi stare sprawy między zastępcą szefa IX Wydziału a córką zdrajcy? Co ich obchodzi, że chciał ją zerznąć prawie trzydzieści lat temu, gdy ważyła tyle co nic – i nosiła różowy berecik? Nie zerznął, bo nie było jeszcze pewności, że Leo zdradził. Gdyby pewność była, kazaliby je obie, Emmę i jej małą, zawieźć na Ruschestraße, a tam najpierw wypierdoliłby je on, potem strażnicy, a potem ich psy.

Pofantazjować można. Na korytarzu cisza, on już się odpręża, już podchodzi do barku, już sobie nalewa, patrzy na związaną Anę. Trzeba przyznać, że ten *Arschloch*, ta dziura w dupie, Kalita... razem z jego psycholożką i idiotyczną ideą... całe zamieszanie z samobójczyniami miało odciągać uwagę glin i – jak widać – odciągnęło, bo futryna od drzwi wejściowych wciąż jest na swoim miejscu.

– Przyszłaś tu sama, ty głupia pizdo – Manfred Danner *vel* Alois Kuntz mówi to po niemiecku prosto do ucha Any, a potem polewa ją alkoholem.

Rozdział 20.

Noc ze środy na czwartek

W przykurzonej kancelarii parafialnej, w której jeszcze niecały tydzień temu wiedli pouczającą gawędę o życiu i filozofii, nadkomisarz Waldemar Warski i ksiądz doktor Edmund Witecki mierzą się nieprzyjaznym wzrokiem. Policjant przed chwilą po raz siódmy próbował dodzwonić się do Any, ale tym razem nie usłyszał nawet sygnału, jedynie komunikat niemieckiego operatora: *Der Teilnehmer hat sein Telefon ausgeschaltet oder er befindet sich außerhalb der Reichweite des Netzwerkes.*

Wylogowała się całkiem. Wyjęła baterię? Coś się dzieje.

Kapłan poprawia szkła na grubym nosie.

– Wpuszczę pana do jej pokoju, a pan mi za to wypuści Jana.

– Klucz?

– Mam ze sobą.

– Jednak się znalazł... to dobrze. Ale jest kłopot. Nie potwierdziliśmy jeszcze alibi Rudzkiego.

– To pańska robota.

– ...powtarzam księdzu: wysłałem dwóch na rozpytanie. Już są w hospicjum. Jak zadzwonią, że sprzątaczką potwierdza, to powiadomię prokuraturę. O ósmej rano. Nie wcześniej.

– W takim razie ja nie mogę...

– ...może ksiądz. Co mi ksiądz mówił w czwartek? Że w tym wieku już tylko Bogu podlega.

– No tak. Ale pan, panie komisarzu, nie ma nakazu rewizji i nie ma nowych argumentów.

– Ach tak? To niech mi ksiądz powie, gdzie jest teraz Ana.

– Już mnie pan pytał.

– Pytam raz jeszcze. Bo to jest argument.

– Nie wiem, gdzie ona jest.

– Czy od przyjazdu zdarzyła się taka sytuacja, żeby jej komórka nie odpowiadała?

– Tak. Nie. Nie wiem. Nie sprawdzałem często, nie było potrzeby, widywaliśmy się

przecież tutaj, w kościele.

– Wie ksiądz, co oznacza komunikat o niedostępnym abonencie po niemiecku?

– Nie.

– Że polska sieć jej nie widzi. A system widzi telefony wyciszone i wyłączone. Nie rozpoznaje zniszczonych. Czy myśli ksiądz, że przypadkiem zniszczyła sobie telefon? – Warski przystawił krzesło do kancelaryjnego biurka plebana, teraz opiera się oboma łokciami o kupę dokumentów, listów, świętych obrazków i niesprzedanych numerów „Gościa Niedzielnego”. – Wiemy, gdzie stoi jej auto. Monitorujemy je od pewnego czasu dla jej bezpieczeństwa. Parkuje na Kiełbaśniczej, między Malarską i Świętej Elżbiety. Był już tam mój najlepszy człowiek. Skończył rozpytywać przed chwilą. Tam jest kasyno, pub, dwa hotele, kawiarnia, centrum konferencyjne, cicha agencja towarzyska i nasze mieszkanie operacyjne, gdzie przez przypadek siedzą akurat dochodzeniowi zaangażowani do innej sprawy. Toczyk pokazał zdjęcie Any wszystkim. Nie było jej tam dzisiaj. Nie widział jej żaden portier, sprzedawca, kelner, dziwka. Ale jeden z dochodzeniowych twierdzi, że z jej porsche wysiadała nastolatka sprawiająca wrażenie kurewki. Poszła do hotelu, ale ani nie wzięła pokoju, ani stamtąd nie wyszła. Rozumie ksiądz coś z tego?

– Nie rozumiem.

– Dlaczego auto jest przestawione coś koło pół kilometra? W miejsce, gdzie o wolny parking trudniej niż tutaj? Jeśli Ana chciała sprawdzić coś na Kiełbaśniczej, czemu nie poszła piechotą? Dlaczego obaj nie wiemy, gdzie ona jest w tej chwili? Co ona kombinuje? Dlaczego ksiądz nie jest szczerzy i mi utrudnia śledztwo?

– Bo chce pan trzymać biednego Jana w więzieniu.

– W pokoju zatrzymań.

– Dobrze... już dobrze, idziemy... – kapłan ściąga okulary z nosa, wstaje i pokazuje ręką wyjście. Policjant rusza prędko jako pierwszy. Drogę przez salę z krucyfiksem już zna. Dopiero przed progiem części sypialnej przepuszcza przodem zasapanego proboszcza, który otwiera kluczem celę, wchodzi, zapala światło i omiata wzrokiem korkową tablicę. Wie, że będzie musiał odpowiedzieć na mnóstwo nowych pytań komisarza.

* * *

Oberkommissar Ana Wittesch, córka Leonarda i Emmy, odzyskuje świadomość. Danner musiał ją oblać whisky, bo oprócz woni jego potu i spermy czuje klejący osad na własnej skórze. Czuje też fizyczne zimno, upokorzenie, strach, złość na siebie samą i gniew. To się

nie może tak skończyć!

Spod współprzymkniętych powiek patrzy, jak ten, co ją przechytrył i zgwałcił, przynosi listonoszkę na blat niskiego stolika, wysypuje zawartość i przegląda przedmiot po przedmiocie. Fiolka perfum, portfel z kartami kredytowymi Deutsche Bank i Raiffeisen Bank International, kilkadziesiąt euro, złotówki, żadnych zdjęć, żadnych wizytówek, kart rabatowych, spisanych PIN-ów czy kodów. Klucz od porsche, czarny klucz-krzyż, który znów się może przydać, niemieckie prawo jazdy, paczka chusteczek w gustownej pochewce i wreszcie to, czego oczekiwał. Dwunastoramienna gwiazda berlińskiej policji przytroczona do skórzanego prostokąta na srebrnym łańcuszku. *Oberkommissar* Ana Wittesch.

Verdammt Scheiße!

Ciekawe, jak długo go poszukiwała? Czy przyjechała tutaj za nim z Rzymu? Dlaczego zdecydowała się zaatakować właśnie teraz? Jaka w tym rola starego proboszcza? Czy ten idiota ma pojęcie, że jego krewna szuka nie tylko zaginionych pieniędzy Kościoła, ale i zemsty? Czy jej szefowie z Bundespolizei to wiedzą? Czy wie o tym niemiecka kuria? Czy mogła zająć aż tutaj na własną rękę?

Mogła. Leonard Wittesch był ślepy jeśli chodzi o imponderabilia, ale w szczegółach był bystry. A jego Emma była jeszcze bystrzejsza. Ta śliska suka, jej córka, nie jest jakąś zwyczajną pomocnicą starego klechy, ale wysokiej rangi policjantką i może jeszcze agentką Bundesnachrichtendienst.

Scheiße!

Na szczęście jest też osobą, która przeszarżowała. Która przyjechała prowadzić prywatne śledztwo na cudzym terenie. Przyszła tu przebrana za kurwę tylko w pojedynkę, raczej oczywiste. Namierzyła go w kościele. Niewątpliwie. Ustaliła, gdzie mieszka. To znaczy, że albo za nim łąziła, albo wie coś o jego tożsamościach. Wiedziała, jakie dupy lubi. Ile mogła mieć lat, gdy siedziała na jego kolanach? Siedem? Dziesięć?

Podchodzi do wieszaka, wyjmuje z kieszeni marynarki telefon i dzwoni do człowieka Kality, draba od brudnych robót, silnorękiego Polaka o idiotycznej ksywie „Plankton”. Zamawia pomoc, patrząc na leżącą. I choć Ana stara się, by nie drgnął jej ani jeden mięsień, to jednak nie potrafi opanować skurczu twarzy, kiedy słyszy, jak *Onkel* Manfred obstalowuje po polsku jej śmierć.

– Już przytomna? Nie będziesz wierzczać? – on chowa aparat w kieszeni szlafroka i

płynnie przechodzi z polskiego na niemiecki. Bierze do ręki paralizator i wolno przeciąga stalowym kolcem po nodze Any. Policjantka milczy.

– Nie będziesz, bo jak tylko zaczniesz, wsadzę ci to w ryj. Ale mamy też drugą opcję. Kiedy mi dobrze oblizesz jaja, to ci opowiem, jak było z Leo. Bo mamy trochę czasu... – wuj Manfred odchyła połą szlafroka prezentując obwisłą pudendę. Ana zaciska uda, usta i powieki – to wszystko, co może zrobić. I to jest świetne. To mu się bardzo podoba. Jej rozmazany makijaż, lakierowane włosy w nieładzie, zbielałe wargi, zmarszczony nos, rozerwana nad stopą podkolanówka. Już czuje przypływ siły. Musi się tylko najpierw odlać.

Gdy to robi, wysoki i umięśniony „Plankton”, mężczyzna ze starą blizną schowaną pod nowym bandażem na twarzy, wyjeżdża z miejsca, które sam nazywa bazą, i rusza w kierunku centrum. Zgodnie z poleceniem ma ze sobą pełny zestaw: worki, chemię, taśmy samoprzylepne. Pół bagażnika drobiazgów, które mogą się przydać w każdej sytuacji.

* * *

– Ona to wszystko tak sama? Przez dwa tygodnie? – komisarz Warski stoi pod ścianą, ogląda przyszpilone do korka wydruki i kopie dokumentów. Śledzi wzrokiem kolorowe linie i zapiski na fiszkach, niektórych ostrożnie dotyka palcami. Nie wszystko rozumie, bo większość kwitów spisana jest po niemiecku. Widział jednak wystarczająco dużo podobnych instalacji – a kilka stworzył sam – aby pojąć rozmiary śledztwa, stopień komplikacji, ilość włożonej pracy.

– Właściwie wszystko sama. Ja tylko trochę pomogłem i tylko na początku – ksiądz Edmund poprawia koloratkę, jakby go uwierała pod szyją.

– Co to za system? – glina odrywa wzrok od papierów i zaczyna się rozglądać między łazienką, łóżkiem a przedsionkiem celi. Wszędzie pachnie perfumami. Nie ma śladów wskazujących na to, by Ana opuściła swą sypialnię i zarazem biuro w pośpiechu czy wbrew własnej woli. Zielona kurtka na wieszaku, martensy i buty do biegania stoją pod ścianą. Setki dokumentów równo poukładanych w pryzmy i posegregowanych w teczkach. Drukarka wyłączona, laptop zabezpieczony zamknięciem, w łazience wilgoć wskazująca na to, że przed wyjściem zdążyła wziąć prysznic. Na półce pod lustrem zestaw ledwo co napoczętych kosmetyków w słoiczkach i tubkach. Krem samoopalający, podkład, czekoladowy puder w kremie, szminki i kredki konturówki w czterech kolorach. W łazienkowym śmietniku zużyte waciki i reklamówki perfumerii.

– Chodziło nam o pewne niejasności... z przeszłości – pleban opiera owłosioną dłoń o biurko, drugą rękę chowa w kieszeni swego ulubionego swetra. – Pan wie, czym była kościelna Komisja Majątkowa?

– Raczej mniej niż więcej.

– No... tak. Przedstawiciele państwa, przedstawiciele Kościoła i trochę pośredników. Kuria odzyskiwała, zakony odzyskiwały, zgromadzenia odzyskiwały to, co zabrane. Po wojnie. Ziemia budowlana i orna, różne budynki, nawet place, wioski.

– Machlojki?

– Tak. Mnie to męczyło, bo kiedyś, kiedyś, jeszcze za jego ekscelencji Henryka, biskupa Gulbinowicza, trzymałem kurialną kasę – ot, na zasadzie... zaufania. Nie wszystko wówczas mogło być w banku.

Warski słucha uważnie, lecz jednocześnie, gdzieś z tyłu głowy kiełkuje niewyraźna myśl, która ma coś wspólnego z mokrą łazienką.

– ...komisja pracowała, ziemia zmieniała właścicieli, Kościół nie tracił, ale nie zyskiwał, jak należało. Ja to widziałem, słyszałem plotki, to się mówiło po korytarzach. Był taki system, kiedy się nie dawało... jeden do jednego, oddać w całości. Wtedy wchodziły ekwiwalenty. Wartość za wartość. Ale jak liczyć? To było właśnie...

– Diabeł w szczegółach?

– Dokładnie: diabeł. Był rzeczoznawca i on wyceniał: grunt utracony i co wchodziło nam w ekwiwalent.

– Im wyżej wycenił pierwsze, a niżej drugie...

– No tak... tym lepiej. I pojawiali się rzeczoznawcy. Skąd – nie wiadomo. Oferta usług. A potem ciche doradzanie kanclerzom: komu sprzedać szybko i tanio, a jednak z zyskiem. Nikt tu nie tracił. Tylko że ziemia odzyskiwana po sto od metra, sprzedana za dwieście, nagle szła dalej za pięćset-tysiąc. Szczególnie w mieście... – pleban opada na krzesło. Pora jest późna, a on – zmęczony. Przeciera palcami wewnętrzne kąciaki oczu. – Ceny hektarów robiły się niebotyczne. Bo ci doradcy, oni wiedzieli, dobrze podpowiadali naszym, w co wejść. Czego zażądać w ekwiwalentach. Potem słyszymy, że po dwóch latach plan zagospodarowania jest już zmieniony i to jest teren pod inwestycje. A kto mógł wiedzieć?

– No właśnie, kto mógł?

– Ja jestem stary, ale nie głupi. To byli ludzie ze starej władzy. Tyle wiem teraz, dzięki

Anie, jej pracy, że wciąż działają. Kuria ma jeszcze mnóstwo hektarów, zakony mają. Bonifratrzy, sercanie, dominikanie, klaretyni, karmelici, oblaci... Pan nie wie, komisarzy, ile w diecezji parków i skwerów, lasów i placów, różnych ośrodków, tereny i szkoły, nawet wieżowce... Wałbrzych, Legnica, Kłodzko i Nysa – to wszystko czeka wciąż na zamianę, czasem na sprzedaż, na wyczyszczenie hipotek. Oni tym kręcą. Mają tu firmę, Ana ma adres. Firma ma córki. Pieniądze spółek. Ana mówiła, bym sobie je wyobraził jako połączone naczynia i ktoś w najniższym wyciąga korek...

– ...i wszystko spływa?

– Tak. Do fundacji. Dwóch fundacji w Afryce. Jednej od kopania studni i jednej od edukacji islamskich dzieci. Dwie nazwy, jedno konto w banku w Liberii. Pan rozumie, że sam nie mogłem tego rozczytać. Chodziłem do kanclerza, przekonałem go, że jeżeli nie ukroćmy, to ktoś to za nas... Czy pan pamięta aferę banku Ambrosiano?

Policjant niewyraźnie mruczy. Myśli o kremie samoopalającym, którego Ana z całą pewnością na co dzień nie używa, i o otwartych dopiero dzisiaj kosmetykach. O ile dobrze zapamiętał, chodziła w trzech rodzajach obuwia. Adidasy, glany Martensa i japonki. Wszystkie tu są. I kurtka wisi. I dzinsy leżą. Nie wyszła boso. Kupiła nowe buty. Może inną kurtkę? Coś wyjściowego? Wzięła kąpiel, perfumowała się, wcierała kremy. Samoopalacz... Randka?

– ...wyłożyłem księdzu Bronisławowi, kanclerzowi ekscelencji, że dowiedzenie się z naszej strony, o co tu chodzi, to obowiązek. Dostałem zgodę, ale to mało. Potrzebowałem pomocy, wpierw próbowałem na własną rękę, długo mi nie szło, aż potem wpadłem na to, że przecież córka mego stryjecznego brata jest policjantką. Analitykiem.

– Nie przyjechała wyjaśniać śmierci...

– Przyjechała rozpracować ten system i afrykańskie fundacje. Tylko że we wtorek tutaj w kościele spotkała kogoś z dalekiej przeszłości... Czy pan mnie słucha?

Sztuczna opalenizna, makijaż, fryzura. Do czego dąży kobieta przed lustrem? Do odmłodzenia. Wysiadająca z porsche nastolatka, która sprawiała wrażenie prostytutki.

– Ożeż ty! – Warski niemal wyszarpuje z kieszeni telefon. Chce dzwonić do Toczyka, lecz jako pierwsza wyświetla się mapa. Czerwona kropla okolona żółtym rantem – śledzony kabriolet – żwawo sunie po planie miasta. Porsche skręca właśnie z placu Grunwaldzkiego w Curie-Skłodowskiej.

– Czy pan mnie słucha, komisarzy?

– Ona gdzieś jedzie.
– Słucham? Ana? Pan ją tym śledzi? Telefonem?
– Tylko samochód. Mówiłem księdzu – Warski wybiera już numer Toczyka. – Wysyłaj ludzi, co są na Dąbiu. Niech gonią kabrio. To była Ana, ta niby dziwka... Nie wiem, dlaczego... Poczekaj, jedzie... niech to przełączę... Most Zwierzyniecki. Na razie prosto... przez Wróblewskiego.

Policjant kończy rozmowę, lecz nie odrywa oczu od telefonu.

– Co ksiądz mi mówił?
– Że ojciec Any, pracownik wschodniemieckiego Ministerstwa Bezpieczeństwa, popełnił samobójstwo. Gdy ona nie miała jeszcze dziewięciu lat.
– Nie rozumiem, co to ma...
– By tu przyjechać, tu, do kościoła, Ana musiała prosić o zgodę szefów, a oni oczywiście lojalnie poinformowali niemiecką stronę kościelną, że nieodpłatnie przysyłają fachową pomoc do naszej kurii.

– Dalej nie rozumiem.

Kabriolet musi jechać szybko, bo minął już Halę Stulecia i Wittigowo.

– Obawiam się, że informacja o naszym... no tak... śledztwie, że ona zaniepokoiła kogoś w Rzymie. A konkretnie pewnego decydenta w banku watykańskim... doktora Aloisa Kuntza. Ana stwierdziła, że to jest człowiek...

Telefon dzwoni. Toczyk melduje. Dwa radiowozy wysłane. Jedna załoga przerwała interwencję domową na Monte Cassino, druga grupa mija właśnie ogród zoologiczny.

– Porsche przy pętli tramwaju. Przyspieszaj ich.
– Jadą na gwizdku.
– Niech jadą szybciej! Na czym ksiądz skończył?
– Ana uważa, że wysłannik kurii watykańskiej, pan doktor Alois Kuntz to tak naprawdę były oficer Stasi, który w dodatku ma coś wspólnego ze śmiercią Leonarda.
– Ze śmiercią kogo?
– Leonarda. Jej ojca. Mego kuzyna. I chyba jeszcze...
– ...jeszcze co, kurwa?! – Warski zaczyna się denerwować. Za dużo danych w tak krótkim czasie.

– ...jeszcze ze śmiercią jej matki.

– Kto? Ten wysłannik. Ten z Watykanu? Pięknie... Teraz mi mówisz?!

Kapłan odchrząkuje.

– Przepraszam księdza... Czy jest możliwe, by ten mężczyzna, ten... jak mu jest?

– Alois Kuntz. Ale faktycznie nazywa się Manfred Danner.

– Dobra... jakkolwiek. Czy jest możliwe, żeby on mieszkał w hotelu na Kiełbaśniczej, a nie tam u was, tam na Kanonii czy Katedralnej... i żeby Ana do niego poszła?

– To jest pewne. Sprawdziłem to dla Any osobiście. Lecz nie mówiła, że tam... że pójdzie... pojedzie sama.

Czerwona kropła na mapie zbliża się do końca ulicy Olszewskiego. To tereny trochę Warskiemu znane. Hurtownie, ostatnie osiedla miasta. Ulica Gierymskich, zakole Odry. Wyspa Opatowicka, a przed nią śluza. Bazy firm, krzaki, koniec świata, dziki brzeg.

– Aleks... chcę, żebyś połączył mnie z radiowozem. I tylko z nimi!

Chroboty, podniesione głosy, trzaski, ktoś w coś uderza, wibrujący dźwięk syreny.

– Sto dwadzieścia osiem, komisarz Warski do ciebie.

– Sto dwadzieścia osiem. Jeszcze nie widzę...

– Gdzie, kurwa, jesteś?!

– Pan komisarz poczeka, już to sprawdzamy... Za Pankiewicza... na pełnej piździe!

– Czekać no chwilę – oficer odrywa aparat od ucha, by sprawdzić, gdzie jest czerwona kropła. Nie ma jej. – Ożeż ja pierdołę!

Nadajnik wygasł.

– Sto dwadzieścia osiem, nie widać pojazdu, jest koniec drogi. Dalej mam Odrę.

– Aleks!

– Jestem!

– Posyłaj nurków. Poślij strażaków. I czekaj na mnie! – Warski bez pytania księdza o zgodę zdejmując z wieszaka kurtkę Any i bierze jeden z jej skórzanych butów.

– Pojadę z panem – proboszcz wstaje. O ile wcześniej zdawał się przemęczony, teraz jest rozgorączkowany. Wychodzą na korytarz. Warski zawija but w zielony kubrak. Biegnie z zawiniątkiem w stronę schodów.

Rozdział 21.

Czwartek 29 września, przedświt i przedpołudnie

Mgła wisi nisko nad Odrą. Na wąskich uliczkach, które dochodzą do przybrzeżnego parku Biskupińskiego, widoczność jest jeszcze całkiem dobra. Bliżej wody, za trawiastym wałem, zawisła mlecznoszara, wilgotna kotara.

Dziewięć radiowozów, trzy cywilne auta i dwie ciężarówki strażaków stoją wzdłuż zarośli. Przerywane niebieskie światło wydobywa z mroku blade twarze. Co najmniej trzydziestu mężczyzn przeczesuje brzeg. Hasło „policjantka w niebezpieczeństwie” zrobiło swoje. Nawet straż miejska przyjechała. Błyskają latarki. Słychać trzaski ręcznych odbiorników radiowych i nawoływania. Z głębi mlecznej głątwy dochodzi nierówny odgłos silnika motorówki, którą tu przysłał komisariat wodny z Wyspy Szczytnickiej. Mieszkańcy Wyczółkowskiego i sąsiednich alejek powychodzili z ogródków, przyglądają się mundurowym. Podjeżdżają dwa nowe auta – srebrzysta kia z grupą prewencyjną i siwe nieoznakowane renault, z którego przewodnik wyprowadza psa.

Na nasypie komisarz kończy telefoniczną rozmowę z szefem. Aspirant Toczyk, który stoi tuż obok, może się domyślić, co Konarski ma do powiedzenia Warskiemu. „Jeśli się Niemka nie znajdzie do rana, do emerytury będziemy zapierdalać ogony w drogówce”.

A nawet jeśli ją znajdą?

Wszystko jest przeraźliwie jasne. Samochód nie wyparował, nadajnik się raczej nie zepsuł. Auto jest w rzece. Proboszcz, który chodzi wokół z różańcem w dłoniach, ma rację: można się już tylko modlić.

Podchodzi posterunkowy z owczarkiem niemieckim, pies ma skórzany kaganiec, siada przy nodze. Komisarz podaje jego opiekunowi but. Kurtkę Any zabrał wcześniej inny z przewodników. Belgijski wilczur o jasnej sierści i spiczastych uszach pociągnął go w krzaki porastające skraj wodnego jazu. Teraz drugi owczarek zanurza pysk we wnętrzu buta i zaczyna ciągnąć opiekuna w przeciwnym kierunku – na zachód.

- Gównu psy znajdą – Aleks przestępuje z nogi na nogę i uderza pięścią w otwartą dłoń.
- Jeżeli była w samochodzie...
- Jeżeli-sreli! – komisarz nie ma ze sobą termosu, a właśnie czuje, że przydałby mu się

bardziej niż kiedykolwiek. Nad Wyspą Opatowicką niebo bieleje. Za godzinę, może półtorej wszędzie słońce.

– Coś chyba mamy! – postawny podoficer w czarnym uniformie i żółtej kamizelce podbiega grzbietem nasypu. Wskazuje ręką kępę drzew za sobą. Gdy tam dochodzą we czterech z księdzem, widzą rząd mundurowych ustawionych jak pluton egzekucyjny. Tyle że zamiast karabinu każdy trzyma latarkę. Oświetlony fragment ugoru – chwasty i trzciny – opada do czarnej rzeki.

– Tutaj i tutaj... i jeszcze tutaj – sierżant z dumą pokazuje znalezisko.

Warski wchodzi między zarośla. Sięgają mu do pół łydki. Wśród parujących kęp trawy czernieją fragmenty tłustego błota – im niżej, tym go więcej. Opony wozu, który się tu staczał – lub tędy jechał – odcisnęły się w smolistej mazi ślady tak wyraźnie, że można by je pokazywać na ćwiczeniach z kryminalistyki.

– A tu pan komisarz jeszcze popatrzy... – sierżant ciągnie Warskiego za rękaw kurtki.

– No, rzeczywiście... Dobra robota! Niech pan znajdzie kolegów z wodnej i niech nurkują. Tam na wprost. A ksiądz się cofnie.

– Co to ma znaczyć? – Witecki posłusznie wraca na wzniesienie. W palcach wciąż obraca koraliki. Komisarz za nim. Z góry będzie lepiej widać.

– To znaczy, że ktoś tu niedawno wjechał autem do rzeki albo zepchnął wóz – pokazuje szereg domów za wyasfaltowanym placem do koszykówki i sadem. – Tam, gdzie się w oknach pali, kierowca wjechał, tym prześwit. Przeciął boisko i dalej tutaj. W dół, do wody.

– To była Ana?

Warski kładzie palec na ustach. Silnik motorówki wszedł właśnie na wyższe obroty. – Słyszysz ksiądz? Płyną. Sprawdzają.

Z szarości mgły wychyla się promień reflektora szperacza i latarki czołowe nurków. Motorówka staje siedem metrów od brzegu, wywołując niewielkie fale.

Toczyk podchodzi z radiotelefonem.

– Mam aspiranta Marca na pokładzie.

Komisarz przejmuje odbiornik.

Dwaj nurkowie spadają z lewej burty w toń. Radio szumi.

– Warski z tej strony.

– Marzec. Mamy obiekt płytko w wodzie.

Szperacz na łodzi świeci pionowo w dół. Policjanci patrzący z brzegu widzą tylko odbicie blasku od lustra i niesamowite formy, jakie przyjmuje rozświetlona mgła. Ale Marzec i jego ludzie w łodzi widzą coś więcej.

– To jest samochód. Chyba coś ze składanym dachem, zobaczę numery. Patrzymy do kabiny...

– ...i co? – kapłan chwyta komisarza za biceps.

– Wołam strażaków! – Toczyk odchodzi wierzchem wzniesienia.

– I co tam?! – Warski już nie mówi do radia, lecz krzyczy w ścianę mgły.

– Nic nie ma! – odkrzykuje niewidoczny policjant. – Kabina pusta! Pusto!

– Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi...

– Bagażnik otwórz!

– ...bagażnika się w dole nie otworzy – Marzec mówi cicho, znowu używa radia. – Musimy wyciągnąć samochód.

– Na co jeszcze czekacie?

Jest coraz jaśniej. Komisarz widzi w bieli rozmazany zarys łodzi i sylwetkę dowódcy grupy, który wymienia znaki z płetwonurkami.

– Zaraz będą! – Toczyk jest już z powrotem. Wskazuje głową ogromnego ciężarowego mercedesa z napędem na trzy osie i dźwigiem na dachu. Czerwone monstrum kołysze się, przejeżdżając wzniesienie. Gdy podjeżdża do brzegu rzeki, grzmienie silnika zagłusza modlitwę proboszcza. Warski przeciera dłonią pomarszczone czoło. Nie spał od dwudziestu dwóch godzin i już czuje, że dłonie mu drętwieją, a powieka lata. Strażacy ciągną po błocie płaskie żółte liny zakończone hakami, kłamrami, łańcuchami. Schodzą do wody. Z kabiny mercedesa wychodzi facet w kasku. Wspina się po balustradzie na platformę w połowie długości wozu. Grube na przeszło metr ramię dźwigu unosi się. Ten w kasku uruchamia wyciągarkę. Stalowa lina nawinięta na szpulę wielkości człowieka ciągnie pasy, które szarpia zanurzonym w mule kabrioletem.

– Jest!

Oblepiony brunatną pulpą samochód wyłania się ze zmaczonej toni. Szara woda wypływa zeń strumieniami. Proboszcz rusza ku rzece. Toczyk przed nim. Brnie przez chłodną breję, dopada klapy wozu, otwiera ją kopem, blacha odskakuje. Tuzin mundurowych ciśnie się, by spojrzeć do wnętrza.

Ciasny bagażnik kabrioletu, w którym można upchnąć dwie duże walizki albo ciało

szczupłej, niewysokiej kobiety, jest pusty.

* * *

– *Ich sehe, du bist schon wach, endlich...* – doktor Kuntz-Danner podchodzi z papierosem do zaśmieconej wnęki. Związana Ana Wittesch już nie zwisa bezwładnie z oparcia metalowego krzesła, do którego przytroczył ją „Plankton”. Siedzi prosto, rozgląda się. Wuj Manfred, *Drecksack...* stary worek gówna z petem w dłoni wyciąga spod poły purpurowej marynarki piersiówkę. Popija sobie. Mlaska. Z miejsca, którego ona nie widzi, przynosi krzesło, potem jeszcze gazetę. Rozkłada ją na siedzisku, by nie ubrudzić garnituru. Ruchy ma niespieszne, na opalonej gębie satysfakcję. Kończy papierosa, pstryka kiepem w pierś Any, drobiny popiołu rozsypują się na podartej sukience. Ona ma dreszcze – pewnie to gorączka, ale też chłód i wilgotny przeciąg. Jak w kościele. Do tego smród zgnilizny. To jakaś przemysłowa hala – bezbarwne światło wysączone nie wiadomo skąd odsłania wszelkie odcienie szarości: szary cement murów, szary gruz w kątach, szary brud. Może jest już świt, może gdzieś są lampy?

Pod sklepieniem z gołego betonu – dwadzieścia metrów nad posadzką – widać fragment przerdzewiałej suwnicy, która kiedyś musiała być pomalowana na zielono. Teraz wygląda, jakby miała za chwilę spaść za plecami popijającego alkohol Danner. Poniżej stropu czarne otwory w murze, po lewej kant skorodowanego brązowego sześcianu wielkości furgonetki. Wygląda jak hutniczy piec.

– Patrzysz na to? Dobrze patrzysz. Jak myślisz, co to jest?

– Przynieś mi wody.

– Nie ma tu wody. Dla ciebie nie ma.

– Proszę.

– On też prosił, kiedy go w niej zamknąłem. Jeszcze się nie domyślasz, nad czym pracowaliśmy z twoim tatusiem?

Ana próbuje za wszelką cenę ukryć przed Dannerem swój lęk przed śmiercią, ale on nawet nie patrzy.

– Zaraz ci to opowiem – *Scheißkerl* przysuwa swoje siedzisko do skrupowanej. – Mówi wciąż po niemiecku: – *Äußere Spionageabwehr, Gegenspionage, das weißt du alles...* wszystko niby wiesz o historii Wydziału Głównego Drugiego, ale jednego nie... Był pewien projekt sabotażowy. Pracowaliśmy nad nim w ścisłej współpracy z komórką techniki sabotażu, z „osiemnastką”. Stworzyliśmy coś, co miało zadziwić nawet towarzyszy

z Moskwy. I zadziwiło. Od razu zażądali kontroli nad kontrolerami... Bo to opiera się przecież na kontroli umysłów.

* * *

– Bogu niech będą dzięki! – proboszcz składa ręce na piersiach.

Warski prycha. Wraca przez chaszczę do saaba, ksiądz za nim. Gdy się sadowią, oficer przekręca kluczyk, silnik zaczyna bulgotać po swojemu, wycieraczki zbierają wilgoć z przedniej szyby.

– Bogu niech będą dzięki! – kapłan powtarza to już chyba trzeci raz w ciągu trzech minut.

– Jeszcze nie ma za co dziękować. I może nie będzie.

– Niech pan wypluje te słowa.

Samochód komisarza kluczy po wąskich uliczkach przebudzonego przed czasem przedmieścia.

– Na razie niech ksiądz mi lepiej powie, co może mieć wspólnego wasze śledztwo w sprawie hektarów ze śmiercią Kamińskiej i Kronenberg.

Proboszcz powinien być tym pytaniem zaskoczony, ale nie jest. Musiał rozważyć taką możliwość.

– To pan jest detektywem.

– Dlatego pytam.

– Właśnie teraz?

– Tak, do cholery. Teraz...

* * *

– Tu się rodzili ludzie posłuszni – Danner chowa piersiówkę, wstaje, przechodzi kilka metrów, znika za rantem komory pieca. Słyszc metaliczny, nisko brzmiący chrobot, jakby dźwięk wciąganej na łańcuchu kotwicy statku. Widać fragment stalowego koła, którym bydlak najwyraźniej zakręcił, by to otworzyć.

Wszedł do wnętrza. Szykuje dla niej jakiś szczególny rodzaj śmierci, to pewne.

Ana usiłuje poruszać związanymi na plecach dłońmi. Nie czuje palców, nie czuje skrępowanych stóp. Nawet nie wie, czy ma buty – nie może tego zobaczyć. Chyba jest bosa – dlatego chłód kamiennej podłogi przeszył ją na wskroś, aż po usta. Próbuje pociągnąć nosem, by choć odrobina śluzu zwilżyła gardło, lecz nos też ma suchy, wypełniony kurzem i

smrodem.

– Leo, twój tatuś, zanim został zasranym zdrajcą, był jednym z najlepszych fachowców, którzy pracowali przy komorze – Danner wraca w pole widzenia. Przypala staromodną zapalniczką kolejne marlboro. Dmucha jej dymem w oczy. – A jak myślałaś? Robił, robił wiele dla demokratycznej, socjalistycznej ojczyzny. Ze Związkiem Radzieckim po wsze czasy. Myślisz, głupia pizdo, że dlaczego przestał? Że przejrzał na oczy? Stał się nowym Niemcem?

Danner lewą dłonią wkłada papierosa do ust, prawą ściska się w kroku.

– Taki chuj... Panowie z Bonn i Monachium go kupili. Zaświecili kasą, obiecali przerzut rodziny i życie rentiera na Sylt. Albo na Zanzibarze. Ale chcieli tego – wskazuje brodą zardzewiałą bryłę. – Wiedzieli już, że komora produkuje takich, co można ich wysyłać do najbardziej niebezpiecznych zadań. Nie trzeba szantażować, przekupywać ani zastraszać. Oni szli tam, gdzie ich posyłałiśmy. Dwóch kamikadze obrobiło jubilera w Lozannie. Kiedy ich dopadli, pozabijali się nawzajem. Zgodnie z programem. Tego się nie dało przeoczyć. Rok po ucieczce Stillera figurant przyłapany na patroszeniu biurka w Bundesministerium für Wirtschaft skoczył z ósmego piętra. Trzy lata po Stillercie inny biedny świniak utopił się w toalecie, kiedy nie miał wyjścia. Dawni szefowie twoich szefów bardzo chcieli wiedzieć, jak ich tresujemy. Leo dał się kupić. Aż się palił do bońskich pieniędzy. Pierwszy to dostrzegłem, pierwszy w całym wydziale.

Danner siada, zakłada nogę na nogę, trąca przy tym Anę trzewikiem w kolano.

– No patrz, jak sobie buty zakurzyłem. Na czym skończyliśmy? Aaaa... Tylko że oni wcale nie ufali twojemu ojcu. Chcieli najpierw sprawdzić, czy ich nie podpuszcza. Dlatego miał się wykazać. Dostarczyć coś mniejszego. No to wyniósł listę agentów Operativgruppe Warschau. Naszej siatki w Polsce... Miał nosa. Albo fart. Na liście były różne przyszłe szuchy. Ale nie dość dobrze węszył, kiedy kradł. Nie wszystkie zabezpieczenia wyniuchał.

Koniec papierosa. Danner przybliżyła poczerwieniałą od alkoholu twarz do bladego policzka Any, a niedopałek do jej kolana. Przez moment jest pewna, że spetuje na skórze, ale odpuszcza.

– Wyczułem zdradę Leonarda, zastawiłem na niego kamerę, sam generał Schütt zaakceptował moją akcję, kiedy zobaczył, jak Leo kradnie. Ale nie zdążyliśmy odebrać twemu ojczulkowi teczek. Cztery godziny między kradzieżą a momentem, gdy wsiedliśmy na niego, wystarczyły. Ukrył i akta, i ciebie. Mało brakowało, schowałby też Emmę i wtedy

nie byłabyś może tak całkiem sierotą. A jesteś, bo osobiście przepuściłem twego starego przez komorę... i wyskoczył z okna.

– Co zrobiłeś z mamą?

– Cierpliwości... to będzie na deser – Danner znowu wyciąga piersiówkę, ale Ana już tego nie widzi – jej źrenice uciekły w głąb oczodołów. Słyszy jedynie głos, który skleił się z jej jaźnią: słowa raz rozciągnięte jak guma, innym razem stukające pospiesznie o siebie nawzajem.

– Gdy antyfaszystowski wał ochronny... cha, cha!... nam się posypał... kiedy demonstranci, nagle tacy odważni... wypierdalali nam wszystko z okien centrali na Lichtenbergu... ja miałem wtedy tylko trzech ludzi i dwa zadania. Pierwsze: odnaleźć ciebie. I tylko popatrz, popatrz sama... w końcu się udało, po tylu latach. Drugie zadanie było ważniejsze. Przewieźć komorę. Nooo... bez skorupy. Zapiski, nagrania sesji, okablowanie, wszystkie drobiazgi. Pół kontenera. Ale gdzie to zostawić? I popatrz, popatrz: jak to się w życiu niekiedy plecie... polski wiceminister, a przy okazji nasz agent z listy, którą ci tatuś darował w wianie, ten biedny świniak nam ją przechował. Przez dwie dekady. Nie wiedział nawet, po co to trzyma. Polska mentalność. To niewolnicy.

Ostatnie słowa Danner wypowiada głośno, jest już pijany, on też całą noc nie spał. Wyciąga chustkę, słuwa na beton, przeciera usta. Patrzy na związaną. Gdyby nie dreszcze i dygot ust, mógłby pomyśleć, że wymknęła mu się na dobre. Ale nie... Wyciąga zapalniczkę, okrąża ją i podpala sztywne włosy. Ogień błyska, Ana się pręży, krzyczy, rzuca i wywala razem z krzesłem w rozkładające się szmaty. Leżąc, trze potylicą o pozlepiane odpadki, piszczy, chrypi. Ogień gaśnie.

– Wolałbym, żebyś mnie słuchała, kiedy do ciebie mówię – Danner staje w rozkroku nad brudnym, zmiętym ciałem. Gdyby nie gołe piersi wystające spod rozdartej sukienki, nie byłby w stanie rozpoznać, czy to kobieta, mężczyzna czy dziecko. Lolita, która niecałe dwanaście godzin wcześniej weszła mu do hotelu, przebiegła sucz, która próbowała go podejść, w tej chwili jest już tylko ludzkim strzępem.

* * *

Saab zatrzymuje się w cieniu wież. Ale ksiądz Witecki nie wygląda, jakby chciał wysiąść, nie odpiął nawet pasów. Warski bębni palcami w kierownicę. Jest już jasno.

– Kto oprócz proboszcza wiedział, że Ana tu jedzie?

– Siostra Klara. Przełożony Any, Jonas, chyba tak ma na imię. Mówiła, że on dzwonił do

sufragana metropolii berlińskiej, zapomniałem nazwiska... niestety. A może mi go nie podała?

– A ten sufragan mógł poinformować watykańskiego Niemca dwojga nazwisk, że Ana tu jedzie?

– No tak. Ale chyba pan nie uważa, że wysłannik kurii rzymskiej zepchnął z dachu te biedaczki?

– Osobiście? Nie sędzę. Poza tym wciąż nie wiem, po co miałyby to robić. Dlatego to słaba teoria. Ale z braku innych... Od kiedy Kuntz jest we Wrocławiu?

– Mnie kanclerz Bronisław informował o przyjeździe w niedzielę rano.

– Mógł przyjechać wcześniej?

– Mógł, oczywiście, że mógł. Jak pan myśli, komisarzu... gdzie teraz jest Ana?

– Szczerze? Nie mam bladego pojęcia.

W telefonie Warskiego SMS od Anielewskiej. Już wstała, jęzda, z łóżka. Przypomina, że raport ze wstępnego rozpytania kantora ma się znaleźć na jej biurku za godzinę.

* * *

– Polskie kobiety to ...iiiiiee! To małpy – diabli wiedzą, czy Danner się śmieje, czy czka.
– Ale znalazła się jedna taka popierdolona, która postanowiła wskrzesić stary projekt. Bardzo go unowocześniła. Już nie potrzeba sztabu specjalistów od presji, sugestii, perswazji. Teraz są wirtualne gogle, szybkie komputery. Tylko prąd kopie po staremu. Zaraz go poczujesz w cipie. No, whhheszcie tu jesteś...

Watykański bankier przechodzi na polski, bo kobieta, którą określił mianem „popierdolonej”, nadchodzi wzdłuż betonowej ściany. Trzyma chustkę przy nosie. Za każdym razem, kiedy przyjeżdża do nieczynnej huty nad Widawą, musi się przyzwyczaić do smrodu. Zwykle ma na tę okazję przygotowany miętowo-amoniakowy krem, amerykański wynalazek dla patomorfologów. Ale dziś nie zabrała właściwej torebki. Nie zdążyła też przykryć makijażem sonej plamy pod lewym okiem. Poza tym ze spuchniętymi i pękniętymi ustami i tak nie poradziłaby sobie żadna szminka.

– Ja widzę chyba dobrze szę bawiliście z panem pułkownikiem – Danner przerzuca wzrok z pokancerowanej twarzy Joanny Staniszk na idącego za nią Kalitę.

Psycholożka nie nazwałaby tego zabawą. Po nieudanej próbie wejścia do domowego komputera Warskiego ten cham Tadeusz, były trep, który będzie do końca życia śmierdział koszarami, będzie capił onucami, choćby wylał na siebie wszystkie wonności świata, ten

cham założył jej w samochodzie foliowy worek na głowę. Myślała, że znowu chce się bawić. Ale tym razem o mało jej nie udusił. A gdy wreszcie udało się jej wyrwać głowę z worka, uderzył. Potem jeszcze raz. Zwymiotowała przez okno lancii. Dopiero potem kazał się wieźć między Kłokoczyce i Psary. Do nieczynnej fabryki, a potem magazynu sowieckiej armii, gdzie wiceminister i były szef Kality kazał ukryć to, co mu ukryć kazali niemieccy towarzysze z Operativgruppe Warschau, dysponenci jego teczki zdrajcy.

To coś.

Pułkownik pokazał jej wynalazek na pierwszej randce, dziesięć lat temu. Wraz ze wszystkimi kolegami wyleciał właśnie ze służby. Zwabił ją i zamknął w środku wyłożonego czarnym filcem pieca. Opowiedział przez ukryty mikrofon, do czego to kiedyś służyło i komu. Zagroził, że ją zostawi w zamknięciu. Potem rzeczywiście zostawił. Siedziała w środku godzinę, może dłużej. W ciemności dygotała jak wtedy, gdy jako dziewczynka zacięła się w windzie między piętrami bloku, w którym mieszkała z palącą sześćdziesiąt papierosów dziennie matką. Ten dygot wrócił w komorze. Gdy Kalita otworzył wreszcie właz i kiedy ją po chamsku pompował, darła paznokciami filc, wrzeszczała.

A potem się zgodziła być jego... No właśnie: kim?

Obiecywał jej wspólny interes. Tłumaczył, że prawacy rozwalili mu służbę, ale ani on, ani jego koledzy nie zamierzają gnić na zasiłkach. Weszła w to, powąchała pieniądze, zainwestowała w ciało i w mieszkania. Jedno w Sopocie, jedno w Warszawie, gabinet we Wrocławiu kupiony na spółkę Global, górską chatę w Czechach. I prywatna praktyka. Oraz eksperymenty.

Kalita dostarczał materiał. Pierwsza była stara alkoholiczka. Druga Mołdawianka. Ta pierwsza miała wybite zęby i była jeszcze w delirium. Ta druga – młoda, ładna – miała sprowokować kogoś, na kim Tadeuszowi zależało. Miała wykonać zadanie. I wykonała.

Joanna już wtedy – przed czterema laty – wpadła na pomysł z goglami wirtualnej rzeczywistości. Prototyp, deweloperski egzemplarz Oculus skradziony przez „Planktona” na kopenhaskich targach gier komputerowych, okazał się obiecujący. Sony Morpheus dający operatorowi możliwość karcącego reagowania na ruchy źrenic figurantów – nauczyła się tego słówka od Kality – to był już przełom. Wewnątrz pieca z pamiętajacej Wilhelma II Hohenzollerna huty szkła zyskał drugą młodość najbardziej brawurowy projekt sabotażowy wydziałów A-9 i A-18 Wydziału Głównego II Zarządu Wywiadowczego

Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD. Antyczne elektrody, klamry, akumulatory, materiały sprzed pół wieku i skórzane okowy rodem z gotyckich szpitali psychiatrycznych doskonale połączyły się z najnowszą techniką. Zaprogramowanie Edith Kronenberg jedenaście dni temu – to było już coś, od opisu czego Joanna Stanis mogłaby rozpocząć pracę naukową. Eksperyment stanfordzki, eksperyment Milgrama, eksperyment na małym Albercie... i jej eksperyment. Eksperyment wrocławski – tak by to mogło zostać nazwane w podręcznikach psychiatrii.

– Coś ty z nią zrobił? – Kalita zbliża się do leżącej Any. Jego niski głos dochodzi jakby z wkręconej w głowicę taśmy. Przytroczona do krzesła, w połowie martwa, leży i śmierdzi. Wymiotami i spalenizną. – Podпалиłeś ją?

– Chcesz ją czy nie chcesz?! – Danner chowa w kieszeni płaszcza paczkę marlboro.

– Chcę – Joanna Stanis odzywa się zamiast pułkownika.

– No to dobrej zabawy. Ja idę spać.

* * *

– Komisarz Warski, komenda wojewódzka – zmęczony policjant wyciąga identyfikator spod ciemnej koszuli pod kurtką i jednocześnie rzuca na wykrochmalony obrus zdjęcia zrobione w kościele przez Anę. – Pan David Liteschfield? Czy może pan Alois Kuntz?

Niemiec podnosi wzrok znad talerza i omiata intruza krótkim spojrzeniem. Wraca do krojenia lekko wysmażonego steku na grzance. Spał tylko trzy godziny, ale obudził się głodny. W nowym różowym garniturze i pod krawatem o barwie masła zszedł na dół. Po drodze wyczyścił buty automatyczną szczotką. Kiedy czekał, aż kelner przyniesie obiad, przejrzał pobieżnie wczorajszy „Die Zeit”. Jest spokojny. Fakt, że polska policja do niego dotarła, wcale go nie dziwi. Ale mają prawie dobrą spóźnienia – i tak powinno zostać do końca. Za dwa dni już go tu nie będzie.

– Poznaje pan? – gliniarz o szczupłej, pobrużdżonej twarzy i zadartym nosie siada naprzeciw bez zaproszenia i stawia przed sobą termos. Ma tanie ubranie skompletowane w sieciówkach, szczupłe dłonie, podkrążone oczy. Warski. Komisarz. Manfred Danner oczywiście już o niego Kalitę wypytał i sam sprawdził. Były komandos, lubi kończyć sprawy jednym strzałem. Kowboj. Polski gówniany kowboj.

– Co mam tu poznać? – bankier wkłada do ust porcję mięsa.

– Siebie. Poznaje pan?

Doktor Kuntz bierze do ręki jedną z odbitek.

– Widzę pewne podobieństwo do mojej osoby. *Gefällt es dir?*

– Tu się mówi po polsku.

Milczenie.

– Zaginęła policjantka.

Nadal cisza.

– Ona robiła te zdjęcia.

– To chyba nie jest u was zabronione. Hobbienie ludziom zdjęcia.

– Dlaczego?

Watykański wysłannik grzebie widelcem w sałatce.

– Co: dlaczego?

– Dlaczego je robiła?

– Trzeba by ją zapytać. Nie uważa pan? – Danner przełyka jakieś liście ze skruszonymi orzechami w greckiej oliwie, popija wodą. – Ważniejsze jest zapytanie: dlaczego pan mi przeszkadza przy jedzeniu?

– Gdzie ona jest?! Gdzie jest Ana Wittesch?

– *Ich kenne diese Dame nicht.*

– Wczoraj tutaj przyszła, do tego hotelu. Mamy to nagrane. Ale stąd nie wyszła. Za to ty wyszedłeś w towarzystwie byka, który wyniósł torbę wielkości...

– Mnie kompletnie nie interesuje, co pan tutaj mówi – ostatni fragment wołowiny znika w ustach Niemca. – Jestem przedstawicielem kuchni rzymskiej w służbowej podhóży i myślę, że minister Kaszubski, pan wie, o kim mówię, on chętnie wyjaśni panu, na czym polega niestosowność takiego niegrzecznego zachowania wobec mnie.

Kuntz-Danner zdejmuje z kolan płócienną serwetę, ociera usta, układa nóż z widelcem równo obok siebie. Odwraca się od Warskiego i woła obsługę. Ta chwila wystarczy, by komisarz zdjął z obrusa szklankę. Kelnerka w płowej garsonce podchodzi, hotelowy gość wolnym ruchem sięga po portfel skryty w wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjmuje pieniądze i wizytówkę z orłem w koronie. „Rzeczpospolita Polska. Onufry Kaszubski. Sekretarz stanu ds. konsularnych i dyplomacji”. Niżej dwa telefony – stacjonarny i komórkowy.

– Dzwonimy? – pyta, ignorując kelnerkę.

Policjant ma szczerą ochotę wylać zawartość swojego termosu na opaloną gębę. Ale szkoda koktajlu.

– Sam zadzwonię.

Wstając od stołu, bierze w jedną dłoń termos, a w drugą – czerwoną serwetę.

Na progu hotelu telefon wibruje. To „Konar”.

– Co jest?

– Czekam na rogu Ruskiej i Rzeźniczej. Przyjdź bez Aleksa.

Wystraszony – poznać to po głosie. W normalnych warunkach rzuciłby Warskiemu coś w rodzaju „u mnie w gabinecie za kwadrans!”. A on się chce spotkać na mieście. Pięknie, kurwa, pięknie... Wszyscy już posrani i każdy popuszcza na swój sposób. Jeśli Niemka się nie znajdzie, będą dymisje. Na korytarzach przy Podwalu i Muzealnej ruszyła giełda nazwisk. Kto przyjdzie po „Starym”, a kto po Konarskim? Większość plotkarzy stawia na Jachranicką, chociaż ktoś rzucił – a Aleks skwapliwie powtórzył komisarzowi – że „Esmeralda” też może iść w górę. Na niego – Warskiego – nie stawia nikt.

Schodzi po kamiennych stopniach na chodnik. Słońce ledwo, ledwo grzeje zza cienkiej warstwy chmur, wiatr w kanionach staromiejskich ulic jest zimny, może być najwyżej dziesięć stopni – na pewno nie więcej. Lato to przeszłość.

Przechodząc z Kiełbaśniczej w Łazienną, wymienia porozumiewawcze spojrzenia z Alekssem i dwoma wywiadowcami siedzącymi w piętnastoletnim renault bez kołpaków. Druga dwójka pilnuje hotelu od zaplecza. Niemiec się nie wymknie i żaden ministerialny Onufry mu nie pomoże. Tylko trzeba znaleźć na niego dźwignię.

Policjant szybko idzie w stronę ulicy Rzeźniczej. Owija w czerwoną serwetę wyjęte z kieszeni szkło z odciskami palców i ust Niemca.

* * *

– Słuchaj, Waldeczku... – gdy siadają w ciemnym i prawie pustym meksykańskim barze, spocony Konarski bez skrupowania wyciąga spod rozpiętego prochowca płaską butelkę żołądkowej gorzkiej. Pociąga, ociera usta wierzchem dłoni. Wyjmuje paczkę chesterfieldów, odrywa od papierosa ustnik, zapala. Ma popękane paznokcie, włosy sklezione, skórę na twarzy i szyi pokrywa mu purpurowa siatka naczynek.

– Tu nie wolno palić – przystojny młodzieniec odziany na czarno i biało materializuje się przy stoliku.

– Policja – inspektor warczy i odkasłuje. – Pokaż mu blachę – mówi do Warskiego. – A ty piwo przynieś... jedno. I popielniczkę.

– ...i drugą szklanekę – komisarz wyjmuje odznakę, lecz brunet w białej koszuli na nią nie

patrzy. Już potruchtał w kierunku baru. Warski opiera łokcie na brązowym blacie, pochyla się w stronę szefa nad butelkami z sosem chili i salsa verde.

– Andrzej, zbastuj trochę, do nędzy. Chujowo wyglądasz.

– Tyś mnie wpędził w kłopoty – „Konarowi” śmierdzi z ust jak z blaszanego śmietnika w upał.

– Ja? Co ty pierdolisz? „Pani nadkomisarz Wittesch będzie z nami pracować, bo przyjęliśmy bratnią pomoc z Berlina”. Czyje to są słowa? Ja jej tu nie chciałem.

– Dobra, kurwa, dobra... – „Konar” odwraca się do kelnera, który już wrócił, i mało nie wrywa mu piwa z ręki. Upija duży łyk i uzupełnia pokal żołądkową z butelki. Próbuje, mlaska. Zaciąga się papierosem i bucha dymem.

– Czemu tutaj, a nie na komendzie? – Warski przelewa do szklanki trzecią część zawartości termosu i macha ręką przed twarzą, by rozgonić swąd.

– Pokazałem ci zdjęcie człowieka.

– Sprawdziłem, nie ma go w żadnych bazach.

– Kurwa, Walduś, gdyby on był na bębnie, to ja bym twojej pomocy nie potrzebował.

– Trzeba było spytać o nazwisko, jak z nim koniak piłeś.

– Ma wiele nazwisk. Dla mnie jest Majewskim, konsultantem pracującym dla wydziału wewnętrznego Ka-Ge-Pe.

– Czego chciał?

– Wiedzieć o Niemce i kto prowadzi sprawę Kronenberg.

– Czyli jakiś Majewski, którego ty nawet nie znasz nazwiska prawdziwego, wchodzi ci do biura i ty się pucujesz? Tak mam to rozumieć?! Gdzie twój, kurwa, psi honor?

Konarski jest już w połowie szklanicy wzmocnionego piwa. Przypala papierosa od papierosa. Znów odłamuje filtr i wyrzuca go na drewnianą podłogę.

– Ciszej mów. Była taka sprawa, dawno, dawno temu. Mieliśmy spółdzielnię pożyczkową.

– Jacy „my”?

– Nooo... ludzie z komendy. Czarna kasa, jak ktoś potrzebował. Ale bez przesady. Zresztą, co ja mówię... mam ci się tłumaczyć? Jak tutaj nastąpiłem, to to już hulało. Różne są wypadki. To było na pomoc. Tylko w nagłych sprawach.

– Skąd braliście forszę?

– Magazyn dowodów, a zazwyczaj wcześniej. Na etapie zatrzymań, jak się coś znalazło.

– Mocno jesteś upierdolony?

– Nie, no... żadnych takich. Co ty sobie myślisz? Ja kasy nie tknąłem.

– A kto?

– Większości już nie ma. Jeszcze w wojsku byłeś. Takie były czasy.

– Jakie?

– No, kurwa, mam ci tłumaczyć?

– Tak.

– Chłopaki od narkotyków zwijali gościa, ale uciekał im, debil. Wypierdolił o drzewo. Miał w aucie piguły, nie wiem, co wtedy się brało, jakieś MDMA. No i pieniądze. Narkotyki poszły na magazyn. Pieniążki – nie wszystkie. Rok pracy spółdzielni był z tej jednej torby. No, tak to działało. A pamiętasz wypadek? Swój własny wypadek?

Warski zaczyna bębnić palcami w blat. Na czole kładzie mu się pionowa rysa. Otwiera usta, lecz nic nie mówi.

– Jachranickiej poprzednik, ten, co sprawę skrzył, to był jeden z czterech tak jakby skarbników. Gdyby nie był w spółdzielni, gdybym ja w niej nie był...

– Nie kończ tego nawet.

– ...nie byłbyś już z nami. Byłbyś osadzonym.

Komisarz prycha.

Twarz Krzysia w koziółkującym samochodzie.

Zaciska powieki i syczy.

– Czego ty chcesz ode mnie?

– Chcę ci wytłumaczyć jedną prostą prawdę. To taka robota. Każdy się ujebał albo się ujebie. Raz chociaż przynajmniej. A ten gładki chujek, coś go przefotografował na schodach, to menda, która się pojawia właśnie wtedy, jak człowiek ma problem. Sęp.

Warski chwilę próbuje odzyskać równy oddech. Opanować niekontrolowane skurcze lewego policzka. Nie myśleć o Krzysiu i o Alicji, która nie chce już znać ojca swego dziecka. O tej, która wysyła mu raz na kilka tygodni SMS-a: „Dziś idę na cmentarz”. Co oznacza, że jego ma tam nie być.

Nie był przy grobie na Osobowickim od maja.

Wdech-wydech. Wdech-wydech.

– Ty mnie chcesz zaszantażować tamtym wypadkiem?

– Waldek, kurwa, nie obrażaj mnie, człowieku. Chodzi, byś zrozumiał. Miałem

problem... tak siedem lat temu. Tak jak i ty miałaś. Ale akurat był koniec spółdzielni, koniec z tamtą kasą. Czasy się zmieniały, wszyscy rozumieli, tylko jeden cham prosty z wydziału ochrony, taki chuj do szczania, jeden nie rozumiał, za bardzo był chciwy. Jak go odcieliśmy, podał nas hurtowo. Podał mnie, podał skarbników...

– „Stary” też w tym siedział?

„Konar” kończy pokal i stukając weń złotym od nikotyny palcem, pokazuje kelnerowi, że chce nowe piwo.

– Są rzeczy, Waldek, o które się nie pyta. Nawet w takie dni jak dzisiaj. Słuchaj mnie... cham dał nas do Głównej i wtedy przyjechał ten niby konsultant Majewski. To jest człowiek służby. Na pewno wojskowy. Kiedyś w informacji.

– Nie wiesz, jak nazwisko, a wiesz, że był...?

– Wymieniał znajomych. Co mogłem, sprawdziłem. Czy ty myślisz, Waldzio, że jestem idiotą? Przecież wiem, i ty wiesz, że w tym kraju do każdego większego interesu się zaraz te jebane kurwy służbowe dokleją i dawaj im działkę... Właśnie o to poszło.

– Nie nadążam, Andrzej.

Kelner przynosi piwo. Konarski łyka, jakby od trzech dni nie miał w ustach kropli wody. Piana zostaje mu na wargach.

– Jacyś cwaniacy, adwokaci, notariusze, bankowcy... goście tutejsi i zagraniczni, robili interesy na kościelnych gruntach. Bardzo, bardzo duże. Ci od Majewskiego, czy jak się nazywa, zaproponowali im, ja tak to czytam, osłonę interesu. Cwaniacy musieli się zgodzić, bo jak nie osłona, to kłody pod nogi. Wybrali współpracę. Koszt: dwadzieścia procent, się mogę domyślać. A może trzydzieści. No a ta osłona... to lipa kompletna. Miało to polegać, że jakby nasz wydział albo zarząd Ceboś, jakby ktoś cokolwiek węszył wokół tych hektarów, to ja jemu dzwonię. Temu Majewskiemu.

– A on tobie w zamian?

– Spółdzielnię wyczyścił. Cham, co nas podawał, obudził się rano w gejowskiej agencji. Ochroniarzem jest teraz w Biedronce na Krzykach. Nasram mu jeszcze na grób.

– Czego ty ode mnie, Andrzej, chcesz?

– Żebyś był szczery.

– Jestem przecież szczery.

– Nie tak jak ja z tobą.

– A coś ty mi takiego wielkiego tu wyznał?

– Dopiero ci wyznam – inspektor odkasłuje, coś mu się w płucach odrywa z bulgotem. – Jak już powiedziałem temu Majewskiemu, po co przyjechała nasza zaginiona i że ty prowadzisz sprawę „Spychacza”, to on miał do mnie tylko jedną prośbę. Żebym ja cię wysłał na konsultacje psychologiczne do tej doktor Stanisz. Zamiast do Hajnego czy Hujmu-w-dupego.

– Aha... dzięki. Sam się połapałem i odtąd o tobie myślę częściej niż poprzednio.

– I co wymyśliłeś? – inspektor robi chytrą minę i zaciąga się trzecim chesterfieldem. Jest już średnio pijany. Zaraz będzie mocno.

– Doktor Stanisz próbowała mi się włamać do komputera. W domu i w zakładzie. Zastanawiałem się, co na ciebie mają i kto. Że mnie tak wpierdalasz na minę celowo.

Konarski kilka razy kiwa głową.

– Rozgryzłeś doktorkę... Wyruchałeś ją?

– Są rzeczy, Andrzejek, o które się nie pyta, nawet w taki dzień jak dzisiaj. Słuchaj mnie ty teraz... Ana Wittesch nie przyjechała w sprawie Kronenbergowej. Przyjechała w sprawie handlu ziemią. Kościelną ziemią. W sprawie tych hektarów właśnie.

– Pierdolisz... – „Konar” potrząsa głową jak bokser, który przed chwilą dostał cios w czoło.

– Jest ktoś, kto dochodzi do tego samego, co my dochodzimy przez trupy, tylko z innej strony. Przez pieniądze.

– Kto?

– Proboszcz z katedry.

– Ten knyp stary?

– Bardzo mądry facet. On Anę zawezwał, bo to jego krewna. Żeby mu pomogła w rozkminie przekrętu. Umościł jej gniazdko w kościele. Dał kwity z kurii, resztę ona sama wyśledziła... widziałem jej pracę. Nie masz pojęcia, Andrzej, ile może zrobić jedna sprawna policjantka i szybki internet w ledwo dwa tygodnie. Się tobie i tym leniuchom cholernym kolegom naszym to nawet nie śniło. Ona w tej sprawie właśnie poszła do hotelu. A może nie tylko w tej, bo są jeszcze jakieś niemieckie zaszłości między nią a jednym z tych, co mówisz: cwaniaków. Gadałem z nim dzisiaj.

– W tym samym hotelu?

– Ty nie pij już więcej, tak? W hotelu, kurwa, w hotelu, gdzie nam wczoraj znikła. Tam jest taki skurwiel, cwaniak główny. Dyplomata.

Komisarz już doszedł do siebie, już nie drży. Dokańcza koktajl.

– Czy ten twój nabotoksowany kurdupel od obalania koniaków dalej bierze swoje dwadzieścia procent?

– Tego to ja nie wiem.

– Bo jeżeli bierze, gdzieś tutaj jest. I ma coś wspólnego ze wszystkim od startu: z kościelnymi wałami, ze śmiercią Kronenberg, z Kamińską i ze zniknięciem Any. Rozumiesz mnie? I jeśli Anie cokolwiek się stanie, to w śledztwie wyjdzie całość. Kumas? Od twojej spółdzielni zaczynając, na pomocy tego skurwiela kończąc. A ochroniarz z Biedronki na Krzykach będzie głównym świadkiem oskarżenia w wielkiej sprawie korupcyjnej CBA. I on ci na grób nasra. Gdzie kurdupel, pytam?!

– Ja nie mam pojęcia, jak do niego dotrzeć. Zawsze on przychodził.

– A gdyby ktoś węszył koło hektarów?

– Miałem dzwonić na jedną skrzynkę. Ale nikt nie węszył. Kurwa... no tak... aż do teraz

– Konarski wlewa do ust ostatni łyk piwa i wrzuca do pustej szklanki w połowie tylko spalonego papierosa. Jego twarz nabrała barwy zleżającego kartofla. Wygląda, jakby miał zaraz rzygać.

– Zadzwoń na tę skrzynkę i poproś kurdupla o spotkanie – Warski czuje, że smród papierosowego dymu i chorego ciała inspektora nie opuści go przez wiele dni. Nie pomoże ani mycie, ani nurkowanie. – Powiesz, że to ja węszę za ziemią, że ci coś mówiłem o jednej fundacji. Fundacji w Afryce. Tyle mu wystarczy.

Rozdział 22.

Czwartek 29 września, popołudnie i wieczór

– Pudrujesz się?

Patykowaty recepcjonista, chłopak, który chyba nigdy nie opuszcza parteru Belvedere Park, ma spojrzenie jeszcze bardziej niezdrowe niż przy poprzednim spotkaniu. Udaje, że nie rozumie pytania.

– Kieszenie! – Warski wyciąga spod koszuli policyjny identyfikator. Chudy staje przed nim, ale kieszeni nie opróżnia.

– Mam ci pomóc? – komisarz rozpina kurtkę. Odsłania pas z kajdankami.

Młody człowiek niechętnie wyjmuje na blat pęk kluczy, po nim drugi. Zniszczony zielonkawy portfel, dwie plastikowe karty bez oznaczeń. Ciężka nokia śledź starego typu. Zwinięte białe słuchawki, brudne.

– Śmieci mi tu nie kładź. Samarę pokaż.

Portier zaraz się pobeczy. Jest kompletnie rozstrojony od ćpania.

– Samarę chcę zobaczyć! Ile tego masz?

– Ma-am m-mało – chłopak patrzy nad ramieniem Warskiego. Para starszych ludzi wchodzi do apartamentowca. On, w lakierkach, ma na sobie ogniście pomarańczowy sweter. Ona prezentuje świeżo nafasforyzowany balejaż. Stają przy windzie.

– Pokazuj – policjant syczy.

Recepcjonista z ociąganiem sięga do wewnętrznej kieszeni czarnego blezera z logotypem spółki, która go zatrudnia na śmieciówce. Wyjmuje zmiętą dilerówkę wypełnioną jasnoszarym proszkiem. Warski zabiera mu woreczek, podnosi do światła. Gołębi odcień. Feta zmieszana z potłuczonymi świetlówkami, cukrem pudrem, pokruszoną aspiryną i Bóg wie czym jeszcze. Koks ubogich.

– Kto ci to gówno sprzedał?

– Zna-a-lazłem w tra... tram-waju.

– A to farciarz z ciebie... – komisarz czeka chwilę, aż wiecznie młodzi staruszkowie wsiądą do windy. Gdy zamykają się za nimi srebrne drzwi, błyskawicznym ruchem chwytają portiera za kołnierz. – Masz tylko trzy wyjścia. Podajesz dilera lub jedziesz na dołek.

– A ja-jakie jest to trze-ecie wy... wyjście? – ochroniarz nie przestaje się jąkać. Chyba tak ma. Speed nie wyżarł mu jednak mózgu do końca. Myśli i próbuje się wyłgać. Zsunąć z haczyka.

Warski uwalnia go z uścisku.

– Trzecie wyjście jest takie, że po cichutku otworzysz mi lokal pani doktor Joanny Staniszej.

– Ten gy-górny czy dolny?

– Co?

– Pani Jo...oanna, jej fi-firma, oni mają tutaj... mają dwa apartamenty. Gabinet i biu-biuro nad nim.

– Jak się firma nazywa?

– Glo-global Trade Consulting.

– Prowadź.

– Nie mo-mogę stąd wy-wy-wychodzić. Dam pa-panu wejściówkę. Wszystkie drzwi otwiera – chudy podnosi z kontuaru jedną z dwóch plastikowych kart, które miał wcześniej w kieszeni.

– Gdzie ten drugi lokal?

– Nna...ad gabinetem do-dokładnie. Takie samo wejście i t-taki sam uk-ład.

* * *

Półtorej minuty później Warski otwiera drzwi, do których chyba jeszcze niedawno przykręcona była tabliczka z nazwą firmy konsultingowej. Teraz po szyldzie zostały cztery otwory na śruby. W środku nikogo. Tylko bałagan. Wyciąga rękawiczki. Metodyczne oględziny zaczyna od łazienki. Damskie i męskie przybory toaletowe. Dawno nieużywane, zakurzone. Nierozpakowane pudełka wód toaletowych. Na wieszakach – obok białych ręczników – kable od słuchawek i laptopów. W dwóch mniejszych pokojach, urządzone jak biura, jeszcze więcej kabli. Rzuconych na sosnowy parkiet, zwisających z parapetów i z rąk półmetrowej figury Murzynki. Obok rzeźby, która jest tu jedyną ozdobą, stoi pusty statyw pod kamerę. W otwartym kartonie metr dalej: mikroporty, baterie, małe kasety Panasonic, takie, jakie pamięta ze starych dyktafonów. Kolejne kable, dwa aparaty fotograficzne, też Panasonica, kilka wymiennych obiektywów. Pęknięty na pół zewnętrzny dysk do laptopa. Coś, co przypomina wizjer jednostki interwencyjnej.

Pokój drugi: metalowe półki regału dźwigają stojące w równych rzędach segregatory.

Na czarnych grzbietach hasła: „Faktury 1”, „Faktury 2” i tak dalej. W środku – Warski sprawdza to wyrywkowo – puste kartki, stare egzemplarze „Pulsu Biznesu” i lokalna prasa. Żadnych dokumentów – nic, czego mógłby się uchwycić.

W górnej szufladzie taniego biurka ze sztucznego tworzywa leżą słuchawki i kilka pieczętek Global Trade Consulting. Do dna przylepił się zalany kawą fragment jakiegoś pisma. Tekst słabo czytelny, sprawia wrażenie odpowiedzi na wezwanie do zapłaty. Pełno tam sformułowań w rodzaju „niemożność szczegółowej oceny wszystkich ewentualnych czynników ryzyka” i tym podobnych. Wzdłuż marginesu, drobnym drukiem, stopka dokumentu: Kancelaria Adwokacka Jagielski i Partnerzy, Warszawa, ulica Krucza. Sopot, ulica Haffnera. Wrocław... Adres nieczytelny.

Trzeci i ostatni pokój to garderoba. Ubrania męskie i damskie. Te kobiece pasują do psycholożki: dużo atłasów i satyny, barwy jasne, faktury gładkie. Te męskie – prążkowane garnitury, koszule w cyrkowych kolorach od bahama yellow przez jaśmin po ciemne kakao... gdyby były szyte na kogoś wyższego, Warski typowałby wyszczekanego gościa z Watykanu, kolegę ministra. Ale właściciel tych koszul jest niski i krępy. Ma tubalny głos, lubi botoks i koniak, używa nazwiska Majewski i nie ma go w wewnętrznych bazach, choć sprawia wrażenie człowieka z resortu.

Waldemar ogląda po kolei męskie i damskie buty, otwiera komodę, nie może się oprzeć powąchaniu koronkowego biustonosza. Ale bielizna nie pachnie trzciniami w gorący dzień. Jest wyprana albo nienoszona. Albo też nie może wywąchać Joanny z powodu wciąż oblepiającej go woni spetowanych chesterfieldów i trawionej gorzały.

Wraca do pokoju z figurą Murzynki. Bierze do ręki pierwszy lepszy kabel, okręca go sobie wokół nadgarstka, zaciska, potem odwija i wiesza z powrotem. Co mówił jąkała? Takie samo wejście i taki sam układ. Ten pokój ma raz, dwa... pięć kroków.

Przechodzi do pomieszczenia ze skoroszytami. Siedem kroków i jeszcze trochę luzu.

Gabinet piętro niżej – z designerskim szezlongiem i stolikiem z przydymionego szkła – nie ma takiego samego układu. I w sumie jest większy.

Więc gdzieś tu musi być ukryty czwarty pokój.

Albo raczej: schowek.

Maca stelaż z segregatorami. Żadnych przycisków, dźwigni, klamek. Pociąga metalową listwę w jednym miejscu – nic. W drugim – to samo.

Zrzuca teczki na parkiet, kopie w regał, syczy, kopie po raz drugi. Nic.

Przechodzi do łazienki, obmywa twarz wodą. Znowu czuje smród dymu. Spał dziś dwie godziny. Koktajle z kurkumą nie zastąpią snu.

Przydałby się basen.

Patrzy sobie w oczy przez lustro. Szukaj mózgiem, nie wzrokiem. A już na pewno nie kopniakami.

* * *

Pomieszczenie faktycznie wygląda jak schowek. Ma metr na metr pięćdziesiąt i górne oświetlenie z ledów. Od wysokości kolan po sufit ciągnie się wbudowana w mur kolumna ekranów, wzmacniaczy, korektorów dźwięku – jak w profesjonalnym studiu nagraniowym. Nie zdejmując rękawiczek, Warski zaczyna włączać urządzenia. Trwa to kilka minut, ale w końcu na wyższym z dwóch monitorów pojawia się kilkanaście ikon. Foldery i programy, których nie zna: Premiere Pro CC, After Effects, DaVinci Resolve. W folderach – katalogi plików. Ciągi liter, daty.

Szuka najnowszego.

GFD-28-09.mov.

28 września. Wczoraj?

Dotyka ekranu, szuka myszy – z kulką czy też bez, ale niczego takiego tu nie ma. Jest touchpad, tyle że nie pod ekranem, lecz obok. Próbuje – nie działa. Gdzieś trzeba przełączyć. Przydałby się Toczyk, ale przecież sam dał mu robotę przy pilnowaniu bankiera.

Na podłodze leży klawiatura bez kabla. Warski ogląda ją z obu stron. Bezprzewodowa? Ciśnie górną strzałkę pod prawym shiftem. Cursor na górnym monitorze ożywa – przeskakuje z ikony na ikonę. Plik GFD-28-09.mov. Enter.

Ikona staje się obrazem.

* * *

Były pułkownik Tadeusz Kalita przygląda się skrępowanej skórzanymi pasami Anie Wittesch z widoczną ekscytacją. Obraz na monitorze jest czarno-biały, lecz wyraźny. Oglądał wcześniej eksperyment z Edith Kronenberg, osobiście doglądał transportu Kamińskiej, gdy była gotowa. Ale to się nigdy nie nudzi.

Przerażenie ofiar przechodzące w coraz ostrzejsze ataki paniki. Widok ciała rażonego prądem. Ciało, które rezygnuje z oporu. Jest coraz bardziej posłuszne. Jak zombi.

Kalita wie, co dzieje się w unieruchomionej głowie. Tydzień temu sam nałożył gogle, przeszedł wirtualnie przez Mostek Czarownic. Niesamowite wrażenie. Przypomniało mu się, gdy jeszcze w wojsku pierwszy raz włożył pożyczone słuchawki stereo. Wcześniej znał dźwięki ze szpuli, z kasety Stilon Gorzów i z magnetofonu Kasprzak. Z podwójnych głośników marki Unitra. Jako człowiek zawodowo zajmujący się podsłuchem znał także brzmienia generowane przez prymitywne aparaty wytwarzane na potrzeby Departamentu Techniki MSW, z którym jego zarząd trochę konkurował, a trochę współpracował. Szmelc to był. Z żelaza i gumy. Technicy nie umieli pokonać przeszkód przy zmianach trybów pracy rejestratorów, szwankowało zdalne sterowanie – jeszcze na kółkach zębatych... jak za króla Ćwieczka. Dopiero gdy zaczęli kupować i kraść sprzęt japoński, dane mu było usłyszeć muzykę wewnątrz głowy. Jego koledzy i podwładni podkradali to i owo, by zaimponować dupom, on słuchał w samotności Haydna. Biednie ubraną studentkę Instytutu Psychologii Wydziału Nauk Historycznych poznał w filharmonii. Asia Staniszevska, której później nieznacznie zmodyfikowali nazwisko i datę urodzenia, pochodziła z blokowiska, była piekielnie ambitna i zgrabna, choć wtedy jeszcze nikt by jej nie określił pięknnością. Ale on – już na samodzielnym stanowisku – przypilnował tej znajomości, bo potrzebował kobiety, która nie waha się używać ciała. Szło nowe, rodziły się projekty finansowe. A Asia wkrótce okazała wiele talentów, dużo inicjatywy i kilka intrygujących dziwactw, niech będzie: dewiacji. Dopiero to ich do siebie zbliżyło.

– Dzwonił portier z Przyjaźni – wyraźnie zdenerwowana Stanisz wchodzi do prymitywnie skleconej, połączonej ze stalową komorą kanciapy, którą oboje nazywają reżyserką. – Gliniarz wszedł nam do biura.

– Wpuścił go ten debil?

– Mówił, że mu groził pistoletem.

– Taaaa... chujem mu groził... „Nie domyśla się...”. „Ufa mi...”. Mówiłem ci, ostrzegałem, że to wilk. A ty co?! Miałaś go sprawdzać, teraz on nas sprawdza.

– Biuro jest już czyste.

– Nie jest czyste. Aparatura została. Wyczyściłaś chociaż?

– Nie znajdzie...

– Ty szmato głupia! – on gwałtownym ruchem chwyta ją jednocześnie za ucho i włosy nad skronią. – Ty mi chcesz mówić?! Pies gównu zawsze wywęszy. Adres jest spalony. Ty jesteś spalona.

Puszczaj ją.

– Kończmy i wyjazd – głos Joanny drży. – Zostawmy ją tutaj.

Kalita znów patrzy na leżącą w pasach.

– Ciebie powinienem tam w środek wpierdolić. Najpierw to skończymy.

– Ale...

– Żadnych ale... kurwa! Nie będziemy pogrywać z Watykanem! Ciało pod kościołem załatwi nam wszystko. Proboszcz schowa się w mysią pizdę, a Warski będzie do końca życia przeprowadzał dzieci z lizakiem. A taki jeden cuchnący pijaczyna, co dawno mnie wkurwia... będzie błagał, żebym mu dał samochód umyć. Musisz przyspieszyć.

– Co?

– Proces, kurwa, przemianę! Bierz się do niej – Kalita puka palcem w skorodowaną ścianę komory. Joanna siada na metalowym taborecie przed klawiaturą i antycznym mikrofonem z siatką.

* * *

Gabinet apartament Stanisza widziany z góry. Przestrzeń między przedpokojem a miejscem, w którym ją pierwszy raz zobaczył. Na obrazie nagrany przez kamerę ukrytą gdzieś pod sufitem pani domu leży na podłodze, a resortowy elegant, amator koniaku, klęczy na jej szyi. Dusi?

– Kurwa mać!

On ją gwałci.

Coś tu się jednak nie zgadza. Przecież miała być jego współpracowniczką.

Początek serii pytań, które wyświetlają się pod czaszką.

Po pierwsze, kto to nagrał?

Po drugie, na co to im?

Po trzecie, czy został tu gdzieś zapis jego własnych łóżkowych występów z Joanną?

Po czwarte, jeżeli psychologka nie jest współpracowniczką skurwiela, tylko kimś zastraszonego, zmuszonego do uległości, jak „Konar”, to czy wtedy...

– Ożeż ty!

Warski wypuszcza z ręki klawiaturę. To chyba nie jest gwałt.

Joanna Stanisza na nagraniu oddaje się rzekomemu Majewskiemu z takim samym zapałem, z jakim się oddawała Warskiemu.

– Ja pierdolę.

To nawet logiczne. Przecież oni nie mogą być ludźmi normalnymi. Ludzie normalni zabijają na rozkaz lub w sytuacji, ich zdaniem, bez wyjścia. Dla korzyści, okazania siły, czasem, rzadziej, z zemsty. Ci robią chore pokazy.

Patrząc na kopulującego z Joanną kurdupła, policjant przez moment widzi siebie. Czuje zapach rozgrzanych trzcina na jej skórze. Przykrywa obraz z monitora dłonią. Ale dźwięk nadal płynie z niewidocznego głośnika. Jęki rozkoszy mieszają się z charkotem Majewskiego czy jak mu tam.

Wydech-wdech. Piasek w oczach, szum w uchu środkowym. Wdech-wydech. Cierpnące dłonie.

Podnosi klawiaturę.

Plik GHT-26-09.mov.

Joanna Staniszk rozmawia z łysym na ciemieniu mężczyzną o jego problemach. Facet skarży się na syna. Ona go prosi, by mówił o sobie, a nie o dziecku. Starczy.

Plik GHX-24-09.mov.

Joanna rozmawia z kobietą.

NDT-18-09.mov.

Ciemne pomieszczenie. Półnaga kobieta przypasana do czegoś w rodzaju starych wojskowych noszy obciążonych szaro-czarnym kocem i umieszczonych na ginącym w półmroku stelażu. Czarne gogle jak wielkie okulary spawacza zasłaniają całą górę twarzy. Na piersiach kable kojarzące się komisarzowi z elektrycznym krzesłem. To jest jakiś rodzaj tortur albo egzekucja. Obraz się trzęsie, ten, kto trzyma kamerę, przechodzi przez owalny otwór w bardzo grubej ścianie i zbliża się do leżącej. Ciało pokryte nastroszonymi włoskami. Broda – jedyny widoczny fragment twarzy – drży. Te szczupłe ręce, piersi... Edith Kronenberg. Jeśli wierzyć zapisanej w nazwie pliku dacie – na dzień przed swoją śmiercią.

Koniec nagrania.

Nie padło ani jedno słowo.

Policjant odtwarza plik po raz drugi.

Jak mówiła Ana?

„Zawsze coś jest”.

Jednak Warski niczego nie dostrzega.

Wyciąga z kieszeni telefon. Ręka mu drży. Cztery nieodebrane połączenia: jedno od

Anielewskiej, dwa od Hryniewicza, jeden numer z warszawskim prefiksem. SMS przysłany przez dziennikarza: „Jest oświadczenie MSZ w sprawie śmierci E.K. Może pan skomentować? Proszę o telefon. J.Hr.”.

Nie będzie niczego komentował. Anielewska też musi poczekać. Dzwoni do Toczyka. Bankier w hotelu jest istotny, lecz już nie pierwszoplanowy.

– Aleks... słyszysz mnie?

– Słyszę. Siedzi na dupie w pokoju.

– Dobra, słuchaj, robimy tak: zostawisz chłopaków samych. Mam dla ciebie pilniejszą sprawę. Poprosisz Annarikową, ja już do niej dzwonię zaraz, by ci dała dwóch największych bystrzaków od kamer, podsłuchów i kabli. Z całym majdanem ich potrzebuję. Przyjedźcie pod główny szlaban Belvedere Park na Przyjaźni. Tu czekam.

– Co „Esmeraldzie” powiedziec?

– Mamy dużo nagrań wideo do natychmiastowej analizy i skopiowania. Nie umiem ich zabrać. Sprzęt wmurowany w ścianę. Zresztą sam powiem.

– Coś w związku z Aną?

– Coś w związku ze wszystkim. Spiesz się.

* * *

Za oknem zmierzcha. Niskie latarnie, które włączyły się przed chwilą, oświetlają rdzawobrazowe kasztanowce i parkujące pod nimi samochody. Na strzeżonym osiedlu – bezruch. W biurze spółki Global Trade Consulting i piętro poniżej – wyteżona praca. Do dwójki speców od elektroniki dołączył technik, który zbiera z podłogi w przedsionku ślady biologiczne. Toczyk robi zdjęcia.

Warski na przemian ogląda skopiowane nagrania, dzwoni i odbiera telefony. Zmęczenie przeszło w stan niewyspania, w którym wszystko jest bardziej ostre niż zwykle: obrazy niczym polakierowane, dźwięki z twardego szkła, nawet skojarzenia są szybsze, choć wszystko na granicy zapaści. Nie czuje bólu w obitych ramionach. Czuje zimno. Zapiął kurtkę pod samą szyję. Po raz czwarty telefonuje do „Esmeraldy”. Nie odbiera. Po chwili przychodzi SMS. „Oddzwonię”.

Podchodzi Toczyk. W odróżnieniu od komisarza wygląda na rozgrzanego. Czoło mu błyszczące, wystające spod bejsbolówki włosy ma sklezione potem, rękawy bluzy z kapturem podwinięte powyżej łokci.

– To może być wszędzie. W każdym magazynie, stodole, tego... większym

pomieszczeniu. Niekoniecznie w ogóle we Wrocławiu. Był w jednym filmie kryminalnym gościu, co trzymał babkę w komorze ciśnień i powoli podkręcał zawory. Komorę miał w stodole na wsi. Chyba w Szwecji.

Telefon wibruje. Ewa Annarik oddzwania.

– Co tym razem? – pyta cicho, w tle słycać nakładające się na siebie głosy.

– Musimy okablować obiekt.

– Wniosek komendanta do sądu z kopią do prokuratora w Warszawie.

– Ewa, ja nie mam czasu. Musimy to zrobić natychmiast. Póki twoi ludzie są ze mną. I ze sprzętem. Mam ustną zgodę gospodarza obiektu.

– Ty weź mnie nie rozśmieszaj, co?

– Pomóż.

– Już pomogłam.

– Policjantka w zagrożeniu.

– Nie szantażuj mnie. Co ty chcesz kablować?

– Kościół Witeckiego.

– To może od razu załóż podsłuch w radzie miejskiej, jak chcesz, żeby nas wszystkich wypieprzyli.

– Ty akurat podobno masz pójść w górę.

– Mówiłam ci, żebyś mnie nie rozśmieszał. Stoję w kolejce w aptece. Ludzie patrzą.

– Dzisiaj w nocy odzyskamy Anę Wittesch.

– A skąd możesz wiedzieć? Kręcisz się w kółko już drugi tydzień. Widziałeś wiadomości lokalne?

– Nie.

– To dobrze, bo jadą po tobie dosyć nieprzyjemnie. Wałkują list ministerstwa w sprawie śmierci. Anielewska cię szuka.

– Wiem. Już z nią rozmawiałem. Chcą nam odebrać śledztwo. Mam ich w dupie.

– Poczekaj chwilę... muszę tu zapłacić... przepraszam... jestem – Ewa Annarik mówi teraz głośniej, dźwięki się kołyszają, pewnie szybko idzie. – Robisz same błędy. Zamknąłeś i wypuściłeś kantora, straciłeś partnerkę, facet, którego straszyłeś, uruchomił jakieś sprzężyny. To oświadczenie Emeszetu... to nie jest przypadek, że akurat dzisiaj... oni cię udupią. Andrzej nieuchwytny...

– ...zapił.

– Nie słyszałam tego.

– Pomóż. Proszę.

Przez chwilę słysząc tylko oddech „Esmeraldy”.

– Daj mi Groteckiego.

– To ten większy, z brodą?

– Daj go!

Komisarz przekazuje telefon wyższemu z dwójki informatyków, trzydziestolatkowi o sarmacko podgolonych skroniach, który właśnie wynosi z ukrytego pomieszczenia bez okien plastikową skrzynkę pełną wymontowanych w ciągu ostatniej godziny elementów sprzętu. Brodacz odkłada graty, dłuższą chwilę słucha swej szefowej, powtarzając tylko: „Tak... tak”. W uszach ma czarne kolczyki tunele, na twarzy zmęczenie. Może też od dawna nie spał, może też mu zimno, bo nie zdjął przy pracy ciemnoczerwonego ortalionu. Słuchając, kiwa głową, w końcu mówi: „...jasne!” i oddaje aparat. „Esmeralda” już się rozłączyła.

– Szefowa mówi, że tylko pan i ja.

– ...i aspirant Toczyk. Za ile skończycie?

– Za piętnaście minut.

– Odeślesz kolegę, czekamy w portierni.

Rozdział 23.

Piątek 30 września, przed świtaniem

– Fundacja Save Undiscovered World. Adres: Haile Selassie Avenue, Monrowia – proboszcz Witecki pokazuje komisarzowi kolejny zdjęty z korkowej tablicy wydruk. – Ten sam bank co wcześniej. Wells Financial Center. Ten sam numer konta.

– A to... co jest?

– Lista pasażerów Kenia Airways, lot z Brukseli. Fotel sto osiemnaście, pasażer Martin Gapik. W powrotnej drodze występuje już jako David Liteschfield. No tak. Marzec dwa lata temu... jest identycznie. Ana porównywała to z historią wypłat. Wszystko się zgadza. Jeśli ją dobrze zrozumiałem, wypłacał gotówkę w tym Financial Center i wywoził w bagażu dyplomatycznym.

– A te tu? – Warski dotyka innego wydruku na ścianie sypialni.

– To niespłacone kredyty. Wezwania do zapłaty z banku.

– Tego w Monrowii?

– Nie... z polskiego banku. I odpowiedzi od kancelarii Jagielski.

– Jagielski i Partnerzy Warszawa-Sopot-Wrocław.

– No tak. Pisali odpowiedzi pro forma. Tak mówi Ana. Mieli człowieka we wrocławskim oddziale bankowym, a drugiego w jakimś centrum kontroli kredytów w Łodzi. Oni te pożyczki brali i wypłacali słupom. Podstawionym..

– ...wiem, co to słupy.

– No tak. Więc z nieruchomości wycenionej na pół miliona robiły się trzy albo cztery miliony i jeszcze zły kredyt. Pieniądze do podziału między rzeczoznawcę, który zaniżył wartość ziemi, między ludzi z Komisji Majątkowej, niekoniecznie duchownych, między te dwie osoby w bankach...

– ...i spłacenie słupa – Warski szarpie włosy nad czołem, jakby chciał się pobudzić w myśleniu. – Albo skasowanie frajera. Chyba wiem, kto się tym zajmował. Trzeba będzie przepatrzyć stare sprawy nieżywych kredytobiorców.

– Coś nam tu siadło – pochylony nad wąskim biurkiem Any aspirant Toczyk unosi rękę. Śmiertelnie zmęczony komisarz i równie niewyspany kapłan stają za jego plecami. Na

jednym z dwóch ekranów widać równoległe obrazy z trzech zamontowanych przez Groteckiego nowych kamer i z czwartej, już istniejącej, do której się podpiął. Kamera numer jeden: północna ściana bazyliki, przycięte drzewka, zamknięte czarne drzwi bez klamki. Pusto. Kamera numer dwa: metalowe schody we wnętrzu wieży. Pusto. Kamera numer trzy: wyjście na Mostek Czarownic piętnaście metrów wyżej. Pusto. Kamera czwarta winna pokazywać zachodnie wejście do nawy głównej i ulicę przed nim – ale nie pokazuje. Zgasła?

– Dwa siedemnaście! – Warski wyciąga zza pazuchy wysłużoną policyjną motorolę z elastyczną anteną.

– Jestem na schodach – aspirant Miłosz Grotecki odzywa się natychmiast.

– Kamera zgasła.

– Która?

– Ta z Szewskiej.

– I nic nie widać?

– A co ja mówię?!

– Kabel był tylko na plaster. Tak to przez pośpiech. Zaraz tam zejść.

– I wracaj szybko. Przepraszam księdza... Na czym skończyliśmy?

– Że łańcuch oszustw zaczynał ktoś w Komisji Majątkowej, potem szli notariusze...

– Nie... nie zaczynał się tak. Wcześniej organizator, jego osłona. Grupa...

– To pan już chyba więcej z tego rozumie ode mnie.

– Uwaga! – Toczyk wskazuje kamerę pierwszą. Trudna do rozpoznania kobieta w jasnym łańcuchem podchodzi do drzwi, które nie mają klamki.

– Jak doszła? – Warski unosi motorolę. – Dwa dziewiętnaście... Jak się tu znalazła?!

– Co? – chrobot w odbiorniku. – Był samochód.

Znowu trzaski i chrzęsty. Na drugim końcu linii jeden z dwóch wyczerpanych mężczyzn, którzy przez ponad dwanaście godzin tkwili w siwym renault – najpierw na Kiełbaśniczej, teraz na Wita Stwosza – zaczyna gwałtownie kasłać. Zakrztusił się zeschlą kanapką z kiełbasą. Nadajnik przejmuje partner.

– Szary tiguan, stanął na chwilę. Rejestracja z leasingu. Końcówka dwieście. Jechał od Krowiej, stanął, zawrócił. Musiała wysiąść. Mamy jechać za samochodem?

– A jeszcze, kurwa mać, nie jedziecie?!

Trzaski, chroboty. Wywiadowca za kierownicą tak się krztusi, że jest już purpurowy na

twarży. Jego kolega wyskakuje z samochodu, obiega maskę, objając goleń o rant zderzaka.

– Przełaż! – choć obaj mieli być cisi i niewidzialni, gliniarz krzyczy do kumpla na tyle głośno, że słyszałby go każdy na placu, na Wita Stwosza i Szewskiej – gdyby ktokolwiek tu był. Ale nikogo nie ma – tylko Miłosz Grotecki, wysoki, brodaty trzydziestolatek z fryzurą w stylu dońskiego Kozaka, biegnie przez tory tramwajowe, dźwigając porwane z kruchty krzesło. Przystawia mebel do ściany kamienicy naprzeciw kościoła, wspina się i nerwowo majstruje przy elektrycznym przewodzie, który wcześniej przykleił do rynny brązową taśmą. Coraz mocniejszy wiatr szarpie jego ortalionem. Temperatura spadła już poniżej pięciu stopni. Jest ostatni dzień ostatniego miesiąca lata, dwadzieścia siedem minut po trzeciej w nocy. Na końcu Szewskiej chwieje się ludzka sylwetka. Jakby ktoś tam tańczył sam ze sobą.

– Ożeż kurwa mać! – Warski wypuszcza z dłoni motorolę, uderza się otwartą dłonią w pierś, okręca na nodze i wybiega z celi. Fakt, że tak długo nie spał, to jeszcze niedostateczne wytłumaczenie tego, jak bardzo dał dupy.

* * *

Aspirant Aleksander Toczyk i ksiądz doktor Edmund Witecki, pozostawieni sami w pomieszczeniu z łóżkiem, biurkiem i dwoma monitorami, patrzą jeden na drugiego. Wreszcie młody policjant schyla się i podnosi upuszczone radio.

– Co się komisarzowi stało? – pleban międli kraniec czarnego rękawa sutanny.

– Kolega naprawia kamerę, a to... – Aleks pstryka palcem w ekran.

– Już naprawił – ksiądz patrzy w obraz, na którym widać postać chwiejącego się pośrodku ulicy mężczyzny. Postać dobrze mu znaną.

– ...a to znaczy, że nie ma go w wieży. Nikt nie pilnuje schodów. – Boże! – kapłan odwraca się od monitora – Jak mogliśmy...

Toczyk już wypadł na korytarz.

Duchowny – sam jeden w celi – spogląda na ekran.

Kantor Rudzki pośrodku Szewskiej wygląda jak ktoś, kto usiłuje pływać na stojąco. Pleban wie, że widzi go – po raz pierwszy w życiu – kompletnie pijanego. Spodnie Jana są rozerwane w kroku do kolana – w ciemności bieleje nagie udo. Biedak macha rękami, kołysze biodrami, coś dziwnego dzieje się z jego twarzą.

Kamera numer dwa pokazuje nieostry, widmowy kształt. Postać wyglądająca na ducha z sesji zaklinaczy wirujących talerzyków szybko się przesuwa po schodach wwyż. Od

mrocznego tła odcinają się właściwie tylko ruchliwe plamy, ale przyrodzona każdemu człowiekowi zdolność łączenia tego typu obrazów w sylwetkę – zdolność pozwalająca dostrzec skradającego się w ciemnym lesie drapieżnika – sprawia, że proboszcz nie ma wątpliwości. To Ana w resztkach czegoś, co było ubraniem. Od wyjścia na pokutniczy mostek dzieli ją już mniej niż dziesięć metrów w pionie.

Mniej niż sześćdziesiąt schodów.

Biegący Warski wie, że zrobił dwa błędy, że jego pozorna jasność umysłu jest złudna, że w natłoku danych i kombinacji, niewyspany i chory z przepracowania, postawił na wieży Groteckiego zamiast Toczyka. I że pozwolił Groteckiemu zejść.

Błąd drugi jest potencjalnie gorszy w skutkach: nie przeszedł się dzisiaj w nocy, jak planował, skrótem między sypialniami i wieżą. Był w tym labiryncie schodów i korytarzy tylko dwa razy, osiem dni temu, gdy szli z Aną za umykającym z koncertu kantorem, i w środę, gdy proboszcz wyznał mu, że nadkomisarz Wittesch mieszka pod kościelnym dachem. Oba razy szedł z dołu w górę, z nawy do rozgałęzienia, potem było czarne półpiętro. Właśnie na nie wpada. Drewniana ściana, schody, szybko, jest rozwidlenie. W prawo czy w lewo?

* * *

Aleks biegnie korytarzem, wrzeszcząc do motoroli: – Dwa siedemnaście! Gdzie jesteście?!

– Wracam – aspirant Grotecki w jednej ręce trzyma radio, w drugiej krzesło.

– Dawaj na wieżę! Ona już weszła! Przegapiliśmy!

– Nie pierdol – informatyk upuszcza mebel przed kościelnymi wrotami.

Ana Wittesch wychodzi na Mostek Czarownic.

Waldemar Warski wybrał dobrze – w prawo – i gna już po metalowych stopniach. Jest w trzech czwartych wysokości wieży.

Aspirant Toczyk pomylił korytarze.

Aspirant Grotecki dopiero zaczyna bieg w górę.

Z dwóch wywiadowców przydzielonych do obstawy akcji jeden – za kierownicą renault – stara się wypatrzeć szarego tiguana z rejestracją o końcówce dwieście, a drugi – na fotelu pasażera – próbuje nie umrzeć wskutek zadławienia się kiełbasą.

Ana kładzie obie ręce na balustradzie nad dachem nawy.

Rozdział 24.

Piątek 30 września, poranek i przedpołudnie

Świt jest zimny, wilgotny i wietrzny, już widać, że niebo będzie dziś całkowicie zachmurzone. Bruk po obu stronach torów tramwajowych błyszczy jak polany olejem. Pomiędzy zatrzymanymi w połowie trasy niebieskimi wagonami, między rzędem kamienic a katedrą kręci się pół setki osób. Większość zajmuje przestrzeń po zewnętrznej stronie czarno-żółtej taśmy nierówno rozpiętej na sześciu słupkach. Proboszcz Witecki podtrzymuje trzęsącego się kantora Jana. Tuż za taśmą stanął Jacek Hryniewicz z fotoreporterem swojej gazety i jakąś młodą rudowłosą dziewczyną, która kręci komórką film do internetu. Obok uwijają się dwie dziennikarki z oddziału Polskiego Radia. Jedna namawia tkwiących tu od paru godzin gapiów i zatrzymujących się teraz coraz liczniej przechodniów, by powiedzieli cokolwiek do mikrofonu. Druga gdzieś właśnie telefonuje i strasznie przy tym krzyczy na wietrze.

Po drugiej stronie taśmy stoi ubrana w workowatą jasnożółtą kurtkę prokurator Aldona Anielewska – pięćdziesięcioletnia, niewysoka, przedwcześnie pomarszczona i już siwiejąca szatynka o wąskich wargach, grubych udach i wypukłym brzuchu. Ona także gdzieś dzwoni, ale w odróżnieniu od dziennikarki – nie wrzeszczy. Czujnie obserwuje prowadzone wokół czynności. Wewnątrz ogrodzenia widzi trzech umundurowanych, którzy pod wodzą sierżanta z prewencji pilnują, by nikt nie naruszył miejsca zbrodni. Albo wypadku – choć to coraz mniej prawdopodobna wersja. Widzi przystojnego brodatego aspiranta w zapiętym pod szyję czerwonym ortalionie, który rozmawia z dwójką wywiadowców z dochodzeniowo-śledczego. Obaj sprawiają wrażenie zbitych psów. Odnaleźli poszukiwany samochód, ale był pusty. Gdy Anielewska tu przyjechała, szary ze zmęczenia Warski, któremu zarosnięte policzki zapadły się, jakby stracił wszystkie zęby, właśnie ich opierdalał po całości.

Prokuratorka przygląda się również załodze ambulansu. Zastanawia ją, co tu robi Magda Batorzyńska, dawna kochanka Warskiego. Dlaczego kazała zamknąć ciało w worku, jeszcze zanim zjawiał się spec od analizy śladów krwi. Tak się nie robi. Choć z drugiej strony wszędzie czają się zasrani paparazzi. Jeszcze tego brakuje, żeby zmasakrowana twarz

niemieckiej nadkomisarz wylądowała na czołowej stronie jakiejś szmaty.

* * *

Inspektor Andrzej Konarski wyłania się z tłumu gapiów nagle, dokładnie w chwili gdy na Szewskiej gasną latarnie. Warski najpierw słyszy, jak opiernicza kogoś z posterunkowych, a dopiero potem widzi szefa, i już rozumie, skąd te krzyki. Biedny krawężnik nie poznał bossa i nie chciał go przepuścić przez taśmę. Miał powody: „Konar” wygląda, jakby przeleżał noc w toiu. W ręce ma złamanego papierosa, podchodzi prosto do komisarza. Na „Anielę” woli nie patrzeć.

– To ona jest? – spuchnięta dłoń zatacza okrąg nad czołem, co ma chyba oznaczać „osoba, która nie żyje” albo „ta, która spadła”. Tak czy inaczej – gest zastępuje słowa, których prześmiardły aldehydem glina nie chce nawet wymówić.

– To Ana.

– Nie zdążyliśmy – głos wrzeszczącego jeszcze przed chwilą „Konara” robi się nagle spokojny, jak gdyby uszło z niego całe napięcie, jakby zobaczył już siebie na przyspieszonej emeryturze, w zielonym kapeluszu, z wędką w jednej ręce i butelką w drugiej.

– Dzwoniłeś do kurdupla? – Warski pyta go szeptem.

– Nagrałem się i czekam. Ale czy to teraz jest ważne, Waldek? Już się możemy pakować.

– Rozmawiałam z Warszawą – „Aniela” podchodzi do inspektora, ale w odległości pół metra zatrzymuje się i gwałtownie cofa. Ruch telefonem – jak wachlarzem – ogłasza moralny upadek „Konara” wszystkim, którzy akurat patrzą. Patomorfołozce, komisarzowi, aspirantom, ratownikom i oczywiście samemu Konarskiemu. – Wy chyba sobie już zdajecie sprawę z powagi sytuacji... – palec Anielewskiej wskazuje najpierw Warskiego, potem jego szefa. – Dopuściliście do skandalu niebywałego, zadziałaliście wbrew zaaprobowanemu przeze mnie planowi śledztwa, użyliście sprzętu inwigilującego bez zgody i wiedzy sądu i bez...

Inspektor Konarski wydaje z siebie ni to beknięcie, ni czknięcie. Zaraz może upaść.

– ...co zresztą nie ma już znaczenia. Straciliście wysokiego oficera berlińskiej komendy, co oznacza komisję specjalną Interpolu i ministerstwa. Byliście odpowiedzialni za jej życie, byliście...

– Ja jestem winien – brodaty, nieznany „Anieli” z nazwiska młody glina robi dwa kroki w przód i nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki jest śmieszny w swojej odwadze. –

Komisarz kazał mi pilnować wyjścia z wieży, ale się port od kamery odczepił, więc pobegełem.

– A nie zainteresowało ciebie, aniołku, czy pan komisarz ma podkładkę na kamerowanie? – Aniela rozciąga gumowe usta w grymasie, który nie ma wiele wspólnego z uśmiechem.

– Mieliśmy stan zagrożenia życia policjantki...

Warski macha ręką przed twarzą mówiącego i Grotecki milknie.

– Po pierwsze, ciszej, bo nas nagrywają. Po drugie, nadkomisarz Ana Wittesch została uprowadzona w trakcie wykonywania osobistej misji, o której ani inspektor Konarski, ani nikt inny nie wiedział. Natomiast wiedzieli o niej niemieccy przełożeni i jakieś osoby z Kościoła. Jednak ani jedni, ani drudzy nie podzielili się z nami tą wiedzą. Po trzecie, mamy wytypowanego podejrzanego o udział w uprowadzeniu.

– Ty już miałeś wytypowanego podejrzanego, Waldek – złość sprawia, że i tak mało atrakcyjna twarz prokuratora zmienia się w karykaturę jej samej. – On tam stoi z proboszczem. Też nachlany. Jesteście żałośni. Nie masz zatrzymanego, masz serię ofiar. O dwunastej spotykamy się u mojego szefa. Czy pan mnie słyszy, inspektorze?

„Konar”, któremu udało się w końcu zapalić papierosa, kiwa głową.

– A ty, Waldek, kwadrans wcześniej u mnie. Najlepiej przyjdźcie ze Zdrożkiem. Przynieście mi gotowy komunikat dla prasy. Chociaż cokolwiek napiszemy... i tak nas zjedzą. Ja pójdę na chorobowe, ty pójdziesz robić do magazynu dowodów, a ten wałach... – pstryknięcie palcami w kierunku inspektora – ...pójdzie się wreszcie leczyć.

* * *

Medialna kula toczy się początkowo niespiesznie: na internetowym portalu Wyborcza.pl/wrocław kilka minut po ósmej rano wisi trzyminutowy film: odjazd ambulansu ze zwłokami i sprzeczka policjantów na miejscu tragedii. Nagranie młodej dziennikarki opatrzył komentarzem starszy kolega, czterdziestolatek z dużym doświadczeniem w branży i zaawansowaną chorobą obturacyjną płuc – Jacek Hryniewicz.

– Seryjny morderca... To już na pewno nie jest kolejna wrocławska samobójczyni, ale trzecia z rzędu ofiara nieuchwytnego „Spychacza”, kimkolwiek on jest. Dziś w nocy z dachu katedry przy Szewskiej została wypchnięta niemiecka policjantka, która wcześniej brała udział w głośnym już śledztwie dotyczącym śmierci dwóch chórzystek: Edith Kronenberg i Wandy Kamińskiej. Jak informowaliśmy, na pierwszym etapie postępowania

śledczy wytypowali jako podejrzanego kantora Jana Rudzkiego. Ten został jednak wypuszczony i wczoraj stał już, razem z naszą reporterką, w grupie obserwujących miejsce zdarzenia i pracę policji. Towarzyszył mu wyraźnie poruszony ksiądz Edmund Witecki. Krótco po siódmej rano na Szewskiej zjawił się również kanclerz Wrocławskiej Kurii Metropolitalnej Bronisław Kalisz, który nie chciał odpowiedzieć na nasze pytanie, jak seria ofiar pod świątynią wpłynie na funkcjonowanie archidiecezji. Także proboszcz Witecki nie zechciał wyjaśnić, dlaczego po dwóch pierwszych zgonach wejście na Mostek Czarownic nie zostało zamknięte, co mogłoby przecież zapobiec kolejnej tragedii.

O dziewiątej rano newsa poświęconego śmierci niemieckiej funkcjonariuszki wypuszcza Radio Wrocław. Zestaw informacji o trzech zbrodniach „Spychacza” wypełnia cały pięciominutowy serwis – jeśli nie liczyć sportu i prognozy pogody: możliwe opady deszczu ze śniegiem.

O dziesiątej kryminalne wiadomości z Wrocławia są już otwarciem serwisów Programu III Polskiego Radia, radiowej Jedyńki, radia ZET i TOK FM, w którym para komentatorów zwraca po informacjach uwagę na fakt, że „Spychacz”, gdy wreszcie zostanie schwyty, będzie pierwszym polskim seryjnym zabójcą od przeszło dekady, od czasów słynnego „Skorpiona”, który cztery ze swych pięciu ofiar również wykończył w stolicy Dolnego Śląska.

Kwadrans później wydawca Telewizji Wrocław wyrzuca z ramówki program o tańcach ludowych i nadaje relację z Podwala i Muzealnej. Wysoka stand-uperka w czarnym berecie krótko wprowadza w temat, potem widzowie mogą ją podziwiać w akcji, gdy zagaduje najpierw prokurator Aldonę Anielewską, a po niej zastępcę komendanta wojewódzkiego. Prokuratorka wygłasza standardową formułę o wstrzymaniu się od komentarza do czasu wydania oficjalnego komunikatu organów ścigania, natomiast wicekomendant ewidentnie próbuje uciec przed kamerą. W kolejnych scenach dziennikarka przepytuje wrocławian, co sądzą o serii śmiertelnych upadków i czy się boją.

* * *

Tuż po jedenastej, gdy komisarz Waldemar Warski zanurza się w basenie przy Paderewskiego, pięć i pół kilometra dalej – na Kiełbaśniczej – dwaj młodszy stopniem policjanci w cywilu wchodzą do pięciogwiazdkowego hotelu. Recepcjonistka – zajęta tłumaczeniem dwójce niemieckich turystów, jak mogą wypożyczyć rowery i pojechać nimi do Jahrhunderthalle – nie zwraca uwagi ani na Aleksandra Toczyka, ani na Miłosza

Groteckiego. A ten, idąc po schodach w górę, wyciąga z kieszeni ortalionu urządzenie wyglądające jak naszpikowana układami scalonymi płytka tranzystora. Miedziana taśma łączy ją z czarną kostką wielkości pendrive'a, ta z kolei komunikuje się cienkim kablem ze smartfonem Groteckiego. Gdy obaj młodzi gliniarze stają na wykładzinie pod drzwiami pokoju sto siedemnaście, Toczyk głośno puka, by się upewnić, czy jest pusto. Potem zakładają gumowe rękawiczki i szpitalne ochraniacze na buty, a Miłosz wkłada płytkę w miejsce, gdzie należy wsunąć kartę-klucz. Aplikacja zaczyna pracować. Zielona dioda przy klamce błyska po dwudziestu sekundach. Przez kilkanaście sekund patrzą jeden na drugiego. Obaj mieli pisać raporty, tymczasem wykonują samowolne czynności śledcze i włamują się do apartamentu dyplomaty. Łamią regulamin, łamią co najmniej dwa paragrafy kodeksu karnego i przekraczają granice szaleństwa. Oraz granice zaufania, jakim można obdarzyć kogokolwiek – nawet Warskiego, „Esmeraldę” i piękną Magdę.

Pierwszy uśmiecha się Toczyk. Grotecki odpowiada lekkim puknięciem go w ramię. Zakładają ochraniacze na buty i wchodzą.

Przedpokój jest duży, po lewej lustro, po prawej łazienka. Pachnie kokosowym mydłem. Pokój z aneksem sypialnym ma ponad czterdzieści metrów kwadratowych i barek. Ciężkie miodowe kotary przysłaniają okna w trzech czwartych. Przytulnie.

Informatyk chowa do wewnętrznej kieszeni wiatrówki wynalazek, którym sforsował wejście, wyciąga inne drobiazgi. To pluskwy starego typu – każda z przyssawką, haczykiem, kilkumilimetrowym klipsem krokodylkiem i drucianym ogonkiem. Chwilę zastanawia się, gdzie to poprzyczepiać. Jeśli ktoś tu z kimś będzie rozmawiał, to pewnie przy barze. Więc przede wszystkim tam. Drugą pluskwę wpina w przeciwległym rogu pokoju, na szczycie kotary od strony okna. Trochę musi się przy tym pogimnastykować, aby nie być widocznym z zewnątrz. Szansa, że ktoś z tych ludzi, których komisarz nazywa zbiorczo „skurwielami”, będzie obserwował okna pokoju sto siedemnaście, jest niewielka, ale istnieje. Warski powtarzał dwa razy: „Nie lekceważ niczego”.

Trzecia pluskwa zostaje przytwierdzona do ściany w łazience – w szparze między muszlą sedesu a uchwytem na szczotkę do jej czyszczenia.

Grotecki musi się położyć, by dobrze zamocować przyssawkę. Stojący nad nim Toczyk robi zdjęcie, a potem wytrząsa z maszynki do golenia ścinki zarostu lokatora tego apartamentu. Szare paprochy wpadają do przezroczystej saszetki na dowody. Niewiele tego, ale patolożka mówiła, że wystarczy tyle co za paznokciem. Przez moment Aleks

zastanawia się, czy nie odkroić scyzorykiem kilku włókien ze szczoteczki do zębów, ale ostatecznie rezygnuje. To mogłoby zostać zauważone.

Patrzy na zdjęcie i odkłada maszynkę w identycznym położeniu. Pokazuje ekran informatykowi, który właśnie wstaje. Ten spogląda raz na wyświetlacz, raz na pomieszczenie. Wszystko na swoim miejscu. Zostawiają drzwi łazienki uchylone, jak były, wychodzą na hotelowy korytarz – jest pusty. Ściągają foliowe worki ze stóp.

Aleksander wysłał SMS-a do komisarza, który właśnie wstrzymuje oddech szóstą minutę z rzędu.

* * *

W pierwszej minucie był jeszcze napięty.

W drugiej jego myśli przestały się nawzajem zwalczać, a lęki, które oplatały każdą ze ścieżek umysłu, uleciały.

W trzeciej minucie udało mu się pożegnać z pojęciami i słowami, jakie dotąd wypełniały jego mózg. Rozstał się z naturalnymi, jak bicie serca, taktami bluesowej muzyki i z diabelskimi dysonansami. Z emblematami męczeństwa świętych i otchłaniami kościelnych tuneli. Rozstał się nareszcie z powidokami własnej przeszłości. Policyjnej, wojskowej, alkoholowej, historycznej, depresyjnej, przeszłości prawie całkowicie przegranej i niezmiennie ciężkiej.

W czwartej minucie poczuł spokój, przyjemność płynącą ze zwykłego zajmowania miejsca w przestrzeni, zadowolenie z niespiesznego upływu czasu, który coraz wolniej biegnie w dobrym kierunku. Poczuł zapowiedź błogostanu.

W piątej minucie czas stanął, a on każdą komórką ciała odczuł, że na cichym dnie basenu jest u siebie.

W szóstej minucie znów usłyszał, jak krzyczy i jęczy Joanna Stanisława. Jak basowo charczy resortowy kurdupel, kieszonkowy Szatan.

Dlatego teraz komisarz Waldemar Warski krzyczy pod wodą jeszcze głośniejszym głosem niż kobieta, która niedawno była jego kochanką. Krzyczy, choć w płucach nie zostało mu już prawie nic. W miejsce tlenu i azotu gwałtownie i nieodwołalnie wlewają się stare i nowe lęki. Wpływają w ciało, tak jak woda wpływa do ust. Paraliż ogarnia najpierw płuca, potem serce, zdrętwiałe ręce, trzewia. Lecz nogi są nadal sprawne i dlatego policjant odbija się od dna. Wypływa.

Cztery minuty później odbiera SMS-a od Aleksa. Odpisuje mu krótko: „Magda

Batorzyńska czeka u siebie”.

Gdy po kolejnych czterech idzie na parking przy Stadionie Olimpijskim i wybiera numer rzecznika Zdrozka, jest odrobinę mniej skatowany fizycznie niż kwadrans temu, a po głowie, na jakiś czas lżejszej, błąka mu się sportowe powiedzonko o „powrocie z dalekiej podróży”.

* * *

Przed wpół do dwunastej seryjny zabójca z Dolnego Śląska i martwa policjantka zajmują topy sieciowych serwisów Onetu, Wirtualnej Polski, „Faktu”, TVN 24 i tygodników opinii. O jedenastej czterdzieści pięć wpisanie w wyszukiwarke hasła „Spychacz z Wrocławia” skutkuje dziewiętnastoma tysiącami wyników – w większości identycznie brzmiących notek.

Pierwsza poważniejsza analiza sprawy – tekst Jacka Hryniewicza – wpada do sieci tuż przed południem. Artykuł ma przeszło dziesięć tysięcy znaków i kilka wątków. Pierwszy: berlińska policjantka badająca tropy w sprawie śmierci chórzystek z pewnością padła ofiarą sprawcy, do którego zanadto się zbliżyła w śledztwie.

Wątek drugi sprowadza się do pytania: jak to możliwe, że wrocławska policja nie zdołała zapewnić berlińskiej współpracownicy bezpieczeństwa? Dlaczego północna wieża bazyliki – razem z wyjściem na mostek – nie została zamknięta? Czy to spór między władzami kościelnymi i policjantami pod wodzą konfliktowego i porywczego, choć dotąd skutecznego komisarza Warszawskiego?

Po trzecie, niewyjaśniona pozostaje sprawa kantora Jana Rudzkiego. Mężczyzna miał osobisty kontakt zarówno z Wandą Kamińską, jak i z Edith Kronenberg, a także z Aną Wittesch. Po zatrzymaniu nie przedstawiono mu zarzutów, a nadzorująca śledztwo prokurator Aldona Anielewska odmówiła komentarza co do jego wypuszczenia z dołka. Rzecznik dolnośląskiej policji nie chciał zdradzić, czy uwolnienia Rudzkiego domagała się kuria arcybiskupia. Podkomisarz Zdrozek wydał jedynie krótkie oświadczenie, na tyle ogólnikowe, że opinii publicznej i mediom pozostają tylko domysły.

„Zdajmy się więc na spekulacje... – pisze Hryniewicz – ...nieoficjalnie wiemy, że przyczyną zatrzymania kościelnego kantora, a zarazem opiekuna męskiej scholi gregoriańskiej, był jego niechętny stosunek do chóralnych śpiewów żeńskich w świątyni i pogrożki kierowane w związku z tym w stronę Edith Kronenberg, a być może także wobec Wandy Kamińskiej. Wypuszczenie mężczyzny na wolność i dzisiejsze zabójstwo policjantki

zdają się wskazywać, że w śledztwie chodzi jednak o coś innego niż domniemane szaleństwo kantora. Nadkomisarz berlińskiej policji nie śpiewała w chórze i nie było powodu, aby Rudzki jej nienawidził. Musiała raczej wpaść na trop, którego nie zdołali wywęszyć jej polscy współpracownicy w dochodzeniu. Prawdopodobnie to właśnie kosztowało ją życie. Co to może być za trop? Czy kantor wyszedł na wolność, bo zdradził jakieś informacje? Czy te informacje sprawiły, że niemiecka policjantka w pojedynkę wyprzedziła w dochodzeniu polskich kolegów? O tym wszystkim w jutrzejszym wydaniu »Wyborczej«.

Pisząc ryzykowną puentę artykułu – z obietnicą, której spełnienie nie zależy wyłącznie od niego i może być trudne – Jacek Hryniewicz poważnie się zastanawia, czy jednak nie należałoby mocniej przypieprzyć Warskiemu. To w końcu skandal, że po dwóch tygodniach śledztwa szybkostrzelny Waldemar dał mu tylko jeden cynk – o zamkniętym Rudzkiem. W dodatku informacja okazała się nieaktualna już w dniu jej publikacji. Po zastanowieniu dziennikarz uznaje jednak, że na zgrillowanie policjanta przyjdzie jeszcze czas. Dzisiaj musi się do niego dodzwonić albo – jeszcze lepiej – spotkać osobiście. Dlatego kończy tekst łagodnie, a po wysłaniu go wsiada do windy, wjeżdża na najwyższe piętro wąskiej redakcyjnej kamienicy i paląc papierosa, ogląda z tarasu plac Solny.

Letnie kawiarnie są puste z powodu chłodu. W jednej z nich kelner uruchamia gazowy palnik grzybek. Hryniewicz zapina sztruksową marynarkę, zaciąga się po przepone i wybiera numer komisarza. Warski nie odbiera. Próbuje szczęścia w sekretariacie prokuratury. Zaprzyjaźniona aplikantka, dla niego: Kamila z Ładnymi Cyckami Która Lubi Piwo, informuje, że „pani prokurator Anielewska niestety nie podejździe do telefonu”.

– Siedzi od wpół do dziewiątej w konferencyjnej... – Kamilka musiała gdzieś wyjść, może do toalety, bo teraz mówi już mniej oficjalnie, za to szeptem. – Jest obora, wszyscy na skraju wybuchu. Okręgowy wrzeszczał. Aniela cięta przy samej dupie. Zmieniają tam tylko termosy z kawą, donoszą krzesła i różni wpadają. Jest wiceprezydent, komendant, jakiś koleś od wojewody i Stopczyk, ten głupol z komisji bezpieczeństwa. Laski, co im donoszą kawę, mówią, że wciąż tylko gadają przez głośnomówiący z ministerstwami albo ambasadą. Ściągnęli z wokandy Marcelinę, bo u nas tylko ona dobrze po niemiecku... czekaj...

Szумы, szelestы, coś jakby trzaśnięcie drzwiami.

– Jesteś tam, Jacek?

- Jestem.
- Jeszcze chwila. Leżysz mi kolację w Spiżu.
- Masz jak w banku. Mów dalej.
- Zaraz... już... dobrze... czekaj...

Trzaśnięcie.

– ...zamówili jedzenie, szybko stamtąd nie wyjdą. Pięć minut, zanim dzwoniłeś, przyszło dwóch smutasów w czarnych garniturach. Wyglądają jak agent Kay i agent Jay.

- Że jak?
- Nie oglądałeś „Facetów w czerni”?
- Eeee...
- Jeden to wiceminister, a drugi to koordynator służb z Warszawy. Weszli i też siedzą.
- Jest Warski?
- Kto?
- Gliniarz, co zawsze chodzi z termosem.
- On jest. Tylko nie ma termosu. Chyba lekko ze dwadzieścia osób tam w sumie jest.

Jakąś komisję pewnie powołają... oszszszsz...

Ponownie szelest.

– ...to ja ci bardzo dziękuję, ciociu, za zaproszenie. Przekażę mamie i będę na pewno. Muszę wracać do pracy. Pa-paaa...

Kamila z Ładnymi Cyckami zrywa połączenie.

Hryniewicz przypala drugiego papierosa od pierwszego. Nad szczytami seledynowych i brzoskwiniowych kamienic północno-zachodni wiatr pcha w stronę Krzyków poszarpane chmury o barwie starych sińców. Telefon pika. SMS od wicenaczelnego: „zobacz Superak”.

Dziennikarz uruchamia przeglądarkę w chińskim smartfonie. Na stronie internetowej „Super Expressu”, pod hasłem „Nasze dochodzenie”, widzi artykuł „Homosataniści we wrocławskim kościele”. Podtytuł: „Czy dolnośląska policja przyzna się do błędu?”. Autor zaczyna od autopromocji. Pisze o prowadzonym od kilkunastu dni „wnikliwym dziennikarskim śledztwie”, którego efekty miał zamiar opublikować w przyszłym tygodniu, jednak w związku ze śmiercią niemieckiej funkcjonariuszki, czyli „niebывałym skandalem, do jakiego dopuścili dolnośląscy policjanci”, zdecydował się ujawnić tekst „w trybie natychmiastowym”. Dalej można przeczytać, że kantor Jan R., lat trzydzieści pięć, jest

osobą znaną w środowisku wrocławskich satanistów i homoseksualistów. Został wyrzucony z seminarium. Jego łóżkowy partner Adam T., lat trzydzieści cztery, zachorował tego lata na AIDS. „Czy zdesperowany i oszalały z rozpaczy kantor postanowił składać w ofierze młode kobiety, których śmierć miała uwolnić jego kochanka od strasznej choroby?”. Być może, bo „po tym gdy partner podejrzanego o morderstwa zmarł nagle we wrocławskim hospicjum”, załamany śpiewak oddał się dobrowolnie w ręce policji. Ta jednak pochopnie go wypuściła. Po wyjściu z aresztu prawdopodobnie zabił niemiecką funkcjonariuszkę Annę W., lat trzydzieści sześć. Dlaczego? Być może „zasmakował w makabrycznym zajęciu”. Dziś, w piątek, wczesnym rankiem, świadkowie widzieli go wśród zebranego pod kościołem tłumu, gdy przyglądał się leżącej na chodniku nieżywej Niemce. Jak mówi cytowany na koniec „amerykański specjalista z dziedziny kryminalistyki John Smooth” – taki powrót na miejsce przestępstwa „jest typowy dla sprawców działających pod wpływem silnych emocji”.

* * *

Kiedy wychodzą z wciąż niezakończonego zebrania na szeroki korytarz dawnych koszar cesarskich kirasjerów, komisarz Waldemar Warski jest zirytowany, a urzędująca w tym gmachu prokuratorka Aldona Anielewska rozeźlona bardziej niż zwykle. Ma do siebie pretensje, że wdała się w bezsensowną sprzeczkę z radnym Stopczykiem ze Stowarzyszenia Dużych Rodzin, który żądał uwzględnienia w śledztwie wątków okultystycznych i wymachiwał przy tym wydrukiem ze strony brukowca. Facet jest oligofrenikiem, lecz niepotrzebnie mu to udowadniała przy wiceprezydencie, który razem ze swoim szefem wisi politycznie na kilku głosach Stowarzyszenia. Prezydent jest ojcem chrzestnym córki prokuratora okręgowego, a jego i Stopczyka synowie – studenci prawa na Jagiellonce – wynajmują wspólnie mieszkanie w Krakowie. Do tego jeszcze wszyscy razem wygłupili się przed niemieckim konsulem generalnym, który rozmawiał z nimi, jadąc z jakiegoś spotkania w stolicy, i za pięć minut będzie na rogu Podwała i Sądowej. Trudno mieć Niemcowi za złe, że w końcu spytał z irytacją: „Kto właściwie dowodzi?”. A tego, szczególnie od momentu pojawienia się odzianych jak na pogrzeb polityków – pana ministra bez teki i pana koordynatora służb specjalnych – zebrani w sali konferencyjnej prokuratury okręgowej nadal nie wiedzą. Kwestia zwierzchnictwa zajmie im pewnie kolejną godzinę albo i dłużej. „Aniela” to wie i Warski to wie, więc idą na spotkanie z dyplomata, nie odzywając się do siebie ani słowem.

Herr Ulrich Bonhoffer, wcześniej stały zastępca konsula generalnego w Toronto i kierownik wydziału politycznego ambasady w Moskwie, pięćdziesięciosiedmioletni, ogolony na łyso postawny mężczyzna, siedzi na tylnym siedzeniu czarnej limuzyny audi A8. Na co dzień, o czym Anielewska i Warski wiedzą z lokalnej prasy, zasuwa do pracy rowerem. Teraz jednak przerwał urzędowe czynności w stolicy, więc wygląda dostojnie – w popielatym garniturze i takiej samej koszuli. Jego szofer, który już wyskoczył na trotuar, uchyla drzwi auta najpierw przed prokuratorką.

Warski sam sobie otwiera, siada na miejscu obok kierowcy, wymienia ukłony z Bonhofferem i sadowiącym się już na powrót za kółkiem facetem, który flotą samochodową konsulatu zajmuje się w drugim rzędzie. Przede wszystkim – co policjant dostrzega natychmiast – jest komandosem. Gdy wjeżdża między ceglane, porośnięte czerwieniejącymi pnączami mury Uniwersytetu Przyrodniczego i szpitala, siedzący za nim konsul mówi łamaną polszczyzną, że Chałubińskiego to jedna z jego ulubionych ulic w mieście.

Warski potakuje mrukliwie i po raz czwarty w ciągu godziny odrzuca telefon od Hryniewicza. Gdy parkują, komandos zostaje w wozie. Do gabinetu Magdaleny Batorzyńskiej wchodzi we troje.

– Jeśli chodzi o obrażenia Any Wittesch, to nie mam państwu do zakomunikowania niczego wyjątkowego – patolożka od razu przechodzi do rzeczy. Mówiąc wręcz Bonhofferowi trzy spięte kartki. Zdążyła wydrukować raport po niemiecku. O ile rozmawiając ze śledczymi i samorządowcami konsul mógł mieć wrażenie, że prowadzi debatę z bandą amatorów, teraz jest wyraźnie ukontentowany profesjonalnym podejściem lekarki.

– ...ślady na nadgarstkach, stopach i w okolicach krtani są zbieżne ze śladami na ciałach Edith Kronenberg i Wandy Kamińskiej. Główna różnica to częściowe spalenie włosów na głowie, ślady po traktowaniu urządzeniem elektrycznym, mógł być nim paralizator igłowy, ślady po odbytych stosunku...

Ostatnie słowo sprawia, że Anielewska robi niewielki, nerwowy ruch, a Warski prycha, co zwraca uwagę pogrążonego w lekturze dyplomaty.

– *Was haben Sie gesagt?*

– *Fräulein Ana wurde vermutlich vergewaltigt* – niemczyzna Magdaleny jest

nienaganna. Warski nigdy wcześniej nie usłyszał od niej słowa w tym języku.

– ...została zgwałcona, a ja zabezpieczyłam męskie nasienie, będziemy mieli DNA, co jednak chwilę potrwa.

– We grupie, która z Behhlin jecie, jest apahhat do szybkich analizowań – polszczyzna Bonhoffera brzmi w uszach Warskiego trochę podobnie do mowy skurwiela z Watykanu. Tyle że tamten, śniadając, tylko starał się nadać swemu tonowi elegancką nonszalancję lwa salonowego. A ten po prostu należy do klasy wyższej. Z pewnością nie używa tytoniu, pije kawę z mlekiem sojowym, a jego żona – jeśli ją ma – wcina kiełki z pieczywem orkiszowym.

– Bardzo chętnie skorzystam z waszej pomocy – Magdalena Batorzyńska z uśmiechem przyjmuje propozycję konsula i obiecuje pozostać do dyspozycji. Formalności związane z wysłaniem ciała do Niemiec zostaną wdrożone najpóźniej do wieczora. Dyplomata nie wyraża potrzeby przyjrzenia się zwłokom. Anielewska też chce jak najszybciej opuścić gabinet. Ma już w komórce cztery SMS-y od pozostawionej na zebraniu zaufanej aplikantki. Zgodnie z jej przypuszczeniami powołanie speckomisji utknęło na kwestii zwierzchnictwa.

* * *

Komisarz i patolożka idą sami do laboratorium. W wąskim korytarzu, przed nałożeniem fartucha i ochraniaczy, on krótko rozmawia przez telefon z proboszczem Witeckim. Zaczyna od słów: „Mam do księdza nietypową prośbę i proszę na razie bez pytań...”.

Pod drzwiami sali sekcyjnej chowa smartfon i ściska rękę lekarki.

– Dziękuję jeszcze raz.

– Nie powiem, że nie ma za co – Magdalena uwalnia dłoni.

– Aleks próbki przywiózł?

– Jedną dwunastą grama owłosienia. Ale wystarczy.

– Ile potrzebujesz czasu?

– Dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli Niemcy rzeczywiście dowiozą sprzęt, o którym myślę.

Policjant szarpie się za włosy, jakby sprawdzał, czy w drugiej dobie bez spania jeszcze ma czucie.

– OK. Wiesz, że to było jedyne wyjście, a i tak mamy cholernie daleko?

– A ty wiesz, co było najzabawniejsze? – lekarka odpowiada pytaniem na pytanie,

otwiera obite cynkowaną blachą wahadłowe drzwi i sama sobie odpowiada. – To, że nie napisałam panu konsulowi ani słowa kłamstwa. Ona faktycznie ma te wszystkie obrażenia.

Warski wchodzi do wyłożonej jasnymi kafłami sali, gdzie obok przeszklonego dygestorium na kozetce siedzi ubrana wyłącznie w fizelinowy fartuch nadkomisarz Ana Wittesch. Jej kolana i łydki pokrywają siniaki. W nadgarstek ma wbity wenflon. Przezroczystry wężyk łączy go z kroplówką. Usta Any są spękane, białka oczu czerwone. Na jej czaszce została tylko połowa włosów. Warski chciałby ją objąć, przytulić. Ale boi się, że dotyk zada jej tylko większy ból.

CZĘŚĆ
TRZECIA

BEZ ODDECHU

Rozdział 25.

Piątek 30 września, popołudnie

– *Ich habe versucht nicht aufgeben, aber...* to nie był tylko strach, prąd elektryczny i ból. Najmocniej się takie wyzwala w głowie... Obezwala wolę.

– Obezwładnia – Magdalena Batorzyńska trzyma dłoń niemieckiej policjantki. – Nie musisz się tłumaczyć.

Warski chodzi po laboratorium. Wie, że jeśli usiądzie, straci przytomność. Musi przeczekać kryzys.

– Gdzie to mogło być?

– Wszędzie. Jak się obudziłam z narkozy, byłam zamknięta we worku. Potem mnie związali na takie łóżko, jakby te stare nosze w szpitalu. Metalowe i obite materiałem szorstki, pachniało olej od silnika. Wilgotno *und der Geruch von Rost*. Po polski chyba... rdza.

– Ktoś coś mówił?

– Nie pamiętam.

– Dzwonił telefon? Jakiś inny dźwięk?

– *Nein* – Ana spuszcza głowę. Magdalena okrywa ją kocem. Waldemar trze zarost na brodzie. Poci się z niewyspania.

– Masz tu jakieś lekarstwo na wzmocnienie? – pyta Magdaleny.

– Nieboszczycy nie wymagają lekarstw.

– Ale chyba w szpitalu mają? Pirytyinol, tianeptyna, coś szybciej działającego.

– Poczekaj.

Lekarka wychodzi z sali. Komisarz kuca pod kroplówką.

– Przepraszam, że nie zdążyłem wyciągnąć cię wcześniej.

– Sama poszłam.

– Mogłaś już nie żyć.

– *Das war ein Fehler...* był mój błąd. Nie doceniłam Dannera. Ciebie też nie doceniłam – w spojrzeniu Any jest coś w rodzaju podziwu. I chyba wdzięczności. – Nadmieniłeś fałszywe ciało.

– Podmieniłem. Mówi się podmienić.

- W Berlinie nikt by się nie poważył tak zrobić.
 - Muszę mieć przewagę. Tu chodzi o czas. Zanim skurwiele znikną. Potrzeba mi informacji.
 - Trzeba pojechać do moich papierów w kościele. Tam jest wszystko o oszustwach...
 - Wiem. Ksiądz mi pokazał. Musimy znaleźć lukę w tym systemie, miejsce, do którego się przyczepimy. Razem.
- Ana przytakuje, ale jej myśli są daleko stąd.
- Próbowałam się nie poddać.
 - Wiem.

* * *

W wypełnionej szafami i skrzyniami zakrystii, pod ciężkim lustrem w rzeźbionej ramie, ksiądz doktor Edmund Witecki starannie składa gołębi habit siostry Klary. Twarz ma steraną, ruchy mozolne.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – Bronisław Kalisz wchodzi bez pukania. Ma na sobie beżową marynarkę i długi płaszcz.

– Teraz i zawsze – proboszcz ledwie otwiera usta. Pakuje złożoną suknię do siatki reklamówki, tej samej, w której zakonnica przynosi mu butelki z rieslingiem. Na gościa nie patrzy.

– Jego ekscelencja dzwonił do Watykanu – kanclerz siada na krześle obok paschału, zakłada nogę na nogę, odsłania błyszczący trzewik i czekoladową skarpetkę w czarne groszki. Pleban dopiero teraz na niego spogląda.

– Stało się coś strasznego – wiesz plastikową siatkę obok ministranckich komży. – Dowiedziałem się od policjanta, że to Alois Kuntz porwał Anę.

– Jego ekscelencja, jak mówię, dzwonił osobiście – kierownik kancelarii biskupiej zdaje się nie słuchać Witeckiego. – Na moją prośbę. Powiadomił o tym, o czym mi ksiądz był łaskaw wcześniej opowiedzieć. Nie mogę zbyt wiele zdradzać, co zaszło, lecz najdelikatniej ujmując...

– Kuntz zgwałcił niemiecką policjantkę.

– ...najdelikatniej mówiąc, kancelaria apostolska już nie popiera akcji wysłannika. I emerytura oraz wszelkie jego groźby pod adresem księdza są w tej chwili bez znaczenia. Doktor Kuntz wróci zaraz do Watykanu. Pofatygowałem się tutaj, żeby proboszczowi oznajmić...

– Tego się nie da już zatuszować.

– Niechże ksiądz da mi skończyć!

Proboszcz opiera się o skrzynię. Kanclerz chrząka.

– Edmundzie drogi, nikt nie chce niczego tuszować. Jeżeli jest tak, jak powiadasz, jeżeli ten człowiek skrzywdził twoją krewną...

– Jak wcześniej jej ojca.

– ...tą sprawą musi się zająć ramię świeckie. Dzwonił już z Warszawy wiceminister Kaszubski. Jest w stałym kontakcie z Rzymem.

Pukanie.

Aleksander Toczyk kurtkę ma mokrą od deszczu, w ręce trzyma czapkę. Kłania się proboszczowi.

– Komisarz mnie przysłał do księdza po...

– Tak, wiem – Witecki zdejmuje z wieszaka reklamówkę. – Czy może mi pan powiedzieć, po co to wam?

– Komisarz sam księdzu powie.

Odbierając foliową siatkę, młody policjant puszcza do starego kapłana oko. Albo tak się tylko duchownemu zdaje.

Dlaczego Warski zaczął od prośby o niezadawanie pytań, a potem dwukrotnie prosił, by pod żadnym pozorem nie opuszczać kościoła? Kogo policjanci chcą przebierać w zakonny strój pocziwej Klary?

– ...musi ksiądz jednak mieć na uwadze, że w takich wypadkach wszyscy chowają się po norach – Bronisław Kalisz ciągnie swoje kazanie. – Na polu bitwy zostają asystenci.

Proboszcz już nie słucha. Zaczyna się w myślach modlić do świętego Judy apostoła.

„Boże nadziei, przyjdź do mnie...”.

* * *

– Co to jest?

– Pirisudanol, winpocetyna... nie jestem farmakologiem, ale dostałam z zaufanego źródła

– Magda Batorzyńska wysypuje tabletki na drżącą dłoń Any Witesch. Zerka przy tym na komisarza Warskiego. – Myślałam, że to lekarstwa dla ciebie.

– Neeee... – Waldemar napełnia kranówką plastikowy kubek. – Jadą tutaj gliniarze z Berlina. Na pewno będą chcieli zobaczyć ciało. Tylko Ana może ich opóźnić. Potrzebujemy dosłownie kilku godzin.

– Podam jeszcze mikroelementy – lekarka przygląda się kroplówce.

Ana połyka proszki, Warski podaje jej kubek. Ona popija.

– Mogę dzwonić.

On wyciąga z kieszeni stary telefon – mocno pokancerowaną nokię z klapką. Zabytek z magazynu dowodów komisariatu Śródmieście. Kartę Miłosz Grotecki dokupił za gotówkę wziętą od Waldemara.

– Masz tutaj wbite trzy numery: do mnie, do Aleksa i do dyżurnego. Ja wrócę za mniej niż godzinę.

– Nie zapomnij o prysznicu – patolożka wymownie dotyka palcem nosa. Ana próbuje się uśmiechnąć. Warski wychodzi bez pożegnania. Wie, że cuchnie. Pośladki mu się kleją, oddycha płytko. Nadaje się pod kroplówkę nie mniej niż Ana, ale nie może się kłaść. Potrzebuje informacji – i wiele szczęścia. Ale przede wszystkim wypoczynku. Chwili, żeby zregenerować choć parę mięśni i kilka fałd mózgu.

* * *

Pod wodą wcale nie jest cicho. Każdy uwalniający się z płuc bąbel powietrza jest jak uderzenie w werbel. Serce – niczym wielki bęben – nadaje rytm. W uszach rozprężają się dźwięki zebrane w ciągu ostatnich godzin. Tworzą dziwną, szarpaną melodię bez refrenu.

Ile ma czasu?

Pod wodą jeszcze dwie minuty. Więcej jego wyczerpany organizm nie wytrzyma.

A na powierzchni? Wszystko zależy od tego, czy Anie uda się przekonać swojego szefa, żeby zatrzymał dla siebie informację o jej zmartwychwstaniu i opóźnił oględziny zwłok.

Tak mało brakowało, a nie byłoby żadnego zmartwychwstania.

Ona niczego nie pamięta, więc nie powie mu, jak to jest bezwolnie iść trasą prowadzącą ku śmierci. A on nie da rady tego pojąć. Tak jak nie sposób sobie wyobrazić, jak to jest być drzewem, kukułką czy trupem.

Powinien już wypłynąć. W płucach nie ma powietrza, które mógłby uwolnić, by kupić jeszcze kilkanaście sekund pod wodą.

A gdyby już nie targować się z nikim o czas? Zyskać wieczny spokój bez długich przerw na wynurzenia. Roztopić się w ciszy, której nie będzie już zakłócać nawet bicie serca. W spokojnej nocy bez koszmarów i wspomnień.

Wystarczy otworzyć usta i zrobić głęboki wdech...

Ana próbuje wstać, ale to wciąż zbyt duży wysiłek. Siada więc z powrotem na kozetce i opiera się plecami o zimną ścianę. Wystukuje na małej klawiaturze starej nokii numer Jonasa Grubera. Cztery sygnały, sześć. Nie odbiera.

Polizeihauptkommissar zwykle ignoruje połączenia z nieznanymi numerów. Więc Ana wysyła długą wiadomość do Norberta Axelbrodta. Czeka pięć minut, bezskutecznie usiłując się w tym czasie dodzwonić do Georga. W końcu ponownie wybiera numer swojego szefa.

Gruber odbiera natychmiast.

– *Mein Gott!* – choć Axelbrodt uprzedził, kto zadzwoni, szef i tak podnosi głos, co zdarza mu się niezwykle rzadko. – Jakim cudem?!

– *Das ist eine lange Geschichte.* Bardzo długa historia. A ja na razie nie mam siły opowiadać. Powiedz mi... słyszałeś kiedyś plotki, dlaczego nasi chcieli zwerbować właśnie mojego ojca?

– Co? O czym ty...?! Ostrzegałem cię, żebyś nie grzebała...

– Jestem w złym stanie, Jonas. Jestem w szpitalu. Na lekach. A czas się liczy. Odpowiadaj możliwie krótko. To ważne. Również dla ciebie.

Cisza po drugiej stronie linii.

– Proszę cię, Jonas. Coś tu odkryłam.

– Ta linia nie jest bezpieczna.

– Nie wykręcaj się, Jonas. Mówimy o dawnej historii.

Nadal cisza. A potem pomruk:

– Leonard podobno pracował nad programem... specyficznego treningu ludzi do zadań specjalnych. Bardzo specjalnych. Podobno mieli na Lichtenbergu jakieś urządzenie czy pomieszczenie. Potem, 15 stycznia, szukaliśmy czegoś o tym wśród fruwających papierów, ale nie znaleźliśmy. Tak mówił mi jeden emeryt z Pullach. Twój ojciec znał szczegóły fabrykowania tych...

– ...kamikadze. Tak?

Gruber nie odpowiada. Aktywnie milczy. To fachman. Już wie, że Ana wie więcej niż on.

– Oni to kontynuują, Jonas. Tutaj. W Polsce. We Wrocławiu albo gdzieś niedaleko. Mają starą aparaturę Hauptabteilung Zwei.

- „Oni”?
- Na pewno Manfred Danner. IX Wydział Zarządu Wywiadowczego. Pamiętasz?
- Wysłany do Watykanu po upadku muru.
- Bravo! Zawsze mówili mi, że jesteś chodzącą encyklopedią.
- Jadą już po ciebie.
- Nie, Jonas, nie dziś. Możesz wstrzymać grupę?
- Co?
- Oni mnie do tej komory wsadzili. Chcieli mnie zabić. Danner i jego tutejsi współpracownicy.
- Kiedy?! Teraz?! Jacy współpracownicy? On czymś kieruje w Polsce?!
- Tak, jest tu przestępcza. Porwali mnie dwa dni temu. Z grubsza. Chcesz mieć dokumentację eksperymentów?
- Tak.
- Wstrzymaj grupę.
- Mogę ich nawet cofnąć. Przyjadę sam – decyduje Gruber.
- Jak wolisz.
- Do zobaczenia.
- Zaczekaj! Dlaczego Georg od tygodnia nie odbiera telefonu?
- Tego... jest na granicy austriackiej. Mamy zagrożenie terrorystyczne.
- Co?
- Linia nie jest czysta.
- Rozumiem. Jak przyjedziesz, dzwoń na ten numer. I nie gadaj z nikim po polskiej stronie. To ważne.

* * *

Doktor Batorzyńska wraca do sali sekcyjnej z dwiema butelkami soku marchwiowego i w towarzystwie obciętej na jeża pielęgniarki.

– Damy pani jeszcze sól fizjologiczną z mikroelementami – siostra bierze policjantkę za ramię z tkwiącą w żyłę kaniulą, a potem robi swoje sprawnie i bez słowa. Magdalena siada na metalowym taborecie i też milczy. Po wyjściu pielęgniarki odkręca nakrętkę, podaje pomarańczową butelkę i dwie tabletki.

– Co to?

– Pigułka po... EllaOne i Postinor dla pewności. *Besser spät als nie.*

Patolożka uśmiecha się ciepło. Ana patrzy na nią uważnie, lecz nieco nieufnie. Wygląda szpitalny ciuch na szczupłych udach.

– Kochasz go jeszcze?

Lekarka nie jest zaskoczona pytaniem. Tylko w jej uśmiech wpełza nagła gorycz.

– Nie. Możesz sobie z tym egzemplarzem robić, co zechcesz. Jeśli zechcesz, choć to zabawa obarczona sporym ryzykiem rozległych poparzeń. Ja już mam inne plany na życie.

Rozdział 26.

Piątek 30 września, wczesny wieczór

Pisk telefonu. Dźwięki z ulicy. Zapach kanalizacji. Jakiś niedobry, gwałtownie przerwany sen, którego treść uleciała, lecz w ciele został osad, niby brud w niedomytej szklance.

Za oknem zmierzch, mżawka i wiatr. Pod powiekami – szczypanie. Ból w obu ramionach. Waldemar Warski – w drodze z basenu – wpadł na Świdnicką zmienić ubranie, usiadł na wytartej wersalce – i zasnął na siedząco.

A powinien być już – cholera – przy Anie. Powinni już działać. Telefon nadal hałasuje. To Hryniewicz.

– Co chcesz?

– Dzień dobry. Dobry wieczór właściwie. Komentarza potrzeba. Do oświadczenia komisji.

– Jakiej komisji?

– To... co... pan nie wie? Komunikat wydali po posiedzeniu chyba sześciogodzinnym.

– Że co?

– No właśnie... że nic. Gdzie pan jest w ogóle?

– W domu.

– Odsunęli pana od śledztwa?

– Powiedzmy, że możesz tak napisać.

– Dlaczego?

– Nie mam wyników, stoję w miejscu. Muszę już kończyć.

– Zaraz! Kto będzie prowadził za pana...

– Kończyć muszę.

– Anielewska nadal nadzoruje?

– Zdrożka zapytaj, OK?

– Zdrożek nic mi nie mówi. Trwa u was drugie zebranie. Ja mam za trzy godziny deadline.

– Twój problem, Jacek. Cześć.

Warski się rozłącza, ale jeszcze przez chwilę patrzy na wyświetlacz. W czasie gdy brał prysznic i spał, dzwonili kolejno: Konarski, „Aniela”, Toczyk, „Esmeralda”, proboszcz... a na koniec Ana z podarowanego jej dzisiaj telefonu.

Zakłada świeże majtki i raz już użyty podkoszulek, który znajduje pod okładką płyty Miraculous Mule. Oddzwanianie zaczyna od Aleksandra. Rozmawiając z nim, robi koktajl, zjada kawałek pizzy z bekonem, która jest jednocześnie czerstwa i gumowa, goli się, wkłada ciepłą bluzę z golfem. Kabura, kurtka, długie skarpety, trampy, drugie buty, blacha, termos... wszystko jest. Wszystko będzie. Wszystko się stanie tej nocy. Potrzebuje tylko jeszcze jednego linku. Jednego dostępu. Jednego słabego punktu. Jednej nierówności, w którą można wczepić palce.

Gdy wsiada na obdrapanym podwórze do saaba, jest osiemnasta trzydzieści. Temperatura spadła do pięciu stopni i leci w dół.

* * *

Pół kilometra dalej, na placu Solnym, użytkownik @hryniewiczjacek tweetuje: „Komisarz Warski nie prowadzi już śledztwa w sprawie wrocławskich morderstw. Kto go zastąpi?”.

Chwilę później dziennikarz siada do przerabiania mętnego i ogólnikowego komunikatu prokuratorsko-policyjno-samorządowej komisji specjalnej na coś, co może udawać artykuł. Nowych faktów jest tyle co kot napłakał. Ale po dziewiętnastej „Wiadomości” i tak zaczynają wieczorny serwis od „Spychacza”. Minister spraw wewnętrznych w siedzibie kancelarii premiera – i w obecności niemieckiego ambasadora – zapewnia naród, że osoba lub osoby winne śmierci nadkomisarz Any Wittesch nie ujdą sprawiedliwości.

– Nad sprawą pracują całodobowo nasi najlepsi ludzie – mówi chwilę później sfilmowany na rogu Puławskiej i Ksawerów zastępca komendanta głównego policji.

Potem kamera pokazuje wrocławską prokuratorkę i rzecznika Zdrożka. Po ich wypowiedziach telewizorze mogą przeczytać tweet lokalnego dziennikarza i wysłuchać komentarza radnego ze Stowarzyszenia Dużych Rodzin, który uważa, że w dochodzeniu należy uwzględnić wątek satanistyczny. Z jego zdaniem zgadza się przed kamerą energicznie gestykułująca emerytowana felczerka weterynarii, personifikacja społeczeństwa Wrocławia.

Następny materiał dotyczy już prac Sejmu.

* * *

„...Boże, korzę się przed Tobą i proszę, abyś przebaczył mi moje grzechy. Pomóż mi, uratuj i przyprowadź do Siebie. Jezu, zamieszkać w moim sercu, bądź moim Panem i Zbawicielem. Pokaż mi, jak żyć. Zmień mnie i daj mi nowe życie. Chcę zacząć wszystko od początku, razem z Tobą...”.

W pustym, ciemnym pomieszczeniu stoi duża walizka. Jan Rudzki leży pod krucyfiksem. Proboszcz Witecki – w grubym swetrze narzuconym na sutannę – wchodzi bezszelestnie. Leżący krzyżem długo go nie dostrzega, a gdy wreszcie widzi – nie reaguje od razu. Kończy modlitwę i dopiero wtedy wstaje z posadzki. Ksiądz obejmuje go jak ojciec. Całuje w oba policzki. Grymas na zgnębionej twarzy Jana może być równie dobrze oznaką konsternacji, jak i próbą zdobycia się na dziękczynny uśmiech. Kantor podnosi walizkę. Rusza w stronę kancelarii parafialnej i wyjścia na ulicę Łaciarską. Kapłan nie odprowadza go do progu. Sam klęka pod krzyżem i zaczyna się modlić. Za duszę Any, w intencji Jana. A później jeszcze raz do świętego Judy apostoła – o ufność. Pacierz przerywa mu dalekie kołatanie. Wie, że to Warski. Czeka na niego.

Prawdę powiedziawszy, czeka na cud.

* * *

W otwartych drzwiach stoi niepozorna zakonnica ze wzrokiem wbitym w kamienie chodnika. Rękawy habitu ma za krótkie, skraj sukni odsłania męskie, za duże buty.

– Ana! Skądżeś ty...

Warski, który stoi za plecami zakonnicy, gwałtownie kładzie palec na ustach.

Ksiądz Edmund milknie i wciąga kuzynkę do wnętrza świątyni, jakby na zewnątrz mogło jej grozić coś gorszego niż przeziębienie. W słabo oświetlonym przedsionku przybliży twarz do jej twarzy. Bez makijażu, z podkrążonymi i zaczerwienionymi oczami, z zapadniętymi policzkami córka Leonarda zdaje się starsza nie o dwa dni, których jej nie widział, ale o pięć lat.

Warski zamyka wejście.

– Jesteśmy sami?

– Tak – ksiądz nie wypuszcza Any z objęć. – Boże, więc kto skoczył z mostku?

– Nikt. I nikt już nie skoczy. Przywieźliśmy na pokaz ciało z zakładu medycyny sądowej. Znajoma lekarka pomogła – komisarz bierze Anę pod łokieć, chce, by proboszcz już ją

zostawił w spokoju. – Możemy zaczynać?

– Tak, tak... – kapłan prowadzi w głąb gmachu. Mijają kancelarię, salę z krucyfiksem, wchodzą na drewniane półpiętro. Korytarz dormitorium i cela sypialnia. Nadkomisarz Wittesch, nie zdejmując habitu, podchodzi do korkowej tablicy i ściąga dwie karty.

– Mówiłam tobie, że długo szukać nie będziemy – patrzy na Warskiego, który kładzie na jej niewielkim biurku podręczną motorolę, termos i telefon.

– Zwykły mail wystarczy?

– Zobaczymy – ona otwiera skrzydło laptopa i przynosi z łazienki ukryty za podgrzewaczem token. Ściąga pożyczone buty.

– Jedno już wiemy, są wyczuleni na szczegóły – Warski podaje jej adidasy.

– Wyślemy pod oba adresy z żądaniem potwierdzenia odbioru – gdy Ana zdejmuje welon mniszki, ksiądz proboszcz, który przycupnął w kącie, zasłania usta. Magda Batorzyńska obcięła Anie włosy, jak umiała. Plastry i bandaże kryją tylko część oparzeń.

– Tu dwa siedemnaście – motorola chrypi na wąskim blacie.

– Dwa dwadzieścia – policjant podnosi radio.

– Wszedł do środka. Odbiór dobry. Słyszymy, jak puka w klawisze.

– OK! Musisz się pospieszyć – ostatnie zdanie nie jest już skierowane do siedzących pod hotelem Toczyka i Groteckiego, tylko do Any, która właśnie nakłada luźny zielony blezer.

I spieszy się.

Napisanie i wysłanie dwóch maili – jednakowo sformułowanych po angielsku w perfekcyjnym bankowym żargonie – zajmuje jej niespełna osiem minut. Odbiorcami sześćdziesięciu informacji są fundacje Save Undiscovered World z Monrowii i Education Transfer z Greenville. Nadawcą jest bank Wells Financial Center, również z Monrowii, gdzie dochodzi w tej chwili siedemnasta czterdzieści.

Cztery minuty po wysłaniu obu wiadomości Toczyk melduje, że figurant przestał stukać w klawisze, rozmawiał z kimś krótko po angielsku przez telefon, bezskutecznie żądając połączenia z jakąś osobą tytułowaną „prezesem”. Przed chwilą zadzwonił do kogoś innego. Kazał mu – już po polsku – przyjechać do hotelu „natychmiast”. W trakcie pierwszej rozmowy ton figuranta był ugrzeczniony. W czasie drugiej rzucał kurwami, fuckami i niemieckimi wyzwiskami.

– Dobra... no to czekamy. Możesz mi go sprawdzić? – komisarz podaje siedzącej przy biurku samsunga. Na ekranie facet może pięćdziesięciokilkuletni, twarz manekina, mięsiste usta, ciasno pod szyją – barwny węzeł krawata.

– Mogę... tylko mi nie patrz na ręce – ona uśmiecha się jednym kącikiem popękanych ust i uruchamia program szyfrujący. Potem hasła, zaszyfrowany SMS i token.

– *Oberst* Polnische Volksarmee Tadeusz Kalita, wcześniej, kiedy był kapitan, to *Stasi-Agent*. Potem służył w Militarnych Informacjach. We-es-i.

– Wu-es-i.

– Dalej Agencja Wywiadu do roku 2007. Obecny pracodawca nieustalony, *wahrscheinlich* nadal w służbu państwowym, specjalista od osłaniania operacji.

– Jakież osoby powiązane?

– *Mehr als ein Dutzend*.

– Tuzin. Jest niejaka Joanna Stanisz?

– *Ja, gibt es...* Absolwentka Instytut Psychologii Wydział Uniwersytetu Wrocławski. Pracowała dla służby specjalnej, prawa ręka pułkownika Kality. Zależność stwierdzona, charakter zależności: całkowity. Jest foto.

Warski cicho syczy na widok zdjęcia młodszej o dziesięć lat Joanny w zwiewnej letniej sukience i z parasolką w dłoni.

– Są inne zdjęcia powiązany.

Ana otwiera nowe okno. Co najmniej szesnaście fotografii – kolorowych i czarno-białych, o różnym stopniu ostrości. Jest śniadolicy typ o czarnych włosach i twarzy bandziora, ten sprinter i zarazem mistrz parkuru, który na ulicy Bogusławskiego sforsował sześciometrowy mur, jak gdyby był pajakiem.

– Kto to?

– Krystian Kolczyk, *Zigeuner*. *Neunzehnhundert neunundachtzigsten* podejrzany o udział w podwójnym zabójstwie, dochodzenie umorzone, dwa lata potem znów aresztowanie. Morderstwo i zastraszanie świadków. Nie było wyroku. Zawieszono postępowanie. Dalej duża lista przestępstwa... *gefährlich und unverbesserliche Verbrecher*... niebezpieczny kryminalista. Przypisywany pięć ofiar w tym malcu... małe dziecko. Zależność od Kalita stwierdzona w roku 2009.

– Skąd wy to wszystko macie?

– Nie zrobiliście... jak to się polski nazywa... *Überprüfung durch die Gauckbehörde*.

Przesprawdzenie w przeszłości.

– Lustracja?

– *Genau*. Nie zrobiliście lustracji. Dlatego my to potem... *das ist ständig weiterentwickelt*.

– Co?

– Cały czas rozwijamy bazę dawnych polskich agentów Stasi – policjantka patrzy na komisarza, na proboszcza, znowu na Waldemara. – Mój ojciec część tego wydał na Zachód, potem było uzupełnianie. Stryjowi wszystko już opowiadałam.

Proboszcz twierdząco mruczy.

– Możesz opowiedzieć i mnie, skoro czekamy.

– *Pappi* miał dać małe i duże prezent. Inne słowo... niedobra. Nie prezent, tylko *Mitgift*, co się na ślubie daje.

– Posag, wiano...

– Tak, wiano. Duży *Mitgift* to była dokumentacja od tej aparatury tresowania ludzi, ale ojciec nie zdążył jej przekazać. Mały *Mitgift* tylko jedna walizka, ja zawiozłam. Agentura De-de-er u waszych. W osiemdziesiątym roku Wydział Główny Drugi zwołał, powołał Operativgruppe Warschau. *Ossi*, wschodnie Niemce, już nie ufali polskie towarzyszy. Ost-Berlin i Moskau nie mieli wiary dla polskiej bezpieki, rozumiesz?

– OK.

– Bo dla nich ona była zbyt spenetrowana przez waszą „Solidarnoszcz”. Od tamten rok osiemdziesiąty *Ossi* uznali Polen za teren operacyjny, tak samo jak wrogie kraje. *Genau*. Jak Bundesrepublik, jak Austria. Za polskich ludzi opozycji, Kościoła i młodzieży... za inwigilowanie ich wszystkich się zabrał ten, co dowodził Grupa Warszawa, Detlef Wielkes. Podwładny bezpośrednio generała Schütta. Otworzyli oni Stasistelle in Wrocław, Warszawa und Danzig. Agentów mieli kilka setki. Tadeusz Kalita był tylko kapitan wtedy, mało ważny agent...

– ...lecz zrobił postępy.

– Dużo ludzi z tej listy potem było u was *als Botschafter, Minister, Mitglied der Regierung*. Doradca prezydenta. Duży biznesmeni. My ich wszystkich mamy w bazie, *mit kompromittierenden Materialien auch...*

– Kto to uzupełnia?

– Analitykowie. Głównie internetem. Już operacyjny się nie prowadzi działań w stronę

Polski, jest sojusznictwo, ale dane są gromadzone. Zobacz ostatnia aktualizacja na temat Kalita. Dziesięć miesięcy temu. Global Trade Consulting. On ma w tym dwadzieścia trzy procent udział, Joanna Stanisława resztę. Jest podmiot związany – kancelaria prawna Jagielski und Partner. Masz rejestr transakcji, numery działek od Kościoła, adresy notariuszów. Masz nawet *finanzielle Vorteile*... tu beneficjentów jakby sprawdzać, dam sto procent, że będzie to, co wcześniej znalazłam gdzie indziej: oba fundacje z Afryki i bank. Ja je wytropiłam idąc za pieniędzmi, ale od personalnej strony do tego samego, jak widać... dochodzi człowiek też.

Charczy motorola.

– Dwa siedemnaście do dwa dwadzieścia. Przyjechał taksówką opisany.

– Dobra. Ano, robimy tak: ty i ksiądz zostanieie. Pod telefonem. Ja tam teraz pójde.

– ...idę z tobą.

– Nie jesteś w stanie chodzić.

– Jestem – policjantka wyciąga spod łóżka walizkę, a z niej – pikowaną zieloną kurtkę z kapturem. Komisarz pierwszy wychodzi na korytarz.

* * *

Wieczór jest lodowaty. Przed kawiarniami na Kiełbaśniczej i Malarskiej w ciasnych ogródkach siedzą i stoją – w kurtkach i skafandrach – tylko najbardziej zagorzali nikotyniści. Ktoś usiłuje brzdąkać na gitarze. Choć nie pada, karoseria starego renault bez kołpaków pokryła się kroplami. Ana i Waldemar wsiadają na pełną okruchów tylną kanapę. Szyby od wewnątrz są tak zaparowane, że po zatrzaśnięciu drzwi nie widać ulicy. Toczyk z lustrzanką Canona na kolanach częstuje ciepłą herbatą, którą podrzucił przed chwilą w dzbanku jeden z dochodzeniowców czatujących w pobliskim lokalu w całkiem innej sprawie. Warski ma własny termos.

Grotecki na fotelu kierowcy trzyma odbiornik tak, aby wszyscy mogli słyszeć, co się dzieje w apartamencie sto siedemnaście. Na razie nic ciekawego. Z łazienki dochodzi dźwięk spuszczonej wody, potem kilka nieokreślonych hałasów: stuk-puk, szuranie, trzaśnięcie.

– To może mi łaskawie haczysz odpowiedzieć, po co ten teeth?

– Pokazy były, ale się skończyły. Poeksperymentowała, ale już się zwija. Efekty są. Mamy z głowy klechę, Niemkę i Konarski poleci... Kowboj załatwiony. Biorą mu śledztwo w pizdu. Teraz będą sobie biegali za satanistami.

– A to? Czo to ma znaczczyz? – gdy Alois Kuntz podnosi głos, Ana – w zaparkowanym samochodzie – mimowolnie chowa głowę w ramionach.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie hhozumiem, dlaczego Wells Financial chce źródła pochodzenia środków z przelewu!

– Nigdy wcześniej o to nie pytali?

– *Nein!* A wiesz, dlaczego?! Bo ich też nikt nigdy o to nie pytał! Czytam czy: *I ask for an explanation of the origin following payments in connection with the question received.* Kto wokoło nas węszy? Polska policja?!

– Nie piszą?

– Ty hozumiesz po angielsku czy nie?! Wpłynęło do nich zapytanie. Wpły-nę-ło! Nie piszą – od kogo. Mail przyszedł przed godziną niecałą.

Chwila milczenia.

– Z policji?!

– To wiedziałbym.

– Interpol może?

– Też bym wiedział.

Brzęk szkła, ciche buczenie, dwa przytłumione zdania. Potem wyraźne pytanie zadane niskim głosem:

– A jeśli to fałszywka?

I odpowiedź, także w formie pytania:

– A jezli to pułapka?!

– Kurwa!

– *Scheiße!*

Chwila ciszy. Potem kroki, zgrzyty i łomot zatraskiwanych drzwi.

Dwaj aspiranci, komisarz i Ana wyskakują z samochodu.

– Aleks, garaż! Ty na tył! – Warski wskazuje narożnik Łaziennej. Grotecki wie, o co chodzi. Biegnie ku ukrytemu podwórzu.

Ana i Waldemar wpadają do hotelu głównym wejściem.

* * *

Były pułkownik Tadeusz Kalita zbiegł już do wypełnionej gośćmi restauracji. Podwójne drzwi od kuchni, zdziwione twarze przygotowujących jedzenie kobiet o czerwonych

twarzach i wrogi okrzyk grubasa w zaplamionym zielonym fartuchu. Smród octu i frytury, wózek z talerzami i sztućcami, brzęk tłuczonego szkła, wąski korytarz, rury ciepłownicze, agregaty prądu. Szybko w prawo, schody w dół. W lewo – ciasno zastawiony autami garaż. Światło zapala się automatycznie.

Warski wbiega po wyłożonych dywanem schodach.

Ana wsiada do windy.

Kuntz-Danner dopada drzwi ewakuacyjnych w tylnej części piętra. Przed nim fotele w zimowym ogrodzie, pusta palarnia, dalej mokre podwórze w dole. Właśnie zza muru wypada brodaty mężczyzna. Trzyma pistolet.

Niemiec zawraca.

Warski dobiega do stosiedemnastki.

Ana wjeżdża na piętro.

Danner pędzi z powrotem korytarzem, mija niedomknięte drzwi swego apartamentu, w którym komisarz sprawdza łazienkę: śmierdzi, ale jest pusta.

Ana klnie, bo winda otwiera się wolno.

Niemiec już prawie przy schodach w dół.

Warski wybiega z apartamentu.

Ana wypada z windy prosto na wuja Manfreda.

Wuj wytrzeszcza oczy i otwiera usta.

Ona kopie go prawym kolaniem. Nie trafia w jądra. Uderza w biodro. Zderzenie rzepki z kością miednicy jest bolesne dla obu stron. Ale policjantka nie zwraca uwagi na ból. Uderza bankiera łokciem w twarz. On pada. Ona go kopie w podbrzusze.

Komisarz jest już obok. Staje pół metra od leżącego, patrzy na Anę i kiwa głową. Ta jeszcze raz wymierza kopa zwiniętemu na puszystym dywanie. Warski znów potakuje.

„Nie żałuj sobie. W tym kraju napierdalamy podejrzanych ile wlezie”. Tego oczywiście nie mówi, ale mówią to jego nienaturalnie błyszczące oczy. Ona kopie raz jeszcze. I jeszcze.

Leżący wymiotuje.

Aspirant Grotecki z bronią w ręku stoi beczynn timer na podwórzu.

Aspirant Toczyk zagląda pod auta w podziemnym garażu, z którego Kalita zdążył już czmychnąć i teraz ucieka dalej – piwnicami. Po drodze wyłamuje jakieś drzwi. W tej samej chwili, w której zdyszana Ana ostatni raz wbija czubek buta w leżącego na wykładzinie

Dannera, on wyłania się z części gospodarczej sąsiadującego z hotelem kasyna. Wkracza zdecydowanie na zaplecze szatni. Wręcza zaskoczonemu szatniarzowi szulcówkowy banknot. Przekłada portfel, telefon i klucze do kieszeni spodni, zdejmując kurtkę, odsłania przy tym kaburę i może widok broni – niezależnie od wciśniętej w dłoń setki – sprawia, że szatniarz nie protestuje, gdy hojny gość zdejmuje z wieszaka cudzy płaszcz. Wychodzi w nim na wewnętrzne podwórze, z niego – na drugie. Potem jeszcze wąski, zabazgrany przez grafficiarzy przesmyk – i już jest na ulicy Świętego Mikołaja. Macha na taksówkę przy delikatesach, które oblegają spragnieni alkoholu rozgadani młodzi ludzie.

* * *

Joanna Stanisz jest przemarznięta i zmęczona. Oba policzki ma przecięte głębokimi zmarszczkami, które ciągną się od kątek oczu do podbródka. Ubrania nie zmieniła od wczoraj. Zamówiony w Amsterdamie płaszcz Lanvin – wygnieciony i z plamą – wygląda teraz niczym jesionka z lumpeksu.

Siedzi na krzywym taborecie pod jarzeniówką i roztworem do mycia podłóg zalewa kasety z głosowymi zapisami sesji. Wcześniej spaliła pasy, elektrody i tkaninę, która miała kontakt z ciałami badanych. To, co zamierza zabrać – sześć czarno-białych lakierowanych kartonów z dokumentami – ustawiła w dwóch kolumnach po trzy. Prócz papierów są tam stare i nowe gogle, płyty z zapisem wideo, kilka pamiątek po obiektach badań. Plus indeks parametrów.

– To ja! – Kalita woła z drugiego końca zaśmieconej hali. Podchodzi rozkołysanym krokiem.

– Nie mogłeś zadzwonić?

– Nie mogłem! – pułkownik jest wściekły. Nie raz go takim widziała. Ale teraz do rozjuszenia doszedł strach. Jego źrenice zdają się tańczyć. – Ktoś nas dojeżdża. Kuntz na dołku. Przepierdoliłaś...

– Daj spokój – Stanisz chce dotknąć czubkami palców jego twarzy, ale rezygnuje. – Potrzebujemy tylko transportu – wskazuje kartony. – Dużego auta i dokumentów. Rano będziemy w Ostrawie, a przed obiadem kupię sobie świeże majtki na Mariahilfer. Wyluzuj.

* * *

– Pan patrzy, komisarzu... – w męskiej ubikacji komendy wojewódzkiej Aleksander Toczyk pokazuje Warskiemu miniaturowy nadajnik GPS. – ...Każą nam pracować na

przedpotopowym badziewiu, a po szufladach mają takie cacka.

Rzeczywiście, w porównaniu z grzotem, który inspektor instalował pod podwoziem kabrioletu porsche, ostatni dar Ewy Annarik jest cudem techniki. Nie dość, że nie większy od karty chipowej, to – jak wcześniej zapewniał Grotecki – dzięki jednoczesnemu wykorzystaniu sieci komórkowej i netu ma niemal nieograniczony zasięg.

– „Esmeralda” mi tłumaczyła, że ledwo zdążyli wciągnąć na stan. Więc mamy to już po wszystkim odzyskać.

– No to nie zepsuj – komisarz przemywa twarz zimną wodą. – Dasz „Konarowi”. Czeka w McDonalddie przy Dmowskiego.

– Myślałem, że jest na chorobowym.

– Pomagamy mu wrócić do zdrowia. Leć już. Ja idę słuchać skurwiela – Warski potrząsa mokrymi dłońmi, po czym wyciera je w dzinsy. Papierowe ręczniki jak zwykle się skończyły.

* * *

– Thhaciecie czas, nicz nie powiem, a Watykan niebawem będzie intehhweniował – Manfred Danner *vel* Alois Kuntz, *vel* Martin Gapik, w samej koszuli, spodniach i skarpetkach, wierci się na krześle w pokoju przesłuchań. Siedzący vis-à-vis komisarz zapisał w protokole, że ujęty zaatakował go w hotelu, więc konwojenci mieli pełne prawo zakuć typa i przytroczyć do krzesła. Jednak oszczędzili mu łańcucha. Watykan to jednak Watykan, a do tego zatrzymany paplał wciąż o swoim statusie dyplomaty i obrażeniach, jakie mu zadano podczas zatrzymania. Więc tylko zabrali mu sztyblety, marynarkę i zawartość kieszeni.

– To jest nagranie audio ze spotkania z Tadeuszem Kalitą – Waldemar rzuca na metalowy blat plastikową saszetkę z krążkiem CD. Stojący za nim Toczyk już włączył kamerę. Po drugiej stronie weneckiego okna: prokuratorka, komendant w wyjściowym mundurze, jego osobisty radca prawny i czarno odziany przybysz ze stolicy, który od pół godziny jest nieco mniej pochmurny niż dotąd. Humor poprawiła mu część wydruków z kolekcji Any, którą dostał od Warskiego.

– Naghhanie to żaden dowód – Danner nie patrzy na przesłuchującego. Spogląda w szarą szybę, bo wie, że za nią stoją ci, którzy zadecydują o jego przyszłości. A ten pies przed nim od jutra będzie szukał roboty w ochronie dyskontów.

– Pan nie ma phhawa zadawać mi żadnego pytania, dopóki tu nie przyjdzie mój adwokat.

Ja złożę skargę w ministehstwie i pan zostanie zwolniony...

– Ależ ja pana o nic nie pytam – od kiedy udało mu się zdrzemnąć, Warski znów jest w stanie udawać luzaka. Kładzie przed sobą drugą z trzech trzymany na kolanach plastikowych torebek. – Ja pana, powiedzmy... życzliwie informuję o pańskiej obecnej sytuacji. Tutaj, przykładowo, są różne zdjęcia. Z kościoła, z hotelu, z miejskiego monitoringu. Proszę też spojrzeć tutaj: zdaje się, że to pański pomocnik. Już go miałem przyjemność poznać. Kamera ładnie go zdjęła w chwili, gdy wynosi na ulicę Łazienną dużą torbę. Taką, w której zmieściłoby się ciało policjantki.

– Fotoghafie można zmanipulowacz – przesłuchiwany kładzie dłoń na piersi.

– A to jest... – niezrażony policjant pokazuje trzecią saszetkę – ...analiza pańskich śladów biologicznych i zapis profilu DNA pobranego z nasienia porywacza, gwałciciela nadkomisarz Any Wittesch. Wie pan, jaki jest stopień zgodności?

– Nie znam żadny Any Wittesch – Danner mówi wolno, spokojnie, znowu w stronę ściany. – Jeszli ktosz pobierał phhóbki moje szlady, jest to bezphawne. Ponadto zostałem pobity podczas zatrzymania i ponownie domagam się przeprowadzenia obdukcji. Jestem watykańskim dyplomata, takie rzeczy nie mają phhawa sę zdarzać. Będą konsekwencje międzynarodowe.

– Nie strasz mnie! – komisarz wali dłonią w blat.

– Pan sobie wystawia niephhofesjonalne świadectwo. A ja stąd wyjdę przed końcem nocy, kiedy minister Onufhhy Kaszubski...

– Wiceminister Kaszubski niespodziewanie i bardzo poważnie zachorował. Istnieje obawa, że już nie wróci do pracy – w otwartych nagle drzwiach staje facet w czarnym garniturze i czarnych butach. Gość ze stolicy. W ręce ma pojedynczą kartkę papieru. – Tutejszy biskup rozmawiał z Watykanem. Jak mi doniesiono, usłyszał, że pańska misja w Polsce, zresztą samowolna, jest anulowana. Zostaliście sami na lodzie: pan i pańska grupka. O, tutaj mam waszą krótką listę płac.

Mężczyzna podtyka Niemcowi dokument i delikatnie klepie go po policzku. Ten ruch ściera z twarzy Dannerca całą jego butę.

– Myślę, że dalsze wyjaśnienia mogę z powodzeniem odebrać tu sam z pomocą urzędu prokuratorskiego – warszawiak wodzi lekko zgiętym palcem, wskazując raz Dannerca, raz Warskiego, a raz ukrytych za szybą, którzy jeszcze niewiele z tego rozumieją. Jego twarz jest nieprzenikniona, a władcze ruchy dłoni mogłyby być gestami arabskiego szejka. –

Opowiesz nam, Alois, o związkach z Kalitą, o sprawie ziemi, o jednej kancelarii i o wszystkich notariuszach. Do końca nam to opowiesz – nowy pan sytuacji jeszcze chwilę stoi nad zeszywniałym Niemcem, a potem zwraca się cicho do komisarza: – A pan niech kończy sprawę.

Rozdział 27.

Noc z piątku na sobotę

Leje marznący deszcz. Na krawężniach kałuż, które wypełniają dziury w pogruchotanej nawierzchni wijącej się wśród czarnych pól ulicy Kłokoczyckiej, odkłada się warstewka lodu. Rzekomy konsultant Majewski czy raczej – o czym Konarski już dobrze wie – pułkownik Tadeusz Kalita, oddzwonił po przeszło dwudziestu czterech godzinach.

„Czekaj za mostem na Dobrej, pod słupem wysokiego napięcia” – usłyszał, zanim Kalita się rozłączył.

Inspektor parkuje służbową skodę w zielsku na poboczu. Jechał spod McDonalda ostrożnie, jak kursant na egzaminie. Z tą różnicą, że jednocześnie pociągał żołądkową z półlitrowki.

Pod stalowy dźwigar dociera siedem minut po umówionym terminie. Pusto. Przypala chesterfielda. W głowie ma kompletny bajzel, więc trudno mu się zdecydować, która wersja jest bardziej prawdopodobna: Kalita już odjechał, spóźni się jeszcze bardziej niż on czy w ogóle nie przyjedzie.

Mimo włączonego ogrzewania na przedniej szybie zamarza woda. W świetle reflektorów, których nie wyłączył, widzi przebiegającą po ugorze kunę. Słyszy silnik. Od tyłu zbliża się furgonetka. Inspektor wciska pedał hamulca, oświetlając na moment parkujące tuż za nim auto. Biały opel vivaro bez numerów rejestracyjnych. W sfoferce trzy osoby. Wychodzą jedna po drugiej.

Zakapturzony pleczysty drab, który staje przy skodzie od strony kierowcy, przywodzi na myśl dwudrzwiową szafę. Ma obandażowaną szczękę. Drugi – czarnowłosy i o twarzy tak ciemnej, że zlewa się z tłem – też prezentuje uszkodzoną facjatę. Tam, gdzie ludzie noszą nosy, u niego wyrasta czarny kalafior. Otwiera drzwi skody i Kalita *vel* Majewski już się mości na tylnym siedzeniu.

– Może byś przynajmniej uchylił okno? Śmierdzi tu wódą i capem.

Nawet się nie przywitał, cham.

– Przyzwyczaisz się.

– Gadaj, co masz.

Policjant przełyka gorzką od nikotyny ślinę i opuszcza szybę.

– Kuntz już podaje.

– Skąd wiesz?

– Raczej wiem takie rzeczy, nie? Rano przyjechał człowiek z Warszawy. Koordynator służb. Mogłeś go widzieć w telewizorze. Wie o was i o Kaszubskim... ep! – inspektor czka.

– Prokuratorka, co Kuntza po Warskim przejęła, Anielewska...

– Wiem, która.

– Już go nagrywa. On ciebie poda. W zamian go puszcza. Powinieneś...

– Wiem, co mam robić – Kalita patrzy w lusterko nad głową Konarskiego. – Spisałeś się, tylko kurwa... dlaczego tak późno?

– Boś nie odbierał.

– Miałem dużo pracy.

– Praca... ano właśnie... ep! Mieliśmy umowę, że jakby się coś spierdoliło, masz dla mnie...

– Wszystko jest aktualne, Andrzej – w niskim głosie niskiego człowieka brzmi opiekuńczo-ironiczny ton. – Postój tu jeszcze trochę, zapal sobie, przetrzeźwiej. Potem wracaj.

Ten z rozbitym nosem otwiera drzwi. Pułkownik wysiada. Wraca do opla. Wielkolud w kapturze już odpala silnik, błyskają przednie światła.

Konarski niezgrabnie wyłazi ze skody. Nogi plączą mu się w zielsku, musi się przytrzymać otwartych drzwi, by nie upaść. Chwiejnie podchodzi do furgonetki, łapie za klamkę, otwiera szarpnięciem.

– Co jeszcze? – pyta Kalita.

– Powtórz mi, że umowę wciąż mamy... żebym był... ep! Spokojny.

– Po niedzieli cię znajdę. Nie damy ci zginąć.

Konarski pochyla kark zaatakowany gwałtowną torsją. Oparty o rant szoferki wypluwa brunatno-zielonkawą breję. Głośno kaszle i jednocześnie upuszcza nadajnik GPS w szparę między fotelem a progiem karoserii opla.

– Odsuń się, bo opony uświnisz – warczy zabandażowany.

– Spokojnie... – Kalita cmoka. – To nasz przyjaciel. Pan inspektor dojdzie do siebie, się wyśpi, a później będziemy dalej pracowali. Ku chwale ojczyzny, Andrzejku.

Gdy odjeżdżają, Krystian Kolczyk, który zwykle ma zaspawane usta, niespodziewanie je

otwiera.

– Wrócę i go zrobię.

Pułkownik śmieje się tubalnie.

– Nie trzeba. Jego już nie ma.

– A my? – „Plankton” na chwilę odwraca wzrok od jezdni.

– A my wyjeżdżamy na urlop.

* * *

– Zamierzasz siłą mnie tu więzić?

– Jeśli będzie trzeba. Na razie nikt cię nie może widzieć.

W swoim mniemaniu Warski miał powód, żeby zatrzymać Anę w klaustrofobicznym gabineciku bez okna. Wciąż czuje się winny. Gdyby nie biegał po schodach dość szybko, gdyby pomylił się w kościelnym labiryncie sekretnych przejść – ona skończyłaby na bruku pod okiem czterech kamer i pilnującej ich trójki gliniarzy.

– Przestań mnie chronicz, nie jestem dzieckiem.

Ana nie mówi tak po raz pierwszy. Właściwie wciąż musi to powtarzać, zwłaszcza kiedy naprzeciw stoją faceci uzbrojeni w pistolety i troskliwe spojrzenia. Mężczyźni, których opiekuńczość to tylko sposób na udowodnienie jej, kto tu jest mocny i mądry. Choć z drugiej strony... W spojrzeniu Waldemara jest coś więcej. Coś, co ją rozgrzewa od środka.

– Dobra. Ale pistoletu nie dostaniesz, za to weźmiesz ten wynalazek... – on podnosi oczy znad ekranu smartfona i wskazuje zawieszoną obok zepsutego zegara kamizelkę kuloodporną.

A potem dalej śledzi na wyświetlaczu czerwoną kroplę otoczoną żółtym rantem, która przesuwa się wzdłuż Grobli Widawsko-Kłokoczyckiej.

– Mam się bronić pięściami?

– Nie dostaniesz broni, a do tego dasz mi słowo, że nie zrobisz niczego wbrew mnie. Jasne?

– Ale...

– Nie! – przecięcie powietrza wyprostowaną dłonią ma oznaczać koniec ustępstw.

Kropla czerwieni zatrzymuje się na jakimś pustkowiu bez publicznych dróg opisanym na mapie jako Lisia Huta. Komisarz nigdy nie słyszał tej nazwy. Z jednej strony rzeka, z drugiej – tereny szkoły oficerskiej, w której kiedyś prowadził zajęcia z taktyki.

Warski sięga po zapasowe magazynki i noktowizor z jednym okularem.

– Sprawdzimy w drodze, co to za miejsce.

– *Jawohl* – Ana zapina rzepy kamizelki, zakłada skafander i zawiązuje pod brodą troki kaptura. W ciężkim wojskowym kevlarze i ledwo dopinającym się na nim anoraku jest równie niepodobna do siebie jak w stroju zakonnicy. Przechodzą do pokoju aspirantów. Choć w środku pusto, wciąż jeszcze śmierdzi tu skisłym dymem i niedojezoną chińszczyzną, która fermentuje w koszu na śmieci. Ana czeka w progu, Warski otwiera szafę z kaskami i kamizelkami. Zamiast nich znajduje uwalane ziemią łopaty. Łajzom nawet nie chciało się ich umyć po odkopaniu dilerka w parku Szczytnickim. I gdzie zapodziali kevlary?

Komisarz prycha.

– Co się stało?

– Nic, nic, tu nie wchodzi, bo syfi jak z szamba.

– Co to jest „szambo”?

– Coś, co bardzo źle pachnie. Już idziemy.

Trzy minuty później skręcają w Podwale. Przed pierwszym skrzyżowaniem policjant włącza koguta i cisnąc gaz, wyprzedza wszystko, co się rusza. Ana skupia się na ekranie galaxy. Kiedy z prędkością stu piętnastu kilometrów na godzinę wjeżdżają z ulicy Wyszyńskiego na most Warszawski, ma już pierwsze informacje:

– Lisia Huta to dawny fabryka szkła, *Industriegebiet*, w komunistycznym czasie teren *sovjetisch...* Rote Armee Stelle. 587. Sowiecki Batalion Radiowy miał tam warsztaty techniki. Potem nastąpiła rosyjsko-polska baza i była jakaś sytuacja o to konfliktowa i polityczna. To nie rozumiem. Na satelicie widać tylko *Bruchbude...* rudery między krzakami.

Pędząc przez Czajkowskiego, Warski przejeżdża pod zamykającym się już szlabanem. Zawieszenie jęczy, ale komisarz nie zamierza mu współczuć. Wąska ulica Sołtysowicka jest zupełnie pusta, więc wyłącza sygnał. Mkną teraz na wysokich obrotach wzdłuż sterczących za betonowymi ogrodzeniami jednakowych budynków dawnych pruskich koszar. Ciemno. Wycieraczki walczą z zamarzającym deszczem, który przechodzi już w śnieg. Obdrapane garaże, baraki w chaszczach, dym z tłącego się na poboczu ogniska. Wedle zainstalowanej przez Groteckiego aplikacji podrzucona skurwielom pluskwa – obecnie nieruchoma – nadaje sygnał z odległości nie większej niż półtora kilometra.

Zgęszczenie domów z ogródkami, ulica Redycka, nieliczne latarnie, autobus z przeciwka, poza tym – nikogo. Skład budowlany kończy przedmieście na amen. Dalej już tylko chaszczce.

Sto pięćdziesiąt metrów do celu. Komisarz hamuje. Gasi lampy. Przez chwilę oboje niczego nie widzą, ale gdy oczy przyzwyczajają się do ciemności, dostrzec mogą wirujące białe płatki. Odbita przez chmury miejska łuna pomaga odróżnić od tła brukowaną drogę wiodącą w prawo i w dół. Przy niej zgięty do ziemi znak drogowy. Po kilkunastu metrach starannie ułożone przed wiekiem kamienie ustępują niechlujnie połączonym perforowanym płytom z betonu.

Jadą na drugim biegu, silnik szemrze. Widać zarysy koron dużych drzew, jest jakaś gładka powierzchnia po lewej – chyba staw. Dziewięćdziesiąt metrów do celu. Pięćdziesiąt. Trzydzieści.

Czarne fronty kilku nieoświetlonych budynków. Obdrapana ściana z zarysami pilastrów, które dawno odpadły. Martwe okna, gruz, wysokie osty i pokrzywy. Po nieźle widocznej za chwastami białej furgonetce przesuwa się cień postaci.

Komisarz natychmiast gasi silnik. Toczą się jeszcze kilka metrów i stają.

Ana przygryza kciuk, on wycisza smartfon, potem zakłada na głowę pas przytrzymujący noktowizor i ciasną czapkę z włóczki.

– Jesteś w kontakcie z Alekssem.

– Tak.

– Dwadzieścia minut – Warski otwiera drzwi wozu jak najciszej. Wie, że czasami potrafią pisnąć, ale tym razem uchylają się bez dźwięku. Wychodzi. Schylony sunie wzdłuż kępy przyprószonego śniegiem pokrzyw. Nie czuje zimna. Przez monokular widzi – w kilku odcieniach akwamaryny – białego opla dostawczaka i schylonego przed maską potężnego mężczyznę. Ma szyję i brodę owiniętą czymś jasnym. Nie da się rozpoznać twarzy, lecz komisarz ma graniczące z pewnością przekonanie, że to wielkolud, którego ryj połączył z sedesem damskiej ubikacji. A to białe pod nosem to nie chusta ani nie maska, tylko bandaż. I to by się nawet zgadzało. Skurwiel właśnie zmienia lub zakłada nowe tablice. Skoro jest im potrzebny transporter – zwijają się.

Niedoczekanie.

* * *

Z dwudziestu minut, które Warski kazał odczekać Anie, minęły trzy. Ale nie zamierza

dłużej tkwić w wozie. Wysiada. Śnieg już pokrył ziemię milimetrową warstwą. Na tym tle dość wyraźnie dostrzega resztki maszyn o niemożliwym do odgadnięcia przeznaczeniu, porośnięte rumowisko, pozbawiony bramy wjazd do jednego z trzech pustych czarnych budynków i zaparkowanego opla. Waldemara już nie ma. Ten, co kręcił się przy samochodzie, też zniknął. By dostrzec rejestrację furgonu, musi podejść bliżej.

Bez broni czuje się naga.

Trudno.

Podbiega do samochodu z dłonią przy gruncie. Najważniejsze to się nie potknąć. Poprawia kaptur. Odczytuje cyfry i litery na tylnej z blach. Cofa się w stronę saaba. Nie wsiada. Śnieg zdążył już pokryć przednią i prawą szybę. Kuca przy kole, wyjmując telefon, osłaniając ekran, wybiera numer Toczyka.

Aleks odbiera od razu: – Co macie?

– Auto – ona szeptem podaje numery. – Biały vivaro.

– Szef gdzie?

– Jest tu fabryka. Wszedł. Sto metry na północ od Redycka Straże. Miejsce jest Lisia Huta. Możecie przyjechać?

– Szef miał dać sygnał.

– Może nie mieć czasu.

– Czy tam, tego, no...? Tam coś się dzieje?

– Na razie nic, ale był mężczyzna. Waldek za nim do budynku poszedł. A ja nie mam broni, Aleks.

– I dobrze. Powinnaś czekać na komisarza. Chwila, chwila... jak wróci, możesz mu podać wynik. Kradzież vivaro zgłoszona w Długołęce. Ale rejestracja inna. Te numery, co mówisz, należą do firmy... moment... ta sama spółka, na którą był wyleasingowany tiguana...

– Wiem, który. Przyjedź tutaj – Aleks po raz pierwszy słyszy w głosie Any Wittesch rozkazujący ton. – Przyjedź, nie sam.

– „Konara” muszę spytać.

– Ja nie mam broni.

– Wiem, wiem. Czekaj... Mamy coś jeszcze. Dopiero przyszło, pół kciuka z deski, tak... z tiguana. Wyszedł z odcisku niejaki Półrolnik, pseudonim „Plankton”, z zawodu monter instalacji grzewczych, dwa razy karany. Jest adnotacja, żeby zatrzymać i że niebezpieczny.

– Nie mam broni...

Paweł Półrolnik, majster, skoczek spadochronowy i rugbysta, przekorną ksywę podłapał już jako siedemnastolatek. Ważył wtedy sto dwadzieścia pięć kilogramów przy wzroście niemal dwóch metrów. I prawie połowę masy jego ciała stanowiły mięśnie.

Karierę sportową skończył przed dwudziestym piątym rokiem życia, gdy po meczu rugby union najarany i naspidowany uderzył przypadkowo zaczepionego chłopaka o wiele mocniej, niż należało.

Pierwszy wyrok – w zawieszeniu – niespecjalnie go wykształcił. Przekuwania fizycznych atutów i determinacji na kasę nauczyła go dopiero czteroletnia odsiadka w Tarnowie. Poznał wtedy właściwych ludzi. Przez ostatnich pięć lat nie bujał się już po obskurnych motelach, jak wcześniej bywało. Miał pół tuzina pracodawców i każdy następny płacił lepiej. Wystarczało na krawca, na koks i na panny. Ostatni chlebodawca, pan pułkownik – jeśli chodzi o dane, „Planktonowi” zupełnie wystarcza stopień wojskowy – w dobrym humorze potrafił rzucić na stół dziesięć tysięcy euro. Ale ostatnio rzadko bywał w dobrym nastroju. Gdy we wtorek rano zobaczył „Planktona” z rozbitą twarzą i dowiedział się, ile zdrowia kosztowała akcja ustawienia jego dupy psycholożki w oczach psa – opierdolił ich obu z „Krystkiem” i nie wypłacił premii. A przydałaby się. Na lekarza. Dobrze, że kasą sypnął przynajmniej opalony Niemiec, któremu Paweł pomógł wynieść z hotelu zaćpaną – i zapewne wyruchaną wcześniej – dziunię.

Gdy słyszy za plecami kroki, w pierwszej chwili myśli właśnie o tym dziwaku z wyższych sfer, miłośniku ciężkich sygnetów i kolorowych garniturów, który ma władzę nawet nad pułkownikiem. Jego obecność w opuszczonej fabryce nie byłaby niczym dziwnym. W drugiej chwili myśli jednak o policjancie, tym, co go mieli z „Krystkiem” sprowokować, by się wykazał w kłopie swym chojractwem. O psie, który rusza się jak kot.

A to są właśnie kocie kroki.

„Plankton” błyskawicznie wyciąga zza paska rosyjskiego wektora – samopowtarzalny pistolet SPS Giurza dziewięć milimetrów, polimer ze stalą. Z uniesioną prawicą cofa się ku wnętrzu w wilgotnym murze. Nie widzi nadchodzącego – lecz ten widzi jego. Dostrzega szeroko otwarte oczy, grubą szyję, bandaż na ustach i nieduży krótkolufowy pistolet w wielkiej dłoni.

Ma przed sobą człowieka, który wyniósł skępowaną Anę w torbie i przywiózł ją w to miejsce, aby jego zwierchnicy mogli się nad nią pastwić.

Ma przed sobą drugi, większy z cieni na ulicy Łaciarskiej.

Kształt, któremu tak długo przyglądał się tydzień temu na nocnym nagraniu z ulicznej kamery.

Ma na muszce porywacza i współsprawcę co najmniej jednego zabójstwa i jednego usiłowania zabójstwa. Paragraf osiemnaście w związku ze sto czterdzieści osiem.

I kilka innych paragrafów. Porwanie, przetrzymywanie, nieudzielenie pomocy...

Warski mocno trze butem o posadzkę – pod nogami chrzęści pokruszony tynk, zbrylony piach i szkło.

Były rugbysta, zgodnie z przewidywaniem, kieruje lufę ruskiego pistoletu w kierunku dobiegającego hałasu. Oficer strzela mu w sam środek czoła, dokładnie tak jak to zrobił w starej szwalni na Grabiszynie. Potem wyjmuje z jeszcze ciepłej ręki spluwę. Z trudem wpycha ją sobie w skarpetę. Lufa uciska mu stopę. Przykrywa broń nogawką dzinsów i idzie dalej, znów cicho.

* * *

Joanna Stanisławska słyszy odbite od betonowych ścian echo wystrzału. Zastyga w bezruchu. Tadeusz Kalita, który za ścianą rozmawia przez komórkę, także słyszy hałas. Psi instynkt każe mu natychmiast skończyć rozmowę, przycisnąć się, wysledzić strzelca. Jednak tym razem musi się zdać na swoich pokiereszowanych ochroniarzy, ponieważ za cholere nie może przerwać połączenia. Za duże koszty. Człowiek, z którym targuje się po angielsku, ma kluczowe znaczenie dla jego planów na najbliższe dwie doby. Nie może go spłoszyć. Chyba że chce stracić całą kasę razem z częścią przynależną Kuntzowi, który nie jest mu już potrzebny. Skoro zdecydował się sypać, niech prosi o pomoc podobnych sobie dzieciojebców z Rzymu.

Kalita przykleja się plecami do ściany, przekłada telefon do lewej ręki, prawą sięga po pistolet i kontynuuje rozmowę.

– ...then forty percent of this part especially for you.

Hałas dociera także do Any Wittesch. Choć nie ma broni, każda opcja wydaje jej się w tej chwili lepsza od kucania na śniegu za saabem.

Huk słyszy również Krystian Kolczyk. Czarnowłosa kryminalista, który wrócił po ostatnie dwa pudła z dokumentami, daje psycholożce znak, by została na miejscu. Sam cofa się ku brunatnemu sześcianowi komory i znika za jej rogami. Zlewa się z ciemnością dokładnie w tym miejscu, gdzie w nocy z czwartku na piątek leżała skatowana Ana. Cicho

przeklina w romani, bo klamkę nieopatrznie zostawił w skrytce oplą. Ale ma nóż. I wie, że będzie musiał go zaraz użyć, bo odgłos strzału oznaczać może tylko intruza. Albo intruzów.

* * *

– Jesienne porządki? – Warski chciał, by te słowa wybrzmiały zaczepnie i sarkastycznie, ale ściśnięte gardło sprawia, że brzmią, jakby je wypowiedział przechodzący mutację gimnazjalista. Podchodzi wolno, w jednej ręce ma glocka, w drugiej niepotrzebny już teraz noktowizor i czapkę. Przygląda się kobiecie, którą ostatnio widział na filmach z gatunku sado-maso. I w której o mało co się nie zakochał.

Joanna Stanisz nie odpowiada. Stoi prosto, a jej skamieniała twarz wyraża coś pomiędzy pogardą a dumą. Policjant jest coraz bliżej. Widzi już poszczególne pasma włosów, które wachał, i prążki na ustach, które całował. Ale czuje też – zmysłem, który bywa nazywany szóstym, choć w rzeczywistości jest tylko sumą poprzednich pięciu oraz nabytego doświadczenia – obecność przeciwnika. Jakiś skurwiol czai się tuż obok.

* * *

Krystian Kolczyk, pochylony niczym startujący do biegu sprinter, wyskakuje z nożem wysuniętym w przód.

Warski obraca się i strzela. Ma do wyboru trzy jako tako oświetlone punkty: pochyloną głowę, zaciśniętą na rękojęści dłoń i obłóść lewego ramienia. Każdy inny strzał byłby nieskuteczny. Wali w ramię, wyrzucając jednocześnie przed siebie monokular i czapkę. Uskakuje. A człowiek pajak – wcześniej pozbawiony przezeń nosa, teraz trafiony w głowę półkilogramowym noktowizorem i postrzelony w mięsień naramienny – robi coś, co Warski miał już okazję oglądać. Błyskawicznie zmienia kierunek pędu. W ciągu piątej części sekundy spada nisko, na oba kolana, na palce stóp i lewą dłoń. Druga ręka – uzbrojona w hiszpański nóż o dziesięciocentymetrowym wklęsłym ostrzu – tnie komisarza głęboko nad kolanem. Waldemar upada na brudną posadzkę. Naciska spust – i chybia.

Kolczyk – wciąż w parterze – okręca się wokół własnej osi jak wirujący na plecach breakdancer. Kopie w łokieć rękę, która trzyma glocka. Warski traci czucie, lecz nie wypuszcza broni. Ale palec na spuście nie chce go posłuchać. Kolejna piąta część sekundy – już są w zwarciu.

Joanna Stanisz – wpatrzona w splecionych na posadzce mężczyzn, w ich naprężone nogi, przedramiona, spuchnięte z wysiłku twarze – przygryza wargę. Nie jest w stanie zrobić

kroku.

Ana Wittesch przemyka pod strzaskanym murem, szukając tylnego wejścia w fabryczne ruiny. W zimnym powietrzu z jej ust wydobywa się mgiełka.

Tadeusz Kalita, wciąż z bronią w dłoni i ze słuchawką przy uchu, stoi pod ścianą sali, która kiedyś mogła być szatnią albo kanciapą majstra. Słucha poleceń człowieka, który nazajutrz rano może sprawić, że siedmiocyfrowe kwoty w jednych miejscach znikną, w innych się pojawią – i obaj będą do przodu.

Jeśli uda się przeżyć do jutra.

* * *

Tylne wejście do pozostałości po warsztatach remontowych Armii Czerwonej jest położone ponad półtora metra nad gruntem. Pewnie kiedyś prowadziły do niego schody, ale musiały rozsypać się dawno temu. Ana delikatnie maca krawędź. Upewniona, że próg da jej oparcie, wskakuje do czarnego otworu, wybijając się z obu nóg. W cuchnącej kocią szczyną ciemności prostuje plecy i zdejmuje kaptur. Czeka chwilę, by dostrzec jakiegokolwiek kształty. Pierwsze cztery kroki robi z rękami wyciągniętymi przed siebie. Dochodzi do muru. Skręca w prawo. Znowu cztery kroki.

Coś lekko uderza ją w kark.

Sztywnieje.

Wstrzymuje oddech. Słyszy własny puls i podwójne szczęknięcie odbezpieczanej broni. Wyczuwa ucisk tuż pod krawędzią czaszki.

– Tylko spokojnie – głos jak z dna studni.

Odwraca się powoli. Trwa to kilka sekund, ale pułkownik jej nie popędza.

Są równi wzrostem, patrzą na siebie. Ona widzi w czerni blady, niewyraźny owal jego twarzy, on trzyma lufę dwa centymetry od jej nosa.

– Do tyłu!

Nadkomisarz Wittesch robi dwa kroki w tył. Tadeusz Kalita dwa kroki w przód. Nieznacznie unosi uzbrojoną rękę. Teraz celuje w punkt pomiędzy jej brwiami.

Ana dosłownie czuje, jak powoli zwiększa nacisk na spust pistoletu. Jeszcze chwila...

Dwa kolejne ruchy Niemki są szybkie jak przeskok iskry. Podkurczenie lewej nogi daje nagły przechył, który sprawia, że jej głowa schodzi z linii strzału. Lewa ręka wędruje w górę, by chwycić od zewnątrz dłoń trzymającą pistolet. Prawa zgina się w łokciu, by uderzyć pięścią w środek twarzy.

Ale Kalita jest jeszcze szybszy. Odchyła tułów tak nagle, jakby porwała go w tył jakaś gigantyczna, wcześniej naciągnięta sprężyna. Jego uzbrojona dłoń wyskakuje w górę i po jednej trzeciej, a może jednej szóstej sekundy – gdy Ana przecina powietrze – jest już na powrót przed nią.

Lufa wraca na czoło.

– Odwróć się. Szkoda takiej buzi – tubalny głos wciąż brzmi spokojnie, jakby cały ten manewr sprzed mgnienia oka nie kosztował mówiącego najmniejszego wysiłku.

– *Nein!*

– Nie? Ależ tak, panienko, tak.

Ana dostrzega jeszcze, jak usta Kality rozciągają się w krzywym uśmiechu, a jego źrenice rosną – a potem oślepia ją błysk. Eksplozji już nie słyszy. Czuje tylko ból. Upada, trzaskając skronią o beton. Kalita strzela jeszcze dwa razy. W rozświetlonej krótkimi błyskami ciemności wiruje kurz, pył z posadzki i czarno-czerwone krople.

W kieszeni zielonego skafandra dźwięczy stara nokia z klapką.

Rozdział 28.

Dalszy ciąg nocy

Komisarz Waldemar Warski leży na wznak z brodą wciśniętą między obojczyki. Jest siny, załawiony, ciśnienie krwi rozsadza mu bębunki i zatoki. Gdyby nie praktyka w nurkowaniu bez tlenu, gdyby nie ostatni, najgłębszy wdech, dawno już straciłby przytomność. Jedną ręką wciąż odciąga od lewego oka nadgarstek przeciwnika i ostrze noża. Prawe ramię napina się ponad granice możliwości, by stwardniałe mięśnie pomogły kości promieniowej wytrzymać napór kolana zabójcy, który usiłuje zmiążdżyć mu splot trzewny. Nie oddycha od czterdziestu sekund.

Na jałowym biegu, leżąc wygodnie w łóżku, na czczo, w odpowiedniej temperaturze, z zamkniętymi oczami i w kompletnej ciszy, jest w stanie nie oddychać prawie kwadrans. Pod wodą, gdzie tlen schodzi szybciej i trzeba jeszcze zostawić zapas sił na wypłynięcie – ponad siedem minut. Ale teraz organizm nie jedzie na jałowym biegu. Machineria ciała wyje, trzeszczy i tryska olejem na najwyższych możliwych obrotach, na kosmicznych przeciążeniach. Mózg żre tlen z krwi jak oszalały, świadomość walczy z biologią, wola walczy z tym, co nieuniknione.

Góra i dół nie istnieją, nie ma dźwięków, nie ma bólu, stanęły po kolei wszelkie procesy życiowe prócz napięcia mięśni. I myśli.

Czterdziesta druga sekunda. Z oddali słychać strzał. Potem jeszcze dwa.

Kolczyk odrywa wzrok od wychodzących z orbit oczu policjanta. Spogląda nad jego spuchniętą głową w stronę, z której dobiegł huk. To pistolet Kality. Na pewno.

Mimo półsekundowego rozprężenia „Krystek” nie zmniejsza nacisku łokcia na brodę i obojczyk komisarza – ostatnie zapory przed krtanią. Nie ustaje także parcie uda na uzbrojoną, przygniecioną do trzewi rękę gliny. Ale kolano zabójcy przesuwają się może o ćwierć centymetra. I to może wystarczyć.

Warski obraca głowę pod nożem maksymalnie w prawo, jakby sam chciał ją sobie ukreślić, jakby zamierzał przytknąć usta do śmierdzącego podłoża. Łokieć dusiciela zsuwa się po brodzie. Miażdży długi mięsień szyi. Zabójca czuje, że opór ręki ściskającej jego nadgarstek słabnie. Pcha. Nóż o długiej klindze tnie włosy Waldemara, skórę, tkankę

łączną, wchodzi w tylną kość czaszki i krojąc ją, zarazem ześlizguje się po niej. Hartowana stal – twarda i elastyczna – włązi w skorodowany beton posadzki jak w deskę.

Policjant flaczeje pod napastnikiem, chwytając odrobinę tlenu i w czterdziestej czwartej sekundzie wyrywa prawe ramię spod zgniatającej go nogi. Palec na spuście już go słucha. Strzela cztery razy.

Pierwszy pocisk przebija mięsień skośny brzucha, lewą nerkę i tętnicę wątrobową. Drugi pocisk przerywa pień żylny, niszczy fragmenty trzustki. Trzecia kula dziurawi w dwóch miejscach żołądek. Ostatnia narusza dwunastnicę Krystiana Kolczyka. Przechodzi na wylot.

* * *

Warski dyszy. Noga mu krwawi, lecz kompletnie tego nie czuje, podobnie jak zmiążdżonego mięśnia szyi, rozcięcia głowy i kilku innych obrażeń. Nic go nie boli nawet wtedy, gdy się dźwiga na łokcie i kolana. Jest tylko słaby.

Podnosi wzrok na Joannę Staniszkę, która stoi przed nim nieruchoma jak figura z wosku. I uważnie przy tym obserwuje dłoń gliny zaciśniętą na kolbie pistoletu.

– Jestem ofiarą – mówi cicho, jakby próbowała przekonać przede wszystkim samą siebie.

Komisarz podnosi lufę glocka. Jeszcze trochę i jej wylot znajdzie się między oczami kobiety.

– Powiedz to tamtym dziewczynom – wskazuje bronią komorę. – Powinienem cię zamknąć w tym gównie.

– Byłam już w środku, wiem, jak to boli... On mnie tam zamknął. Jestem ofiarą.

Lufa znów skierowana wprost między zielone oczy. Policzek Warskiego drży, ale ręka – nie.

– Jestem ofiarą – Staniszkę mówi już raczej do podłogi niż do komisarza.

– Jesteś potworem! – on dotyka spustu, którym w każdej chwili może przerwać rozmowę. – Nikt normalny nie byłby zdolny zabijać ludzi w ten sposób. A ty to lubisz.

– To nie ja!

– Więc kto?!

– Kalita.

– Zaserwujesz mi bajkę o wykorzystywaniu?

– On mnie gwałci – psycholożka unosi głowę. Jej oczy zaczynają wirować.

– Nie gwałci. Widziałem wasze zabawy. Ciebie to kręci! – Warski wzmacnia nacisk na spust.

– Co miałam robić?! – krzyk Joanny odbija się od ścian hali. – Jestem ofiarą!

– Gównem jesteś, nie ofiarą – policjant próbuje złapać spojrzenie psycholożki, jakby szukał w nim alibi dla siebie. Jakby wypatrywał objawu jej kłamstwa, którym mógłby uzasadnić egzekucję. Ale źrenice kobiety uciekają mu.

– Spójrz na mnie! – krzyczy.

– Jestem ofiarą! Ofiarą!

– Zzzz...amknij się wreszcie! – on wstaje i dopiero w tej chwili czuje ból. Utykając, podchodzi. – Zamknij się, suko.

Wciska jej lufę w czoło. Chce uderzyć wolną ręką, spoliczkować, poniżyć przed śmiercią. Wyrównać rachunki chociażby tak. Złapać za włosy, rzucić o podłogę, opluć. Ale coś go hamuje. Strzęp obrazu, na którym Joannę bije pułkownik Kalita.

– Jestem... – ona szepce i wreszcie patrzy mu w oczy – ...ofiarą.

On opuszcza pistolet.

„Umilowani, nie wymierzajcie sobie sami sprawiedliwości, lecz pozostawcie to pomście Bożej! Napisano bowiem: do Mnie należy pomsta”. „List do Rzymian”.

– Tak jej łatwo darujesz, Waldek? – bas pułkownika Kality zza pleców Warskiego. – No przestań. Czyżbyś ty naprawdę uwierzył w jej bajki?

* * *

Komisarz nie zerwie się na nogi. Jest jeszcze zbyt słaby po walce. Krwawi. Zresztą zryw nie miałby sensu. Kalita dopiął już cienkie skórzane rękawiczki w stylu retro i właśnie wyciąga zza pasa krótkolufową konstrukcję inżyniera Serdiukowa zwaną popularnie wektorem. Broń zdolną wypuścić osiemnaście pocisków w nieco ponad dwadzieścia pięć sekund. Taką samą, jaką komisarz wciąż trzyma pod nogawką.

– Nie należy wierzyć kobietom, Waldek – ton Kality jest nieautentycznie miękki. Przeciąga zgłoski, fałszywie mruczy. – One nas okłamują, wiesz? Stale nas okłamują. Taka ich kurewska natura. No, rzuć kłamkę, kochany, to czegoś się ode mnie dowiesz.

Warski odrzuca glocka dwa metry przed siebie.

– Musisz wiedzieć, że one nieustannie kłamią i udają. Jeszcze nie potrafią mówić, a już potrafią rznąć idiotki. Rozumiesz? Kłamstwa zastępują tym małym i dużym kurwom mięśnie... – były pułkownik kuca i unosi glocka z betonu. Własnego wektora chowa na

powrót za pas na plecach. – Udawanie to ich natura. Udają orgazmy, udają, że je ciekawi, co mówisz, stosują różne przemilczenia, zatajenia, półprawdy, półsłówka, kłamstewka... Każda taka sucz to jedno wielkie ministerstwo dezinformacji.

Pułkownik nie patrzy już ani na Warskiego, ani na podziurawionego kulami Kolczyka. Patrzy na swą podwładną i kochankę, na jej wysokie i brudne buty z cholewami, na włosy w nieładzie, na jej przerażenie.

A potem naciska spust.

Po strzale w czoło Joanna Stanisława wali się na podłogę jak marionetka, której ktoś odciął sznurki. Upada w tył z wygiętą szyją. Dźwięk, który wydaje głowa, zderzając się z betonową posadzką, przypomina uderzenie kamienia o kamień w płytkiej wodzie.

* * *

– No i nie będzie więcej wykładów pani mądralińskiej – Kalita znów kieruje lufę pistoletu w stronę głowy Warskiego. – Ale my, Walduś, my się musimy nauczyć kłamać nie gorzej niż ona, wiesz? – zabójca ruchem lufy wskazuje leżącą na plecach ofiarę. – Robić przedstawienia takie, jak ona robiła... Ty co prawda niczego już nie zrobisz, ale ja to zrobię za ciebie. Ja ci przygotuję taką scenę, że zostaniesz prawdziwym bohaterem. Należy ci się, Walduś, z pięć minut pośmiertnej sławy. Wiesz, jak opiszą to, co się tutaj zdarzyło? Najpierw będzie o tym, że dzielny komisarz Warski zakradł się do starej fabryki ze swoją niemiecką koleżanką, by skończyć sprawę, którą źli szefowie chcieli mu odebrać.

Na hasło „niemiecka koleżanka” Warski czuje silne klucie w piersi, które rozlewa się gorącym po trzewiach i spływa powoli w kolana jak stopiony ołów.

– ...przyjechaliście we dwoje aresztować naszą kłamliwą Joasię, bo odkryłeś, że to ona stoi za skokami śmierci, którymi ekscytuje się cała ojczyzna. Że robi eksperymenty na ludziach. A tak przecież nie wolno. Prawda, Waldek? Ludzi trzeba chronić, od tego są policjanci, co nie?

W chwili ciszy ociężały Warski usiłuje niepostrzeżenie podciągnąć nogawkę.

– ...potem pismacy dojdą do tego, że bardzo chciałeś się zemścić na pani psycholog, bo ją ruchałeś, zamiast się u niej leczyć, jak ci ten obszczymur Konarski przykazał. A nasza kłamliwa Joasia nie była ci wierna. Kiedy odkryłeś, że pierdoli się nawet z takim starym dziadem jak ja, zacząłeś fiksować. Tak bywa, gdy samotny mężczyzna po przejściach poznaje nagle taką piękną kobietę! A ona go oszukuje. Dlatego zamiast zatrzymać – strzeliłeś jej w czoło. To twój znak rozpoznawczy, prawda? Taki czysty strzał. Trup na

miejscu. Niech długo nie cierpi. Przecież jednak uchylała ci szpary. To zawsze jakoś ludzi wiąże, nie?

Nogawka dzinsów wędruje w górę milimetr po milimetrze.

– Błąd, Waldku, częsty błąd naiwnych mężczyzn. Niedojrzałych. Dojrzała wiedza, że sucze szpary do niczego nas nie zobowiązują.

Nogawka w jednej trzeciej goleni.

– Ten zabandażowany chłopiec, który, jak wykaże śledztwo, zastrzelił przed chwilą naszą niemiecką koleżankę, nieodżałowaną pannę Wittesch, ten duży chłopiec, którego zabiłeś w swój ulubiony sposób, on zrobił ci w poniedziałek kilka zdjęć na randce z Joasią. A we wtorek w nocy zostałeś dokładnie nagrany. Wiesz gdzie, prawda? W sypialni na ulicy Przyjaźni, w buduarze, którego rozkosze znam i ja. Jesteśmy piczymi braćmi, Waldek.

Nogawka już uniesiona wystarczająco wysoko.

– Jutro rano nasz poczciwy Konarski wytrzeźwieje, powodowany obowiązkiem zanieś te zdjęcia i nagranie do Jachranickiej, a ona poleci prosto do prokuratury. I to by było na tyle, mój drogi. Zabiłeś piękną kobietę, zabiłeś jej dwóch ochroniarzy, ale nie uchroniłeś od śmierci niemieckiej funkcjonariuszki, której bezpieczeństwo zostało ci powierzone. Wiedziałeś, że po takim numerze wylecisz nieuchronnie, a przecież praca na komendzie jest dla ciebie wszystkim. No więc przyłożyłeś sobie lufę do skroni – Kalita przystawia glocka do ucha klęczącego przed nim komisarza. – I pociągnąłeś za spust.

* * *

– *Neeeeein!!!*

Najgłośniejszy krzyk, na jaki Anę stać, sprawia, że potłuczone pod kevlarem i polietylenem mięśnie dopiero teraz bołą ją jak diabli. Ale jest nieuzbrojona – i tylko wrzaskiem może odciągnąć uwagę Kality.

Pułkownik kieruje broń w stronę czarnego kąta hali. Ciemna sylwetka na tle równie ciemnej ściany. Nic pewnego. Strzela właściwie na oślep – i jednocześnie dociera do niego, że odruch go zawiódł. Że popełnił pierwszy błąd. Odwraca się ku Warskiemu, do którego niepotrzebnie tyle gadał, zamiast go przeszukać. Widzi wyciągniętego w swoją stronę wektora.

Huk! Pierwsza kula z zabranej „Planktonowi” spluwy wylatuje z prędkością ponad czterystu metrów na sekundę. Przechodzi pod zuchwą pułkownika, rozrywa mu gardło i

wychodzi potylicą razem z dużym fragmentem płata mózgu.

Ale Kalita – konając – jeszcze ciągnie za spust. Kula z glocka trafia Warskiego tam, gdzie kark zbiega się z ramieniem. I też przechodzi na wylot – dwa centymetry nad obojczykiem, półtora centymetra nad najwyższym zębem.

Drugi pocisk z wektora przebija naciągniętą skórę Kality tylko o cal wyżej niż pierwszy. Efekt jest jednak zupełnie inny niż po uderzeniu pierwszego pocisku. Prawie siedmiogramowy kawałek wolframu w płaszczu z plastycznego stopu rozbija na dwoje trzon żuchwy. Kostne gałęzie wyskakują ze stawów i dwukrotnie poprawiana przez chirurga twarz Kality otwiera się niczym purpurowe wnętrze monstrualnego polipa. Odłamki kości, skrawki tkanki i krwawe gluty obryzgują Warskiego i dwa martwe ciała. Kilka kropel pada na lampę zawieszoną pod sufitem i pudła z dokumentami.

Bardzo już były pułkownik wali się na betonową posadzkę ciężko jak zburzony komin.

– Ja nie miałam broni... – głos Any nie brzmi, jakby była przeziębionym dzieckiem.

Nokia w kieszeni jej podziurawionej kurtki znowu zaczyna swoje plum-plum-plum. Dzwoni *Polizeihauptkommissar* Jonas Gruber.

* * *

Mieszkańcy Redyckiej, Fortowej i Lekcyjnej – spokojnych uliczek, gdzie kiedyś pędziło się bimber dla Ruskich, a teraz co najwyżej czasem zginie kosiarka – takiego najazdu policji nigdy nie widzieli. Gdyby ktoś z nich uważnie przyjrzał się rejestracjom, zauważyłby, że dwa lepsze wozy: nowy zielono-biały passat i szara hybrydowa limuzyna volvo – mają niemieckie rejestracje. Jonas Gruber – rudawy Niemiec ubrany tylko w zbyt lekki na tę pogodę garnitur – wysiada wśród chaszczy Lisiej Huty z tego drugiego auta. Przy uchu trzyma smartfon, w wolnej ręce – hecklera. Posiadanie broni na terenie Polski – bez ministerialnego zezwolenia na czas określony – jest oczywiście niezgodne z regulaminami policji obu krajów i paroma innymi przepisami. Jednak *Polizeihauptkommissar* Gruber to nie jedynie glina i funkcjonariusz BND. To także ważna persona w berlińskim Wspólnym Centrum Zwalczenia Terroryzmu przy Treptower Park, bardzo zapracowany człowiek, który nie ma czasu na dopełnianie biurokratycznych formalności, bo ledwo go znajduje na sportowy trening. Niemniej jednak teraz biegnie po śniegu, a potem po betonowym klepisku tak szybko, że towarzyszący mu dwaj obciążeni sprzętem funkcjonariusze dziewiątego zespołu Federalnej Straży Granicznej z trudem nadążają. Jeden z nich przyświeca latarką i to właśnie ten wskazuje ciało potężnego faceta

z dziurą w czole i obandażowaną połówą twarzy. Przy trupie stoi polski policjant – w cywilu, ale z identyfikatorem na piersi. Palcem pokazuje Jonasowi kierunek.

Potem zamieszanie rośnie w postępie geometrycznym. Wokół pokrytego śniegiem furgonu marki opel i stojącego opodal granatowego saaba parkuje najpierw pięć, siedem, a wreszcie – jedenaście aut, w tym skoda superb, reprezentacyjny wóz komendy wojewódzkiej policji pozostający do wyłącznej dyspozycji „Starego” i jego zastępcy, oraz dwie karetki: reanimacyjna i wypadkowa.

W przypadku Pawła Półrolnika, Krystiana Kolczyka i Joanny Staniszk lekarzom pozostaje jedynie stwierdzenie zgonu. Z komisarzem Waldemarem Warskim mają więcej pracy. Powinni go zabrać na nosze i wywieźć do szpitala przy Koszarowej. Ale muszą faceta naprawiać na miejscu, bo po pierwsze, nalegają na to zebrani tu policyjni ważniacy, a po drugie, pacjent za nic nie chce się położyć na noszach. Swoją drogą – choć poobijany, cięty nożem i trafiony pociskiem – tylko wygląda na ciężko rannego. W rzeczywistości wszystkie uszkodzenia są płytkie. Chirurg z zespołu ratunkowego widział w tym tygodniu gorsze obrażenia u młodzieńca, który wypadł ze skutera.

Opatrywanie Any Wittesch to błąhostka. Rosyjskie pociski SP-10 z wolframowym rdzeniem, które przechodzą przez płyty z tytanu, a co dopiero przez policyjne kamizelki kuloodporne, nie poradziły sobie z NATO-wskim kevlarem. Mięśnie policjantki są stłuczone, lecz żebra – całe. Trzeba tylko wymienić wcześniejsze opatrunki na głowie, zbadać odruchy i przeprowadzić wywiad, aby papierologii stało się zadość.

Jonas Gruber, z hecklerem schowanym pod połą marynarki, początkowo pilnie asystuje przy pracy lekarza, potem – gdy Ana mówi mu, co chciał usłyszeć – dyskretnie opuszcza pełną ludzi halę. Jego obstawa niesie dwa pudła. Idą po resztę do białego opla vivaro. Szef sam otwiera pakę i daje znak Niemcom czekającym przy passacie:

– *Laden das alles nach.*

Wszystkie kartony zostają sprawnie przeniesione do kufra i na tylne siedzenie volkswagena, który jako pierwszy odjeżdża z Lisiej Huty. Przejazd aleją Sobieskiego i Łącznikiem Długołęka zajmuje niemieckiemu kierowcy cztery i pół minuty. Gdy zadowolony z siebie Gruber wraca do częstowanej właśnie słodką kawą Any, oddelegowani do jego dyspozycji ludzie wjeżdżają na autostradę A8 i przyspieszają.

Według nawigacji mają być w Berlinie za trzy godziny i pięćdziesiąt pięć minut.

Rozdział 29.

Sobota 1 października, poranek i przedpołudnie

Portal Onet: „Niemiecka policjantka na delegacji w Polsce trzecią ofiarą »Spychacza« z Wrocławia”.

„Super Express”: „Albo plaga samobójstw, albo morderca kpi z wrocławskiej policji”.

„Fakt”: „Groza i niedowierzanie! Wrocław w panice. Kościół w kłopotcie. Policja bezradna. O satanistycznych elementach zbrodni czytaj s. 3”.

Początek artykułu Jacka Hryniewicza: „Młode wrocławianki boją się porwać. Trzecia i nie wiadomo, czy ostatnia śmierć atrakcyjnej kobiety w centrum miasta. Tym razem ofiarą jest trzydziestosekstoletnia wysoka funkcjonariuszka niemieckiej policji Ana Wittesch, pochodząca z dolnośląskiej rodziny analityczka kryminalna, prywatnie krewna księdza doktora Edmunda Witeckiego. Jej polski partner, prowadzący dochodzenie w sprawie dwóch poprzednich zgonów komisarz Waldemar Warski, choć znany dotąd ze skuteczności i radykalnych rozwiązań wobec przestępców – tym razem okazał się bezsilny. Według naszych informacji już wczoraj został odsunięty od śledztwa.

Sytuacja, z jaką mamy do czynienia od pamiętnej nocy z 18 na 19 września, gdy ciało dwudziestoletniej Edith Kronenberg, córki monachijskiego bankiera, uderzyło o bruk ulicy Szewskiej wprost pod owianym legendą Mostkiem Pokutnic, nie ma precedensu w historii naszego miasta. Od dnia, w którym w tym samym miejscu straciła życie przyjaciółka niemieckiej studentki dyrygentka Wanda Kamińska i od dnia zatrzymania kantora z katedry w mieście narasta strach...”.

Początek wystąpienia rzecznika prasowego dolnośląskiej policji podkomisarza Mateusza Zdrożka na sobotniej konferencji prasowej o godzinie ósmej rano:

– Zaczynając, witam państwa ciepło w ten chłodny dzień w imieniu pana komendanta, pani prokurator Aldony Anielewskiej i swoim. Na wstępie informuję, że chciałbym przede wszystkim zdementować nieprawdziwe i nieściste informacje, które od wczorajszego wieczora pojawiają się w mediach...

Sala konferencyjna komendy jest pełna. Zdrożek – szczupły, krótko ostrzyżony, w galowym mundurze – siedzi na tle półokrągłej ścianki z przeszło metrową ósmioramienną

gwiazdą na niebieskim polu. Za prostokątnym stołem z orzecha towarzyszą mu podobnie wystrojony „Stary” – z akselbantem na piersi – i prokuratorka, która założyła na tę okazję piętnastocentymetrowe obcasy. A do tego swoją najlepszą garsonkę, zamówioną i uszytą w butiku przy ulicy Nehringa tak sprytnie, że niemal maskuje jej brzuch. Poranek jest rzeczywiście zimny i chmurny, śnieg topi się na ulicach niemrawo. Tak wczesnego ataku zimy nie pamiętają najstarsi policjanci – podobnie jak nie przypominają sobie, by kiedykolwiek na Podwalu pojawiło się tyle kamer. Są korespondenci stacji niemieckich, francuskich, włoskich, holenderskich i Bóg wie jakich jeszcze. Początkowy pomysł Zdrożka, by wydrukować i wydawać jakieś akredytacje na briefing, wziął w łeb niemal od razu. Za duży był tłok i chaos już od siódmej rano. Upadła także koncepcja, aby posadzić przy stole Konarskiego, Warskiego czy samą Anę Wittesch. Nikt z nich – chociaż każdy z innego powodu – nie wygląda dziś rano na tyle dobrze, by dać się filmować. Również Jonas Gruber – któremu sam komendant gorąco rekomendował współudział w medialnym wydarzeniu – postanowił unikać kamer. Bardzo chcieli się natomiast podlansować wiceprokurator okręgowy i radny z komisji bezpieczeństwa, ale na obecność pierwszego – ku radości „Anieli” – nie zgodził się „Stary”. Drugiego pogoniła asystentka jego zastępcy Weronika.

– W dalszej kolejności chcę poinformować państwa, że nadkomisarz Ana Wittesch, oddelegowana z berlińskiej policji w związku z tragiczną śmiercią dwudziestoletniej obywatelki niemieckiej, do której to śmierci doszło dziewiętnastego ubiegłego miesiąca w godzinach wczesnoporannych... chcę więc poinformować, że nadkomisarz Wittesch czuje się dobrze, a informacje o jej rzekomej śmierci...

– Były przesadzone i tendencyjne – siedzący w drugim rzędzie krzeseł wrocławski korespondent Onetu mówi to niby pod nosem, ale wyraźnie. Nikt jednak nie nagradza żartu choćby uśmiechem, za to kilka osób próbuje jednocześnie zadać pytania. O zwłoki wywiezione wczoraj spod kościoła, o aktualne miejsce pobytu Niemki, o jej nieobecność na konferencji, o Warskiego i o coś, co na korytarzowo-parkingowej giełdzie dziennikarskiej stało się już przed godziną najbardziej gorącym tematem – o wielką nocną policyjną akcję na pustkowiu między Kłokoczcami a Polanowicami, akcję, która najwyraźniej ma coś wspólnego ze zbrodniami „Spychacza” czy kto tam za tym wszystkim ostatecznie stoi. Bo i na ten temat teorii nie brak.

przewidział jednak i to. Odkłada tablet, bierze do ręki dwustronnie zadrukowaną kartkę formatu A4, wstaje, macha papierem.

– Uwaga! Halo! Dziękuję... Czy mogę? Dziękuję. Teraz przeczytam państwu wspólne oświadczenie...

– Co znaczy „unieszkodziliśmy”?

– Kim jest trzecia zepchnięta?!

– Za co dziękować Warskiemu?

– Czy ktoś został dziś w nocy zastrzelony?!

– Stop! Proszę państwa! No... litości... Miejmy szacunek dla siebie nawzajem. Jak mówiłem, odczytam wspólny komunikat prokuratury okręgowej i naszej komendy odnośnie sprawców. Pytania nie są w związku z tym przewidywane.

– Ta trzecia!

– Kto zginął?!

– Gdzie Warski?!

– Ta konferencja to jakaś, kurwa, kpina jest!

– W dniu dzisiejszym, to znaczy 1 października nad ranem... – Zdrożek zaczyna czytać celowo niezbyt donośnym tonem, monotennie, na jednym oddechu – i efekt jest taki jak poprzednio. Reporterzy i korespondenci syczą jeden na drugiego, sala szybko cichnie. – Grupa realizacyjna pod komendą komisarza Waldemara Warskiego dokonała próby zatrzymania osobników podejrzewanych o doprowadzenie do samobójstw dwóch, powtarzam, dwóch, kobiet. Podejrzani, którzy według naszych ustaleń więzili obie ofiary przed ich samobójczą śmiercią i stosowali wobec obu rodzaj zaawansowanej hipnozy, zostali ujawnieni na skutek akcji prowokacyjnej polegającej na sfingowaniu śmierci trzeciej ofiary. Nadkomisarz policji berlińskiej pani Ana Wittesch dobrowolnie i skutecznie odegrała kluczową rolę w tej sprawie i na tym etapie jest to jedyna informacja, jakiej organy ścigania mogą udzielić w zakresie samej operacji. Jeżeli chodzi o jej skutki, to podczas próby zatrzymania stawily opór następujące osoby: Krystian K., syn Leona, lat czterdzieści sześć, bezrobotny, wielokrotnie karany, między innymi z artykułu sto czterdzieści osiem paragraf jeden i paragraf dwa. Paweł P., syn Wiktora, także karany, lat trzydzieści dziewięć, poszukiwany w związku z przypisywanymi mu przestępstwami przeciwko mieniu i zdrowiu. Joanna S., osoba nienotowana, mieszkanka Wrocławia, z zawodu psycholog. Tadeusz K., były pracownik resortu obrony, obecnie emeryt...

Zdenerwowany Zdrożek traci dech, przerywa, chrząka, nalewa sobie wody do szklanki, wymieniając przy tym krótkie spojrzenie z szefem. Komendant ledwo widocznie kiwa głową, co ma oznaczać „dobrze... jedziesz dalej...”. Ten gest – i haust ciepłej muszynianki – uspokajają rzecznika. Przez kilka sekund pozwala zebranim pytać jeden przez drugiego:

– To byli zamieszani sataniści czy nie byli?!

– Położyliście pod kościół manekina?

– Kogo chcieliście oszukać?!

– Czytam państwu dalej... Trzy z wymienionych osób w trakcie próby zatrzymania stawily zbrojny opór grupie realizacyjnej i zostały wyeliminowane. Czwarta osoba, kobieta psycholog, została zastrzelona przez jednego ze współników przed przybyciem sił policyjnych. Na miejscu zdarzenia nadal pracują ekipy techniczne. Na tym etapie to wszystko, dziękuję państwu za uwagę, tak jak nadmieniałem, pytania nie są przewidziane.

* * *

– Gdzie jesteś? – głos Jonasa Grubera w telefonie jest przytłumiony, w tle słycać nakładające się na siebie polskie i niemieckie zdania. Brzmi to tak, jakby szef siedział na jakimś spotkaniu i rozmawiał zasłoniwszy usta dłonią.

– A gdzie ty? – Ana odłącza właśnie od przedłużacza już niepotrzebną drukarkę.

– W konsulacie.

– Ja w kościele.

– Mam rozumieć, że w tym kościele? – *Polizeihauptkommissar* akcentuje słowa *diese Kirche*.

– Tak. Mieszkam tutaj. Mieszkałam. Pakuję się już.

– Bardzo dobrze. Przyślę po ciebie. Zabiorą rzeczy i twój samochód. Ja muszę jeszcze trochę posprzątać. Ale wieczorem wyjeżdżamy razem, moim autem. Będziemy mogli pogadać.

– Nie oszukuj mnie, Jonas – Ana podchodzi z nokią przy uchu do gotyckiego okna z widokiem na zaśnieżone dachy. Ma dziwne uczucie straty, chociaż niczego przecież nie straciła, jeśli nie liczyć części włosów i pewnych złudzeń, jakie żywiła wobec nieistotnych już intencji dawno nieżyjącego ojca. – Już nie chcesz ze mną gadać. To, co dla ciebie najważniejsze, wywiozłeś do Berlina. Polacy prędzej czy później zauważą, że coś im ukradliśmy. Że ty ukradłeś.

– Miejsce tych rzeczy jest przy Normanenstraße – odgłosy w tle cichną, jak gdyby

Gruber opuścił wypełnione hałasem pomieszczenie i zamknął się w cichym kącie.

– Cha, cha... w Centrum Badań i Pamięci? – policjantka próbuje nadać swemu tonowi maksimum ironii.

– To ma już tylko historyczną wartość – Jonas odpowiada sztywno, jakby się liczył z podsłuchem. – I jest to nasza historia, a nie Polaków. Nasza własność.

– Nie kłam. To są bezcenne wyniki badań, jakich nie dałoby się przeprowadzić w cywilizowanym świecie. To ma wartość jak najbardziej aktualną. Dla wszystkich. Dla nas, dla Amerykanów, dla każdego. Ten program będzie kusił, by go ciągnąć dalej. W jakimś pieprzonym Guantanamo, w którejś z „czarnych dziur”... Byłam w tej komorze, Jonas. Jestem szkolona, odporna i mam wiedzę, a jednak nic mi nie pomogło, rozumiesz? Wystarczyły godziny, kilka godzin w środku, żeby zniknął czas i moja wola. Jeżeli oni osiągnęli takie wyniki na tych prymitywnych aparatach, możesz sobie wyobrazić, co zrobią z tego twoi koledzy z Treptower Park.

Jonas syczy jak przebita gwoździem puszka piwa. Berlińskie Wspólne Centrum Zwalczania Terroryzmu nie jest co prawda instytucją tajną – w odróżnieniu od hamburskiej filii zajmującej się dezintegracją radykałów – ale gadanie o tym na otwartej linii jest grubą przesadą.

– O dwudziestej wyjeżdżamy do domu. Muszę kończyć.

– Ja też – Ana odchodzi od okna. Siada na łóżku między walizką i kartonem ze zgromadzonymi w ciągu dziesięciu dni wydrukami. Global Trade Consulting, Wells Financial Center, Jagielski i Partnerzy, Komisja Majątkowa dla Kościoła katolickiego, maile, faktury, przelewy, księgi wieczyste, derywaty, wyceny, rejestry długów. Pukanie w drzwi.

– *Jaaaa... bitte.*

Warski wchodzi do celi.

Wygląda jak bezdomny. Policzki zassane do środka, na głowie luźna wełniana czapka kryje opatrunek. Kuleje, ramiona ma ułożone nierówno, w jego przygarbieniu jest rezygnacja. Nie wita się. Siada na podłodze pod ścianą, naprzeciw łóżka. Stęka, wyciągając prosto przed siebie zranioną nogę. Termos stawia w kroku. Patrzy na Anę, która próbuje ułożyć spierzchnięte usta w uśmiech. Już wie, że to, co poczuła, patrząc z góry na mokre miasto, bolesne uczucie pod stłuczoną piersią – ma coś wspólnego z tym mężczyzną.

– Wyglądasz na kogoś, kto wyjeżdża – jego głos również jest inny niż dotąd. Coś tam dysonansowo rezonuje, jakaś poluzowana struna.

– Ty nie wyglądasz jak zwycięzca.

– Bo nie wygrałem.

– My żyjemy, a oni nie żyją.

– Wypuszczą Kuntza. A mnie nie wolno tykać sprawy kościelnej ziemi, Global Trade ani tym bardziej adwokatów i notariuszy.

– Nie...

– A tak! Watykan jednak się całkiem od niego nie odciął. Interweniowali. W ministerstwie, na samiutkiej partyjnej górze. Dzisiaj go wywozimy na lotnisko. Ja i Aleks. Bez świadków. Cicho, grzecznie i na zawsze. Rzym Ciampino o szesnastej dwadzieścia. Ryanaiem.

Rozdział 30.

Sobota 1 października, popołudnie

Po czternastej słońce wyszło zza chmur – już niskie, lecz wciąż dość silne, by w kilkanaście minut przyspieszyć i zakończyć leniwe dotąd topnienie nocnego śniegu. Przed piętnastą mokre chodniki, ulice i dachy zabłyśły w skośnym świetle, jakby je ktoś pokrył werniksem. Kilka minut po trzeciej Manfred Danner wsiadł na tylne siedzenie starego i ciasnego clio. Aleksander Toczyk – w kapturze nałożonym na bejsbolówkę i ciemnych okularach – wyprowadził przybrudzone renault wyjazdem od strony ulicy Druckiego-Lubeckiego. Teraz skręca w Łąkową. Większość dziennikarzy miotających się od porannej konferencji prasowej między komendą i prokuraturą czatuje od Muzealnej i od Podwala. A ci nieliczni, których aspirant widzi przy północno-wschodnim narożniku gmachu, nie zwracają uwagi ani na wóz bez kołpaków, ani na ściśniętą z tyłu trójkę niepasujących do siebie osób. Starszego, zarośniętego na twarzy faceta we włoskim kapeluszu i płaszczu z pagonami oraz dwójkę siedzących po jego obu stronach pasażerów w czapkach. Więcej uwagi – i złych komentarzy – poświęcają rozpędzającemu się renault inni kierowcy – ryzykownie i nieprzepisowo wyprzedzani na Braniborskiej, a potem Strzegomskiej.

Toczyk pędzi na lotnisko spóźniony o dobre pół godziny i dlatego łamie kodeks drogowy co najmniej piętnaście razy – aż za szesnastym przesadza. Gdy wyprzedza ciężarówkę od prawej strony, omal uderza w hamującego przed rowerzystą małego nissana. Przez ułamek sekundy zdziera ABS, po czym odbija jeszcze mocniej w prawo. Renault z trzaskiem resorów wskakuje na wysoki krawężnik i trawnik odgradzający czteropasmówkę od rzędu brzydkich, pstrych pawilonów z apteką, delikatesami i piekarnią. Jeszcze przez chwilę samochód wykopuje oponami błoto, ale na asfalt nie daje już rady powrócić.

– Chyba guma... – twarz aspiranta w lusterku wygląda jak wyciskana gąbka. Ani Warski, ani Wittesch z początku mu nie odpowiadają. Sfrustrowany Aleks wysiada z auta sam, obchodzi je dookoła, coś przy tym gdera. Wreszcie stuka w okno od strony Warskiego, który uchyla szybę za pomocą korbki.

– Szefie... to nie guma. Ale wszystko siedzi. Chyba... tego tam, no... poszedł wahacz.

– Radiowóz wezwij – przez ostatnią godzinę, w trakcie wszystkich formalności

związanych z wypisem Dannera-Kuntza, komisarz zachowywał się tak, jakby za każdą wypowiedzianą sylabę miał zapłacić Niemcowi sto złotych. I nadal jest oszczędny w słowach. Zamyka okno, a jego podwładny wzrusza ramionami, po czym gdzieś dzwoni. Przez kolejne dziesięć minut nie dzieje się nic. Bankier dyplomata milczy. Jedyne, co świadczy o tym, że cierpi niewygodę, to kropelki potu ściekające spod runda kapelusza.

– Pańscy szefowie i moi zwierzchnicy umówili się na konkhhetny samolot, komisarzu – w końcu nie wytrzyma. – Może zechce pan sam zadzwonicz i coś załatwić zamiast wysługiwać się tym niezdahą.

Warski ponownie uchyla szybę. Toczyk podchodzi bez przywoływania.

– Tego, no... problem, szefie... mecz na stadionie, ale już jadą, tego... jadą na bank, no... dwóch prewencyjnych. Pięć minut może.

Z pięciu robi się prawie piętnaście i kiedy wreszcie srebrno-niebieska furgonetka prewencji z sześcioma pasażerami w środku parkuje na podjeździe przed terminalem T2, jest godzina szesnasta cztery.

Pierwszy wysiada Warski, za nim Niemiec, na końcu Ana. Toczyk zostaje w wozie – wróci z posterunkowymi na Strzegomską.

– Chcesz bransoletki czy będziesz słuchał? – komisarz odchyła połę kurtki.

Watykański bankier chowa ręce do kieszeni i bez pozwolenia rusza w stronę szklanych drzwi hali. Ana za nim.

Komisarz wyjmując telefon, wybiera zapisany dziś nowy numer.

– Wchodzimy.

* * *

Marzena. Tak według plakietki wpiętej w żakiet na wysokości biustu w rozmiarze C plus ma na imię stewardesa Ryanaira, która idzie im na spotkanie wzdłuż szklanej ściany. Widoczne za nią samoloty rzucają długie granatowe cienie na szarą płytę lotniska.

– Pan komisarz Warski?

– Tak, a to doktor Kuntz, nasz pasażer – policjant wyciąga odznakę. Ana się nie odzywa.

– Niestety, już po *last call*.

– Przepraszam, uprzedzałem... uprzedzaliśmy, a jeszcze nas przygoda spotkała po drodze. Ale ten pan absolutnie musi polecieć... to dyplomata...

– Wiem, wiem, mówiono mi – Marzena uśmiecha się, jakby reklamowała pastę do zębów. – Możemy jeszcze spróbować przejściem dla personelu. Ale naprawdę musimy się

spieszyć.

Rusza pierwsza, Danner za nią, oboje policjanci idą na końcu w stronę bocznego korytarza, który za pachnącą świeżymi wypiekami kafejką skręca do pomieszczeń służbowych. Stewardesa otwiera kartą trzecie z rzędu jasne drzwi, dalej dobrze oświetlony wąski korytarz, schody w dół i długie przejście o białych ścianach z plastiku. To już najwyraźniej rękaw, bo wieje, a za zakrętem tunelu stoi na baczność czarnowłosa dziewczyna w kostiumie identycznym jak ten, który ma na sobie Marzena.

Danner staje, Warski dopiero teraz wyciąga z kieszeni kurtki jego purpurowy watykański paszport. Podaje brunetce. Biletu pasażer co prawda nie ma, ale to nie problem. Wszystko zostało przecież uzgodnione wyżej. Stewardesa płynnym gestem dłoni zaprasza do wnętrza samolotu. Wuj Manfred nie odwraca się już do Any. Przekracza próg boeinga 737, skręca w wąskim przedsiönku i taksuje wzrokiem ciasny kokpit pełen skromnie ubranych ludzi. Wygląda to jak podmiejski autobus wiozący gastarbeiterów na zbiory karczochów. Albo jak transport uchodźców, tyle że o pszennych, słowiańskich gębach. *Arme Schweinen.*

– Pańskie miejsce ma numer trzydzieści jeden B.

– *Thank you* – od tej chwili Manfred Danner nie zamierza wypowiedzieć już ani słowa po polsku. Stracił trudną jeszcze do oszacowania część majątku, stracił kilka cennych osobistych rzeczy, o mało nie stracił wolności... ale nie postradał dumy ani pogardy wobec tego bękarciego kraju, w którym jego noga więcej nie postanie.

Number thirty one B. Fotele wąskie, schowek, do którego musi wepchnąć złożony płaszcz i kapelusz, jest zawalony plecakami i tobołami. Tanie linie. Upokarzające.

– *Excuse me* – narastająca irytacja sprawia, że ma ochotę raczej pacnąć w głacę niż przeproszać łysawego starucha w sutannie, obok którego musi się przecisnąć na fotel.

Moment mal...

– Ksiądz phhoboszcz?

A jednak jeszcze nie koniec z językiem polskim.

– No tak. Witam, doktorze Kuntz – jest tak ciasno, że nawet ten kurdupel Witecki musi wgnieść plecy w siedzenie i podciągnąć kolana, by wpuścić spóźnionego pasażera na siedzisko między sobą i jakimś młodym brodatym rudzielcem. Trzydziestoletni na oko typek jest klaciasty, męski, wygląda na kogoś z reklamy sprzętu budowlanego. Albo na drwala. W uszach ma białe słuchawki. Chyba drzemie.

Danner przeciera chustką zroszone czoło.

– Ksiądz też do Rzymu? – kiedy pyta, nie patrzy na kapłana, spogląda za okno. Samolot właśnie rusza – za szybko przesuwiają się powoli boeingi z emblematami Wizz Air, Enter Air i tym podobnych linii dla biedaków. Stewardesa na końcu przejścia między granatowymi fotelami zaczyna wypowiadać formułki o pasach bezpieczeństwa, kamizelkach ratunkowych, awaryjnych wyjściach i maskach tlenowych.

– Zastanawia mnie, doktorze, czy pan w ogóle wierzy w Boga? – proboszcz katedry odpowiada pytaniem na pytanie i coś w jego tonie sprawia, że w miejsce irytacji w bankierze budzi się czujność.

– Nie wystahczy, że Jemu służę?

– Jemu... czyli komu?

– Niech sobie księżulo nie pozwala za dużo. Lecimy do Rzymu, a to mój hewihhh...

Duchowny nie odpowiada. Boeing skręca na pas startowy i przyspiesza. Silniki grają. Czarnowłosa stewardesa sprawdza, czy wszyscy zapięli pasy. Jej koleżanka zaczyna recytowanie formuł po angielsku.

Manfred Danner ma przemożne wrażenie, że coś nie pasuje.

Przechyla się w stronę kapłana i patrzy mu w oczy. Choć sam nie brał prysznic od doby, czuje od Witeckiego smród starości. I widzi dziwną, złośliwą satysfakcję w chytrej minie ramola.

– *Was ist los?*

– Dziwię się, że pan doktor wspomniał o locie Rzymu. Ja wybieram się do Sztokholmu.

– To do niewłaściwego samolotu ksiądz wszedł... – już wypowiadając to zdanie, bankier wie, że złe przecucie go nie myliło. Polskie słowa nagle same zaczynają się z niego wylewać, jakby bał się, że koniec kwestii zderzy go z nieuchronnym. – ...My lecimy na lotnisko Ciampino, choć osobiście wolałbym Fiumicino. Niestety, pewne nieporozumienia skazały mnie na podróż tym akuhhat samolotem...

– Nieporozumienia, no tak... – proboszcz przerywa rozmówcy i robi przy tym gest, jakby odpędzał muchę, która usiadła mu na perkatym nosie. – Nieporozumienia się mnożą, tak, tak. Ktoś pana omyłkowo skierował do niewłaściwego samolotu, *Herr Doktor*. Lecimy do Sztokholmu. Lądowanie na Skavsta mamy o...

– Do jakiego Sztokholmu?!

Przyspieszenie narasta, mokry pas startowy umyka w dół, ale mdłości, które targają żołądkiem Dannera i nie pozwalają dokończyć pytania, nie mają nic wspólnego z

fizycznymi przeciążeniami. On nie ma choroby lokomocyjnej.

– Ana dobrze odrobiła lekcje – kapłan mówi teraz głośno, bo silniki huczą na całego. Rudobrody facet już nie markuje letargu. Wyjmuje słuchawki z uszu, oczy ma czujne, sięga po coś pod tyłkiem. Wyjmuje kajdanki.

– Gwałty w krajach skandynawskich... – duchowny przewraca oczami – ...sam pan doskonale wie, *Herr Danner*. Pamięta pan jeszcze tę dziewczynkę? Eike z wyspy Vindö?

Rudy zapina jedną bransoletę na swoim grubym nadgarstku. A drugą na przegubie Niemca.

– *Lieutenant Hay Kristiansson, police department of commune Värmdö. You are stuck to the court on charges of rape Eike Luddorf.*

* * *

W bistro przy tarasie widokowym, gdzie kawa kosztuje dwanaście złotych, a pączek – sześć, baristka przygląda się Warskiemu i próbuje sobie przypomnieć: skąd gościa zna? Ze zdjęcia w gazecie? Chyba tak. Ale stuprocentowej pewności nie ma.

Za wysoką na siedem metrów szklaną ścianą i tarasem widokowym samolot linii Ryanair do Sztokholmu jest już tylko szarym punktem na tle różowych, rozwleczonych nad horyzontem chmur.

– Powiesz mnje... jak to urządziłeś? – Ana patrzy Warskiemu w oczy.

– Wykorzystałem tylko twoje namiary na tego całego Haja Jakiegoś-tam-sona z Windo-warmdo i to, że Warszawa kazała moim szefom wyekspediować skurwiela prosto stąd.

– A co to ma na rzeczy?

– Biznes class do Rzymu z Wrocka nie lata, tylko tanie linie, a taka Weronika od nas ma siostrę stewardesę w Ryanerze. Założyłem, że skurwiel nigdy tanio nie latał i się nie pokapuje, dokąd leci samolot. Trzeba było tylko zrobić to spóźnienie.

– *Also...* to koniec wszystko?

Warski, który chyba oczekiwał po Anie radości z powodu wysłania Dannerera za szwedzkie kraty, jest szczerze zdziwiony, a może i urażony jej ponurą miną.

– Nie cieszysz się, żeśmy dojechali skurwiela? – odpowiada pytaniem na pytanie. Zaszyta rana na czaszce go swędzi, noga też rwie, podobnie jak ramię. Nie powinien już dzisiaj wracać do pracy, trzeba na zwolnienie, przynajmniej tydzień. Wyspać się.

– Cieszę, cieszę... – policjantka powtarza słowo dwa razy, ale jej deklaracji zaprzeczają nagle opadające kąciaki oczu i zmarszczone czoło. – Tylko widzisz ty... Danner

to nie wszystko jest. Wasze służby mogliby dostać się do pieniędzy w Afryce. Poszukać, kto w tym jeszcze stoi...

– Kto w tym siedzi.

– *Genau so.*

– Mówiłem ci: mam szlaban na cały temat.

– Wiem, rozumiem.

– Zresztą przekrety ze świętą ziemią są już, powiedzmy... *passé.*

– A to, że macie u siebie na stanowiskach tajnych ludzi, co wasz kraj zdradzali?

– W latach osiemdziesiątych poprzedniego wieku... Ana! Kto się tym teraz interesuje?! – komisarz trze głowę przez czapkę.

– Wszystko jest nagle *passé*?! Ja nie uważam! Dla mnie mechanika ten szwindel z ziemią od Kościoła... to jest żurnalistyczna gratka.

– Gratka to by była, jakby sataniści za wszystkim stali. Dziennikarze mają teraz takie priorytety.

– A ten jeden z gazety, co do ciebie nadzwania?

– Hryniewicz? Cha, cha... Musi mnie nienawidzić – policjant uśmiecha się rozbawiony.

– Podpuściłem go, że odchodzę ze śledztwa. Łatwo mi nie odpuści.

– *Falsche Politik.* Winneś go wykorzystać. Waszy społeczeństwo ma prawo dowiedzieć. Ta kancelaria Jagielski, te kredytodawce, korupcja... Ty masz prawo odpocząć. Niech prasa dalszy ciąg śledzi.

– Pomyślę – Warski przełyka kawę, która zapewne jest dobra, skoro taka droga, lecz on nie czuje smaku. Koktajl został w komisariacie. Toczyk obiecał za dwadzieścia minut po nich przyjechać. Może się domyśli i zabierze termos. – Masz jakieś plany na dzisiaj?

– Wieczorem wyjeżdżamy. Gruber, ludzie jego, ja z nimi. Ale...

Komisarz unosi brwi, Ana jeszcze przez kilka sekund nie dokańcza zdania. Na moment wkłada sobie kciuk w usta, szybko go wyjmując, zawstydzona. Upija mały łyk latte. – Chciałam ci coś wydać. Dać. Dwie rzeczy. Będziesz potrzebował bagażnika samochodowego i laptopa.

* * *

– Co to jest? – Jacek Hryniewicz ma ochotę podnieść wieko bardzo dużego kartonu, który leży w otwartym kufrze saaba, ale się powstrzymuje. Nieoświetlone klepisko między krzywym, betonowym ogrodzeniem cmentarza Osobowickiego a linią przerzedzonych

chaszczy wysypane jest czarnym żużlem, który teraz zamienił się w brudne błoto. Dziennikarz – kiedy wysiadł z poobijanej sieni – zapadł się w tej brei po kostki. I ledwo poznał policjanta w mroku – Warski nie wygląda dziś jak kowboj pogromca. Wygląda jak podwórkowy lump stojak. Za duża, nieforemna czapka, nierówny zarost w kępkach, niezdrowo spopieliała skóra, jedna powieka opadnięta.

– To coś, co twoja gazeta lubi – policjant sam podnosi pokrywę pudła. W środku sterty dokumentów, wydruków i screenów w formacie A4. Całe archiwum.

– Przewały na kościelnych ziemiach, zaniżone wartości, kasa pod stołem, także dla duchownych, sprzedajni adwokaci, skorumpowani notariusze, imienne listy płac... Dorzuciłem ciepłą kopię protokołu przesłuchania pewnego watykańskiego dyplomaty, który na polecenie MSWiA nie całkiem formalnie uniknął dziś posiedzenia aresztowego. To wrzątek jest.

– Czym sobie zasłużyłem na łaskę?

– Powiedzmy, że to rekompensata za niezamierzoną dezinformację z mojej strony. Odpłata z nawiązką. Masz tu faktury, masz przelewy, masz podpisane kwity. Wydruki są wszystkie z linkami źródłowymi, lipy tu nie ma. Wiesz, kto był jednym z macherów przy całym tym wale?

Dziennikarz kaszle.

– Były pułkownik Wojskowych Służb Informacyjnych Tadeusz Kalita, którego podkomisarz Zdrożek nazwał dziś rano emerytem.

– Nie, kurwa...

– Tak, kurwa. Na liście płac jest też psycholog. Byłaby oskarżona o doprowadzenie do śmierci dwóch kobiet, Edith Kronenberg i Wandy Kamińskiej...

– ...ale nie będzie oskarżona, bo nie żyje. Pamiętam. Joanna S., osoba nienotowana. Zabita przez współnika.

– Otóż to.

– Pan ją zastrzelił?

– Głupiś?

– Podobno wszyscy, co zginęli w nocy, mieli w czołach po jednej dziurze.

– Nieprawda. Jeden miał przestrzelone bebechy, a drugi urwane pół gęby, ale tego już nie wiesz ode mnie. Niczego zresztą ode mnie nie wiesz.

– Mogę? – dziennikarz wyciąga obie dłonie w stronę bagażnika.

– Jak mi tylko powiesz: kto wam daje cynki? Kto pierwszy powiedział o przyjeździe Niemki? Kto w lipcu ci nadał tę sprawę z kradzieżą...

– Nie, nie... – Hryniewicz opuszcza ręce i odkasłuje. – Nie ma mowy.

Odchyła połą niemodnej zgnióbrązowej jesionki i wyciąga ze sztruksowej marynarki pudełko L&M. Przypala jednego, osłaniając pulchną dłonią płomyk z najtańszej zapalniczki. – A już tak było miło...

– Było miło i jeszcze może być. Noooo Jacuś... Szczery bądź. Czy to jest ta aplikantka prokuratury z dużymi cycuszkami, z którą chodzisz na piwo do Spiża?

– Nie wierzę, kurwa. Już nas inwigilujecie?

– Chcesz dostać to wszystko czy nie?

– Chcę – dziennikarz zaciąga się dymem ze świstem oskrzeli i znów odkasłuje.

– To mów mi. Kamila jest twoim źródłem?

– Dzięki za spotkanie – redaktor odwraca się i odchodzi w stronę rozklekotanego fiata. Po kilkunastu krokach wypływa flegmę w smoliste błocko, co może być zarówno wyrazem jego abnegacji, jak i stosunku do policjanta, który go ściągnął na to zadupie.

– Poczekaj!

Warski krzyczy wystarczająco głośno, ale tamten się nie odwraca, więc gliniarz po prostu wkłada dwa palce w usta i gwizdże.

Hryniewicz odwraca głowę.

– Chodź no, chodź! Już OK!

– O co teraz...?!

Dziennikarz podchodzi.

– O nic, wyluzuj! Musiałem mieć pewność, że nie sypniesz za żadne skarby. A to są skarby najprawdziwsze. Bierz, jeśli tylko uniesiesz. I spróbuj tego nie spierdolić.

* * *

Hryniewicz jednak nie był w stanie kondycyjnie udźwignąć kartonu, więc Warski musiał mu pomóc wtaszczyć archiwum Wittesch do skorodowanego fiata. Potem pan redaktor za cholerę nie mógł odpalić swego rżęcha. Utykającemu, pozaszywanemu w trzech miejscach policjantowi pozostało go popchnąć. Teraz, gdy Hryniewicz wreszcie odjeżdża w stronę wiaduktu i Odry, uwalany żuźłową breją do połowy łydek Waldemar idzie sto pięćdziesiąt metrów wzdłuż betonowego parkanu, po czym wchodzi między groby przez pękniętą furtkę. Trzecia aleja za kaplicą cmentarną, siódma kwatera. „Krzysztof Warski urodzony 10

listopada 2000 roku, zmarł 9 listopada 2007”. Ścięte mrozem, sflaczałe astry, które Alicja złożyła we środe, dwa wypalone znicze. Komisarz wyciąga z kieszeni trzeci, dużo mniejszy, niezdarnie zapala zapałkę. Klęka na mokrym lastryko, ręce opuszczone, nie modli się, już nie potrafi. Wdech-wydech, coraz wolniej i płycej. W zimnym nocnym powietrzu, pod zbrązowiałymi liśćmi starego wiązu, klęczący zapada w stupor i upodabnia się do szarej kamiennej figury, jakich tutaj wiele. Nie myśli, nie płacze, nawet jakoś straszliwie mocno nie cierpi. Trwa w wygasłym żalu i stygnie. Najpierw drętwieją mu nogi, potem ręce. Z letargu wyrywa go chrząknięcie za plecami.

– Więc twój synek jest tutaj – mówi, by cokolwiek powiedzieć.

Oficer się nie odwraca. Poznaje jej głos, powinien zapytać, jak – do cholery – go tu odnalazła. Ale nie pyta o nic. Pozwala, by pomogła mu wstać, nogi ma ciągle zdrewniałe, przemarznięty nie czuje własnych palców, kiedy ociera dłonią twarz.

Potem spacerują w mroku między obeliskami ze sztucznego i prawdziwego marmuru, między grobami w kwiatach i tymi opuszczonymi, porośniętymi mchem, glonem, czarnym porostem. On utyka. Milczą o tragicznie zmarłym synku Waldemara, który zapowiadał się na świetnego matematyka i rysownika. Milczą o nieżyjących, ale ciągle obecnych w jej głowie rodzicach Any. Milczą o nieudanych związkach z mężczyznami i o przeżartej bólem relacji z byłą żoną. O wszystkim milczą. Dopiero w powrotnej drodze na zabłocony placyk za cmentarnym parkanem ona opowiada o zakończonym przed godziną pożegnaniu niemieckiej delegacji w gabinecie komendanta. O tym, jak Gruber, „Stary”, prokurator i koordynator z Warszawy ustalali wersje dla Berlina, dla czterech zainteresowanych ministerstw, dla archidiecezji i mediów.

Gdy dochodzą do saaba i zaparkowanego tuż przy nim kabrioletu, Ana pokazuje Waldemarowi prostokątny pendrive.

– To jest dla ciebie ta obiecana druga rzecz, ważniejsza.

Komisarz zapala w swoim aucie światło, siada za kierownicą, spod fotela pasażera wyciąga samsunga. Uruchamia go, wciska srebrno-czarną kostkę w krawędź.

„Nowe urządzenie”.

– Obejrzyj tylko, nie kopiuj. Tego zresztą nie da się odkopiować.

„Folder liste”.

„Otwórz”.

Klik-klik.

Policjant patrzy na ekran. Tabela podzielona w pionie. Cztery szpalty-kolumny. W pierwszej imiona i nazwiska, w drugiej pseudonimy, w trzeciej daty, w czwartej sygnatury spraw i kryptonimy operacji. Warski już widział takie zestawienia. Zjeżdża kursorem w dół. Lista jest bardzo długa. Ponad pół setki ludzi, w tym – co od razu rzuca mu się w oczy – poprzednik „Starego”.

– Pięknie, kurwa... Czemu mi to pokazujesz?

– Ktoś u was powinien wiedzieć.

– Jechałaś za mną, żeby sprawdzić, co zrobię z kwitami w pudle? Nie ufasz mi?

– Musiałam mieć pewnoszcz. Teraz już ufam.

– W porządku, chociaż nie wiem, czy mam ci dziękować. To szambo jest.

– Przez to szambo zginął mój ojciec, moja matka, ja musiałam...

– Przepraszam. Jestem idiotką... – Warski chciałby coś jeszcze dodać, ale odzywa się melodyjka z nokii schowanej w listonoszce Any.

– To Gruber, muszę odebrać – policjantka odchodzi od saaba. Rozmawia z szefem przez dwie minuty, a w tym czasie Warski fotografuje samsungiem kolejne odcinki tabeli – od „Aniołowski Piotr, *codename* »Doktor«” do „Żelazny Hieronim, *codename* »Filon«”.

– Za chwilę przyjedzie po mnie Jonas z ludźmi – Ana wsiada do saaba. – Wiesz, że on wam...

– ...zabrał dokumentację komory? – komisarz oddaje czarną kostkę pendrive’a. – Domyśliłem się i nie przeszkadza mi. Im dalej to gównno odjedzie, tym dla wszystkich lepiej.

– Eksport kłopotów to niezły interes – Wittesch uśmiecha się połową ust. – Ja też już jadę.

– Nie jesteś kłopotem.

– Byłam.

– Bardzo dawno temu. Już prawie nie pamiętam. To był chyba koniec lata.

Przez długie dwie minuty oboje nic nie mówią – aż do chwili gdy na czarnym klepisku pod krzywym parkanem parkuje volvo s90, warta sto tysięcy euro limuzyna na usługach berlińskiego Centrum Zwalczenia Terroryzmu.

Ana uchyla drzwi. Chce wysiąść, lecz w ostatniej chwili odwraca się gwałtownie. Przyciska usta do ucha komisarza.

– Najlepsze jest zawsze to, co nigdy się nie zdarzyło i nie zdarzy. Prawda?

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz.

* * *

Trzaskają zbyt mocno zamknięte drzwi saaba.

Z hybrydowego volvo wysiada jeden z ludzi Grubera. Bierze od nadkomisarz Wittesch kluczyki, odpala jej kabriolet. Ona siada na tylnym siedzeniu szarej limuzyny, obok swego szefa.

Warski czuje chłód, który wdarł się – w miejsce Any – do jego kabiny.

Patrzy na odjeżdżające auta z niemieckimi rejestracjami.

Słyszy ciszę, którą natychmiast trzeba zagłuszyć.

Wyjmuje z podłokietnika termos i puszcza na full Miraculous Mule.

I've never, I've never been satisfied...